

Harry Harrison

Kosmiczne szczury

The Best of Harry Harrison

Przełożyli Radosław Kot i Jarosław Kotarski

The Streets of Ashkelon

Ulice Aszkelonu

1961

Trudno w to dziś uwierzyć, ale science fiction była niegdyś gatunkiem wręcz pruderyjnym, wiele spraw i tematów uznającym za tabu. W magazynowym wydaniu (w odcinkach) mojej pierwszej powieści, *Planety śmierci*, usunięto wszystkie zwroty typu „cholera”. Bardzo niewielu pisarzy buntowało się przeciwko tej swoistej cenzurze, bowiem upór, by wytrwać przy swoim, oznaczał zwykle, że po prostu nie sprzedadzą ani utworu. Pozostawało przystać na warunki i zakazy dyktowane przez wydawców magazynów, będących wówczas monopolistami na rynku literatury popularnej. Wyrok przez nich wydany był nieodwołalny.

W latach sześćdziesiątych powiał jednak nowy wiatr. Algys Budrys, pisarz młody, obdarzony nieprzeciętnie bujną wyobraźnią i w żadnym wypadku nie zmanierowany przez rynek popularnych magazynów, został redaktorem działu pewnego nowego wydawnictwa (obecnie już od dawna nie istniejącego) w Chicago. Judy Merrill była wówczas uznaną autorką antologii, nie cierpiała przy tym wszystkich tabuistycznych obwarowań *pulp fiction*. Szykowała właśnie antologię zatytułowaną, jeśli pamiętam, *The Thin Edge [Wąski margines]* i Budrys zgodził się wydać tę książkę. Miała ona obalać wszelkie tabu (lub je ignorować), przez co głównym kryterium doboru opowiadań stała się ich obrazoburczość. Hurra! Judy rozesłała zawiadomienia do wszystkich chyba znanych jej pisarzy, którzy w komplecie, jak sądzę, przyjęli jej propozycję z radością i westchnieniem ulgi.

Pamiętam, że też uznałem pomysł za znakomity i zaraz posłałem szkic opowiadania, które już od dłuższego czasu pragnąłem napisać. Judy odpowiedziała, że w porządku i że mam siadać do roboty. Wstyd przyznać, ale za najbardziej bluźnierczy (z możliwych) uznałem pomysł ukazania w opowiadaniu SF ateisty jako postaci pozytywnej. Zaiste szokujące! ŚmieJCie się z tego, wy, wychowani na pangalaktycznym (i intergalaktycznym) kopulatorium! W owych odległych czasach, ledwie piętnaście lat temu, była to rzeczywiście poważna sprawa.

Jak wspomniałem, opowiadanie to z dawna już we mnie dojrzewało, ale czasem bywa i tak, że podobne dziełka stawiają niespodziewany opór, gdy wreszcie zacznie się je spisywać. Z *Ulicami Aszkelonu* szczęśliwie tak nie było. Wygładziłem tekst, przepisałem ręcznie, potem na maszynie i powierzyłem go ostatecznie urzędowi pocztowemu. Judy stwierdziła, że opowiadanie jej się

podoba i nawet zapłaciła, ale antologia nigdy nie ujrzała światła dziennego. Nie odtworzę już dzisiaj dokładnie, dlaczego tak się stało, pamiętam tylko, jak przez długi czas starałem się dowiedzieć, co weszło w paradę, a następnie walczyłem, chcąc odzyskać tekst. Ostatecznie udało mi się, po to tylko, by z niejaką rezygnacją patrzeć potem, jak mój agent marnuje papier listowy, koperty i znaczki, próbując wydać fatalne opowiadanie gdziekolwiek indziej, na przyzwoitym rynku. Biedaczysko, robił wszystko, co w jego mocy, ale koniec końców maszynopis wyśladował z powrotem na moim biurku, do tego cały pomięty i w plamach od kawy.

Co robić? Musiałem wspomnieć coś o moim kłopotcie w jednym z listów do Briana Aldissa, poprosił mnie bowiem o tekst. Składał właśnie pierwszą swoją antologię dla wydawnictwa Penguin Books, do *Ulic...* zatem podszedł, przede wszystkim jako wydawca. Utwór mu się spodobał. Uczynił tylko kilka słusznych uwag dotyczących postaci księdza, ja zaś zastosowałem się do sugestii, i poprawiłem tekst.

Brian gotów był wziąć dzieło, ponieważ jednak miało się ono znaleźć w antologii zawierającej opowiadania z magazynów, wciąż miałem prawo sprzedać je jakiemuś czasopismu. Chciwość mnie opętała, ale sami przyznajcie: czy to nie miło otrzymać dwukrotnie zapłatę za tę samą pracę? Opowiadanie spodobało się Tedowi Carnellowi, wówczas wydawcy „New Worlds” (magazynu brytyjskiej awangardy stylistycznej), uznał je jednak za nieco nazbyt śmiałe jak na granice tolerancji czytelników. Kiedy jednak usłyszał, że Penguin i tak je wyda, uniósł się honorem i nabrał śmiałości, zamieszczając utwór na łamach magazynu (płynie z tego zapewne morał taki, że wydawcy brytyjscy potrzebują czasem bodźca, który pobudzi ich do samodzielnego myślenia. Jest to morał budujący, wydawcy amerykańscy bowiem nieczuli są na wszelkie bodźce, a to dlatego, że jeśli słyszeli nawet o sztuce samodzielnego myślenia, to pewnie nie dali wiary). Tak zatem opowiadanie pojawiło się i w magazynie, i w antologii, świat jakoś przetrwał to wydarzenie, a apokalipsa nie nadeszła.

W istocie utwór spodobał się wielu czytelnikom, którzy uznali za stosowne mi o tym powiedzieć. Przetłumaczono je na osiem języków (do roku 1975). Ostatecznie wydałem je nawet w USA, włączając tekst ukradkiem do mojego pierwszego amerykańskiego zbioru opowiadań. Dziwnym trafem i wtedy nie doszło do żadnych zamieszek ulicznych. Więcej nawet, gdy już wydawcy zza oceanu zauważyli istnienie tego opowiadania, zaczęli zamieszczać je w różnych swoich antologiach.

Miary szczęścia dopełniło włączenie utworu do spisu lektur szkolnych (wraz z komentarzem i

przypisami). Wbrew przewidywaniom, nie spowodowało to szeregu pożarów trawiących budynki szkolne i świątynne.

Kłopoty związane z przełamywaniem pierwszych barier wydają się już dzisiaj tak odległe...

Gdzieś ponad wieczną osłoną chmur Świata Weskera dał się słyszeć narastający, przytłumiony łoskot. Handlarz Garth zatrzymał się raptownie, pozwalając butom zagłębić się w błotnistej mazi, i przyłożył dłoń do ucha. Zniekształcony przez gęstą atmosferę grzmot był coraz głośniejszy.

— To brzmi podobnie jak hałas czyniony przez twój podniebny statek — powiedział Itin przetrawiając powoli skrawki informacji, by z zachowaniem wszelkich zasad tutejszej logiki przeanalizować dokładnie każdy z osobna. — Ale przecież twój statek stoi wciąż tam, gdzie wylądowałeś, i chociaż w tej chwili go nie widzimy, musi tam stać, jesteś bowiem jedyną osobą, która potrafi go obsługiwać. Nawet gdyby ktoś jeszcze to umiał, słyszelibyśmy najpierw odgłosy jego startu. Ponieważ tak nie było, a ten hałas jest niewątpliwie wydawany przez pojazd kosmiczny, zatem musi to być...

— ...jakiś inny statek — uciął Garth, zbyt zajęty własnymi myślami, by cierpliwie czekać, aż Itin dobrnie do końca łańcucha logicznego. Z całą pewnością był to jakiś inny gość z przestrzeni, kierujący się, podobnie jak on przedtem, na sygnał radaru S.S. Pojawienie się kogoś takiego było tylko kwestią czasu. Nowo przybyły niewątpliwie szybko dojrzy na ekranach statek handlarza i postara się wylądować jak najbliżej.

— Lepiej się pospiesz, Itin — stwierdził Garth. — Najszybciej dotrzesz do wioski wodą. Powiedz wszystkim, by schowali się w bagnie, byle dalej od stałego lądu. Urządzenia tego statku wytwarzają podczas lądowania tak wysoką temperaturę, że każdy, kto znajdzie się w miejscu przyziemia, zostanie dosłownie ugotowany.

Była to groźba, którą niewielki, ziemnowodny mieszkaniec Świata Weskera zrozumiał od razu. Zanim jeszcze Garth skończył mówić, Itin zwinął żebrowane uszy niczym nietoperz skrzydła i bez szmeru dał nurka do pobliskiego kanału. Garth ruszył dalej przez hamującą kroki maź, docierając do skraju wioski w chwili, gdy łoskot przeszedł w ogłuszający ryk, a statek kosmiczny wyłonił się spośród nisko zalegających chmur. Przesłoniwszy oczy dłonią, by nie dać się oślepić długiemu językowi tryskającego z dysz ognia, przyglądał się z mieszanymi uczuciami szaro-czarnej sylwetce pojazdu.

Po spędzeniu na Świecie Weskera prawie całego standardowego roku, brak towarzystwa innych ludzi zaczynał poważnie mu doskwierać. Niemniej, podczas gdy odziedziczony po małych przodkach instynkt stadny domagał się swoich praw, umysł kupca liczył pilnie słupki i dodawał zyski. Ten statek też mógł należeć do jakiegoś handlarza, co oznaczałoby koniec monopolu na handel z tą planetą. Z drugiej jednak strony, równie dobrze mógł to być ktokolwiek

inny. Pomyślawszy to, Garth schronił się pod gigantyczną paprocią i poluzował tkwiącą w kaburze broń. Statek osuszył na wiór co najmniej ze sto jardów kwadratowych moczarów, aż w końcu silniki umilkły, a stopy wsporników zagłębiły się z trzaskiem w popękany grunt. Metal poskrzypywał jeszcze, osiadając w miejscu, gdy chmura dymu powoli rozplywała się w wilgotnym powietrzu.

— Garth... ty szantażysto, czekający po tutejszemu... gdzie jesteś? — zagrział głośnik statku. Sylwetka pojazdu wyglądała tylko nieco znajomo, ale brzmienie głosu nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Garth uśmiechnął się krzywo wychodząc na otwartą przestrzeń i zagwizdał na palcach. Kierunkowy mikrofon na stateczniku obrócił się w jego stronę.

— Co ty tu robisz, Singh? — krzyknął do mikrofonu. — Zamiast znaleźć własną planetę, wolisz okradać innych z uczciwych zysków? Taki z ciebie podstępny krętacz?

— Uczciwych! — ryknął wzmocniony głos. — I kto to mówi? Człowiek, który poznał więcej więzień niż burdeli, a tych ostatnich, słowo daję, jest niemało. Przykro mi, kompanie z dzieciństwa, ale nie możesz liczyć na moją pomoc w obrabianiu tej morowej dziury. Mam na oku inny, o wiele mniej śmierdzący świat, gdzie zbiję fortunę. Zatrzymałem się tu tylko na chwilę, bo trafiła się okazja, by zarobić uczciwie kilka kredytów. Jestem tu za taksówkę. Przywiozłem ci towarzystwo, idealne wręcz dla ciebie. Facet nijak nie jest związany z twoim fachim, ale może ci się przydać. Wyszedłbym sam, aby cię przywitać, gdyby nie te testy i szczepienia. Wypuszczam pasażera przez służę i mam nadzieję, że pomożesz mu z bagażem.

Przynajmniej nie będzie tu drugiego kupca, to jedno dobre. Ale jaki to niby pasażer zechciał odbyć podróż w jedną stronę na tak zacofaną planetę? Co takiego kryło się w pełnym rozbawienia głosie Singha? Garth obszedł statek, by znaleźć się naprzeciw rampy, i spojrzał na przybysza, który gramolił się przez luk towarowy, z trudem taszcząc wielką pakę. Ten obrócił się, ukazując coś jakby białą psią obrozę, oznaczającą duchownego. Powód wszelkich chichotów Singha z miejsca stał się oczywisty.

— Co pan tu robi? — spytał szorstko Garth pomimo starań, by nadać głosowi jak najłagodniejsze brzmienie. Jeśli nawet tamten to zauważył, to zignorował formę powitania, uśmiechał się bowiem nadal i schodząc po rampie wyciągnął dłoń.

— Jestem ojciec Marek — powiedział. — Z Misyjnego Towarzystwa Braci. Miło mi spotkać...

— Pytałem, po co pan tu przybył. — Garth panował już nad sobą, a jego głos był cichy i wręcz lodowaty. Wiedział, co trzeba zrobić, i to jak najszybciej, jeśli miała istnieć jeszcze jakaś szansa.

— To chyba oczywiste — powiedział ojciec Marek, wciąż pełen dobrego samopoczucia. — Nasze stowarzyszenie misyjne jako pierwsze wysłała duchownych emisariuszy na obce światy. Miałem to szczęście...

— Zabieraj pan tę walizkę i wracaj zaraz na statek. Nie jesteś tu potrzebny, nikt cię nie zapraszał. Będiesz tu tylko ciężarem dla wszystkich, żaden tubylec nie będzie nawet chciał z tobą gadać.

— Nie wiem, kim pan jest, sir, ani czemu pan kłamie — powiedział ksiądz, wciąż spokojny, ale już bez uśmiechu. — Zapoznałem się dobrze z prawem galaktycznym, podobnie jak i z historią tej planety. Nie ma tu żadnych chorób ani niebezpiecznych zwierząt. Jest to planeta otwarta, a dopóki Inspekcja Kosmiczna nie zmieni jej statusu, mam takie samo prawo przebywać na jej powierzchni, jak pan.

Facet miał rację, rzecz jasna, ale Garth nie mógł otwarcie tego przyznać. Blefował, mając nadzieję, że ksiądz nie zna dobrze swoich praw, ale niestety. Znał. Pozostał tylko jeden sposób, by go zawrócić, póki jeszcze można to zrobić.

— Wracaj na statek! — krzyknął, nie skrywając złości. Płynnym ruchem wyciągnął broń i z odległości kilku cali wymierzył czarną lufę w żołądek księdza, który zbladł, ale się nie ruszył.

— Co ty wyrabiasz, Garth?! — krzyknął przez głośnik przerażony Singh. — Ten facet zapłacił pełną taksę za przejazd i nie masz prawa wyrzucać go z planety.

— Mam prawo — powiedział Garth, mierząc dla odmiany między oczy kapłana. — Daję mu trzydzieści sekund na zawrócenie, potem pociągnę za spust.

— Cóż, wygląda na to, że albo oszalałeś, albo zebrało ci się na żarty. Jeśli to dowcip, to w złym stylu. I nieudany. W te klocki ja jestem lepszy.

Umieszczona w boku statku wieżyczka z czterema działkami obróciła się z postękiwaniem i wycelowała lufy w Gartha.

— A teraz odłóż pukawkę i pomóż ojcu Markowi przenieść bagaż — rozkazał Singh, jakby lekko rozbawiony. — Chciałbym ci pomóc, przyjacielu, ale nie mogę. Mam wrażenie, że jednak należy dać ci szansę zamienienia paru słów z ojcem. Wiesz, ostatecznie poznałem go trochę w drodze z Ziemi.

Garth wcisnął broń do kabury. Czuł, że przegrał. Ojciec Marek uśmiechnął się triumfująco i wyciągnął z kieszeni Biblię.

— Mój synu...

— Nie jestem twoim synem — wykrztusił Garth, wciąż przeżywając gorycz porażki. Zamierzył się w gniewie pięścią, ale ostatecznie uderzył intruza otwartą dłonią. Starczyło, by ksiądz upadł na ziemię, a białe kartki książki splamiło błoto.

Itin i inni tubylcy obserwowali to wszystko beznamiętnie. Garth nie zamierzał niczego im wyjaśniać. Ruszył w kierunku swojego domu, ale kiedy odwrócił się, ujrzał, że nadal stoją bez ruchu.

— Przybył jeszcze jeden człowiek — powiedział. — Trzeba mu pomóc wyładować jego bagaże. Jeśli nie będzie miał ich gdzie schować, możecie wpakować je do dużego magazynu, aż znajdzie sobie jakieś miejsce.

Spojrzał jeszcze, jak rozkołysanym krokiem podążają w kierunku statku, a potem wszedł do siebie i z niejaką satysfakcją trzasnął drzwiami tak mocno, aż pękła jedna z szyb. Istotną ulgę przyniosło mu otwarcie jednej z zaledwie kilku pozostałych jeszcze butelek irlandzkiej whisky, którą trzymał na specjalne okazje. Cóż, ta okazja była wystarczająco szczególna, chociaż nie taka, jakiej Garth by pragnął. Alkohol był dobry, wypalił nieco paskudny smak, który czuł w ustach. Gdyby mu się udało, sukces okupiłby wszystko. Ale przegrał, robiąc z siebie dupka. Singh odpalił silniki bez jakichkolwiek pożegnań. Trudno było powiedzieć, co sobie o tym pomyślał, ale na pewno po powrocie chlapanie coś niestworzonego w klubie cechu. Nic, tym będzie się martwić, gdy zajrzy tam następnym razem. Teraz trzeba ułożyć jakoś sprawy z tym misjonarzem. Wyjrzawszy przez okno zobaczył, jak tamten w strugach deszczu walczy z namiotem, cała zaś ludność wioski stoi w szeregu i przygląda się. Oczywiście, nikt nie zaproponował pomocy.

Do czasu, gdy namiot już stanął, a wszystkie paczki i pudełka znalazły się w środku, deszcz przestał padać, a poziom napoju w butelce znacznie się obniżył. Garth czuł się o wiele lepiej przygotowany do stawienia czoła nieproszonemu gościowi. W gruncie rzeczy pragnął nawet z nim porozmawiać, zapominając na chwilę o interesach. Ostatecznie, cały rok bez ludzkiego towarzystwa... W takiej sytuacji każdy kompan mógł być mile widziany. *Czy przyjmiesz zaproszenie na obiad? John Garth*, napisał na odwrocie starej faktury. A może za bardzo go przestraszył i duchowny nie zechce przyjść? Nie, tak się nie zawiera znajomości. Wygrzebał spod

pryczy pudełko dość duże, by pomieściło pistolet. Itin czekał oczywiście za drzwiami, jako że akurat teraz wypadła jego kolej jako dyżurnego Zbieracza Wiedzy. Garth dał mu pudło i kartkę.

— Zaniesiesz to do tego nowego człowieka — powiedział.

— Czy ten nowy człowiek nazywa się Nowy Człowiek? — spytał Itin.

— Nie! — warknął Garth. — Nazywa się Marek. Ale proszę cię tylko, byś mu to oddał, a nie żebyś wdawał się z nim w pogawędki.

— Nie prosisz mnie, bym z nim rozmawiał — powiedział wolno Itin. — Ale on może o to poprosić. A inni pytają o jego imię, i gdybym go nie znał... — dalszy ciąg zginął w huku zatraskiwanych drzwi. Jak zwykle, gdy Garth tracił zimną krew i zapominał o dosłownym traktowaniu wszystkiego przez tubylców, tubylcy wygrywali rundę. Trzaśnięcie drzwiami było półśrodkiem, przy następnym spotkaniu bowiem, wszystko jedno, czy za dzień, za tydzień czy za miesiąc, Itin gotów był wznowić monolog dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwał. Garth zaklął pod nosem i dołączył wody do dwóch ostatnich opakowań najlepszego w smaku koncentratu.

— Wejść — powiedział, usłyszawszy ciche pukanie do drzwi. Ksiądz pojawił się w progu z pudełkiem.

— Zwracam i dziękuję, panie Garth. Doceniam pański gest. Nie mam pojęcia, co spowodowało ten żaloszny incydent na lądowisku, ale chyba najlepiej będzie o tym zapomnieć, jeśli mamy razem mieszkać na tej planecie przez jakiś czas.

— Drinka? — spytał Garth, biorąc pudełko i wskazując na stojącą na stole butelkę. Nalał do pełna dwie szklaneczki i wręczył jedną księdzu. — Też tak myślę, ale jestem jeszcze chyba winien parę wyjaśnień. — Spojrzał ponuro na szkło, potem uniósł naczynie w kierunku kapłana. — Wszechświat jest duży i powinniśmy umieć jak najlepiej się w nim znaleźć. Za Rozum!

— Bóg z tobą — powiedział ojciec Marek i również uniósł szklaneczkę.

— Ani nie ze mną, ani z tą planetą — powiedział zdecydowanie Garth. — I w tym jest właśnie główny szkopuł. — Opróżnił szklaneczkę do połowy i westchnął.

— Czy chcesz mną wstrząsnąć? — spytał kapłan z uśmiechem. — Zapewniam cię, że to nie wystarczy.

— Nie chodzi o wstrząsy, ale o fakty. Ja sam jestem kimś, kogo wy nazywacie ateistą, a zatem mało obchodzi mnie wszystkie objawione prawdy jakiegokolwiek religii. Co zaś się tyczy tubylców, prostych i nie uczonych, tkwią oni jeszcze w epoce kamienia łupanego. Udało im się

jednak dojść do tego miejsca w historii bez przesądów czy nawet śladów oddawania czci bogom. Miałem nadzieję, że uda im się uchronić przed tym jeszcze dłużej.

— Co mówisz? — kapłan zmarszczył brwi. — Chcesz powiedzieć, że oni nie mają bogów, w nic nie wierzą? Przecież muszą umierać...?

— Owszem, umierają i obracają się w proch. Jak wszystkie żywe stworzenia. Znają zjawiska przyrody, jak burze, drzewa i wodę, nie czczą jednak błyskawic, duchów drzew czy nimf wodnych. Nie ma tu ani szpetnych bożków, ani żadnego tabu, ani klątw, które zatruwałyby im życie. To jedyne prymitywne społeczeństwo, jakie poznałem, wolne całkowicie od przesądów i dzięki temu o wiele szczęśliwsze i rozsądniejsze, bardziej normalne. Chciałem po prostu uchronić ich przed tego rodzaju wpływami.

— Chciałeś pozbawić ich Boga, odebrać im zbawienie? — Oczy księdza rozszerzyły się, a on sam aż się cofnął.

— Nie. Chciałem uchronić ich od przesądów do czasu, aż dorosną nieco i zaczną patrzeć na sprawy bardziej realistycznie. Gdy nie będzie już grozić im zagłada za sprawą tego wszystkiego...

— Ublizasz Kościołowi, panie, równając wiarę z przesadami...

— Proszę — powiedział Garth, podnosząc rękę. — Żadnych sporów teologicznych. Nie sędzę, by twoje szefostwo kupiło ci bilet po to tylko, byś mnie nawracał. Przyjmij po prostu do wiadomości fakt, że przez długie lata dochodziłem do mojego obecnego światopoglądu i żadna podejrzana metafizyka tego nie zmieni. Obiecuję ci, że nie będę próbował zawracać ciebie ze złej drogi, o ile ty obiecasz mi to samo.

— Zgoda, panie Garth. Przypomniał mi pan, że moją misją jest troska o te dusze. Ale czemu moje dzieło tak bardzo panu przeszkadza, że aż chciał powstrzymać mnie pan przed zejściem na ten ląd? Groził mi pan nawet bronią i... — ksiądz urwał i spojrzał na szklanę.

— I nawet pana uderzyłem? Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie i mogę jedynie przeprosić. Oczywiście brak dobrych manier, jeszcze gorsze usposobienie. Proszę pożyć tu trochę, a i ksiądz nie będzie lepszy. — Garth spojrzał ponuro na swe wielkie, złożone na stole dłonie. Na skórze widniały liczne szramy i ślady zadrapań. — Powiedzmy, że to frustracja, ponieważ ten świat jest taki, jaki jest. W swoim fachu musi ksiądz mieć masę sposobności, by zagłębiać w mroczne zakątki ludzkich dusz i umysłów, i wie chyba niejedno o motywach postępowania i o szczęściu. Byłem zawsze zbyt zajęty, by pomyśleć o osiedleniu się gdzieś, o założeniu rodziny.

Do niedawna wcale mi zresztą tego nie brakowało, zacząłem jednak myśleć o tych na poły futrzastych, na poły rybich tubylcach jak o własnych dzieciach. Czuję się do pewnego stopnia za nich odpowiedzialny.

— Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga — powiedział cicho ojciec Marek.

— Niech i tak będzie, ale wówczas mamy tu gromadkę Jego dzieci, które nawet nie potrafią wyobrazić sobie Jego istnienia — warknął Garth, zły nagle na samego siebie za chwilę słabości. Zaraz jednak dał się ponieść emocjom. — Czy nie rozumie ksiądz, jakie to ważne? Proszę pożyć trochę z nimi, a odkryje ksiądz, jak prosta i szczęśliwa jest ich egzystencja w porównaniu z życiem w stanie łaski, o której tyle mówicie. Czerpią przyjemność ze swego życia i nie zadają cierpienia. Dzięki zbiegowi okoliczności są produktem swoistej ewolucji w świecie niemal zupełnie pozbawionym bogactw, nie mieli zatem szansy wyjść poza kulturę wieku kamienia. Umysłowo jednak mogą się równać z nami, może nawet są lepsi. Wszyscy nauczyli się mojej mowy, bym mógł im wyjaśniać wszystko, co chcą wiedzieć. Wiedza, jej gromadzenie, sprawia im prawdziwą satysfakcję. Wydają się nieznośni, każdy nowy fakt musi bowiem przez nich zostać umiejscowiony w znanej już strukturze rzeczy, ale im więcej się dowiadują, tym prędzej ten proces przebiega. Któregoś dnia staną się pod każdym względem równi człowiekowi, pewnie nawet nas przerosną. Czy zechciałby mi ksiądz wyświadczyć pewną uprzejmość?

— Jeśli tylko będę w stanie.

— Proszę ich zostawić w spokoju. Albo nauczać ich, skoro już ksiądz musi, historii, filozofii, prawa, wszystkiego, co pomoże im stawić czoło realiom tego wielkiego wszechświata, którego istnienia nawet nie podejrzewają. Ale proszę nie mieszać im w głowach waszą nienawiścią, cierpieniem, poczuciem winy i obsesją grzechu i kary. Kto wie, co złego może z tego wyniknąć...

— To zniewaga, sir! — powiedział kapłan, zrywając się na nogi. Ledwo sięgał handlarzowi do brody, ale zachowywał się tak odważnie, jak ktoś przeświadczony o słuszności swoich racji. Garth też wstał, tracąc cierpliwość.

Stanęli naprzeciwko siebie, mierząc się gniewnymi spojrzeniami, gotowi bronić własnych poglądów.

— To ty jesteś obrazą rodzaju ludzkiego! — krzyknął Garth. — Ten wasz niewiarygodny egotyzm każe wam wierzyć, że wasza mała mitologia, niewiele różniąca się od tysięcy innych brzemion człowieka, jest w stanie uczynić cokolwiek więcej, niż tylko zamroczyć nie zmaczone

jeszcze umysły. Czy nie rozumiesz, że oni wierzą w prawdę i nigdy nie słyszeli o czymś takim, jak kłamstwo? Nie są przygotowani, by zrozumieć umysły podążające innymi ścieżkami. Nie oszczędzisz im tego...?

— Będę czynił moją powinność, gdyż taka jest wola boska, panie Garth. Oto są boże istoty, które mają dusze. Nie mogę poniechać ich, nie mogę pozbawić ich Słowa, które może otworzyć im wrota do Królestwa Niebieskiego.

Gdy ksiądz uchylił drzwi, wiatr rozwarł je szeroko. Kapłan zniknął w deszczowej ciemności, a krople wody zaczęły wpadać do środka. Buty Gartha zostawiały na podłodze błotniste ślady, gdy ich właściciel podszedł, by zamknąć drzwi i odizolować się od siedzącego cierpliwie i nieporuszenie na deszczu Itina. Niczym nie zrażony tubylec dalej czekał na chwilę, gdy Garth znów dopuści go do tej wiedzy, której przywiózł ze sobą tak wiele.

* * *

Na mocy milczącego porozumienia zarówno Garth, jak i ksiądz postanowili nigdy nie wracać do kwestii poruszonych owego pierwszego wieczoru. Kilka dni odosobnienia pogorszyło jeszcze sprawę, obaj bowiem przez cały czas mieli wzajemną świadomość swojej obecności. Zaczęli zatem rozmawiać ze sobą, starając się pozostać w obrębie neutralnych tematów. Garth powoli spakował swoje towary, ale nie wspominał głośno o tym, że jego praca dobiegła już końca i w każdej właściwie chwili mógłby odlecieć. Zebrał dość interesujących okazów botanicznych i potencjalnych lekarstw, by uzyskać za nie dobrą cenę i sporo namieszać na galaktycznym rynku.

Przed jego przybyciem tutejsze rzemiosła były ledwie rozwinięte i ograniczały się głównie do mozolnego rzeźbienia ułamkami kamienia w twardym drewnie. Dopiero on dostarczył narzędzi i nie obrobionych metali z własnych zapasów, w sumie zresztą niezbyt wiele. Nim upłynęło kilka miesięcy, tubylcy nie tylko nauczyli się robić użytek z nowych dóbr, ale zdołali przetransponować ludzkie wzory i formy na własne wyroby, obce z gruntu ich kulturze, ale zarazem piękne. Pozostało tylko wprowadzić ich dzieła na rynek, stworzyć zapotrzebowanie i wrócić po więcej. Tubylcy żądali w zamian jedynie narzędzi, książek i wiedzy. Garth był pewien, że postępując w ten sposób, z łatwością zapewnił sobie miejsce w galaktycznej wspólnocie.

Taką przynajmniej miał nadzieję. Teraz jednak w małej osadzie, która wyrosła wokół jego statku, powiał wiatr przemian. Już nie on był w centrum uwagi wioski. Uśmiechał się, ile razy

pomyślał o utracie swej pozycji, ale był to krzywy uśmiech. Pełni powagi i uważni tubylcy przybywali wciąż, by pełnić dyżury na stanowisku Zbieracza Wiedzy przed jego domem, ale ich zapisy, będące rejestracją faktów, ani umywały się do huraganu intelektualnego, który szalał wokół osoby księdza.

Podczas gdy Garth kazał im odpracowywać każdą książkę czy maszynę, ksiądz rozdawał je za darmo. Garth starał się stopniować dostęp do wiedzy, traktując tubylców jak bystre, ale niewykształcone dzieci. Chciał nauczyć je chodzić, krok po kroku, nim zaczną biegać.

Ojciec Marek zaczął od razu wyklądać im wszystkie zasady chrześcijaństwa. Jedyny wysiłek, którego wymagał, to budowa kościoła, miejsca kultu i nauki. Z bezkresnych, ogólnoplanetarnych bagnisk przybyło jeszcze więcej tubylców i w ciągu paru dni stanął dach wsparty na palach. Każdego ranka kongregacja pracowała trochę nad ścianami, a potem rzucała się do nauki wszystko wyjaśniających, wszystko obiecujących i nade wszystko jedynych prawdziwych faktów o wszechświecie.

Garth nigdy nie powiedział tubylcom, co sądzi o ich nowych zainteresowaniach. Głównie dlatego, że wcale go o to nie pytali, poczucie honoru zaś nie pozwalało mu na urządzenie łapanek na słuchaczy i wylewanie przed nimi wszystkich swych żalów. Może byłoby inaczej, gdyby Itin zjawiał się na dyżurach, ale w dzień po przybyciu księdza przysłano kogoś innego i Garth nie miał więcej okazji z nim porozmawiać.

Zdziwił się zatem, gdy po siedemnastu tutejszych dniach, trzykrotnie dłuższych od ziemskich, zaraz po śniadaniu pojawiła się na jego progu delegacja, której przewodził właśnie Itin. Stał z lekko otwartymi ustami, podobnie jak pozostali, ukazując podwójny rząd ostrych zębów i purpurowo-czarne podniebienie. Ten znak uświadomił Garthowi, że delegacja przybywa w poważnym celu, otwarcie ust bowiem, jak pamiętał, sygnalizowało nie ziewanie, lecz silne emocje — szczęście, smutek, złość. O które z nich chodzi tym razem, nie wiedział. Tubylcy byli zazwyczaj opanowani i zbyt rzadko widywał ich w stanie wzburzenia, by móc ustalić przyczynę.

— Pomożesz nam, Garth? — spytał Itin. — Mamy pytanie.

— Odpowiem na każde — powiedział lekko zaniepokojony Garth. — W czym rzecz?

— Czy jest Bóg?

— Co rozumiecie przez określenie „Bóg”? — odpowiedział pytaniem Garth. No bo i co miał im powiedzieć? Cóż takiego mogło lęknąć się im w głowach, skoro aż przyszli do niego z takim pytaniem?

— Bóg jest Ojcem naszym w Niebiesiech, który uczynił nas i chroni nas. Do którego modlimy się o pomoc, a jeśli dostąpimy zbawienia, to wówczas u Jego boku...

— Starczy — przerwał Garth. — Nie ma Boga.

Wszyscy otworzyli usta i spojrzeli na Gartha, jakby chcąc przemyśleć jego odpowiedź. Gdyby nie znał ich tak dobrze, widok ostrych zębów mógłby go przerazić. Przez chwilę zastanowił się, czy ulegli już indoktrynacji, i czy nie spoglądali na niego jak na heretyka, ale odsunął tę myśl.

— Dziękujemy — powiedział Itin i cała gromadka odeszła.

Wprawdzie ranek był chłodny, ale z nieznanych przyczyn Garth spociał się jak mysz.

Nie musiał długo czekać na ciąg dalszy. Itin wrócił już po południu.

— Przyjdiesz do kościoła? — spytał. — Wiele skomplikowanych spraw obecnie poznajemy, ale żadna nie jest tak trudna do zrozumienia, jak ta właśnie. Potrzebujemy twojej pomocy. Musimy usłyszeć ciebie i ojca Marka mówiących razem w jednym miejscu, ponieważ on naucza, że coś jest prawdą, a ty twierdzisz, że prawda jest zupełnie inna. Obie te opinie nie mogą jednocześnie być wiarygodne. Musimy dowiedzieć się, która jest słuszna.

— Przyjdę, oczywiście — powiedział Garth, starając się ukryć nagle podniecenie. Nic nie zrobił, a tubylcy i tak przyszedli do niego. Wciąż jeszcze można było mieć nadzieję, że pozostaną wolni.

W kościele było gorąco i Garth aż zdumiał się liczbą zgromadzonych tam Weskersów. Nigdy jeszcze nie widział ich tylu naraz. Wielu miało otwarte usta. Ojciec Marek siedział przy zarzuconym książkami stole i wyglądał dość nieszczęśliwie, ale nic nie powiedział, gdy Garth wszedł do środka.

— Wiesz chyba, że to był ich pomysł — odezwał się handlarz. — Sami przyszedli do mnie i poprosili, bym tu zajrzał.

— Wiem — powiedział ksiądz z rezygnacją w głosie. — Czasami to trudni wychowankowie. Ale uczą się, chcą wierzyć, a to najważniejsze.

— Ojcie Marku, handlarzu Garth, potrzebujemy waszej pomocy — powiedział Itin. — Obaj wiecie wiele rzeczy, których my nie wiemy. Musicie pomóc nam pojąć religie, co nie jest rzeczą prostą. — Garth chciał coś powiedzieć, ale zmienił zamiar. — Przeczytaliśmy Biblię i wszystkie książki, które dał nam ojciec Marek, i jedno wynika z nich jasno. Przedyskutowaliśmy to i wszyscy się zgodzili. Były to inne książki niż te, które dostaliśmy od kupca Gartha. Tamte opisywały wszechświat, którego nie znamy, który obywa się bez Boga, nigdzie nie ma bowiem o

Nim ani wzmianki, dokładnie sprawdziliśmy. W książkach ojca Marka On jest wszędzie i nic nie dzieje się bez Niego. Jedno z tych podejść musi zatem być fałszywe. Nie wiemy, jak to możliwe, ale gdy ustalimy, kto ma rację, wówczas poznamy i mechanizm fałszu. Jeśli Boga nie ma...

— Ależ oczywiście, moje dzieci, że On istnieje — wtrącił pełnym żarliwości głosem ojciec Marek. — Jest Ojcem naszym w Niebiesiach, który nas stworzył...

— Kto stworzył Boga? — spytał Itin, a po kościele przeszedł pomruk świadczący o tym, że innych też to interesuje. Wszyscy wpatrzyli się z przejęciem w ojca Marka, który zmieszał się nieco pod tyłoma spojrzzeniami; potem jednak odrzekł z uśmiechem:

— Nikt, skoro to On jest Twórcą. Zawsze był...

— Jeśli istniał zawsze, to czemu wszechświat nie może istnieć zawsze bez twórcy? — przerwał mu Itin. Waga tego pytania była dla wszystkich oczywista. Ksiądz zaczął cierpliwie udzielać odpowiedzi.

— Gdyby to było takie proste, moje dzieci... Ale nawet naukowcy nie są zgodni w kwestii stworzenia wszechświata. Podczas gdy oni wątpią i błędzą, my znamy światło prawdziwej wiedzy. Wszędzie w koło dostrzegamy cuda stworzenia. A jak może istnieć jakikolwiek twór bez twórcy? To On, nasz Ojciec, nasz Bóg w Niebiesiach. Wiem, że targają wami wątpliwości, a to dlatego, że dusze wasze obdarzone są wolną wolą. Niemniej odpowiedź jest prosta. Miejcie wiarę, tyle tylko trzeba. Po prostu uwierzcie.

— Jak można uwierzyć bez dowodu?

— Jeśli nie dostrzegasz, że sam ten świat jest dowodem na Jego istnienie, wówczas powiem ci, że nie trzeba tu dowodów. Wiara wystarczy!

Podniósł się gwar i coraz więcej tubylców otwierało usta, jakby chcąc przebić się myślami przez gmatwaninę słów i wybrać z tego prawdziwy sens.

— Czy możesz nam to wytłumaczyć, Garth? — odezwał się Itin, uciszając swym pytaniem cizbę.

— Mogę podpowiedzieć wam jedynie, że należy sięgnąć po naukową analizę, która weryfikuje wszystkie rzeczy, z samą sobą łącznie, i znajduje odpowiedź dowodzącą prawdy lub fałszu każdego twierdzenia.

— To właśnie musimy uczynić. Także doszliśmy do tego wniosku. — Uniósł grubą księgę, a wielu obecnych mu przytaknęło. — Studiowaliśmy Biblię tak, jak uczył nas tego ojciec Marek, i

znaleźliśmy odpowiedź. Bóg uczyni dla nas cud, by dowieść, iż nas obserwuje. Dzięki temu znakowi poznamy, że istnieje, i pójdziemy za Nim.

— To oznaka fałszywej dumy — powiedział ojciec Marek. — Bóg nie potrzebuje cudów, by dowieść swego istnienia.

— Ale my potrzebujemy cudu! — krzyknął Itin, i chociaż nie był on człowiekiem, w jego głosie zabrzmiało dziwne ludzkie pragnienie. — Czytaliśmy tu o wielu mniejszych cudach, o chlebie, rybach, winie, węzach, które miały miejsce z o wiele bardziej błahych powodów. Jedyne, co On musi zrobić, to uczynić cud, a wówczas wszyscy pójdziemy za Nim. Cud wystarczy, by cały nowy świat padł u Jego tronu, jak nas uczyłeś, ojcze Marku. Sam powiedziałeś nam, jakie to istotne. Przedyskutowaliśmy sprawę i wiemy już, że jest tylko jeden cud najlepszy na taką okazję.

Całe zdumienie tą teologiczną imprezą opuściło Gartha w mgnieniu oka. Nie dostrzegając dotychczas, albo i nie chciał dostrzegać, do czego to wszystko prowadzi. Lekko tylko odwróciwszy głowę ujrzał ilustrację, na której Itin otworzył Biblię. Z góry zresztą wiedział, jaki to obrazek. Wstał powoli, jakby się przeciągał, i zwrócił się do księdza.

— Przygotuj się! — wyszeptał. — Uciekaj stąd i schowaj się w statku. Ja ich tu zatrzymam. Nie sądzę, by zrobili mi krzywdę...

— O co ci chodzi? — spytał ksiądz, mrugając pełnymi zdumienia oczami.

— Zmykaj stąd, głupcze! — syknął Garth. — Jak sądzisz, jaki cud ich zadowoli? Jaki to cud uznaje chrześcijaństwo za swą podstawę?

— Nie — powiedział ojciec Marek. — To niemożliwe. To po prostu niemożliwe...

— Ruszaj stąd! — krzyknął Garth, ściągając księdza z krzesła i pchając go ku tylnej ścianie, ale ten zatrzymał się i odwrócił. Garth chciał go chwycić, ale było już za późno. Tubylcy byli niewielcy, ale było ich dużo. Garth zdzielił Itina, wpychając go z powrotem w tłum, ale gdy on bił się z jednym, inni zajęli się księdzem. To było jak walka z falami morza. Futrzaste, pachnące piżmem ciała zakryły misjonarza. Szarpał się, aż go związali i tak przyłożyli w łeb, że znieruchomiał. Wyciągnęli go potem na zewnątrz, gdzie pozostało mu jedynie leżeć na deszczu, przeklinać i patrzeć.

Weskiersi byli wspaniałymi rzemieślnikami i wszystko, co zrobili, do ostatniego detalu odpowiadało instrukcjom z Biblii. Krzyż ustawiono na szczycie niewielkiego wzgórza, metalowe gwoździe lśniły, obok leżał młot. Ojciec Marek został rozebrany i przystrojony w starannie

zawiązaną przepaskę biodrową. Wyprowadzili go z kościoła. Na widok krzyża omal nie zemdlął. Potem jednak podniósł wysoko głowę zdecydowany umrzeć tak, jak żył, z wiarą.

Nie było to jednak łatwe. Nawet dla Gartha, któremu przypadła jedynie rola widza. Modlić się przed krucyfiksem, na którym widnieje rzeźba i mówić o ukrzyżowaniu to jedno, całkiem zaś czymś innym jest widzieć nagiego mężczyznę, któremu liny wpijają się w skórę i który zwisa z drewnianego krzyża. I widzieć też ostry gwóźdź przystawiany z namysłem do miękkiej powierzchni jego dłoni, widzieć młot przymierzający się do ciosu, słyszeć jego uderzenia i to, jak metal rozdziera ciało.

I jeszcze krzyk!

Niewielu rodzi się męczennikami. Ojciec Marek nie należał do tej garstki. Przy pierwszych uderzeniach krew popłynęła mu z kurczowo zaciśniętych ust. Potem otworzył je szeroko i mężny duch go opuścił. Krzyknął gardłowo, w przerażeniu, zagłuszając szmer padającego deszczu. Krzyk odbił się echem od szeregów widzów, którzy rozwarli usta. Jakiegokolwiek uczucie to spowodowało, szereg za szeregiem popadał w epileptyczne pląsy, naśladując cierpienie ukrzyżowanego kapłana.

Zemdlął, zanim wbito ostatni ćwiek. Krew spływała ze świeżych ran i mieszając się z deszczem spływała lekko różową pianą z jego stóp. Z księdza uchodziło życie. W tej właśnie chwili otępiały od ciosów w głowę, szarpiący się w więzach i szlochający Garth stracił przytomność.

Obudził się w swoim magazynie. Było ciemno. Ktoś rozcinał plecione liny, którymi go związano. Na zewnątrz wciąż szumiał deszcz.

— Itin — powiedział, jako że nie mógł to być nikt inny.

— Tak — odszepnął tubylec. — Pozostali naradzają się w kościele. Lin zmarł niedługo po tym, jak uderzyłeś go w głowę, a Inon jest ciężko ranny. Niektórzy mówią, że ciebie też należy ukrzyżować, i obawiam się, że w końcu do tego dojdzie. Lub też zabiją cię w ten sam sposób, jak ty zabiłeś Lina. Znaleźli w Biblii takie miejsce...

— Znam to — przerwał mu Garth zmęczonym głosem. — Oko za oko. Wiele jeszcze tam znajdziecie, jeśli będziecie tak szukać.

— Musisz odejść i dostać się do statku tak, żeby nikt cię nie zauważył. Dość już zabijania. — Głos Itina także pobrzmiwał zmęczeniem.

Garth wstał ostrożnie. Przycisnął głowę do szorstkiej ściany i poczekał, aż miną nudności.

— Nie żyje — stwierdził raczej, niż spytał.

— Tak, zmarł jakiś czas temu. Inaczej nie mógłbym przyjść do ciebie.

— I został pogrzebany. Gdyby tak się nie stało, nie pomyśleliby, żeby teraz zabrać się za mnie.

— I pogrzebany! — W głosie Itina pojawiła się osobliwa emocja, echo słów martwego już księdza. — Pogrzebano go i zmartwychwstanie. Tak jest napisane w księdze i tak się stanie. Ojciec Marek będzie szczęśliwy, że sprawy ułożyły się po jego myśli. — Wydawało się, że słyhać w tym ludzki płacz, ale to niemożliwe, przecież Itin nie był człowiekiem. Garth z wysiłkiem dotarł wzdłuż ściany do drzwi, gdzie oparł się, by nie upaść.

— Dobrze zrobiliśmy, prawda? — spytał Itin, ale nie doczekał się odpowiedzi. — Zmartwychwstanie, Garth, prawda?

Aż tutaj dochodziło nieco blasku z rzęsiście oświetlonego kościoła. Garth dojrzał swe zakrwawione dłonie zaciśnięte na framudze. Twarz Itina była tuż obok. Kupiec poczuł drobne, zakończone pazurkami dłonie, wpijające się w jego ubranie.

— Zmartwychwstanie, prawda, Garth?

— Nie. Zostanie w ziemi tam, gdzie go pochowaliście. Nic się nie zdarzy, bo jest martwy i takim pozostanie.

Deszcz spływał po futrze Itina, który otworzył usta szeroko, jak do krzyku, gotów zmać obojętną ciszę nocy. Całym wysiłkiem zmusił się jednak do wypowiedzenia kilku słów, wyrażając swe obce myśli w obcej, tubyleczej mowie.

— A zatem nie zostaniemy zbawieni? Nie staniemy się bezgrzeszni?

— Byliście czyści — powiedział Garth, na poły śmiejąc się i płacząc. — I to jest właśnie najpaskudniejsze w całej tej sprawie. Byliście nieskalani, bez grzechu, a teraz jesteście...

— Mordercami — powiedział Itin, a woda ściekała po jego opuszczonej nisko głowie i odpływała w ciemność.

Przekład: Radosław Kot

Kapitan Honario Harpplayer

1962

Ile zależy od wydawców obdarzonych wyobraźnią, wiedzą tylko oni i autorzy, którzy wiele im zawdzięczają, zwłaszcza w chwilach załamań. Arrum Davidson jest moim starym znajomym; nasze drogi krzyżowały się niejednokrotnie. Przez pewien czas był wydawcą „Fantasy and S–F”. Mieszkał wówczas w Amecamera, niewielkim miasteczku, leżącym o parę mil od granicy z Meksykiem, gdzie spędziłem ponad rok w Cuartla.

Arrum zawsze sprzyjał moim najdzikszym pomysłom — kupił nawet kiedyś mój wiersz, jedyny, jaki kiedykolwiek napisałem. Był zabawny, a to zawsze w życiu najbardziej mi się podobało. Przez cały czas starałem się wprowadzać do swoich utworów humor, choć większość autorów traktowała science fiction ze śmiertelną powagą. W moim podejściu do humoru zawsze wspierał mnie Arrum.

Od niepamiętnych czasów, to jest od wczesnej młodości, byłem gorącym wielbicielem prac Cecila Scotta Foreстера i zawsze chciałem napisać fantastyczną parodię jego największego bohatera — kapitana Horatio Hornblowera*. W końcu, wsparty duchowo przez Arruma, napisałem.

Opowieść ta sprawiała mi dużą przyjemność już w trakcie jej pisania i wciąż sprawia po latach. Jedynym nieprzyjemnym faktem związanym z nią jest to, że wysłałem Foresterowi egzemplarz wraz z listem wyjaśniającym powody jej napisania i nigdy nie otrzymałem odpowiedzi. Forester zmarł wkrótce po tym i zawsze, gdy myślę o jego śmierci, mam odrobinę poczucia winy, że sam mogłem się trochę przyczynić.

* Cały cykl przygód kapitana Horatio Hornblowera — postaci autentycznej, oficera Royal Navy w okresie napoleońskim — ukazał się w języku polskim w znakomitym tłumaczeniu Henryki Stępień, nakładem Wydawnictwa Morskiego, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (przyp. tłum.).

Kapitan Honario Harpplayer z założonymi do tyłu rękoma i zaciśniętymi w bezsilnej furii zębami przemierzał mikroskopijny tylny pokład HMS *Redundant*. Przed nim poobijana flota francuska zawijała do portu z podartymi, łopoczącymi na wietrze żaglami i potrzaskanym takielunkiem, ciągnącym się wzdłuż burt zięjących ciemnymi otworami w miejscach, w których jego kule trafiły w kruche drewno.

— Proszę posłać dwóch ludzi na przedni pokład, jeśli byłby pan tak uprzejmy, panie Shrub — powiedział. — Niech polewają żagiel wodą. Mokry powinien nam dodać jedną ósmą i może uda się nam dogonić tych tchórzliwych żabojadów.

— Aależ, sir. — Pierwszy oficer aż się skurczył na myśl, że nie zgadza się ze swoim uwielbianym dowódcą. — Jeśli zmniejszymy liczbę ludzi przy pompach, to zatoniemy. Mamy trzynaście przestrzelin pod linią wodną i...

— Do diabła! Wydałem rozkaz, a nie pytałem o radę. Proszę wykonać!

— Aye, aye, sir — wyjąkał Shrub, ocierając łzę spadającą z wiernopoddańczego oka.

Woda została wylana na żagle i okręt natychmiast zanurzył się głębiej. Harpplayer ponownie założył ręce do tyłu, nienawidząc się za ten niepotrzebny pokaz złości wobec wiernego Shrubu. Jednakże przed załogą musiał zachować pozę służbisty, gdyż stanowiła ją śmietanka szumowin tysiąca nabrzeży. Poza tym był zmuszony nosić gorset, by zachować prostą sylwetkę i w miarę sprawny kręgosłup. Musiał mieć odpowiednią sylwetkę, gdyż był kapitanem tego okrętu — najmniejszej jednostki we flocie blokującej Europę i wstrzymującej szalonego tyrana, Napoleona, przed zrealizowaniem obłąkańczych planów inwazji na jego ojczyznę, Anglię.

— Pomódl się pan, kapitanie, w naszej drodze do niebios, bo toniemy! — rozległ się głos z tłumu stojących przy pompach marynarzy.

— Nazwisko tego człowieka, panie Dodleg! — zawołał Harpplayer do midshipmana, dziewięciolatka, który dowodził pompowaniem. — Nie otrzyma rumu przez tydzień!

— Aye, aye, sir — pisnął chłopak, nie wiedząc jeszcze, co to mutacja.

To, że tonęli, było bezsporne — szczury ganiały po pokładzie, skakały do morza, ignorując przeklinającą i depczącą po nich załogę. Flota francuska osiągnęła bezpieczne brzegi. Osłaniały je baterie na Przylądku Pietfieux, których lufy zwróciły się ku jego okrętowi, gotowe plunąć ogniem i śmiercią, gdy tylko znajdzie się w ich zasięgu.

— Proszę być gotowym do zrzucenia żagli, panie Shrub — polecił kapitan, po czym podniósł głos, by słyszała go cała załoga: — Tchórzliwe żabojady uciekły, oszukując nas na milion funtów

pryzowego!

Rozległ się gniewny pomruk całej załogi, która na drugim miejscu, zaraz po miłości do rumu, stawiała funty, szylingi i pensy, za które mogła ten rum kupić. Pomruk nagle się urwał, zagłuszony trzaskiem i zduszonymi jękami, gdy grotmaszt, osłabiony przez źle wycelowaną francuską kulę, runął w ciżbę słuchających.

— Już pan nie musi zrzucać żagli, panie Shrub. Sługusy Boneya zrobili to za nas — oznajmił, zmuszając się do kolejnego, jednego z nielicznych, a tak uwielbianych przez załogę, żartów.

Brzydził się takim tanim pozerstwem, współczując ciemnym biedakom, ale jego obowiązkiem było mieć zgraną załogę. Gdyby nie te żarty, ludzie nienawidziliby go za wykorzystywanie ich z zimną krwią — tak, nienawidzili go tak samo, ale śmiali się przy tym. Tak jak teraz, gdy odcinali i wyrzucali za burtę maszt wraz ze splątanim olinowaniem. Okręt znów osiadał niżej w wodzie.

— Proszę posłać więcej ludzi do pomp, panie Shrub — rozkazał. — Inaczej zjemy obiad na dnie.

Załoga ponownie wybuchnęła śmiechem, biorąc się do roboty.

Tak łatwo było ich ucieszyć, że Harpplayer im zazdrościł — nawet przy ciężkiej pracy, zatęchłej wodzie z beczek i okazjonalnym użyciu „kota o dziewięciu ogonach”^{*}, żyło im się znacznie lepiej niż jemu, prowadzącemu okrutny żywot samotnego dowódcy. Decyzje były tylko i wyłącznie jego sprawą, co dla człowieka o tak ponurej i paranoicznej naturze było prawdziwym piekłem. Jego oficerowie — niekompetentni dumie, co do jednego — nienawidzili go i nawet wierny jak pies Shrub nie był tu pomocą. Mówiąc otwarcie, miał iloraz inteligencji około sześćdziesięciu, co wraz z jego niskim urodzeniem oznaczało, że nigdy nie wzniesie się powyżej rangi wiceadmirala.

Zastanawiając się nad różnymi wydarzeniami dnia, Harpplayer rozpoczął zwyczajowy spacer po tylnym pokładzie, a jego pozostali użytkownicy stłoczyli się po stronie sterburty, gdzie nie stali mu na drodze. Cztery kroki w jedną stronę, zwrot. Trzy i pół w drugą i głośne zetknięcie z burtową kanonadą. Zresztą wcale tego nie czuł, zajęty rozpatrywaniem najrozmaitszych planów, podsuwanych przez umysł gracza. Starym zwyczajem rozpatrywał te, które wyglądały na zbyt zwariowane, by mogły być możliwe do zrealizowania — nic dziwnego, że w całej flocie podziwiano go jako człowieka, który zawsze zdoła wyciągnąć zwycięstwo z paszczy porażki, co

^{*} Bat o dziewięciu rzemieniach zakończonych kolcami lub haczykami używany w Royal Navy do wymierzania kary chłosty (przyp. tłum.).

prawda przy niesamowitych stratach w ludziach. Ale taka niestety bywa wojna — wydaje się rozkazy i giną ludzie, a do uzupełniania strat służą gangi werbowników w portach.

Był to długi i męczący dzień, ale kapitan nie mógł sobie pozwolić na relaks — podniecenie i agonia oczekiwania ogarnęły go rankiem, gdy obserwator zameldował o zauważonych na horyzoncie żaglach. Było ich tylko dziesięć — francuskie okręty liniowe. Zanim opadła mgła, chciwy zemsty *Redundant* spadł na nie niczym wilk na stado owiec, szerząc spustoszenie precyzyjnymi salwami burtowymi. Na każdy pocisk wystrzelony przez działa francuskie, obsługiwane tchórzliwie przez siwowłosych patriarchów, marzących jedynie o ciepłym fotelu we własnym ogrodzie, angielskie odpowiadały dziesięcioma. Była to bezpardonowa pogoń i jedynie bliskość francuskiego portu zapobiegła zniszczeniu całej eskadry. Cztery okręty spoczęły jednak na dnie, a pozostałych sześć wymagało gruntownych napraw, zanim znów będą się nadawały do opuszczenia portu i zanim odważą się pojawić na otwartym morzu.

Harpplayer wiedział już, co musi zrobić.

— Jeśli pan łaskaw, panie Shrub, to proszę podłączyć węże do pomp. Czuję, że czas na kąpiel.

Od strony międzypokładu nadszedł zgodny pomruk zachwytu — załoga doskonale wiedziała, czego oczekiwać. Czy to w najzimniejszych wodach północy, czy w samym sercu zimy, Harpplayer nigdy nie odstępował od rutynowej kąpieli. Błyskawicznie podłączono węże i strumienie lodowatej wody popłynęły po pokładzie okrętu.

— Zaczynamy! — krzyknął, odsuwając się w bezpieczne miejsce, by nie spadła na niego, nawet przypadkowo, żadna kropla.

Drapiąc się z zadowoleniem po nie mytej od lat szyi, z uśmiechem obserwował, jak Shrub i inni oficerowie dają się polewać, stojąc zupełnie nago. Gdy ich trupioblada cera zmieniła barwę na ciemniejszą, dał sygnał i pompy zakończyły pracę.

Nagle dał się słyszeć odległy łoskot, zupełnie niepodobny do gromu i znacznie głośniejszy. Odgłos dochodził znad północnej części horyzontu. Odwrócił się i przez chwilę widział przecinającą niebo smugę ognia, dopóki nie zgasła, pozostawiając mu jedynie pod powiekami swój obraz. Potrząsnął głową, zawzięcie mrugając — przez chwilę gotów był przysiąc, że owa smuga zamiast wznosić się ku niebu, opadała ku morzu, ale to było niemożliwe. Zbyt wiele nocy spędzonych z oficerami na grze w wojnę, więc nie ma się co dziwić, że oczy wysiadają, pomyślał.

— Co to było, sir? — głos porucznika Shrubu był ledwie zrozumiały z powodu głośnego

szczękania zębami.

— Raca sygnałowa albo jedna z tych nowych rac Congreve'a. Tam muszą być jakieś kłopoty. Zamierzam właśnie sprawdzić, o co chodzi. Proszę posłać ludzi do napraw i postawić wszystkie topsle, panie Shrub.

— Czy mogę najpierw założyć spodnie, sir?

— Bez impertynencji albo każę pana zakuć w kajdany. Shrub podał przez tubę rozkazy przy wtórze ogólnego śmiechu, wywołanego widokiem jego trzęsących się nóg. Mimo śmiechu, doskonale wytrenowana załoga, która sześć tygodni temu była bandą nic nie umiejących szczurów lądowych (nawet w koszmarach nie przewidujących zaszczytnej służby we Flocie Jego Królewskiej Mości), wyrzuciła za burtę wszystko, co potrzaskały kule, naprawiła posiekane olinowanie, załatała przestrelmy, pochowała zmarłych, wypiła przydział grogu i miała jeszcze tyle energii, by odtańczyć hornpipe'a. Okręt, wśród łopotu żagli i szumu rozcinanej wody, położył się na nowy kurs, prezentując się tak, jak powinien się prezentować przedstawiciel najlepszej z flot, jakie dotychczas widział świat.

— Okręt przed dziobem, sir — doleciało z bocianiego gniazda. — Dwa punkty na sterburtę, sir.

— Wyrównać kurs — polecił. — I ogłosić alarm! Poprzez łoskot bębna i tupot uderzających o pokład zrogowaciałych stóp, głos wachtowego był ledwie słyszalny:

— Nie ma masztów ni wioseł, sir. Wielkość naszej szalupy.

— Odwołać alarm. A gdy wachtowy zakończy służbę, chcę, by pięćset razy napisał, że szalupa jest nieodłączną częścią okrętu!

Redundant, pędzony odlądową bryzą, szybko zbliżał się do obcej jednostki, aż stała się ona wyraźnie widoczna z pokładu.

— Brak masztu, brak żagli, brak wioseł... Co ją porusza? — Porucznik Shrub stał z otwartą gębą.

— Teraz nie ma sensu tego rozważać, panie Shrub. To może być jednostka francuska lub neutralna, ale nie chcę ryzykować. Proszę załadować i wytoczyć działa. Chcę również mieć tu piechotę morską z załadowaną bronią. Nie chcę natomiast, by ktokolwiek wypalił, zanim nie wydam takiego rozkazu; a jeśli ktoś to zrobi, to każę go upiec i podać na śniadanie.

— Zaraz wydam rozkazy, sir.

Obca jednostka nie przypominała niczego, co Harpplayer kiedykolwiek widział — poruszała

się bez widocznego źródła napędu. W pierwszej chwili pomyślał o ukrytych wiosłarzach, obsługujących umieszczone pod powierzchnią wody wiosła, ale biorąc pod uwagę rozmiary statku, musiałyby to być najmniejsze karły, o jakich słyszał. Całość stanowiła dokładnie zamkniętą bryłę ze szklaną kopułą i najwyraźniej nie była francuska — służalcy Pająka z Paryża nigdy nie doszliby do takiej perfekcji w uzyskaniu idealnie przezroczystego szkła, które teraz lśniło niczym diament. Nie, to musiało pochodzić z jakiegoś obcego lądu, może z Chin albo z mitycznych wysp na wschodzie.

Wewnątrz kopuły widać było jednego człowieka, który właśnie dotknął jakiejś dźwigni i odsunął połowę kopuły. Odsunięta część wjechała w kadłub, po czym człowiek ten wstał i pomachał im. Odpowiedziało mu zbiorowe westchnienie — cała wolna od służby załoga wpatrywała się jak urzeczona w obcy statek.

— Co to jest, panie Shrub?! — krzyknął Harpplayer. — Cyrk czy szopka świąteczna? Proszę z tym zrobić porządek!

— Aależ, sir... — Wiemy Shrub nie mógł nagle znaleźć słów. — Ten człowiek, sir... On jest zielony!

— Nie zamierzam dalej słuchać nonsensów, panie Shrub! — warknął Harpplayer, poirytowany jak zawsze, gdy inni bredzili coś o kolorach.

Świat składał się ze zdrowych odcieni szarości, i to było wszystko. Kiedyś jakiś dureń z Harley Street bajdurzył coś o wymyślonej chorobie — ślepecie kolorystycznej — ale natychmiast wycofał się z tego, gdy Harpplayer zaproponował mu przysłanie sekundantów.

— Zielony, różowy czy czerwony, nic mnie nie obchodzi, jaki odcień szarego ma ten facet. Proszę rzucić mu linę i wciągnąć go, byśmy mogli posłuchać, co ma do powiedzenia.

Lina została rzucona. Obcy, po przywiązaniu jej do pierścienia w kadłubie, przesunął dźwignię zamykającą kapsułę i wspiał się na ich pokład.

— Zielone futro... — szepnął Shrub, po czym, widząc wściekle spojrzenie Harpplayera, z trzaskiem zamknął jadaczkę.

— Wystarczy, panie Shrub. On jest tu obcy i należy traktować go z respektem, przynajmniej do czasu, kiedy nie dowiemy się, z jakiej klasy pochodzi. Przyznaję, że jest owłosiony, ale niektóre rasy na północ od Wysp Nipponskich są takie. Możliwe, że on pochodzi właśnie stamtąd. Witam pana, sir — zwrócił się do przybysza. — Jestem kapitan Honario Harpplayer, dowódca HMS *Redundant*.

— Kwl–kkle–kl...!

— Francuski nie — mruknął Harpplayer. — Łacina czy greka też nie... Może któryś z tych barbarzyńskich języków bałtyckich? Spróbujemy niemieckiego: *Ich ware Ihnen, Reiseschecks mitzunehmen?*... Albo włoskiego: *Eprobito, pero qui si oendomo cartoline ricordo.*

Obcy podskoczył, pokazał na słońce, wykonując przy tym koliste ruchy wokół własnej głowy, po czym wskazał na chmury i zaczął przedstawiać spadanie, krzycząc:

— M’ku, m’ku!

— Wygląda na pomyleńca — mruknął oficer piechoty morskiej — a do tego ma za dużo palców.

— Umiem liczyć do siedmiu bez pańskiej pomocy. — Shrub był urażony. — Myślę, że on chce nam powiedzieć, że będzie padać.

— Może być meteorologiem we własnym kraju — zauważył Harpplayer — ale tu jest tylko obcym.

Oficerowie w milczeniu skinęli głowami, co podnieciło przybysza, gdyż skoczył do przodu, wykrzykując coś tam po swojemu. Zaniepokojony sierżant piechoty morskiej przyłożył mu z tyłu kolbę, rozciągając go na pokładzie.

— Chciał pana zaatakować, sir — wyjaśnił zwierzchnikowi. — Przeciagniemy go pod kilem, sir.

— Nie, biedak jest daleko od domu i musi być przestraszony. Trzeba też zwrócić uwagę na barierę językową. Proszę przeczytać mu prawo wojenne i wciągnąć do służby. Po ostatnim spotkaniu brak nam ludzi.

— Ma pan bardzo łagodną naturę, sir, co jest przykładem dla nas wszystkich. Co mamy zrobić z jego statkiem?

— Zbadam go. Może tam być coś, co zainteresuje Whitehall. Proszę łaskawie opuścić drabinkę, panie Shrub.

Po chwili poszukiwań znalazł dźwignię otwierającą szklaną kabinę, po czym wskoczył do wnętrza. Podłogę pokrywał komfortowy dywan, z przodu znajdowała się dziwaczna kolekcja dźwigni, gałek, przycisków i zegarów; wszystko to osłonięte kryształowymi tarczami — doskonały przykład wschodniej dekadencji, przeładowanej ozdóbkami tam, gdzie wystarczyłaby deska z porządnego angielskiego dębu, wyposażona w prostą dźwignię, przekazującą rozkazy napędzającym łódź niewolnikom. Albo ukrytemu zwierzęciu, gdyż w chwili, gdy dotknął jednej z

dźwigni, najwyraźniej zmuszającej niewolników lub zwierzę do pracy, doszedł do jego uszu stłumiony pomruk. Ruszył do przodu i to z całkiem przyzwoitą prędkością. Do wnętrza zaczęły wpadać krople rozpryskiwanej dziobem wody, toteż zamknął kopułę i zajął się eksperymentowaniem. Odnalazł przycisk uruchamiający ukryty ster, gdyż statek zakręcił, a potem następny, którego naciśnięcie spowodowało opadnięcie dziobu i cała jednostka znalazła się nagle pod powierzchnią wody — na szczęście była solidnie zbudowana i nie przeciekała. Kolejny guzik wyprowadził ją z powrotem na powierzchnię.

W tejże właśnie chwili Harpplayer wpadł na pomysł, który swoją genialnością prawie go sparaliżował. Gdy w końcu się ocknął, stwierdził, że pędzi wprost na burtę swojego okrętu zwieńczoną rzędem przerażonych twarzy. Zatrzymał pojazd, po czym obie jednostki zetknęły się z lekkim stukiem burtami. Otworzył kopułę i krzyknął:

— Panie Shrub, chcę młotek, sześć gwoździ, sześć baryłek prochu, każda z dwuminutowym lontem, i ślepą latarnię!

— Ale, sir... dlaczego? — Shrub był tak zaskoczony, że pozwolił sobie na pytanie.

Pomysł był tak wspaniały, że wprowadził Harpplayera w doskonały humor i spowodował, iż nawet uśmiechnął się do swojego zastępcy, czego ten zresztą nie widział z uwagi na zapadający zmrok.

— Sześć baryłek dlatego, że jest sześć okrętów. Proszę się pospieszyć, z łaski swojej, panie Shrub.

Artylerzyści uwinęli się gracko i niewielkie beczułki opuszczono na siatce ładunkowej. Zapęłniły niedużą kabinę tak, że on sam ledwie mógł usiąść. Prawdę mówiąc, na młotek zabrakło już miejsca i musiał trzymać go w ręku.

— Panie Shrub! — zawołał, uświadamiając sobie nagle, że za chwilę będzie sam przeciwko hordom uzurpatora dławiącego cały kontynent, po czym zbeształ się za mazgajstwo. — Jeżeli nie wrócę do świtu, zostanie pan dowódcą tego okrętu. Proszę doprowadzić go do floty i zdać pełen raport. Do widzenia. Aha, przypominam, raport w trzech egzemplarzach.

— Och, sir... — Resztę słów odcięła zasuważąca się kapsuła i mały pojazd ruszył przeciwko siłom całego kontynentu.

Potem Harpplayer śmiał się z chwili słabości. Eskapada była tak prosta, jak przechadzka po Fleet Street w niedzielne popołudnie. Był pod wodą, zupełnie niewidoczny dla francuskich artylerzystów czy obserwatorów, i nikt go nie dostrzegł, kiedy wynurzał się przy burcie

pierwszego z zakotwiczonych liniowców. Dwa mocne uderzenia przytwierdziły baryłkę do jego burty, a krótki błysk ślepej latarni podpałił lont. Zanim zaskoczeni wartownicy na pokładzie dobiegli do burty, on był już przy następnym okręcie, a baryłka z palącym się lontem była skutecznie ukryta przed ich wzrokiem za wyobleniem kadłuba. Powtórzył te proste czynności pięć razy. Gdy wbijał ostatni gwóźdź, ciszę nocy rozdarła lekko stłumiona eksplozja, dochodząca od strony pierwszego okrętu. Zamknął kabinę i wyruszył w drogę powrotną przy akompaniamencie kolejnych eksplozji. Gdy wypłynął w morze, pozostały za nim wraki sześciu okrętów liniowych, wolno pogrążające się w wodzie.

Bardzo z siebie zadowolony zbliżył się do swego okrętu, otwierając szklaną osłonę — wykonał swój obowiązek i miał niewielki wkład w przybliżenie zwycięskiego końca tej pustoszącej cały kontynent wojny. Trochę było mu żal, w końcu były to dobre okręty, ale cóż, miały pecha należeć do Tyrana z Paryża.

Zaczynało świtać i był już porządnie zmęczony, gdy wspinał się na pokład *Redundant* po sznurowej drabince przy wtórze bosmańskiego gwizdka i asyście prezentującej broń piechoty morskiej.

— Świetna robota, sir — oznajmił Shrub, ściskając mu dłoń. — Widzieliśmy, jak się pała, sir.

Przy burcie rozległ się bulgot, jak w wannie po wyjęciu korka. Harpplayer odwrócił się i zobaczył, jak obca jednostka pogrąża się w falach.

— Głupiec ze mnie — mruknął. — Zapomniałem zamknąć kabinę i morze ją zalało...

Przerwał mu nagły krzyk — owłosiony obcy podbiegł do nadburcia, wpatrując się z przerażeniem w tonący statek i wrywając sobie włosy z głowy całymi garściami, co było dość prostym zadaniem, jako że miał ich całkiem sporo. Zaraz potem, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, przelazł przez nadburcie i rzucił się w morze, tonąc natychmiast jak kamień. Albo nie umiał, albo też nie chciał pływać. Był dziwnie przywiązany do swojego statku. Jakkolwiek było, nie pojawił się już na powierzchni.

— Biedak. — Harpplayer naprawdę go żałował. — Sam, z dala od domu... Może teraz jest szczęśliwszy...

— Aye, sir, może... — mruknął Shrub. — A już zaczynaliśmy mieć z niego pociechę. Mógł przebiec wzdłuż całej rei bez zatrzymywania się. Doskonale mu to szło. Pazury wbijał w drewno i nie musiał się trzymać, zwłaszcza że na pięcie miał dodatkowy palec, doskonały dla utrzymania równowagi...

— Proszę nie rozważać deformacji anatomicznych zmarłego. Proszę wpisać, że wypadł za burtę... Jak on się nazywał?

— Nie mogliśmy się z nim dogadać, sir, ale wpisałem go do rejestru załogi jako pana Greena.

— Dobrze. Choć obcy z urodzenia, byłby dumny, gdyby wiedział, że zginął, nosząc porządne angielskie nazwisko. — Harpplayer odprawił gestem wiernego, acz durnego Shrubę i zaczął przechadzać się po pokładzie przepelniony milczącą agonią samotności, która — wiedział to z pewnością — nie opuści go, dopóki działa Pająka z Korsyki nie zostaną uciszone na zawsze.

Przełożył Jarosław Kotarski

Operacja ratunkowa

1963

Historia w zasadzie jest prawdziwa, rozgrywa się w realnie istniejącej miejscowości. Wszystkie postaci, z jednym tylko wyjątkiem, miały swe żywe pierwowzory. Spotkałem tych ludzi. Przechadzałem się po owej wyspie i kąpałem w morzu, aż wynikł z tego pomysł na opowiadanie.

Jugosławia to zapewne najbardziej zacofany kraj w Europie. Przez stulecia rozmaite grupy etniczne i całe narody osiedlały się tutaj i walczyły o niegościnne pustkowia, dając się ponieść wszelkim fanatyzmom. Te ostatnie zapadły tu szczególnie mocno. Kiedy podczas drugiej wojny najechali Jugosławię hitlerowcy, partyzanci wzięli broń i uszli w góry, gdzie długo walczyli ze sobą, nim wreszcie zwrócili się przeciwko rzeczywistemu wrogowi. W owych latach w całej Jugosławii było ledwie czternaście mil bitych dróg (poza miastami).

Wiele zmieniło się za rządów marszałka Tito. Powstały autostrady, turyści zaczęli masowo odwiedzać kraj i zostawiać twardą walutę. Można sądzić, że oto wiek dwudziesty zaczął się i dla Jugosławii. [Pisane w roku 1976].

Byłem jednym z pierwszych, którzy odwiedzili ten kraj zaraz po wojnie i zdecydowali się zajrzeć na głęboką prowincję, gdzie życie toczyło się wciąż tak samo, jak przed wiekami. Jak można sobie wyobrazić, nie miało to wiele wspólnego ze znaną nam cywilizacją. Ale instytut badań nuklearnych istnieje tam naprawdę.

Jugosławia to mikrokosmos odbijający sprawy całego świata. Podczas moich wędrówek w gorących promieniach śródziemnomorskiego słońca zrodził się pomysł, żeby wyrazić powyższą myśl, ujmując ją w formę opowiadania science fiction.

— Ciągnij! Równo...! — krzyknął Dragomir, wczepiając palce w smołowane sznury sieci. Obok niego, ledwie widoczny w mroku upalnej nocy, postępujący Pribislav Polasek wyteżył siły ciągnąc niewidoczną w ciemnej wodzie sieć. Uwięzione w niej błękitne światelko było coraz bliżej powierzchni.

— Wyślizguje się... — jęknął Pribislav, łapiąc za szorstką okrężnicę niewielkiej łodzi. Przez krótką chwilę widział niebieskie migotanie na szczycie hełmu i szybkę przed twarzą, ale po chwili postać w skafandrze ponownie osunęła się w czerni, wymykając z sieci. — Widziałeś? — spytał. — Zanim wypadł, pomachał nam ręką.

— A bo ja wiem... Ręka się ruszyła, ale może sprawiła to sieć... Czy w ogóle jeszcze żyje? — Dragomir pochylił głowę niemal przytykając twarz do szklistej powierzchni wody, ale niczego nie dostrzegł. — Może i żyje.

Obaj rybacy usiedli w łodzi i popatrzyli na siebie w mdłym świetle acetylenowej lampki na dziobie. Mocno się różnili, jednak nosili takie same, workowate spodnie i wyplamione bawełniane koszule. Ręce mieli szorstkie i poznaczone szramami pozostałymi po wielu latach ciężkiej harówki. Rytm ich myśli dyktowały wolno zmieniające się pory roku i przypisane do każdej z nich prace.

— Nie wyciągniemy go siecią — stwierdził w końcu Dragomir, jak zwykle odzywając się pierwszy.

— Potrzebna będzie pomoc — dodał Pribislav. — Postawimy tu boję, by znaleźć miejsce.

— Tak, trzeba poszukać pomocy. — Dragomir rozwierał i zaciskał olbrzymie dłonie, w końcu pochylił się, by wciągnąć resztę sieci do łodzi. — Ten nurek, który mieszka u wdowy Korenc, będzie wiedział co robić. Nazywa się Kukovic, a Petar mówił, że to doktor nauk z uniwersytetu w Lublanie.

Naparli na wiosła i powoli ruszyli w kierunku wybrzeża Adriatyku. Zanim dotarli na miejsce, niebo pojaśniało. Gdy przywiązywali łódkę do moła w Brbinj, słońce weszło nad horyzontem.

* * *

Joze Kukovic spojrział na wznoszącą się coraz wyżej, już od wczesnego świtu gorącą kulę słońca, ziewnął i przeciągnął się. Wdowa przyczłapała z kawą, wymruczała coś na kształt powitania i postawiła tacę na kamiennej balustradce ganku. Joze przesunął nieco tacę, usiadł

obok i nalał sobie gęstej, po turecku parzonej kawy, mającej postawić go nieco na nogi o tej nieprawdopodobnie wczesnej godzinie. Z ganku roztaczał się widok na zakurzoną, piaszczystą ulicę prowadzącą do portu, już teraz pełną życia. Dwie kobiety z pełnymi wody dzbanami na głowach zatrzymały się na chwilę pogawędki, wieśniacy wieźli na osłach kosze z kapustą, ziemniakami i pomidorami na poranny targ. Któryś ze zwierzaków zaryczał donośnie, budząc echo błędzące pomiędzy pozółkłymi ścianami budynków. Od brzasku robiło się upalnie. Brbinj było małą miściną leżącą gdzieś na końcu świata, pomiędzy morzem a pustkowiem wzgórz, od wieków niezmienną i wciąż tak samo powoli umierającą, pozbawioną wszelkich atrakcji, jeśli nie liczyć morza. Tam właśnie, pod spokojną lazurową powierzchnią wody leżał inny świat, który Jozę sobie umiłował, mroczne, cieniste głębiny pełne były życia o wiele bujniejszego, niż otaczające je wybrzeże. Były tam też skryte liczne atrakcje. Nie dalej jak wczoraj odnalazł na dnie na wpół zagrzebaną w piasku rzymską galerę. Zamierzał wrócić do niej dzisiaj, by jako pierwszy człowiek zakłócić spokój spoczywającego tam od dwóch tysięcy lat wraku. Bóg jeden wie, co znajdzie w piasku, z którego sterczały gdzieniegdzie szyjki całych amfor. Może niektóre wciąż były pełne?

Siorbiąc pogodnie kawę, przyglądał się małej łodzi cumującej w zatoce i zastanawiał się, czemu ci dwaj rybacy tak się spieszą, biegną niemal; przecież nikt nie biega przy takiej pogodzie. Zatrzymali się dopiero przy ganku domu wdowy.

— Panie doktorze, możemy wejść? — spytał roślejszy. — Mamy pilną sprawę.

— Tak, oczywiście. — Jozę był niezmiernie zdumiony i zastanawiał się już, czy nie wzięli go przypadkiem za lekarza.

Dragomir postąpił naprzód, ale wyraźnie nie wiedział od czego zacząć. W końcu wskazał na morze.

— Widzieliśmy, jak spadł w nocy. Najpewniej sputnik.

— Podróżnik? — Jozę Kukovic zmarszczył czoło, niepewny czy dobrze rozumie o co chodzi. Gdy słucha się podekscytowanego tubylca, wtedy łatwo o pomyłkę, na dodatek ten ich dialekt... Mnogość języków i narzeczy była przekleństwem tak małego kraju, jak Jugosławia.

— Nie, nie *putnik*, ale sputnik, jeden z tych, które wypuszczają Rosjanie.

— Albo i Amerykanie — odezwał się po raz pierwszy Pribislav, ale nikt go nie słuchał.

Jozę uśmiechnął się i upił łyk kawy.

— Jesteście pewni, że to nie był meteoryt? O tej porze roku zdarza się to bardzo często.

— To był sputnik — upierał się Dragomir. — Statek runął daleko stąd do Adriatyku i zatonął, dobrze widzieliśmy. Ale pilot spadł prawie na nas, do wody...

— Co? — Jozę zerwał się na równe nogi, strącając brązową tacę z kawą na podłogę. Zagrzechotało, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. — W tym był człowiek i wyszedł cało?

Obaj rybacy przytaknęli równocześnie, a Dragomir opowiadał dalej.

— Zobaczyliśmy, jak nad nami od sputnika oddziela się światełko i spada do wody. Nie było widać dokładnie, co to jest, ale powiosłowaliśmy tam jak najszybciej. Jeszcze nie opadł na dno i zdołaliśmy złapać go w sieć...

— Macie go?

— Nie, ale przyciągnęliśmy go tak blisko pod powierzchnię, że widać było ciężki kombinezon z okienkiem jak u nurka. I jeszcze miał coś na plecach, tak jak pan, gdy nurkuje.

— Pomachał ręką — wtrącił Pribislav.

— Może pomachał, może nie, nie wiadomo. Wróciliśmy po pomoc.

Zapadła cisza. Po chwili Jozę zrozumiał, że to on ma być tą pomocą, na którą rybacy zamierzali zrzucić odpowiedzialność. Od czego zacząć? Astronauta mógł mieć zbiorniki z powietrzem, ale w co jeszcze został wyposażony na wypadek wodowania? Nie wiadomo, ale póki ma tlen, poty może wciąż żyć.

Chodząc w tę i z powrotem starał się zebrać myśli. Nie był szczególnie przystojny; miał zbyt duży nos i okazałe uzębienie, ale mimo sandałów i szortów khaki zdawał się emanować jakimś autorytetem. Zatrzymał się i zwrócił do Pribislava.

— Musimy go wyciągnąć. Znajdziecie to miejsce?

— Postawiliśmy boję.

— Wspaniale. I będziemy jeszcze potrzebowali doktora. Tu nie macie żadnego, może w Osor?

— Tam jest doktor Bratos, ale jest bardzo stary...

— Jeśli tylko żyje, musi nam pomóc. Czy ktokolwiek w mieście potrafi prowadzić samochód?

Rybacy spojrzeli w zamyśleniu w sufit, Jozę tymczasem starał się nie stracić do nich cierpliwości.

— Chyba tak — powiedział w końcu Dragomir. — Petar był partyzantem.

— Racja — ocknął się drugi. — Wiele razy opowiadał, jak kradł Niemcom ciężarówki, i jak potem jechał...

— To niech ktoś pobiegnie do niego i da mu kluczyki do mojego samochodu. Powiedzcie mu, by zaraz przywiózł doktora.

Dragomir wziął kluczyki, wręczył je Pribislavowi, a ten pobiegł gdzie trzeba.

— A teraz zobaczmy, czy uda się nam go wyciągnąć — powiedział Jozę, biorąc swój rynsztunek i zмирzając w kierunku łodzi.

Wiosłowali razem, chociaż to o wiele silniejszy Dragomir sprawiał, że łódź płynęła szybko naprzód.

— Jak tu głęboko? — spytał Jozę, już teraz ociekający potem.

— Pod Rabem Kvarneric jest głębiej, ale my łowiliśmy naprzeciw Trstenilca, gdzie do dna są tylko jakieś cztery sążnie. Dopływamy do boi.

— Siedem metrów, nie powinno być trudno. — Jozę uklęknął na dnie łodzi, nałożył butle, przypiął je mocno i sprawdził zawory.

— Trzymaj łódź w pobliżu boi — powiedział do rybaka, zanim wziął ustnik między zęby. — Będę kierował się na nią przy wynurzeniu. Gdybym potrzebował pomocy albo liny, wynurzę się dokładnie nad astronautą, wtedy podpłyniesz.

Odkręcił dopływ powietrza i zsunął się za burtę, w chłód wody. Silnie odbiwszy się od łodzi, zanurkował w ślad za linką boi i niemal natychmiast dostrzegł rozciągniętą na dnie postać.

Podpłynął ostrożnie, mimo narastającego podniecenia. Nigdzie na skafandrze nie dostrzegł żadnych znaków identyfikacyjnych, które pozwalałyby stwierdzić czy to Rosjanin, czy Amerykanin. Skafander był twardy, zrobiony z metalu lub wzmocnionego plastiku, cały zielony, z małą szybką w hełmie.

Ponieważ w wodzie trudno jest czasem określić trafnie odległość czy wymiary, dopiero podpłynąwszy blisko zorientował się, że postać liczy sobie niewiele ponad metr długości, i omal nie udławił się ustnikiem.

Wtedy dopiero zerknął na szybkę i zrozumiał, że istota w skafandrze nie jest człowiekiem.

Zakaszłał, wypuszczając chmurę bąbelków; zupełnie nieświadomie wstrzymał oddech. Unosił się w jednym miejscu, poruszając tylko wolno rękami, by go nie zniosło, i wpatrywał się w widoczne w hełmie oblicze.

Było nieruchome jak woskowa maska, zielone przy tym i grubo ciosane, z szerokim nosem, wydatnymi ustami i wielkimi oczami, wypychającymi zamknięte powieki. Ogólnie rzecz biorąc, istota miała rysy zbliżone do ludzkich, gdyby nie ten kolor i widoczny częściowo mięsisty

grzebień, zaczynający się tuż nad oczami. Kombinezon zrobiony był z jakiegoś nieznanego materiału, na plecach obcy miał aparaturę do podtrzymania życia. Ale jakim powietrzem oddychał? Nagle oczy otworzyły się; istota go obserwowała. Jozę przestraszył się w pierwszej chwili, rzucając się do ucieczki niczym spłoszona ryba, ale zaraz wrócił, zły na siebie. Obcy uniósł powoli jedno ramię, które opadło jednak bezwładnie. Spojrzawszy przez szybkę Jozę zauważył, że oczy znów się zamknęły. Obcy żył, ale był niezdolny do ruchu, może ranny i cierpiący. Katastrofa statku kosmicznego sugerowała, że lądowanie z jakiegoś powodu się nie udało. Najostrożniej jak potrafił Jozę wziął ciało obcego w ramiona, starając się ignorować dreszcz wywołany dotykem zimnej materii kombinezonu. To tylko plastik czy metal, pomyślał, a ja ostatecznie jestem naukowcem. Oczy obcego pozostawały zamknięte przez cały czas wędrówki na powierzchnię.

— Ty bęcwale, pomóż mi! Pomóż, zakuta wieśniacza pało! — krzyknął wypluwając ustnik, ale Dragomir tylko potrząsnął głową i w przerażeniu wycofał się na dziób, ledwie ujrzał brzemię Jozego.

— To istota z innego świata! Nic ci nie zrobi! — przekonywał go Kukovic, ale rybak ani drgnął.

Zakławszy głośno, Jozę zdołał ostatecznie wrzucić obcego do łodzi i wspiąć się w ślad za nim. Chociaż dwukrotnie niemal mniejszy od Dragomira, zdołał zapędzić go groźbami do wiosł. Ten na wszelki wypadek usiadł przy dalszych dulkach, chociaż mocno utrudniało mu to wiosłowanie. Jozę zrzucił ekwipunek i przyjrzał się schnącej materii skafandra. Strach przed nieznanym zniknął, zastąpiony podekscytowaniem. Był wprawdzie fizykiem nuklearnym, ale pamiętał z chemii i mechaniki na tyle dużo, by wiedzieć, że zgodnie z ziemskimi standardami skafander taki nie miał prawa istnieć.

Był jasnozielony, twardy jak stal wokół torsu i kończyn, miękki i podatny na zginanie w miejscu stawów, co Jozę sprawdził unosząc bezwładne ramię. Wodząc oczami po drobnej postaci, dostrzegł masywną uprzęż otaczającą obcego w miejscu zbliżonym do ludzkiego pasa i przytrzymującą duży pojemnik, sterczący niczym wypchana torba rodowitego Szkota. Nigdzie nie zauważył żadnych szwów, jednak zamarł na widok lewej nogi. Była wgnieciona jakby potężnymi szczypcami, co wyjaśniało nieruchawość istoty. Czy obcy był ranny i cierpiał?

Oczy znów się otworzyły i Jozę spostrzegł z przerażeniem, że hełm wypełniony jest wodą. Jeśli przeciekał, to obcy może zaraz utonąć. Już chciał zerwać mu to z głowy, gdy zmusił się do myślenia i opanował spontaniczny odruch.

Obcy wciąż zachowywał się spokojnie, z jego ust czy nosa nie wydobywały się żadne bąbelki powietrza. Czy oddychał? A może woda nie napłynęła do środka, ale cały czas tam była? I czy to w ogóle była woda? Kto wie, czym obcy oddycha: metanem, chlorem, dwutlenkiem siarki? Może zresztą i wodą. Tak czy inaczej był to płyn, skafander nie przeciekał, a istota zdawała się w swoim żywiole.

Spojrzał na Dragomira, który panicznymi zamachami wiosł kierował łódź do zatoki, gdzie na brzegu czekał już cały tłum.

Łódka o mało się nie przewróciła, gdy Dragomir przybił do nabrzeża, wyskakując natychmiast na brzeg i odpychając równocześnie łupinkę, która zaczęła dryfować. Jozę czym prędzej porwał z dna cumę i zwinął w dłoniach.

— Dalej — krzyknął — łapcie! Niech ktoś to przymocuje!

Zupełnie, jakby wszyscy ogłuchli. Tłum gapił się tylko na zieloną postać leżącą na rufowej ławce, poszeptując coś z cicha. Kobiety przycisnęły ręce do piersi, żegnając się raz za razem.

— Łapcie! — krzyknął Jozę przez zaciśnięte zęby, próbując opanować narastającą wściekłość.

Rzucił cumę na kamienne nabrzeże, ale oni odsunęli się od niej jak od jadowitego węża. W końcu jakiś młodzieniec podniósł ją i powoli zapętlił wokół przerdzewiałego kółka w murze. Dłonie trzęsły mu się przy tym, głowę odwracał na bok, a z otwartych cały czas ust kapały kropelki śliny. Był to wioskowy głupek, który nie pojmował nic z rozgrywających się wydarzeń, ale przywykł wykonywać polecenia.

— Pomóżcie mi go wynieść — zawołał Jozę, zaraz zdając sobie sprawę z daremności wszelkich próśb.

Wieśniacy cofnęli się. Tłum o nijakich, pustych twarzach ogarnięty był lękiem przed nieznanym; przeważały w nim kobiety, niczym wielkie lalki w białe w długie do kolan, przewiewne spódnice, czarne pończochy i wysokie filcowe buty. Sam musiał sobie poradzić. Utrzymując jakoś równowagę w kołyszącej się łodzi, wziął obcego na ręce i uniósł go powoli, by złożyć na kamieniach nabrzeża. Widzowie odsunęli się jeszcze dalej, parę kobiet zachłysnęło się przeraźliwym wrzaskiem i pobiegło do domów, mężczyźni zaś szemrali coraz głośniejsze. Jozę postanowił ich zignorować.

Ci ludzie nie byli w stanie mu pomóc; jeśli już, to mogli tylko narobić kłopotów. Najbezpieczniej będzie od razu udać się do wynajmowanego pokoju, tam pewnie nic mu nie zrobią. Podniósł obcego, gdy ktoś nowy przepchnął się przez tłum.

— Co... co to jest? To *vrag* — Stary ksiądz wskazał z przerażeniem na obcego i gorączkowo zaczął szukać krucyfiks.

— Dość tych przesądów! — warknął Jozę. — To żaden diabeł, tylko istota myśląca, podróżnik. A teraz złaź mi z drogi!

Ruszył naprzód i tłum się przed nim rozstał. Jozę szedł szybko starając się nie okazywać nadmiernego pośpiechu, bez trudu jednak zostawiając ich z tyłu. Nagle ktoś pobiegł za nim. Jozę obejrzał się, to był ksiądz, ojciec Perc. Powiewał brudną sutanną, ciężko łapiąc oddech.

— Niech pan powie, co pan robi... doktorze Kukovic? Co to... jest? Niech pan powie...

— Powiedziałem już. Podróżnik. Dwóch tutejszych rybaków zauważyło, jak coś spadło z nieba i rozbiło się na morzu. Ten... obcy przyleciał właśnie wtedy. — Jozę starał się być spokojny. Jeśli będzie miał księdza po swojej stronie, to uniknie kłopotów z tymi ludźmi. — To istota z innego świata, oddychająca wodą. I jest ranna. Musimy jej pomóc.

Ojciec Perc drobił obok, spoglądając na obcego z wyraźnym obrzydzeniem.

— Ale to jest złe... — mamrotał. — To jest nieczyste, *zao duh*...

— Ani to demon, ani diabeł. Nie dociera to do księdza? Kościół uznaje możliwość istnienia podobnych nam istot na innych planetach, jezuita też są za tym, to i ksiądz może. Nawet papież wierzy, że na innych światach jest życie.

— Naprawdę? Wierzy? — spytał starzec, mrugając w zdumieniu zaczerwienionymi oczami.

Jozę minął go, wchodząc do domu wdowy Korenc, której nigdzie nie było widać. Złożył wciąż nieprzytomnego obcego na swoim łóżku. Ksiądz zatrzymał się w progu, przesuając w palcach różaniec, wyraźnie niepewny swego. Jozę stanął nad łóżkiem, zaciskając i rozwierając dłonie, podobnie niezdecydowany. Co robić? Istota była ranna, może umierająca, coś zrobić trzeba. Ale co?

Nagle rozległo się z oddali zawodzenie samochodowego silnika. Jozę przywitał odgłos niemal jak zbawienie. Przybywał lekarz. Samochód zatrzymał się przed domem, trzasnęły drzwiczki, ale nikt się nie pojawił.

Joze czekał w napięciu domyślając się, że tubylcy dopadli doktora i opowiadają mu swoje. Minęła minuta i już zamierzał wyjść na zewnątrz, ale zatrzymał się przed stojącym wciąż w drzwiach księdzem. Co ich zatrzymywało?

Okno jego pokoju wychodziło na podwórko i nie widział z niego uliczki od frontu. Nagle dał się słyszeć szept wdowy:

— To tam, prosto.

Do środka weszli dwaj mężczyźni, trochę zakurzeni po dłuższej jeździe. Jeden z nich był bez wątpienia lekarzem — niski, pulchny, z mocno podniszczoną czarną torbą i łysiną ociekającą potem. Obok szedł ktoś wysoki i ogorzały, ubrany jak rybak; to musiał być Petar, niegdysiejszy partyzant.

To on podszedł pierwszy do łóżka. Doktor stał wciąż w drzwiach, zaciskając dłonie na torbie i mrugając nieprzytomnie.

— Co to jest? — spytał Petar i pochylił się, opierając dłonie na kolanach, by przyjrzeć się przez szybkę zawartości hełmu. — Cokolwiek tu mamy, brzydkie to jak cholera.

— Nie wiem, co to. Pochodzi zapewne z innej planety. Teraz proszę się odsunąć i zrobić miejsce doktorowi. — Joze skinął na staruszka, który podszedł niechętnie. — To pan jest doktorem Bratosem? Jestem Kukovic, profesor fizyki nuklearnej z uniwersytetu w Lublanie. — Pomyślał, że dodanie sobie prestiżu tytułami naukowymi skłoni lekarza do współpracy.

— Tak, witam pana, miło mi poznać, to naprawdę zaszczyt dla mnie. Ale nie rozumiem, czego pan ode mnie chce? — Mówiąc to trząsł się nieco, i Joze zrozumiał, że lekarz naprawdę jest wiekowy, na pewno po osiemdziesiątce, może jeszcze starszy... Trzeba zachować cierpliwość.

— To jest obca istota... Kimkolwiek by była, jest ranna i nieprzytomna. Musimy zrobić co się da, by ocalić jej życie.

— Ale co my możemy? To coś zakute jest w pancerz, który pełen jest jakiegoś płynu. Leczę ludzi, nie znam się na zwierzętach ani na takich istotach.

— Ja też się na tym nie znam, doktorze. Nikt na całej Ziemi się na tym nie zna. Ale musimy spróbować. Trzeba zdjąć mu kombinezon i zobaczyć, jak możemy mu pomóc.

— To niemożliwe! Wtedy ten płyn wycieknie.

— Oczywiście, dlatego zachowamy ostrożność. Będziemy musieli ustalić co to za płyn, zdobyć go więcej i napełnić wannę w sąsiednim pokoju. Obejrzałem już kombinezon. Hełm chyba da się zdjąć. Jeśli poluzuję klamry, będziemy mogli wziąć próbkę płynu.

Doktor Bratos stał przez kilka bezcennych chwil w milczeniu, poruszając tylko bezgłośnie wargami.

— Pewnie tak, ale w co złapiemy tę próbkę? To bardzo trudne i zupełnie niezgodne z praktyką i przepisami...

— Mniejsza o to, w co złapiemy próbkę — warknął Jozę, niemal tracąc cierpliwość. Odwrócił się do Petara, który stał obok w milczeniu, paląc schowanego w dłoni papierosa. — Pomoże pan? Proszę przynieść z kuchni jakiś głęboki talerz czy coś innego...

Petar skinął tylko głową i wyszedł. Dały się słyszeć jakieś przytłumione narzekania wdowy, ale zaraz wrócił z jej najlepszym rondlem.

— Będzie dobry — powiedział Jozę, unosząc głowę obcego. — Teraz proszę wsunąć go pod spód.

Gdy garnek znalazł się już na miejscu, odpiął jedną z klamer. Pomiedzy hełmem a kryzą kombinezonu widniała cienka na włos szczelina, ale nic się z niej nie sączyło. Dopiero gdy ruszył drugi zacisk, ze środka trysnął pod ciśnieniem strumień przezroczystej cieczy. Zanim udało się ponownie zapiąć klamry, garnuszek był napełniony do połowy. Jozę znów uniósł głowę obcego, a Petar bez mówienia mu, co ma robić, wysunął naczynie.

— Gorące — powiedział. Jozę dotknął rondla.

— Ciepłe tylko, nie gorące. Około stu dwudziestu stopni Fahrenheita. Ciepły ocean na gorącej planecie.

— Ale... czy to woda? — wyjąkał doktor Bratos.

— Pewnie tak. Myślę, że to pan powinien sprawdzić. Słodka czy morska?

— Nie jestem chemikiem... Skąd mogę wiedzieć...? To takie skomplikowane...

Petar roześmiał się i wziął z nocnego stolika szklanę Jozego.

— To akurat łatwo jest sprawdzić — mruknął i zanurzył ją w rondelku. Uniósł potem, na wpół napełnioną, powąchał zawartość, wziął łyk do ust i spróbował. — Smakuje jak zwykła woda morska, ma jednak gorzki posmak.

Jozę wziął od niego szklanę.

— To może być niebezpieczne — zaprotestował doktor, ale został zignorowany. Tak, to była słona woda, zwykła słona woda z jakąś ostro smakującą domieszką.

— Zupełnie jak śladowa ilość jodiny. Czy może pan sprawdzić tę wodę na obecność jodiny, doktorze?

— Ale jak... tutaj... nie, to zbyt skomplikowane. Potrzeba dobrego laboratorium z pełnym wyposażeniem... — zawiesił głos, otwierając torbę i czegoś w niej szukając, ale niczego nie wyjmując. — Trzeba to oddać do laboratorium.

— Nie mamy tu nic takiego, doktorze. Musimy poradzić sobie sami. Zwykła woda morską będzie musiała wystarczyć.

— Przyniosę wiadro i napełnię wannę — zaofiarował się Petar.

— Dobrze. Ale proszę nie wlewać od razu wody do wanny, tylko zanieść ją do kuchni i ogrzać.

— Racja. — Petar wyminął milczącego księdza i zniknął. Jozę spojrzał na ojca Perca i pomyślał o mieszkańcach wioski.

— Proszę tu zostać, doktorze — powiedział. — Ten obcy jest pańskim pacjentem, a prócz pana nie ma tu żadnego innego lekarza. Proszę tylko przy nim usiąść.

— Tak, oczywiście, ma pan rację — mruknął jakby z ulgą doktor Bratos, przysuwając krzesło i siadając.

W kuchni nie wygaszono jeszcze ognia rozpalonego przed śniadaniem. Jozę dorzucił drewniak, zdjął ze ściany duży miedziany kocioł i postawił go z brzękiem na piecu. Drzwi pokoju wdowy otworzyły się na chwilę, ale zatrzasnęły zaraz, nim zdążył na nie spojrzeć. Petar wrócił z wiadrem wody i wlał ją do kotła.

— Co robią ludzie? — spytał Jozę.

— Łażą w kółko i gadają jeden do drugiego. Nie narobią nam kłopotów. Jeśli jednak niepokoją pana, mogę pojechać na posterunek i przywieźć policjantów lub zatelefonować gdzieś.

— Nie, powinienem o tym pomyśleć wcześniej. Teraz jest mi pan tu potrzebny. Tylko pan jeden z całego tego towarzystwa nie jest zupełnym ignorantem ani obłąkańcem.

Petar uśmiechnął się.

— Przyniosę jeszcze wody.

Wanna była niewielka, a kocioł duży, zatem gdy wlał podgrzaną wodę, wypełniła się nieco powyżej połowy, co w zupełności wystarczało dla niedużego obcego. Jozę wziął go na ręce i niczym dziecko przeniósł do wanny. Oczy dziwnej istoty znów się otworzyły, śledząc każdy gest, ale nie wyrażały protestu. Ułożywszy obcego w wodzie, Jozę wyprostował się, by wziąć głęboki oddech.

— Najpierw hełm, potem zobaczymy, jak rozpiąć ten kombinezon.

Pochylił się i zaczął powoli odpinać klamry.

Wszystkie puściły bez problemów. Jozę obluźował hełm, gotów nałożyć go w każdej chwili z powrotem, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty. Woda morska mieszała się powoli z tajemniczym płynem, ale istota zdawała się przyjmować to całkiem dobrze. Po minucie Jozę zsunął hełm, przytrzymując głowę obcego jedną dłonią, by nie uderzyła o dno wanny.

Mięsisty grzebień wyprostował się teraz, dobrze widoczny. Z hełmu wybiegał cienki drucik połączony z jakimś lśniącym, metalowym urządzeniem z boku głowy obcego, zapewne słuchawką lub czymś w tym rodzaju. Jozę ostrożnie usunął ją z otworu o niewiadomym przeznaczeniu. Obcy otwierał i zamykał usta, pozwalając dostrzec kremowożółte, prążkowane podniebienie. Pomrukiwał przy tym z cicha bardzo niskim głosem.

Petar przyłożył ucho do metalowego boku wanny.

— Mówi chyba, czy co. Coś słyszę.

— Niech pan da stetoskop, doktorze — powiedział Jozę, a gdy lekarz nie ruszył się z miejsca, sam sięgnął do torby. Rzeczywiście, przycisnąwszy słuchawkę do wanny usłyszał wyraźnie modulowane dźwięki, łudząco podobne do mowy.

— Na razie nie potrafimy go zrozumieć — powiedział, oddając stetoskop doktorowi, który przyjął go odruchowo. — Teraz trzeba zająć się kombinezonem.

Nigdzie nie widać było żadnych szwów, niczego też nie wyczuł wodząc palcami po materii. Obcy jednak musiał zrozumieć, czego szukają, z trudem uniósł bowiem rękę i poruszył coś pod kołnierzem. Płynnym ruchem kombinezon otworzył się na całej długości, potem szczelina rozdzieliła się na dwie, biegnąc wzdłuż obu nóg. Z prawej nogawki wypłynął strumyk błękitnej cieczy. Jozę zerknął na zielone ciało i widniejące tu i ówdzie dziwne organy, potem odwrócił się.

— Doktorze, poproszę szybko o torbę. On jest ranny, to może być krew. Musimy coś zrobić.

— Ale co niby? — spytał doktor Bratos nie ruszając się z miejsca. — Jakie lekarstwa, jakie antyseptyki? Wszystko może go zabić, nic nie wiemy o chemii jego ciała.

— Nie są tu potrzebne żadne specyfiki. To zwykłe skaleczenie, przecież może je pan opatrzyć, powstrzymać krwawienie.

— Oczywiście, oczywiście — mruknął staruszek, wreszcie mając do zrobienia coś, co potrafił od lat. Zaczął wyciągać bandażę i sterylne opatrunki, szukać plastra i nożyczek.

Jozę zanurzył ręce w nieco mętnej teraz wodzie i wsunął dłonie pod zieloną nogę. Dotknął ciepłego ciała. Wrażenie było osobliwe, ale wcale nie przykre. Wyciągnął kończynę z wody,

ukazując szeroką ranę miażdżoną, z której sączyła się błękitna posoka. Petar odwrócił oczy, ale doktor nałożył już płat gazy i owijał nogę bandażem. Obcy szukał czegoś w leżącym obok niego na dnie wanny kombinezonie, wyrywając równocześnie nogę z uchwytu Jozego, który zauważył nagle, że istota podaje mu coś wydobytego z pojemnika na brzuchu. Znow poruszała ustami, słychać było jej wątpy pomruk.

— Co jest? Czego chcesz? — spytał Jozę.

Obcy przyciskał owo coś obiema rękami do swojej piersi. Przedmiot przypominał książkę i mógł rzeczywiście nią być. Pokryty był lśniąca substancją z czarnymi znakami na wierzchu. Bok wyglądał jak wiele złożonych razem arkuszy czegoś, zatem może to naprawdę książka? — pomyślał Jozę. Obcy znow zaczął się wyrywać, otwierając usta szerzej, jak do krzyku.

— Gdy zanurzymy nogę w wodzie, bandaż przemoknie — powiedział doktor.

— A może owinąć go pan taśmą samoprzylepną?

— Tak, mam ją w torbie. Będę jej potrzebował trochę więcej.

Obcy tymczasem zaczął kołysać się w wannie, wychlapując wodę i ze wszystkich sił starając się wyszarpnąć nogę z rąk Jozego. Jedną wielopalczystą dłonią przytrzymywał wciąż książkę, drugą szarpał bandaż.

— Może zrobić sobie krzywdę, proszę go powstrzymać. To straszne — mruknął doktor, odsuwając się od wanny. Jozę sięgnął po leżące na podłodze opakowanie.

— Ależ z pana idiota! — krzyknął. — Czym go pan opatrzył? Gazą przesyconą sulfonamidem?

— Zawsze używam tych opatrunków. Są najlepsze. Amerykańskie. Zapobiegają infekcjom.

Jozę rzucił się do wanny, by zedrzeć bandaż, ale obcy wymknął mu się i usiadł, wynurzając część ciała z wody. Rozwarł szeroko oczy i usta, aż trysnęły z nich strumienie. Gdy woda wyciekła i powietrze dotarło do strun głosowych, rozległ się narastający krzyk bólu i odbił się echem od białego sufitu pokoju. W nieludzkim cierpieniu istota rozrzuciła ramiona, potem upadła twarzą w wodę. Nie poruszała się już i Jozę nawet bez sprawdzania wiedział, że obcy nie żyje.

Jedno ramię wykręcone miał do tyłu, drugie wciąż wystawało z wanny, a palce ścisnęły książkę. Z wolna uchwyt się rozluźnił i książka ciężko spadła na podłogę.

— Niech pan mi pomoże — powiedział Petar i Jozę odwrócił się ku niemu. Doktor leżał na podłodze, a były partyzant klęczał obok. — Zemdlął albo miał atak serca. Co możemy zrobić?

Gniew gdzieś uleciał, gdy Jozę przykleknął przy starszym panu. Doktor zdawał się oddychać regularnie, twarz pozbawiona była rumieńca, zatem najpewniej to tylko zemdlenie. Powieki poruszyły się. Ksiądz podszedł bliżej i spojrzał ponad ramieniem Jozego.

Doktor Bratos otworzył oczy i powiódł wzrokiem po pochylonych nad nim twarzach.

— Przepraszam — wykrztusił z siebie, potem znów opuścił powieki, jakby chciał uciec przed ich spojrzeniami.

Jozę wstał, cały roztrzęsiony. Ksiądz gdzieś zniknął. Koniec? Po wszystkim? Owszem, może i tak nie zdołaliby uratować obcego, ale bez wątpienia nie uczynili wszystkiego co w ich mocy. Nagle ujrzał mokrą plamę na podłodze i zastanowił się, gdzie zniknęła książka.

— Ojczy Perc! — krzyknął z narastającym oburzeniem Ten typ wziął książkę, najpewniej bezcenną!

Pobiegł na korytarz, gdzie zderzył się niemal z księdzem wychodzącym z kuchni. Z pustymi rękami! W nagłym przypiływie strachu Jozę domyślił się, co ten starzec uczynił. Minął go czym prędzej, podbiegł do pieca i otworzył drzwiczki.

Otwarta książka leżała pomiędzy płonącymi polanami, wysychając parowała obficie. Tak, to z pewnością była książka, stronicę pokryte były jakimś znaczkami. Poszukał ręcznika, by ją wyciągnąć, gdy ogień buchnął płomieniem przez cały pokój, niemal trafiając go w twarz. Jozę jednak nawet nie pomyślał o zagrożeniu. Podłoga zasłana była kawałkami rozżarzonego drewna, w palenisku tliły się już tylko jakieś mizerne płomyki. Z czegokolwiek owa książka została zrobiona, musiała jedynie wyschnąć, by spłonąć w okamgnieniu.

— To było samo zło — powiedział ksiądz od drzwi. — *Zao duh*, plugawy stwór z księgą złego. Ostrzegano nas, takie rzeczy zdarzały się już na ziemi. Sprawiedliwym wiernym pozostaje wówczas odeprzeć atak...

Petar przepchnął się obok duchownego i pomógł Jozemu usiąść na krześle, otrzepując go jednocześnie z tłących się drobin. Jozę nawet ich nie zauważył, odczuwał jedynie przemożne zmęczenie.

— Dlaczego tutaj? — spytał. — Spośród wszystkich miejsc na świecie, czemu właśnie tutaj? Ledwie kilka stopni na zachód i obcy trafiłby do Triestu, gdzie są i chirurdzy, i szpitale, i całe nowoczesne wyposażenie. Albo gdyby trochę jeszcze wytrzymał w powietrzu, to może zobaczyłby światła i wylądował w Rijece. Tam coś by można poradzić.

Ale tutaj?! — Zerwał się na nogi, zaciskając w próżnym gniewie roztrzęsione pięści.

— Dlaczego musiało się to stać w tym pełnym przesądów i ciemnoty zakątku świata?! Co to w ogóle za świat?! Przecież niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów od tego zadupia jest akcelerator cząstek o mocy pięciu milionów woltów! A on był tak blisko...

Dlaczego?!

Joze siedział bezwładnie na krześle. Poczł się bardzo, bardzo stary i niewyobrażalnie wprost zmęczony. Ilu rzeczy mogliby najpewniej nauczyć się z tej książki?

Westchnął od serca i zadrzał cały, jakby ogarnięty wysoką gorączką.

Przekład: Radosław Kot

Nareszcie prawdziwa historia Frankensteina

1963

Nigdy do mnie nie przemawiała mechaniczna strona działania Frankensteina czy zombie, widocznie w młodości odebrałem zbyt staranne wykształcenie w naukach ścisłych. A do tego wszystkiego dodać jeszcze należy Prawa Occama, które zmuszają człowieka do myślenia. Occam twierdzi, że kolekcja używanych i pozszywanych byle jak kończyn i innych części zamiennych nie będzie ani energiczniej działać, ani też nie wytrzyma dłużej niż rzeczony elementy przynależne do różnych ciał oryginalnych właścicieli. Co zaś się tyczy zombie, to zgodnie ze zdrowym rozsądkiem świeżo powstały z ziemi umarlak powinien być słabszy, a nie silniejszy niż za życia. Nie wspominając już o takich drobiazgach wpływających na kondycję, jak oddech czy krążenie, a raczej ich brak. Coś w tym interesie zdecydowanie śmierdzi i nie jest to trupi odorek.

Sporo się zastanawiałem, czy nie ma jakiegoś rozsądniejszego sposobu uruchomienia takich przechodzonych nieboszczyków, i to, co wymyśliłem, napisałem w formie opowiadania. Wiele lat później ktoś rąbnął mój tytuł do filmu nie mającego nic wspólnego z opowiadaniem, co dowodzi tylko jednego — nie można zastrzec tytułu!

— A oto widzą państwo potwora zbudowanego przez mego pradziadka, wielkiego Victora Frankensteina, z fragmentów ciał pochodzących z sal sekcyjnych i wykradzonych świeżo zakopanych na cmentarzu trupów. Proszę o uwagę... — Wysoki mężczyzna na podwyższeniu uniósł teatralnie rękę i przy wtórze jęku zebranych za rozsuniętą zasłoną ukazał się oświetlony od góry zgniłym, zielonkawym blaskiem potwór, którego reklamował.

Stojący tuż przy sznurowej barierce, czyli w pierwszym rzędzie zatłoczonego namiotu, Dan Bream otarł zroszone potem czoło — wewnątrz było gorzej niż w łaźni — i przyjrzał się uważnie eksponatowi. Wyglądał nie najgorzej, zwłaszcza biorąc pod uwagę jarmarczny charakter imprezy zwanej odpustem oraz miejsce, w którym wszystko się działo, czyli zabitą dechami dziurę na głębokim południu. Błada skóra bez kropli potu, szwy w miejscach zeszywania skóry, oczy bez wyrazu i dwa metalowe gniazda na skroniach — dokładnie jak w filmie.

— Unieś prawą rękę! — polecił Victor Frankenstein V z twardym, pruskim akcentem i powoli, niczym źle naoliwiony mechanizm, potwór uniósł prawą rękę do wysokości ramienia i znieruchomiał. — Ten stwór zbudowany z kawałków trupów nie może umrzeć, a gdy jakaś jego część za bardzo się zużyje, po prostu doszywam nową zgodnie z przepisem przekazywanym w naszej rodzinie z ojca na syna. On także nie czuje bólu, jak widzicie...

Tym razem jęk był głośniejszy, jako że mówiący przebił biceps potwora długą na stopę szpilą o harpunowatym zakończeniu, tak że wystawała z drugiej strony. Potwór nie drgnął, a na metalu nie pojawiła się nawet kropelka krwi.

— ...obojętne mu gorąco czy mróz i ma siłę dziesięciu ludzi... — ciągnął głos z niemieckim akcentem, ale Don miał już dość: widział całe przedstawienie trzy razy, co w zupełności mu wystarczyło, a pozostanie w namiocie groziło uduszeniem albo rozpuszczeniem, toteż energicznie przepchnął się do wyjścia.

Na zewnątrz było niewiele chłodniej, ale przynajmniej tak nie śmierdziało. Tubylcy wyraźnie wychodzili z założenia, że częste mycie skraca życie. Ponieważ jednak na Florydzie wszystkie bary mają klimatyzację, ruszył do najbliższego krokiem kogoś, kto ma jasno wytyczony cel w życiu.

Piwo, kufel i butelka były przyjemnie zimne, a pierwszy orzeźwiający łyk postawił go na nogi. Drugie piwo można było wypić wolniej, toteż zabrał je do stolika, wytarł blat papierową

serwetką, po czym usiadł i wyjął z kieszeni kilka pogniecionych i przeпоconych kartek. Przeczytał starannie ich treść, dopisał parę zdań i schował je do wewnętrznej kieszeni.

Dotarł do połowy kufelka, gdy w drzwiach stanął Victor Frankenstein V, bez monokla i reszty artystycznego przyodziewku.

— Wspaniały numer! — zawołał radośnie Dan. — Pozwolisz, że ci postawię?!

— Głupi byłbym, odmawiając — odparł zapytany z nosowym akcentem rodem z Nowego Jorku; niemiecki zniknął wraz z monoklem. — Jeśli mają schitza lub buda, to piwo, jeśli tylko lokalne popłuczyny, to burbon...

Spokojnie usiadł przy stole, a Dan zajął się piwem.

— Całe szczęście, że zimne — mruknął i wsypał sól do kufla, aby się wymieszała, po czym duszkiem wypił połowę zawartości naczynia. — Widziałem cię dziś na paru pokazach.

Podoba ci się numer czy jesteś po prostu maniakiem odpustów?

— Numer jest dobry, a z zawodu jestem dziennikarzem. Dan Bream.

— Zawsze miło spotkać kogoś z prasy, reklama to dźwignia show–businessu. Jestem Stanley Arnold, nazywaj mnie Stan.

— Frankenstein V to pseudo?

— A co myślałeś? Jak na reportera nie jesteś zbyt bystry... schowaj legitymację, żartowałem. Co powiesz o moim potworku?

— Wygląda autentycznie: szwy, gniazdka...

— Makijaż i klej dobrej jakości. Wszystko, bracie, jest iluzją, ale miło słyszeć, że numer wygląda autentycznie nawet dla doświadczonego dziennikarza. Tak na marginesie: dla jakiej gazety piszesz?

— Jestem wolnym strzelcem. O tobie dowiedziałem się z pół roku temu i zainteresowałem się, przyznaję. Trochę poszperałem w różnych miejscach i tak sobie myślę, że tak naprawdę to chyba nie chcesz, żebym cię nazywał Stan: w papierach naturalizacyjnych figurujesz jako Victor Frankenstein, więc Stein byłoby bliższe prawdy...

— I co jeszcze wyszperałeś? — głos Frankensteina stał się chłodny i pozbawiony emocji.

— Że urodziłeś się w Genewie, a do Stanów przybyłeś w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym...

— Zaraz usłyszę, że jestem właścicielem prawdziwego potwora.

— Tak właśnie sędzę. Ani hipnoza, ani joga nie potrafi aż tak znieczulić na ból, nie mówiąc już o wzroście siły. A twój podopieczny ma i jedno, i drugie. Wiesz, czego chcę? Chcę poznać prawdę.

— Prawdę... — Frankenstein roześmiał się nagle i klepnął rozmówcę w ramię. — Dobra, Dan. Poznasz prawdę: jesteś upartym dziennikarzem i należy ci się nagroda. Ale najpierw przynieś coś do picia, i to nie lokalną wodę z bagien.

Akcent z Nowego Jorku zniknął, podobnie jak przedtem niemiecki, i jego angielski nie miał teraz żadnych naleciałości.

— Wolę piwo. — Dan zabrał butelki. — Tutaj panuje prohibicja, jakbyś zapomniał.

— Nie zapomniałem, gdzie żyję, Dan. To wielki i wolny kraj. Może i obowiązuje tu zakaz sprzedaży alkoholu, ale jak położysz pięć dolarów na ladzie i powiesz, że chcesz mountain dew, to na pewno nie dostaniesz soku pomarańczowego. Reszty zresztą też nie.

Dan zrobił, co mu kazano, i wrócił z butelką kukurydzianej wódki i dwiema szklankami.

— Możesz mi mówić Victor, chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi — oznajmił Frankenstein po pierwszej kolejce. — Opowiem ci zaskakującą, ale prawdziwą historię, którą zna niewielu. Prawdziwą, a nie wypływającą z ignorancji stek półprawd i czystych bujdy, które tworzą tę głupią książkę Mary Godwin. Mój ojciec do śmierci pluł sobie w brodę, że w chwili słabości zwierzył się tej głupiej gęsi z tego, czym się w tajemnicy zajmował. Na szczęście nie powiedział jej wszystkiego...

— Momencik. Powiedziałeś, że to będzie prawda, a Mary Godwin Shelley napisała *Frankensteina albo Nowego Prometeusza* w tysiąc osiemset osiemnastym roku. Nie chcesz mi chyba wmówić, że twój ojciec...

— Poczekaj i nie przerywaj. Obiecałem ci prawdę i mówię prawdę: ojciec zajmował się wieloma rodzajami badań. Wszystkie miały jedną cechę wspólną: tajemnicę życia. Potwór, jak go nazywano, był tylko jednym z jego osiągnięć, głównie zaś interesował się długowiecznością i przyznać należy, że umarł bardzo późno. Nie powiem ci, w którym roku ja się urodziłem, bo to nie ma nic do rzeczy. Co się tyczy tej głupiej Mary Godwin, to ojciec znał ją, zanim wyszła za tego całego poetę, i miał nadzieję, że wybierze jego, gdyż mu się podobała. Finał znasz: spisała wszystko, co zdołała zrozumieć z wynurzeń ojca, rzuciła go i napisała tę parszywą książkę. Roi się w niej od błędów, że aż coś! — Ponownie klepnął reportera w ramię. — Po pierwsze: ojciec nie był Szwajcarem, tylko pochodził z porządnej bawarskiej rodziny o długim rodowodzie. Po

drugie, uniwersytet nie mieścił się w Ingolstadt, bo w tysiąc osiemsetnym roku przeniesiono go do Landshut, o czym wie każdy uczeń w okolicy. Po trzecie, całkowicie i złośliwie zmieniła charakter ojca: nigdy nie płakał i na pewno nie był niezdecydowany, wręcz przeciwnie. No, a na koniec nic nie rozumiała z doświadczeń, jakie prowadził: tak była zafascynowana ideą Golema, że wszystko przekręciła. Ojciec nie budował niczego z fragmentów nieboszczyków, bo to nonsensowny pomysł. Ojciec zajmował się, i to z powodzeniem, przywracaniem martwych do życia, choć naturalnie nie w pełni i nie do końca. Faktem jest, że trupy chodziły i wykonywały polecenia. Wyszedł w tych badaniach od zombie, ale znacznie udoskonalił technikę i osiągnął lepszy efekt niż szamani. I to jest właśnie prawda i cała tajemnica. Teraz pozostaje jedna drobna kwestia: co należy zrobić, by nadal była tajemnicą, panie Bream?

Pytanie zadane było takim tonem, że reporter aż się cofnął. Po paru sekundach rozluźnił się jednak — tu, wśród ludzi, był bezpieczny, a co dalej, to się zobaczy.

— Boisz się, Dan? — spytał Victor, ponownie klepiąc go w ramię. — Nie ma czego.

— Co to było? — zdziwił się Dan, gdy poczuł ukłucie w ramię.

— Nic takiego. — Frankenstein uśmiechnął się, ale tym razem bez cienia wesołości, i pokazał mu otwartą dłoń, na której leżała pusta minipilulka, jakich używają chorzy na cukrzycę.

— Siadaj! — powiedział cicho, widząc, że Dan wstaje, i tamten posłusznie usiadł.

— Coś mi zrobił? — spytał przerażony dziennikarz.

— Zastrzyk niegroźny dla zdrowia, którego receptura jest właśnie rodzinnym sekretem. Jest nieszkodliwy, ale ma dziwne działanie: umożliwia mi panowanie nad twoim ciałem; bez mojego rozkazu nic nie zrobisz ani nie powiesz, choć często będziesz miał ochotę. Jak długo jesteśmy razem, musisz wykonywać moje polecenia, a zapewniam cię, że cały czas będziemy razem. Zanim działanie specyfiku się skończy, będziesz już martwy. Napij się piwa i posłuchaj finału.

Przerażony dziennikarz bezradnie patrzył, jak jego mięśnie wykonują polecenie Victora wbrew jego woli.

— Tak więc słynny Frankenstein nie jest żadnym arcydziełem krawiectwa, tylko uczciwym zombie: trupem, który może chodzić, ale nie może mówić, może wykonywać rozkazy, ale nie może myśleć. Ruszające się w rytm rozkazów ciało, idealny niewolnik. Tak jak Charley, którego tyle razy oglądałeś. Jest tylko jeden problem: trup nie ma funkcji życiowych i komórki nie regenerują się, nie mówiąc już o dziurach powstających w wyniku przedstawienia. Stary Charley przypomina zużytą poduszkę do igieł, a poza tym nie ma palców u nóg: odłamują się, kiedy zbyt

szybko chodzi. Czas posłać go na emeryturę, jako że miał długie życie i jeszcze dłuższą śmierć. Wstań, Dan! Ślicznie. Taak, na koniec ciekawostka: wiesz, kim był Charley, zanim rozpoczął karierę artystyczną? Dziennikarzem, tak jak ty i podobnie jak ty wścibskim, który wreszcie tak samo jak ty nie zrozumiał wagi swego odkrycia i najpierw postanowił pogawędzić ze mną. Pokażę ci karty wizytowe twoich poprzedników, naturalnie zanim cię zabiję, potem nie byłbyś w stanie ich docenić. Mówię ci, stary: prasa to potęga! A teraz chodź!

I Dan poszedł za nim w gorącą noc, grzecznie i cicho, tylko wewnątrz resztki jego „ja” były z przerażenia.

Przełożył Jarosław Kotarski

Zawsze słucham misia

1963

Niezwykle trudno jest pisać o utopii z tego prostego powodu, że pokój, radość i szczęście są równie nudne w życiu jak w literaturze. Każda opowieść, by być ciekawą, musi mieć akcję, dlatego też znacznie atrakcyjniejsze są antyutopie, jak choćby *1984* G. Orwella. Jednakże niedługie opowiadanie utopijne jest możliwe do napisania i w dodatku nie musi być nudne, jako że wszędzie zdarzają się wypadki które i tak nie są w stanie zmienić systemu.

W 1963 roku nasze dzieci były w wieku, w którym pluszowy mis był dla każdego w domu czy w podróży nieodłącznym partnerem w łóżku. To właśnie nasunęło mi pewien pomysł. Gotowe opowiadanie wysłałem do Stanów, gdzie mój agent niespodziewanie znalazł kupca w postaci „Ellery Queen’s Mystery Magazine” który od czasu do czasu drukował fantastykę, jeśli miała z gruntu, w sobie coś z kryminału. Interes był tym lepszy, że magazyn płacił prawie dwa razy więcej niż najlepszy tego typu kontrahent zajmujący się wyłącznie S-F. Miał tylko jeden minus — wydawca chciał zmian.

Nie jestem przeciwnikiem zmian w ogóle — jeśli redaktor wskaże mi błędy lub przekona że taka czy inna zmiana poprawi utwór, zgadzam się. W tym jednakże wypadku chodziło o całkowicie nowe zakończenie, zmieniające w efekcie cały utwór. Po zażartej korespondencji ustaliliśmy kompromis — jedna zmiana, która modyfikowała zakończenie, ale nie zmieniała całości. Jak to przeważnie bywa w odwiecznym konflikcie Finansów i Sztuki, wygrały te pierwsze. Wtedy mieszkaliśmy w Danii, gdzie życie było stosunkowo tanie, a honorarium wystarczyło na opłacenie miesięcznego czynszu (zaległego!) i utrzymanie całej rodziny przez dwa tygodnie. Zgodziłem się więc, dokonałem wymaganej przeróbki i kłamię przez całą drogę do banku. Wszystkie następne wydania miały już oryginalne zakończenie, ale niesmak pozostał mi do dziś.

Była to dobra nauczka, z której wyciągnąłem właściwe wnioski i podobna sytuacja nie powtórzyła się nigdy więcej. Zawsze miałem parę groszy w zapasie, dzięki czemu żaden utwór nie musiał być sprzedany natychmiast. Gdy redaktor i ja nie mogliśmy dojść do porozumienia, wycofywałem tekst i sprzedawałem później komuś innemu bez konieczności zmian. Czasami nawet na znacznie korzystniejszych warunkach, co także o czymś świadczy.

Śpiącego chłopca, obejmującego jedną ręką pluszowego misia, oświetlał łagodnym blaskiem księżyc, gdy jego ojciec i mężczyzna z czarną brodą cicho weszli do sypialni.

— Wsuń go i podłóż drugiego — szepnął brodaty.

— Obudzi się i narobi wrzasku — zaoponował ojciec. — Jest lepszy sposób...

Z drugiej strony głowy syna położył identycznie wyglądającego pluszaka i ostrożnie odciągnął rękę malca obejmującą oryginalnego niedźwiadka, którego natychmiast zabrał. Davy przez sen pomacał poduszkę, przewrócił się na drugi bok i natychmiast przytulił drugą zabawkę. Po kilkunastu sekundach jego oddech wyrównał się i pogłębił. Obaj mężczyźni cicho wyszli i delikatnie zamknęli za sobą drzwi.

— No to zaczynamy — ucieszył się Torrence, ledwie znaleźli się na schodach, i oblizał wargi, łapiąc misia.

Niedźwiadek szarpnął się w uścisku, przewrócił czarnymi ślepkami i pisnął:

— Zanieście mnie do Davy'ego.

— Daj mi go — polecił ojciec malca. — Zna mnie, więc nie będzie pyskował.

Nazywał się Numen i podobnie jak Torrence był doktorem rządów, pomimo wysokich kwalifikacji nie zatrudnionym przez obecne władze. Nie znaczyło to zresztą, że byli bez środków do życia, jako że te dwie sprawy nie były ze sobą związane. Podobnie jak jego towarzysz także miał brodę, jednak o wiele krótszą, staranniej przystrzyżoną i jasną, gdyż był blondynem. Z wyglądu znacznie się różnili — jeden krępy i śniady brunet, drugi wysoki, o jasnej karnacji blondyn z początkiem łysiny.

Kiedy Numen wziął misia, ten się uspokoił i bez problemów dotarli do starannie ekranowanego pomieszczenia w piwnicy, gdzie czekał Eigg.

— Wreszcie! — ucieszył się na ich widok i szybkim ruchem złapał zabawkę.

Zawsze zachowywał się tak, jakby mu się wiecznie spieszyło, mimo że był masywnej budowy, co jeszcze podkreślał biały laboratoryjny kitel.

— Poczekaj — zaprotestował Numen. — Nie musisz...

— Puść mnie! — pisnął niedźwiadek. — Puść!

— To tylko maszyna — stwierdził zimno Eigg i sięgnął po skalpel. — Jesteś dorosły, powinieneś lepiej panować nad emocjami i rozsądniej myśleć. To nie jest twój przyjaciel i powiemik z dzieciństwa. To nawet nie jest żywe: to jest maszyna, a ty jesteś dorosły!

Szybkim ruchem rozpruł szew, nacisnął i w plecach zabawki otworzyła się oklejona futrem klapka.

— Puść mnie! — pisał miś, machając łapkami. — Naprawdę musimy...

— Przestań się zachowywać jak sentymentalny dureń! — parsknął Eigg, łapiąc za śrubokręt.

Nacisnął coś we wnętrzu pluszaka, rozległ się cichy szcęk i zabawka znieruchomiła.

Spokojniej już położył ją na stole i zabrał się do odkręcania pokrywy. Zaskoczony Numen otarł oczy, przyznając w duchu, że zachowuje się głupio. Eigg miał rację — miał w ręku maszynę, a to, co właśnie robili, było zbyt ważne, by patrzeć na to oczami małego chłopca.

— Ile czasu ci to zajmie? — spytał, patrząc na zegarek. — Jest dziewiąta.

— Mówiliśmy już o tym i nic się nie zmieniło. — Eigg odłożył śrubokręt i oglądał teraz wnętrze przez lupę jubilerską.

— Próbowałem na dwóch ukradzionych programach dokładnie przez miesiąc. Wyjęcie i zamontowanie to kwestia minut. Natomiast przeprogramowanie nagrań trwa nieco poniżej dziesięciu godzin, różnica wynosiła kwadrans, więc należy uznać, że dziesięć godzin wystarczy. Aha, mam cię, robaczku...

Z tryumfem wyjął z misia niewielkie urządzenie elektroniczne wraz z kasetą, na której nagrano głos.

— To za długo: Davy przeważnie budzi się koło siódmej i miś musi być już na miejscu! Nie może nawet podejrzewać, że misia z nim nie było.

— Jeśli nie będzie innej rady, to mu coś skłamiesz. Nie będę się spieszył i ryzykował, że wszystko spieprzę. Teraz bądźcie cicho!

Wsunął urządzenie do sporego mechanizmu stojącego na stole i włączył. To była jego specjalność — obaj pozostali nie mieli zielonego pojęcia ani co robi, ani jak nazywa się którekolwiek z używanych przezeń urządzeń.

— Puść mnie!... — rozległo się z głośnika — ...bzzzt... Nie, Davy, mamie by się to nie podobało... bzzzt... nóż do prawej, widelec do lewej... bzzzt... dobry chłopiec...

*

— Gotowe! — oznajmił wreszcie z ulgą, kończąc ścieg.

— Pobiliś własny rekord — przyznał Numen, spoglądając na monitor pokazujący w podczerwieni pokój dziecienny. Jeszcze śpi. Jesteś pewien, że...

— Jestem pewien, sam zresztą sprawdziłeś, jak cię obudziłem. Pytałeś i słuchałeś odpowiedzi: jeśli nie wiesz, co zostało zmienione, nigdy nie odkryjesz zmian, bo nawet nie będziesz podejrzewał, że one istnieją. We wszystkich pozostałych kwestiach pamięć i polecenia są takie same jak u innych niedźwiadków. Tylko jedno je różni.

— Obyśmy nigdy nie musieli wykorzystywać tej różnicy! — mruknął Numen. — Dałby Bóg!

— Nie wiedziałem, że wierzysz w te brednie — zdziwił się Eigg.

— Nie wierzę. — Numen zaczerwienił się.

— To nie pleć i weź się do roboty: trzeba odnieść misia, zanim twój syn się obudzi!

*

Davy był grzecznym dzieckiem i dobrym uczniem. Odrabiając lekcje, wciąż jeszcze rozmawiał z misiem, choć powoli zaczynał traktować go bardziej jak maskotkę niż jak wyrocznień.

— Ile jest siedem i pięć, misiu?

— Davy wie... — Miś zamachał łapami. — Nie powinienesz mnie pytać o to co wiesz, Davy...

— Pewnie, że wiem, ale chciałem się dowiedzieć, czy ty wiesz. Trzynaście.

— Davy, dwanaście, nie trzynaście... lepiej się ucz, Davy, miś ci to mówi...

— Okpiłem cię! — Davy się roześmiał. — Zmusiłem cię, żebyś mi powiedział prawdziwy wynik!

Uczył się obchodzić zabezpieczenia robota, co nie było zbyt trudne, gdyż misie miały słownik małych dzieci i przystosowane były do współpracy z malcami, a nie z dziatwą w wieku szkolnym. Ich zadanie bowiem musiało być wykonane, gdy dzieci podрастаły, a nie dorastały. Misie uczyły je mówić, przekazywały podstawowe informacje z historii, zasad życia, moralności, gramatyki i tego wszystkiego, co stanowi podstawy umożliwiające człowiekowi życie w społeczeństwie. Ponieważ ludzkie charaktery kształtują się znacznie wcześniej, niż dziecko trafia do szkoły, funkcja pluszowych niedźwiadków była nader ważna, ale zasób słów dość ograniczony, więc przestawały być użyteczne po kilku zaledwie latach.

*

Gdy Davy stał się Dawidem i skończył osiemnaście lat, miś od dawna mieszkał na najwyższej półce, niejako na emeryturze. Był jednak przyjacielem i choć już do niczego nieprzydatny, pozostał z Dawidem — przyjaciół bowiem się nie wyrzuca. Pokój dziecięcy, właściwie gabinet, przypominał teraz pobożowisko, gdyż Dawid właśnie się pakował.

Wyjeżdżał mianowicie na studia. Gdy dopinał oporną torbę, zadzwonił telefon i na ekraniku ukazała się twarz ojca.

— Dawid, zejdź na chwilę do biblioteki. Stało się coś raczej ważnego...

— Lecę! — oznajmił, zauważając, że ojciec ma nietęgą minę i głos też nie taki jak zwykle.

Coś rzeczywiście musiało się stać!

*

Oprócz ojca zastał w bibliotece doktora Eigga, siedzącego prawie na baczność, i Torrence'a, najstarszego przyjaciela ojca, którego nazywał wujkiem, choć nie byli krewnymi.

Ojciec wyglądał nieswojo, ale na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia chorego. Dawid cicho siadł w fotelu, świadom, że wszyscy go nie wiedzieć dlaczego obserwują, i spytał:

— Co się stało?

— Nic, Davy — odparł ojciec, co dowodziło, jak bardzo jest czymś wstrząśnięty, gdyż nie nazywał go tak od lat. — A raczej coś się stało, ale dawno temu, i dotyczy to całego naszego świata.

— Och, Panstentialiści — odetchnął David: to była polityka, a więc nic ważnego.

— Owszem, Davy. Myślę, że teraz wiesz już o nich wszystko... gdy rozchodziliśmy się z twoją matką, obiecałem jej, że wykształcę cię najlepiej, jak potrafię, i myślę, że mi się to udało. Wiesz jednak, że ja i moi przyjaciele jesteśmy specjalistami od sprawowania rządów i polityka jest częstym tematem w tym domu. Znasz nasze uczucia i sądzę, że je podzielasz.

— Podzielam i myślę, że uważałbym tak samo niezależnie od tego, gdzie bym się wychował. To zaborcza filozofia i, co gorsza, samonapędzająca się, im więcej władzy zyskują jej przedstawiciele, tym jest ważniejsza.

— Właśnie. A jej sercem jest jeden człowiek imieniem Barre. Zasiadł u steru władzy i ani myśli ustąpić, a przy obecnym stanie medycyny może żyć jeszcze ze sto lat.

— Barre musi odejść! — warknął Eigg. — Rządzi od dwudziestu trzech lat i od tego czasu mam zakaz prowadzenia badań. Młodzińcze, ten zakaz trwa dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie!

Dawid skinął głową, ale się nie odezwał — czytał, że Eigg prowadził badania nad behawioralną embriologią ludzką, i w duchu przyznawał, że Barre miał rację — należało przerwać te badania. Był to zresztą jedyny punkt, w którym się z nim zgadzał — poza tym uważał, że filozofia wyznawana przez Barre'a całkowicie stłamsiła politykę i inne dziedziny życia.

— Nie mówię tylko za siebie — dodał Numen z wysiłkiem — i nie chodzi o to, że od ponad dwudziestu lat nie wykonuję swojego zawodu, podobnie jak Torrence. Gdyby to był jedyny negatywny wynik jego postępowania i jego przekonań, nie kiwnąłbym palcem, by go powstrzymać.

— Zgadzam się całkowicie — dodał Torrence. — Los dwóch ludzi jest bez znaczenia w porównaniu z losem wszystkich. Podobnie jak los jednego człowieka.

— Właśnie! — Numen zerwał się i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. — Gdyby to nie była prawda, nigdy bym się w to nie zaangażował. Problem mianowicie przestałby istnieć, gdyby Barre jutro dostał, dajmy na to, zawału i padł trupem.

Wszyscy spojrzeli na Dawida, wciąż nie wiedzącego, o co chodzi. Poczuli, że wypada coś powiedzieć.

— Cóż, przyznaję, że najbardziej przydałoby się nam wszystkim trochę embolizmu. Martwy znacznie lepiej przysłużyłby się ludzkości niż żywy.

Cisza kłopotliwie się przedłużała, aż w końcu przerwał ją beznamiętny głos Eigga:

— Wszyscy jesteśmy zgodni, że śmierć Barre'a byłaby dobrodziejstwem dla świata.

Wniosek logiczny, z którym powinieneś się zgodzić, Dawidzie, jest taki, że należałoby go... zabić...

— Niezły pomysł — przyznał chłopak, zastanawiając się, o co tu chodzi — choć naturalnie jest to fizycznie niemożliwe. Od wieków na świecie nie doszło do... zaraz, jak to się nazywa... aha, morderstwa. Psychologia rozwojowa zadbała o to dawno temu. Zdaje się, że to był ostateczny dowód na wyższość człowieka nad niższymi gatunkami: to, że może rozprawiać czy

myśleć o zabijaniu, a jednocześnie od dzieciństwa tak być uwarunkowanym, by nie móc zabijać. Jeśli wierzyć tekstem historycznym, to rasa ludzka znacznie się rozwinęła, odkąd zlikwidowano przekleństwo, jakim było wzajemne zabijanie się. Słuchajcie, czyja bym się mógł w końcu dowiedzieć, o co tu chodzi...?

— Barre może zostać zabity — oznajmił prawie uprzejmie Eigg. — Jest jeden człowiek na świecie, który może go zabić.

— Kto? — spytał Dawid, choć znał odpowiedź, zanim jeszcze usłyszał drżący głos ojca.

— Ty, Dawidzie... ty...

Gdy tak siedział osłupiały, różne fragmenty wspomnień wskoczyły nagle na swoje miejsca, nabierając nowego znaczenia. Na przykład jego reakcja, inna niż pozostałych, gdy w wypadku zginęła wiewiórka, drobiazgi, które nie dawały mu w nocy spać... Wiedział, że to prawda, choć dziwne było, że nigdy dotąd tego nie zrozumiał — prawda była o wyciągnięcie ręki, ale dopóki się po nią nie sięgnęło, pozostawała ukryta. Teraz ją poznał.

— Chcecie, bym go zabił? — spytał.

— Jesteś jedynym, który może to zrobić... a nie mamy innego wyjścia, Davy. Przez wszystkie te lata miałem złudną nadzieję, że jednak nie okaże się to konieczne i że nie będzie trzeba korzystać z twojej zdolności. Ale on żyje, a dla dobra wszystkich musi zginąć.

— Nie rozumiem tylko jednego. — Dawid wstał i wyjrzał przez okno. — Jak tego dokonaliście? To uwarunkowanie jest normalną częścią wychowania umożliwiającego życie wśród ludzi.

— Cała sprawa sprowadza się do pluszowego misia — wyjaśnił Eigg. — Nie ogłasza się tego, ale podstawą sukcesu całego uwarunkowania jest reakcja wpojona dziecku w pierwszych latach życia. Reakcja wpajana przy każdej okazji przez program wychowawczy misia. Późniejsze tłumaczenie i wartości moralne uzasadniają i wzmacniają proces, ale bez misia całość nie mogłaby się udać.

— Więc mój miś...

— Zmieniłem program i nagrania tylko w tej jednej kwestii, ale za to gruntownie.

— I to wystarczyło — w głosie Dawida pojawił się chłód, którego dotąd nigdy w nim nie było. — Jak mam go zabić?

— Za pomocą tego. — Eigg otworzył pudełko wyjęte z szuflady. — To prymitywna broń z muzealnej kolekcji, ale w pełni sprawna: sam ją naprawiłem i sprawdziłem jak działa. Dorobiłem

też pociski zwane „kulami”. Jest w pełni zautomatyzowana: kiedy naciśniesz palcem tu, na spust, wewnątrz metalowy trzpień wyzwała reakcję chemiczną, w wyniku której miedziano-ołowiany pocisk zwany kulą wylatuje przez ten otwór z przodu. Kula leci wzdłuż linii będącej przedłużeniem linii, która powstaje, gdy spojrzysz przez te dwa zagłębienia na górze. Kula naturalnie ulega przyciąganiu, ale przy tak małym dystansie, to znaczy metr czy dwa, ten czynnik można spokojnie zignorować. Całość nazywa się „pistolet”.

I położył na stoliku czarno oksydowany, metalowy przedmiot o dziwnym kształcie — z jednej strony brzydki, z drugiej mający w sobie groźne piękno. Dawid wziął go i zaskoczony stwierdził, że idealnie pasuje do dłoni i jest doskonale wyważony. Uniósł go powoli, spojrzął przez wycięcia, o których mówił Eigg, i nacisnął spust. Huknęło, pistolet podskoczył i kula trafiła Eigga tuż nad sercem, przewracając go wraz z fotelem do tyłu. Eigg zakrzuszył się własną krwią i znieruchomiał. Był martwy.

— Dawid! Co ty robisz? — w głosie ojca słychać było przerażenie.

Chłopak odwrócił się od trupa, nie poruszony tym, co zrobił, w najmniejszym nawet stopniu.

— Nic nie rozumiesz, tato: Barre i jego zwolennicy są groźbą i wielu ucierpi w wyniku ich działalności. Jak sam jednak powiedziałaś, po jego śmierci sytuacja się zmieni. A co powiesz o tym, co wyście zrobili? Jak można próbować porównać postępowanie nieetycznego Barre’a i to?

Zastrzelił ojca szybko, zanim ten zrozumiał wagę jego słów i zaczął obawiać się tego, co nastąpi. Torrence był bystrzejszy lub też wystarczyło te parę sekund zwłoki — z wrzaskiem przerażenia rzucił się ku drzwiom. Nim zdołał je otworzyć, powaliła go kolejna kula, ale odległość była większa i Dawid nie trafił dokładnie. Podszedł więc do wrzeszczącego i podrygującego na podłodze ciała, wycelował starannie i dobił go strzałem w głowę.

Pistolet zaczął mu ciężać, a on sam czuł się dziwnie zmęczony, gdy wyszedł z biblioteki.

*

Dawid z pistoletem w dłoni wszedł do swego pokoju, z najwyższej półki zdjął misia i położył go na stole.

— Misiu, powyrywam kwiatki z klombu — oznajmił.

— Nie, Davy... — Miś zamachał łapkami. — Brzydko jest wrywać kwiatki... nie wrywaj kwiatków. — To wybiję szybę!

— Nie, Davy... nieładnie jest zbijać szyby... nie tłucz szyb, Davy.

— Misiu, zamierzam kogoś zabić! Cisza i bezruch były jedyną reakcją.

Ciszę przerwał huk wystrzału — pluszowa zabawka eksplodowała fragmentami metalu, przekładni i obwodów scalonych.

— Misiu... powinienes był mi powiedzieć! — jęknął Dawid i w końcu się rozplakał.

Przełożył Jarosław Kotarski

Autoportret

1963

Sztuka bierze się z życia. Sztuka komiksu także — spędziłem zbyt wiele lat w przemyśle komiksowym, bym nie znał go od podszewki. Jako wyszkolony malarz nie widziałem powodów, dla których musiałbym zarabiać malowaniem obrazów, skoro komiks był łatwy, nieźle płatny i wciągał. To znaczy wciągała produkcja, a nie lektura, jako że poza nielicznymi wyjątkami jest to lektura dla półgłówków. Ponieważ robiłem to dla pieniędzy, wyspecjalizowałem się w pociąganiu tuszem ołówkowych rysunków wykonywanych przez innych. W szczytowej formie byłem w stanie zrobić stronę w trzynastcie minut, co jest niezłym osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że jest to półtorej stopy kwadratowej rysunku (12x18 cali). Kupowałem tusz na kwarty i malowałem pędzlem nr 5, który jest całkiem duży i wymaga sporej wprawy przy cienkich liniach, za to zaczernia duże powierzchnie dosłownie w mgnieniu oka.

Ładnych kilka lat po zakończeniu kariery komiksowej podsumowałem swe odczucia odnośnie do tej radosnej działalności na papierze. Realnymi są wszystkie postacie, zwłaszcza wydawca, z którym miałem nieszczęście stykać się osobiście, i to niestety przez dłuższy czas. Wytworem wyobraźni natomiast jest automat — rozwinięcie serii dowcipów krążących wśród braci rysowniczej. Na koniec chciałbym tylko dodać, że zdecydowanie bardziej wolę zarabiać piórem niż pędzlem.

JEDENASTA!!! BIURO MARTINA!

Tak głośno ją kartka przypięta do prawego górnego rogu tablicy. Sam ją tam umieścił i własnoręcznie wypisał pędzelkiem, tuszem marki Funereal India na żółtym papierze. I dużymi literami.

Pachs starał się sobie wmówić, że to kolejna z fanaberii Martina: pouczenie, opieprz albo inne uwagi, i był o tym przekonany pisząc kartkę. Dopiero rano miss Fink wyprowadziła go z błędu konspiracyjnym szeptem:

— Dzisiaj to przywiozła, widziałam na jego biurku rachunek. Wiesz, Mark IX — zamrugła nerwowo i zajęła się jakimiś papierami.

Mark IX. Wiedział, że kiedyś do tego dojdzie, ale nie chciał o tym myśleć i oszukiwał siebie i innych twierdząc, że jest niezastąpiony. Popatrzył na swoje dłonie oparte na tablicy: stare, pobrużdżone i poznaczone plamami wątrobowymi, zawsze trochę brudne od tuszu, z odciskami od pędzla na palcach. Zacisnął dłonie w pięści widząc, że zaczynają drżeć.

Miał prawie godzinę do spotkania z Martinem, toteż postanowił skończyć to, nad czym aktualnie pracował. Przypiął do tablicy kolejną planszę na rysunki i poszukał scenariusza. Strona trzecia chały zatytułowanej „Ramiona miłości” do czerwcowego numeru *Real Range Land Romances*, koncentratu grafomaństwa i tandety. Na szczęście dialogi wpisywane przez miss Fink na maszynie zajmowały przynajmniej połowę miejsca. Westchnął i przeczytał scenariusz pierwszej planszy:

„W domu, Judy płacze, a Robert bardzo zły!”

Głowa numer trzy; narysował odpowiedni owal niebieskim ołówkiem i złożoną z kresek postać z uniesioną ręką w tle. Robot Komiksowy Mark VIII załatwiał resztę. Pachs wsunął do pojemnika planszę, po czym jeszcze szybciej ją wyjął: zapomniał o dymkach, więc pospiesznie naszkicował je razem z zagiętymi w stronę postaci ogonkami i włączył robota.

Urządzenie zawarczało, rozbłysły lampki kontrolne, a Pachs zajął się klawiaturą wprowadzając dane:

DZIEWCZYNA, GŁOWA, PRZÓD, NR 3, SMUTNA, BOHATERKA. Naturalnie dziewczęta w komiksach miały te same twarze: „bohaterka” oznaczało, że maszyna ma nie ruszać włosów, bo ta postać niezmiennie jest blondynką w przeciwieństwie do damskiego „czarnego charakteru” — zawsze brunetki. Z mężczyznami było dokładnie tak samo. Robot

bzyknął i poklekotał sam do siebie, wybierając właściwe wzory z pamięci. Po kilku sekundach coś pstryknęło i gumowy odcisk zastąpił niebieski owal oznaczający twarz.

MEŹCZYŻNA, GŁOWA, PRZÓD, NR 6, SMUTNA, BOHATER.

Drugi stempel zamiast drugiego owalu. W scenariuszu było „zły”, ale to załatwiała uniesiona ręka, jako że we wzorach (jak i w komiksach) były tylko smutne i szczęśliwe postacie.

MEŹCZYŻNA, GARNITUR, RYSUJ.

Zakończony pędzelkiem chwytak opadł i błyskawicznymi pociągnięciami zaczął malować postać w garniturze na niebieskich liniach naniesionych ołówkiem, z zagięciami w tych samych co od pięćdziesięciu lat miejscach, z takim samym krawatem i dodatkami. Dwie krótkie linie połączyły kołnierzyk z odciskiem głowy i pędzel znieruchomiał, za to na ekranie wyświetlił się napis: CZEKAM NA POLECENIA i coś zaburczało.

Pachs dziabnął w klawisz z napisem PIĘŚĆ i napis zgasł, a chwytak z pędzlem wziął się do roboty.

Stary krytycznie przyjrzał się rysunkowi — dziewczę było zdecydowanie za mało nieszczęśliwe, więc domalował jej po łezce w kącikach oczu. Lepiej, ale tła nie ma. Nacisnął przycisk DYMKI patrząc nie widzącym wzrokiem na pracę automatu, po czym, gdy ten skończył, wcisnął kod 473, co oznaczało OKNO W DOMU, Z FIRANKAMI. Pojawiło się w dostosowanej automatycznie do wielkości postaci perspektywie i rozległ się brzęczyk.

Drugi rysunek miał przedstawiać:

„Judy pada na kanapę, Robert próbuje ją uspokoić, jej matka wpada zła w fartuchu”.

Oprócz trzech dymków miał się tam jeszcze zmieścić czterowersowy napis, toteż Pachs, zamiast próbować niemożliwego, czyli zmieścić to wszystko na niewystarczającej przestrzeni przewidzianej na obrazek, zastosował klasyczny chwyt:

MAŁY DOMEK.

Na papierze pojawił się mały domek, z którego wychodziły trzy dymki — niech czytelnik, półanalfabeta i cały kretyn, pogłównkuje trochę i domyśli się, co kto mówi. Pachs był zmęczony i nie zamierzał się przepracowywać.

* * *

Komiks skończył tuż przed jedenastą, ułożył starannie plansze wraz ze scenariuszem i wyczyścił pojemniki na tusz w mechanizmie robota. Trudno powiedzieć dlaczego, ale tusz zawsze wysychał, choć teoretycznie nie powinno to mieć miejsca przez dwadzieścia cztery godziny. Pachs opuścił rękawy, odwiesił zielony daszek przeciwsłoneczny na klosz uchylnej lampy, odruchowo prostując ramiona pomaszerował przez sekretariat, w którym miss Fink uporczywie waliła w klawisze maszyny do pisania, i przez otwarte drzwi wszedł do gabinetu Martina.

— Luis, nie wyglupiaj się — Martin wisiał na telefonie klarując coś rozmówcy tonem ociekającym wazeliną. — Jeśli to kwestia słowa, to czyje lepsze: jakiegoś komiwojażera z Kansas City, czy moje? Właśnie... okay... jasne, Louis, zadzwonię rano... tobie też... i pozdrów Helen.

Martin odłożył z trzaskiem słuchawkę i ponuro spojrzął na Pacha.

— O co chodzi? — warknął.

— Przyszedłem, bo chciał mnie pan widzieć.

— A, prawda... — Martin podrapał się po czuprynie ogryzionym końcem ołówka, dzięki czemu na kołnierzu sypnęła kaskada łupieżu, i poprawił siedzenie w fotelu. — Interes to interes, Pachs, wiesz o tym. Koszty stale rosną i trzeba oszczędzać. Czy ty wiesz, ile kosztuje tona papieru?

— Jeśli pan myśli o następnym obcięciu mojej pensji, to nie wiem czy to możliwe... no, może trochę...

— Nie zamierzam ci obcinać pensji, Pachs, zamierzam cię zwolnić. Kupiłem Mark IX i już zwerbowałem dzieciaka do obsługi.

— Przecież ja mogę obsługiwać, wystarczy mi kilka dni i...

— To nie wchodzi w grę. Dziewczynie płacę grosze, bo jest prosto ze szkoły, a przyuczono ją konkretnie do tego modelu, więc z punktu więcej z niego wyciśnie niż ty po roku. Wiesz, że to nic osobistego, po prostu muszę zmniejszyć koszty. Powiem ci coś: mamy środę, ale zapłacę ci do końca tygodnia i od razu możesz iść do domu.

— Po ośmiu latach to faktycznie wspaniałomyślne — parsknął Pachs, ale Martin był z natury nieczuły na sarkazm czy ironie, więc nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia.

— Nie dziękuj, tyle mogę dla ciebie zrobić — odparł spokojnie i sięgnął po telefon.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia, toteż Pachs wyszedł starając się trzymać prosto i nie odwracać, choć słyszał jak maszyna do pisania zgubiła rytm. Zamiast wrócić do studia wyszedł na korytarz i powoli zamknął drzwi. Przez chwilę stał opierając się o nie plecami, dopóki nie dotarło doń, że choć szyba jest mleczna, to i tak można przez nią dostrzec jego postać. Gdy to sobie uświadomił, czym prędzej odszedł.

* * *

Za rogiem był tani bar, w którym po każdej wypłacie wypijał piwo, i tam skierował swe kroki.

— Dzień dobry szanownej osobie — powitał go robot–barman ciepłym barytonem z celtyckim akcentem. — To co zwykle, mr Pachs?

— Nie, ty plastikowo–gazrurkowa imitacja pijanego Irlandczyka. Podwójną whisky.

— Jak sobie pan szanowny życzy — robot wprawnym ruchem nalał dokładnie odmierzoną ilość alkoholu do szklaneczki i przesunął ją po kontuarze ku klientowi.

Pachs wychylił drinka jednym haustem i poczuł ciepło przebijające się przez otępienie. No to koniec — teraz umieszczą go w Domu Obywateli–Seniorów na resztę życia, czyli praktycznie był już martwy. To było coś, o czym najlepiej było nie myśleć. Kolejna podwójna whisky załatwiła inną kwestię — pieniądze przestały stanowić problem, jako że po tym tygodniu już nigdy nie będzie ani pracował, ani zarabiał, ani wydawał. Dawka alkoholu, do której nie był przyzwyczajony, stępiła ból, toteż postanowił wrócić. Trzeba było zebrać osobiste drobiazgi i odebrać czek, a wolał to zrobić bez świadków i ceremonii.

* * *

— Które piętro pan sobie życzy? — spytała winda.

— Idź w cholerę! — warknął Pachs.

Nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, ile robotów kręci się wokół niego. Dziś zdał sobie z tego sprawę, podobnie jak i z tego, że ich serdecznie nienawidzi.

— Przepraszam, ale takiej firmy nie ma w rejestrze tego budynku — odezwał się robot.

— Piętro dwudzieste trzecie — odparł Pachs wdzięczny losowi, że w windzie nie było nikogo więcej.

* * *

Drzwi prowadzące do studia bezpośrednio z korytarza były otwarte i Pachs zdążył przez nie przejść, zanim zrozumiał powód, a wtedy było już za późno, by się cofnąć — wysłużony Mark VIII leżał na boku w kącie, a na jego miejscu pojawił się czarny walec sięgający prawie do sufitu i dziwnie kojarzący się z sejfem.

— Podłączony i gotów do pracy, mr Martin. Ma stuprocentową gwarancję do końca swoich dni, a ja chciałbym panu dać próbkę jego wszechstronnych umiejętności — oświadczył mężczyzna w szarym kombinezonie, którego odcień doskonale komponował się z obudową automatu.

Obok stali: Martin, miss Fink i szczupła dziewczyna w różowym sweterku obojętnie żująca gumę.

— Proszę mu zlecić konkretne zadanie, mr Martin — powiedział mężczyzna wymachując lśniącym śrubokrętem — okładka do magazynu, powiedzmy. Coś, czego pana robot nie jest w stanie zrobić, i czego dotąd żadna maszyna faktycznie nie była w stanie wykonać...

— Fink! — sapnął Martin i sekretarka pośpiesznie sprawdziła w teczce z ilustracjami.

— Mamy jedną okładkę do skończenia, mr Martin — zameldowała usłużnie. — Miał ją zrobić mr Pachs, ale...

— To do prawdziwej książki i żadne gumowe stemple nie nadają się na okładkę do „Walki prawdziwych zawodowców”.

— Niech się pan nie martwi — mężczyzna wprawnie choć delikatnie wyłuskał szkic z dłoni miss Fink. — Pokażę panu, do czego zdolny jest Mark IX, bo na słowo i tak mi pan nie uwierzy. Wyszkolony operator może go zaprogramować na podstawie szkicu lub opisu, a taśmę z programem można zarówno przechowywać, jak i poprawić w razie konieczności.

Siadł przy umieszczonej z boku klawiaturze i wziął się do roboty. W miarę wpisywania danych z dziurkarki wysuwała się wstęga perforowanej taśmy zwijająca się w szpulę w specjalnym pojemniku.

— Wasz nowy operator jest wszechstronnie przygotowany, więc nie powinno być żadnych problemów. Gotowe, ale mam jeszcze jedno pytanie: czy ma pan specjalne życzenia co do stylu, w jakim okładka ma być zrobiona?

Martin chrząknął, co do złudzenia przypominało odgłos, jaki wydają ogłupiałe wieprze.

— Tak myślałem, że pana to zaskoczy — mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale. — Mark IX może rysować w stylu każdego znanego artysty Złotego Wieku: Raymond, Kubert, Caniff, Giunta, Barry czy Drake. Wystarczy wybrać.

— A Pachs?

— Przepraszam, nie dosłyszałem...

— Żart. Niech będzie Caniff.

Pachs najpierw się zarumienił, potem poczuł wszechogarniający chłód. Miss Fink spojrzała przypadkiem w jego stronę i pospiesznie spuściła wzrok. Pachs miał ochotę wyjść, ale nie mógł. Jeszcze nie mógł.

— ...Tu wkładamy taśmę, centrujemy obiektyw na środek kartki i wciskamy ten guzik. Po zaprogramowaniu może go obsługiwać dziecko albo szympan, na jedno wychodzi. Przy tej pamięci, jaką dysponuje, każdy obiekt na rysunku jest opracowywany osobno, a gotowy łączony w całość z resztą, dzięki czemu automatycznie uzyskuje się zgodność wielkości, perspektywy i układu typograficznego. Pólcienie zresztą także. Gotową kompozycję można obejrzeć na tym ekranie i gdyby zachodziła konieczność wprowadzenia jakichkolwiek poprawek, można to zrobić przy funkcji edycyjnej. Jeśli natomiast jest się zadowolonym z pierwszego projektu, wystarczy nacisnąć przycisk DRUKUJ i proszę — mówiąc to nacisnął tenże guzik.

W robocie coś syknęło i na podłożoną kartkę papieru zjechał z góry prostokątny tłok. Gdy się zetknęły, coś ponownie zasyczało, z boku wyciekła odrobina pary i tłok wrócił do pozycji wyjściowej.

— I jak się panu podoba to dzieło sztuki? — spytał mężczyzna, podając Martinowi kartkę.

Martin ponownie chrząknął, a Pachs zajrzał mu przez ramię. Nie mógł oderwać oczu czując dziwną pustkę w głowie. To był rzeczywiście Caniff, a co gorsze było to coś, czego on, Pachs, nigdy nie potrafiłby tak narysować. Nie był co prawda wybitnym artystą, ale też nie był miernotą. Miał duże doświadczenie zarówno w komiksach, jak i w ilustracjach okładkowych, i w najlepszym okresie był naprawdę dobry. Zawsze był lepszy niż maszyny i wszyscy to przyznawali. Ale to „zawsze” właśnie się skończyło — ten robot bił go na głowę i Pachs był zmuszony uczciwie się z tym zgodzić. Przestał być potrzebny a nawet użyteczny w jedynej dziedzinie, na jakiej się znał. Zdał sobie sprawę, że tak zacisnął pięści, iż paznokcie wbiły mu się w ciało, więc pospiesznie rozprostował dłonie i stwierdził ku swemu zaskoczeniu, że drżą.

Wszyscy pozostali tymczasem wyszli i robot został wyłączony. Pachś czym prędzej zamknął drzwi, bo nie chciał słuchać, co panience w sweterku jest potrzebne, by mogła spokojnie pracować. Wsunął dłonie pod pachy i odczekał aż przestaną się trząść, po czym wziął się do roboty.

Starannie przypiął kartkę do tablicy, ustawił światło, by nie raziło go w oczy, i wprawnymi ruchami podzielił arkusik na standardową stronę komiksu złożoną z sześciu pól, z czego jedno było zdecydowanie większe, a jedno małe. Pracując spokojnie i przerywając jedynie po to, by ocenić z pewnej odległości efekty lub żeby sprawdzić szczegóły, wykonał szkice ołówkiem, odsapnął i zabrał się za tusz. Gdy skończył, było już wczesne popołudnie. Starannie umył swój ulubiony pędzelek marki Windsor and Newton i przyjrzał się całości.

Z korytarza dobiegły głosy. Zdecydował, że zrobił co mógł i najwyższa pora odejść.

Zanim zdążyłyby go ogarnąć wątpliwości, Pachś szybko cofnął się do drzwi, wziął rozpęd i wyskoczył przez okno z dwudziestego trzeciego piętra.

* * *

Panna Fink usłyszała brzęk pękającej szyby i odruchowo wrzasnęła, po czym wpadła do studia i wrzasnęła jeszcze głośniej. Martin wyskoczył z gabinetu klnąc na hałas, lecz zamilkł, gdy dotarło doń co się stało. Wyjrzał przez wybite okno — widziana z tej wysokości mała postać plastyka stanowiła centrum błyskawicznie rosnącego zbiegowiska. Przypominał szmacianą lalkę z dziwacznie powyginanymi kończynami, leżącą częściowo na chodniku, częściowo na jezdni.

— O Boże, niech pan na to spojrzy... — jęknęła panna Fink.

Martin bez słowa podszedł do tablicy, na którą wskazywała, i przyjrzał się starannie wykończonej historyjce. Pierwsza plansza przedstawiała Pachśa pracującego przy tej właśnie tablicy. Druga — Pachśa myjącego pędzel. Na trzeciej podchodził do drzwi, a na czwartej stał przed oknem w efektownej grze światel i cieni. Piąta była widokiem z góry, to znaczy z okna, na postać lecącą wzdłuż ściany budynku ku ulicy. Na ostatniej przedstawiono starannie i z detalami ciało starego mężczyzny, potrzaskane i pokrwawione po zetknięciu się z maską parkującego przy krawężniku samochodu. Wokół stali przerażeni ludzie.

— No nie — mruknął z niesmakiem Martin. — Nie trafił w rzeczywistości w ten wóz, chybił o dobre dwa jardy. Czy nie miałem racji mówiąc, że nie miał oka do szczegółów?

Przekład: Jarosław Kotarski

Milczący Milton

1965

Aby zrozumieć, z czego to opowiadanie wyrosło, trzeba wiedzieć, jakim krajem była Dania wówczas, gdy tam mieszkałem. W całym kraju żyła ledwie garść Amerykanów i wszyscy cieszyli «ię specjalnymi względami. Najciekawsze było to, że Duńczycy zdawali się zupełnie ślepi na sprawy rasowe, kolor skóry nie miał dla nich najmniejszego znaczenia. Więcej nawet, ów naród niebieskookich blondynów uznawał barwę czarną za piękną, i czynił to szczerze. Takie nastawienie przeważało zresztą w całej Skandynawii.

Potem Martin Luther King otrzymał Nagrodę Nobla, a duńskie gazety pełne były relacji z jego wizyty. Wśród ogólnego zainteresowania sprawą ja, będący tam obcokrajowcem, miałem okazję poczuć się dumnym z mojego kraju. Oto działo się coś dobrego.

I było tak, aż pewnego dnia wpadł mi w ręce numer „Time’a” z artykułem o Kingu, gdzie wśród innych materiałów zacytowano wypowiedź pewnego prostaczka, a właściwie, mówiąc wprost, skurwysyna ze stanów południowych USA, szeryfa na dodatek. Typ ten orzekł, że może King jest nawet kimś w Norwegii, ale w jego własnym miasteczku (czyli miasteczku tegoż szeryfa) zawsze będzie tylko jeszcze jednym czarnuchem.

Kontrast był wręcz wstrząsający. Tutaj Dania, tam ciemne Południe... Podczas służby w armii stacjonowałem przez ileś lat w Missisipi, na Florydzie i w Teksasie. Znałem dobrze ten typ szeryfa, ale zdążyłem już zapomnieć o podobnych kuriozach. Ogarnęła mnie złość i postanowiłem rozładować ją w jakiejś możliwej do przyjęcia formie. Całe opowiadanie napisałem za jednym zamachem, ogarnięty białą gorączką, i nie zamierzam nikogo przepraszać, jeśli uzna, że wciąż widać w tym tekście mój ówczesny gniew.

Wielki autobus Greyhounda zahamował zdumiewająco gładko dokładnie przy przystanku i kierowca otworzył drzwi.

— Springville! — krzyknął. — Koniec trasy!

Pasażerowie wysypali się na gorący blask słońca. Sam Morrison został sam na szerokim tylnym siedzeniu. Począł, aż ostatni wysiadający znajdą się przy drzwiach, wyciągnął spod ramienia pudełko po cygarach, wstał i też ruszył do wyjścia. W pierwszej chwili nie tłumiony już przyciemnianymi szybami autobusu blask słońca oślepił go, a wilgotne i rozgrzane powietrze upalnego lata w Missisipi zaparło mu dech w piersiach.

Ostrożnie i patrząc pod nogi zszedł po stopniach, po jednym na raz, i nie zauważył czekającego nań mężczyzny aż do chwili, gdy coś twardego wparło mu się w okolice żołądka.

— Czego szukasz w Springville, chłopcze?

Sam zamrugał i spojrzał przez oprawne w stalowy drut okulary na rosnącego mężczyznę w szarym mundurze, który stał naprzeciwko i mierzył weń krótką i grubą pałką. Był rostry, ale i otyły, wielki brzuch wylewał się zza mocno opuszczonego pasa.

— Ja tylko przejazdem, proszę pana — odparł Sam Morrison.

Wolną ręką zdjął kapelusz, ukazując posiwiałe, krótko przycięte włosy. Przesunął spojrzeniem po poczerwieniałej twarzy i złotej oznace tamtego i opuścił oczy.

— A dokąd niby jedziesz, chłoptasiu? Lepiej nie ukrywaj niczego przede mną...

— Do Carteret, proszę pana, mam autobus za godzinę.

W odpowiedzi usłyszał jedynie nieartykułowane chrząknięcie. Obciążona ołowiem pałka postukała w pudełko po cygarach, które Sam ścisnął pod pachą.

— A tam co masz, spluwę?

— Nie, proszę pana. Nie ośmieliłbym się nosić broni.

Sam otworzył pudełko i pokazał zawartość: trochę metalowych części, odrobina elektroniki i dwucalowy głośniczek, wszystko porządnie polutowane i oplecione drucikami.

— To... radio, proszę pana.

— Włącz.

Sam przycisnął włącznik, poprawił ostrożnie podłączenie paru drucików i z głośniczka zaczęła dobiegać cicha muzyka, ledwie słyszalna ponad warkotem silników autobusów.

Czerwonolicy roześmiał się.

— Prawdziwe radio prawdziwego czarnucha... co za gówno. — Znow przybrał urzędowy ton.
— Pilnuj tego swojego autobusu, słyszysz?

— Tak, proszę pana — powiedział Sam, ale mówił to już do zapoconych pleców odchodzącego.

Ostrożnie zamknął pudełko i skierował się do jaskrawo pomalowanej poczekalni, ale gdy zajrzał tam przez okno, stwierdził, że jest pusta. Nigdzie na ulicy nie było widać żadnych czarnych twarzy. Nie zwalniając kroku, Sam minął poczekalnię i klucząc pomiędzy zaparkowanymi autobusami, dotarł do tylnej bramy. Całe swe sześćdziesiąt siedem lat przeżył w stanie Missisipi i potrafił wyczuć, kiedy szykują się jakieś kłopoty. Jediną radą na takie kłopoty było trzymać się z daleka. Szedł uliczkami, które stawały się coraz węższe, coraz bardziej zapuszczone. Znajome chodniki doprowadziły go w końcu do drzwi, nad którymi widniał złuszcający się napis BAR. Do środka wchodził akurat jakiś facet w poplamionym kombinezonie, takim, w jakich pracuje się na polu. Sam też się tam skierował; poczeka tu do odjazdu autobusu.

— Butelkę jaxa poproszę.

Położył kilka monet na mokrym i odrapanym kontuarze i wziął chłodną butelkę.

Barman nie odezwał się ani słowem, nie dał też szklanki. Zrobiwszy swoje, wycofał się na krzesło na drugim końcu baru i przytknął głowę do mruczącego z cicha radia, ciemny i niewzruszony. Jedyne światło we wnętrzu wpadało z ulicy i boksy w głębi wyglądały wręcz odstręczająco. Klientów było tylko kilku, każdy z nich siedział przy swoim stoliku z butelką piwa przed oczami. Sam przepchnął się między ciasno ustawionymi stolikami i już zamierzał przycupnąć w boksie przy tylnych drzwiach, gdy zorientował się, że ktoś już tam siedzi po drugiej stronie stołu.

— Przepraszam, nie zauważyłem — powiedział Sam. Chciał się cofnąć, gdy mężczyzna machnął zapraszająco w kierunku ławy, wziął ze stołu torbę z reklamą TWA i postawił ją obok siebie na podłodze.

— Starczy miejsca i dla dwóch — powiedział, unosząc znacząco swą butelkę piwa.

Sam upił łyk, ale tamten opróżnił od razu połowę zawartości. W końcu opuścił butelkę i westchnął z ulgą.

— Paskudztwo — powiedział.

— Wydawało mi się, że panu smakuje — odparł Sam, uśmiechając się przy tym z leciutką ironią.

— Bo jest zimne i mokre, ale tylko dlatego. Wiele bym oddał za butelkę budweisera lub ballentine'a.

— Domyślam się, że jest pan z Pomocy? — Świadczyć o tym mógł też wyraźny akcent i ostra intonacja towarzysza od stolika. Dopiero teraz Sam zauważył, że jest to młody, dwudziestoparoletni mężczyzna o lekko ciemnej skórze, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na jego twarzy malowało się jakby napięcie, a zmarszczki na czole wydawały się wpisane tam na trwałe.

— Racja, cholera. Jestem z Północy i wracam... — Raptownie sięgnął znów po butelkę. — A pan jest z tych okolic? — spytał, jakby naszły go jakieś podejrzenia.

— Urodziłem się niedaleko stąd, ale teraz mieszkam w Carteret. Czekam tylko na przesiadkę.

— Carteret to tam, gdzie jest uczelnia?

— Zgadza się. Uczę tam.

Po raz pierwszy młodzieniec zdobył się na uśmiech.

— No to mamy coś wspólnego. Ja jadę na uniwersytet w Nowym Jorku, zajmuję się ekonomią. — Wyciągnął dłoń. — Charles Wright, wszyscy prócz matki mówią mi Charlie.

— Miło pana poznać — powiedział Sam powoli, z nieco staroświecką uprzejmością. — Jestem Sam Morrison. Sam i w życiu i w papierach.

— Interesuje mnie pańska uczelnia, chciałem tam nawet wstąpić, ale... — Młodzieniec urwał nagle, słysząc dochodzący z ulicy warkot samochodu i pochylił się, by dojrzeć drzwi baru. Trwał tak, aż samochód zmienił bieg i odjechał. Dopiero wtedy opadł z powrotem na krzesło. Strumyki potu spływały mu po czole, gdy upił kolejny szybki łyk. — Nie spotkał pan przypadkiem na dworcu autobusowym takiego dużego gliniarza ze sporym kałdunem i obliczem jak burak?

— Owszem, widziałem go. Zaczepił mnie, ledwie wysiadłem z autobusu.

— To sukinsyn!

— Nie ma się co podniecać. To tylko policjant na służbie i robi swoje.

— Tylko...! — Młodzieniec uzupełnił kwestię krótkim, soczystym słowem. — To Brinkley, musiał pan o nim słyszeć, najpaskudniejszy typ na południe od Bombingham. Przyszłej jesieni zamierza wygrać wybory na szeryfa, a już teraz jest szyczą w Klanie. Prawdziwa podpora tutejszej społeczności.

— Takie gadanie przysporzy panu tylko kłopotów — zauważył półgłosem Sam.

— Wuj Tom też tak mówił i o ile pamiętam, umarł jako niewolnik. Ktoś musi wreszcie powiedzieć to głośno, nie można wciąż milczeć.

— Tekst jak z wiecu. — Sam spróbował przybrać surową minę, ale nigdy nie wychodziło mu to za bardzo.

— No dobrze, jeśli chce pan wiedzieć, to jestem jednym z wiecujących, ale koniec.

Wracam do domu. Boję się i nie wstydę się przyznać do strachu. Wy żyjecie tu w dżungli, nie zdawałem sobie sprawy, jak paskudnie to wygląda, nim nie ujrzałem Południa na własne oczy. Pracowałem w Komitecie Wyborczym, a ten tam, Brinkley, usłyszał o tym i przyrzekł, że albo mnie zabije, albo wpakuje na resztę życia za kratki. I wie pan, uwierzyłem mu.

Wyjeżdżam dzisiaj, czekam tylko na samochód, który mnie zabierze. Wracam na Północ, tam moje miejsce.

— Domyślałem się, że tam też nie bywa łatwo...

— Może. — Charlie dokończył piwo i wstał. — Ale nie ma porównania z tym, co zobaczyłem tutaj. Nowy Jork to nie raj, ale żyje się zupełnie znośnie. Wyrosłem na południu Jamajki, tam było ciężko, a teraz mamy własny dom, porządną sąsiedów... Jeszcze jedno piwo?

— Nie, dziękuję, jedno mi wystarczy.

Charlie wrócił z nowym piwem i zaraz podjął wątek.

— Może jesteśmy na Północy obywatelami drugiej kategorii, ale jednak liczy się nas pośród obywateli i też mamy szansę zdobyć coś dla siebie, trochę własnego szczęścia. I ma się szansę dożyć późnej starości. Tutaj człowiek jest wyłącznie bydłem, wystarczy, by miał nie ten kolor skóry.

— Tego bym nie powiedział, sprawy mają się coraz lepiej. Mój ojciec robił całe życie w polu, był synem niewolnika, a ja jestem nauczycielem akademickim. To już jakiś postęp.

— Niby jaki? — Charlie uderzył w stół, ale przyciszył głos do gniewnego szeptu. — Co z tego, że jedna setna procenta Murzynów zdobywa jakieś wykształcenie i ciągnie dalej na prowincjonalnych uczelniach? Proszę zrozumieć, nie chcę pana urazić, robi pan swoje, i bardzo dobrze, ale na każdego pana podobnego przypada tysiąc innych, którzy rodzą się, żyją i umierają w skrajnym brudzie i smrodzie i rok za rokiem mija im bez żadnej nadziei. To są miliony ludzi. Gdzie ten postęp? A nawet pan... czy nie wolałby pan uczyć na jakimś uznanym uniwersytecie?

— Nie. — Sam się roześmiał. — Jestem tylko zwykłym belfrem. Wbijanie studentom do głów podstawowych wiadomości z zakresu geometrii i algebry jest wystarczająco trudne.

Gdybym jeszcze miał wyjaśniać im zagadnienia topologii czy algebry Boole'a...

— Czyjej? Nigdy o tym nie słyszałem.

— No, to jest nieinterpretowalny rachunek logiczny, szczególna gałąź matematyki. Nie bardzo potrafię to wyjaśnić, chociaż poruszam się w tym dość łatwo. Wyższa matematyka to moje hobby. Gdybym pracował na jakiejś wielkiej uczelni, to nie miałbym czasu na takie rzeczy.

— Skąd pan może wiedzieć? A gdyby mieli jakiś porządny komputer, nie przydałby się panu?

— Zapewne tak, oczywiście. Ścieżki już wydeptałem, żeby uzyskać dostęp do jakiegoś.

W końcu się uda.

— A jak długo może pan jeszcze na to czekać? — spytał cicho Charlie i zaraz zrobiło mu się przykro, gdy ujrzał, jak starszy pan opuszcza w milczeniu głowę. — Cofam to. Mam niewyparzoną gębę. Przepraszam, złość mnie wzięła. Ale czy może pan wiedzieć na pewno, ile udałoby się panu dokonać, gdyby miał pan stosowne kwalifikacje i wyposażenie... — Zamknął się, pojmując, że z każdym słowem tylko pogarsza sprawę.

Przez chwilę w rozgazanym wnętrzu słychać było jedynie odległy warkot ruchu ulicznego i cichą muzykę z radia za barem. Barman wstał, wyłączył odbiornik i zniknął na zapleczu, by przynieść kolejną skrzynkę piwa. Muzyka jednak nie umilkła, aż Charlie zrozumiał, że dochodzi ona z leżącego obok na stole pudełka po cygarach.

— Ma pan w tym radio? — spytał szczęśliwy, że może zmienić temat.

— Tak, nie... chociaż odbiera fale radiowe.

— Czy może pan mówić jaśniej? Jak wspominałem, zajmuję się ekonomią...

Sam uśmiechnął się, otworzył pudełko i wskazał na misternie podłączone obwody.

— Zbudował je mój bratanek. Ma mały sklepik dla majsterkowiczów. Wcześniej służył w lotnictwie i nauczył się sporo o elektronice. Dałem mu rysunki, a on połączył wszystko jak trzeba.

Charlie pomyślał o specu od elektroniki, który musi prowadzić tani sklepik, ale uznał, że nie ma już sensu ruszać tego tematu.

— I co to ma robić?

— W zasadzie nic. Chciałem tylko zobaczyć, czy moje obliczenia dadzą coś w praktyce. Pewnie nie słyszał pan zbyt wiele o Einsteinowskiej jednolitej teorii pola...?

Charlie uśmiechnął się przepaszajaco i uniósł dłonie, poddając się bez walki.

— Trudno to wyjaśnić. Mówiąc najprościej, podejrzewa się, iż wszystkie zjawiska są ze sobą w jakiś sposób powiązane niezależnie od tego, czy manifestują się poprzez materię, czy energię. Coś jak zwykła przemiana energii cieplnej w mechaniczną w silniku, elektrycznej w światło...

— W żarówce!

— Właśnie. Idąc dalej, istnieje postulat, że czas oddziałuje na energię świetlną w podobny sposób jak grawitacja na światło. To drugie zostało już dowiedzione. Czy grawitacja ma energię elektryczną? Tym się właśnie zajmuję. Przyjąłem, że stany energetyczne związane są ze stałą grawitacji i że stany te można zmierzyć, podobnie jak dają się określić linie pola magnetycznego wokół magnesu... chociaż nie, lepiej opisać to w odniesieniu do idealnego drutu przewodzącego prąd w warunkach nadprzewodnictwa superniskich temperatur...

— Zgubiłem się, profesorze. I wcale mi nie wstyd. Czy mógłby pan podać jakiś prostszy przykład? Albo powiedzieć po prostu, co takiego niezwykłego dzieje się w tym radiu?

Sam poruszył coś ostrożnie i muzyka przycichła do progu słyszalności.

— Nie części radiowe są tu najważniejsze, ale to, że całość działa. Wykazałem w ten sposób, że istnieje pewien przeciek... nie, winienem powiedzieć raczej, że istnieje pewna różnica między stałą grawitacji pola ziemskiego a polem tego kawałka ołowiu, który tkwi w rogu pudełka.

— A gdzie są baterie?

Sam uśmiechnął się z dumą.

— I o to właśnie chodzi. Nie ma baterii. Obwód zasilania nie jest zamknięty...

— Chce pan powiedzieć, że to radio gra na grawitację? Czerpie elektryczność z niczego?

— No, tak by można powiedzieć, chociaż dokładnie to oczywiście, że nie. Tak naprawdę...

— Ale tak to właśnie wygląda! — Podekscytowany Charlie pochylił się nad stołem, by zajrzeć do pudełka. — Może nie mam bladego pojęcia o elektronice, ale podczas studiów ekonomicznych mieliśmy sporo o źródłach energii. Czy ta pańska zabawka mogłaby zostać tak rozbudowana, aby produkować energię elektryczną przy znikomych kosztach własnych lub zgoła za darmo?

— Nie od razu, to dopiero pierwsza próba...

— Ale ostatecznie byłoby to możliwe, a to oznacza...

Sam pomyślał, że młodemu człowiekowi zrobiło się nagle niedobrze. Oddalona ledwie o kilka cali twarz okryła się szarością, a oczy patrzyły w przerażeniu w coś za plecami Sama. Charlie

opadł powoli na krzesło, a zanim starszy pan zdołał spytać go o cokolwiek, inny głos zagrzemiał w pomieszczeniu:

— Czy ktoś widział tu może chłopaka imieniem Charlie Wright? Gadać. Nie bać się, nie dam skrzywdzić nikogo, kto powie prawdę.

— Święty Jezu... — szepnął Charlie, osuwając się jak najniżej na krześle.

Brinkley podszedł do kontuaru i rozejrzył się po mrocznym wnętrzu. Nikt mu nie odpowiedział.

— Kto będzie go ukrywał, narobi sobie kłopotów! — krzyknął gniewnie gliniarz. — I tak znajdę tego czarnego matacza!

Ruszył ku tyłom baru. Charlie złapał torbę, zanurkował w cień boksu i ruszył ku tylnym drzwiom.

— Wracaj, sukinsynu!

Stół zakołysał się, potrącony przez Charliego, i pudełko po cygarach spadło na podłogę. Zadudniły ciężkie buciory. Drzwi otworzyły się z piskiem i Charlie wybiegł z baru, a Sam pochylił się, by podnieść swoje pudełko.

— Przysięgam, że ukatrupię drania!

Obwody nie były uszkodzone. Sam odetchnął z ulgą i wstał. Z pudełka wciąż sączyła się cicha muzyka.

Mógł usłyszeć jeszcze pierwszy strzał, ale z pewnością nie słyszał już drugiego, gdyż kula kalibru 38 trafiła go dokładnie w potylicę, zabijając na miejscu. Bezwładnie padł na podłogę.

Marger, policjant z patrolu, wyskoczył z radiowozu z bronią w dłoni i wbiegł do baru, ale ujrzał, jak Brinkley wraca spokojnie tylnymi drzwiami na salę.

— Uciekł, skurwiel.

— A co tu się stało? — spytał Marger, chowając broń do kabury i spoglądając na skulone na podłodze, martwe ciało.

— Nie mam pojęcia. Musiał wyskoczyć mi na strzał, gdy waliłem do tamtego. Pewnie też jakiś komunista, siedzieli przy jednym stoliku.

— Będą z tego kłopoty...

— Jakie kłopoty? — spytał Brinkley głosem pełnym świętego oburzenia. — Przecież to był tylko jakiś murzyński staruch.

Odwracając się, nastąpił ciężkim buciorem na pudełko po cygarach, miażdżąc je całkowicie.

Przełożył: Radosław Kot

Przestępstwo

1966

Nie lubię się powtarzać. Są tacy pisarze, na przykład Philip K. Dick, którzy piszą nieustannie na nowo tę samą książkę. Choć całe swe myślenie i twórczość podporządkowują jednemu tylko tematowi, każde następne dzieło okazuje się jednak oryginalne i wciągające. Ja jednak postrzegam świat na tyle interesującym i złożonym, że wiem doskonale, iż życia mi nie starczy, by napisać o wszystkim, co warte jest wspomnienia.

Z problemem przeludnienia sprawa ma się jednak nieco inaczej. Tego nie można zignorować, puścić mimo uszu. Z każdym rokiem sytuacja się pogarsza, grożąc zagładą naszej cywilizacji i nas samych, a rządy świata wciąż nic nie robią, by kwestii zaradzić. Cholera mnie bierze, gdy o tym pomyślę. Napisałem *Przestrzeni! Przestrzeni!*, by przedstawić nieco spekulacji na temat: co się stanie, jeśli nie zapobieże się najgorszemu. Oczywiście książka nie zmieniła niczego, tymczasem lata mijają i widoki na przyszłość są coraz bardziej ponure, ja zaś niezmiennie zdumiewam się nad głupotą i samolubnością gatunku ludzkiego.

W nastroju takiego właśnie gniewnego zdumienia pisałem poniższe opowiadanie. Nie sądzę, by przedstawione w nim prawa zostały kiedykolwiek wprowadzone, jednak jestem przekonany, iż podobne, ekstremalne kodyfikacje staną się w pewnej chwili dość oczywistym wyborem, by zastąpić inne, o wiele gorsze zasady, które i tak uturują sobie drogę. Zaszliśmy już za daleko i nie ma drogi odwrotu. Wiadomo, że miliony ludzi będą musiały umrzeć z braku żywności i miejsca do życia. Już dzisiaj umierają.

Zanim kiedyś zacznie działać się lepiej, najpierw przyjdzie nam przetrwać czas o wiele gorszy.

Pierwsze uderzenie młotka wstrząsnęło drzwiami we framudze, drugie solidnie nadwerżyło sklejkę. Nie czekając na trzecie, Benedict Vernall otworzył drzwi i wcisnął lufę rewolweru w brzuch mężczyzny z młotem.

— Spływaj. Wynoś się stąd — powiedział Benedict, nie potrafił jednak opanować drżenia w głosie.

— Nie bądź pan głupi — odparł cicho policjant i odsunął się, pozwalając dojrzeć dwóch stojących za nim mundurowych. — Wykonuję tylko moje obowiązki. W razie ataku ci tutaj mają przykazane zastrzelić pana i wszystkich obecnych w tym mieszkaniu. Niech się pan zastanowi. Nie pan pierwszy. Tak już jest.

Jeden ze strażników szczęknął bezpiecznikiem karabinka automatycznego i zerknął znacząco na Benedicta, który powoli opuścił broń.

— Tak już lepiej — mruknął oficer i raz jeszcze stuknął młotem w gwóźdź, by dobrze siedział w drewnie.

— Weź to cholerstwo — wycodził przez zęby Benedict.

— Panie Vernall... — Oficer (odpowiedzialny etatowo za aresztowania i tym podobne akcje) poprawił okulary i spojrzał na umieszczony przed chwilą na drzwiach dokument. — Informuję pana niniejszym, że zgodnie z regulacjami zawartymi w ustawie z roku 1999, dotyczącej karalności za nielegalne akty narodzin, został pan uznany winnym wykroczenia przeciwko obowiązującemu prawu i jako kryminalista zostaje pan wyłączony spod przysługującej obywatelom tego suwerennego państwa opieki i ochrony przed czynną napaścią...

— I pozwolicie, by jakiś szaleniec mnie załatwił? Co to za idiotyczne prawo?

Oficer zdjął okulary i spojrzał chłodno na Benedicta.

— Panie Vernall, sam pan sobie nawarzył tego piwa. Ma pan nielegalne dziecko czy nie?

— Jakie tam nielegalne... Zwykłe niemowlę, nikomu nie szkodzi...

— Ma pan już dwoje dzieci, na które pozwala prawo, czy nie?

— Mam dwoje, ale...

— Odrzucił pan wszelką pomoc czy radę kliniki rejonowej. Siłą usunął pan z mieszkania urzędnika planowania rodziny, który przyszedł z panem porozmawiać. Nie skorzystał pan z usług kliniki aborcyjnej...

— To mordercy!

— ...oraz pomocy Rady Planowania Rodziny. Podczas przysługujących panu sześciu miesięcy nie podjął pan żadnych działań. Otrzymał pan trzy ostrzeżenia na piśmie, lecz nie odpowiedział na żadne. W skład pańskiej rodziny wchodzi wciąż jeden nadprogramowy konsument, na którego istnienie ustawa nie pozwala. Teraz może pan już winić tylko siebie, panie Vernall.

— Ale to nieludzkie prawo.

— Niemniej obowiązuje nas wszystkich — odparł oficer, prostując się urzędowo. — Nie nam się nad tym zastanawiać. — Wyjął z kieszeni gwizdek i uniósł go do ust. — Moim obowiązkiem jest przypomnieć panu, że nawet w tej chwili może się pan jeszcze zdecydować. Wciąż może pan skorzystać z usług kliniki eutanazyjnej.

— Wynoś się do diabła!

— Taak. Już to słyszałem. — Zadał w gwizdek i niemal się uśmiechnął, gdy Benedict zatrzaskał drzwi mieszkania.

Od strony schodów rozległ się niemal zwierzęcy ryk. Policjant, który dotąd blokował przejście, odsunął się i splątany kłęb ludzi runął naprzód, walcząc w biegu. Pierwszy, który wysforował się przed innymi, dostał nagle pięścią w głowę i padł pod stopy krzyczącej i przeklinającej gromadki. Nie było widać następnego lidera i losowanie wisiało w powietrzu, gdy kilka jardów przed drzwiami biegnący w pierwszym szeregu mężczyzna potknął się i pociągnął za sobą jeszcze dwóch. Niewielki, tusty gość przeskoczył nad splątanymi ciałami i runął na drzwi Vernalla z taką siłą, że trzymany w wyciągniętej dłoni długopis przedziurawił papier postanowienia sądowego i wbił się w drewno.

— Ochotnik został wybrany — krzyknął oficer.

Mundurowi zaczęli spychać gardłujący tłumek z powrotem ku schodom. Na podłodze został jeden stratowany mężczyzna, nieprzytomnie wgryzający się zaślinionymi ustami w wytarty chodnik. Zaraz zajęło się nim dwóch ubranych na biało sanitariuszy. Jeden wbił poszkodowanemu igłę w szyję, drugi zaczął rozkładać nosze.

Ochotnik tymczasem wpisał pod czujnym okiem oficera swoje nazwisko w odpowiednią rubrykę postanowienia sądowego i schował długopis.

— Miło mi przyjąć pana zgłoszenie do wykonania tego ważkiego obowiązku w służbie publicznej, panie... — oficer pochylił się, by zerknąć na dokument — panie Mortimer.

— To moje imię — powiedział zgrzytliwie ochotnik, ocierając czoło chusteczką.

— To zrozumiałe, pana prawo do anonimowości zostanie uszanowane. To prawo wszystkich ochotników. Czy słusznie podejrzewani, że zna pan też pozostałe punkty regulaminu ochotników?

— Owszem. Paragraf czterdziesty trzeci ustawy o karaniu za nielegalne akty narodzin, podpunkt czternasty, dotyczący selekcji ochotników. Po pierwsze, zgłosiłem się na maksymalny czas dwudziestu czterech godzin. Po drugie, nie będę w tym czasie usiłował wywierać presji ani stosować agresji wobec innych członków społeczeństwa, a jeśli to uczynię, będę zgodnie z prawem odpowiadać za moje uczynki.

— Bardzo dobrze. I co jeszcze?

Mortimer złożył starannie chusteczkę i wsunął ją do kieszeni.

— Po trzecie — powiedział, uklepując kieszeń — nie będę pociągany do odpowiedzialności prawnej ani żadnej innej, jeśli pozbawię życia inkryminowanego osobnika, niejakiego Benedicta Vernalla.

— Właśnie tak — przytaknął oficer i wskazał na sporą walizkę, którą jeden z policjantów ustawił na podłodze i otworzył. Z sieni usunięto tymczasem wszystkich postronnych. — Gdyby zechciał pan tu podejść i dokonać wyboru... — Walizka pełna była narzędzi mordu. — Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z zagrożenia, na które wystawia się w najbliższym czasie, i wie pan, iż organa prawa nie będą w stanie go ochronić przed zranieniem czy nawet śmiercią?

— Nie jestem taki głupi — uciał Mortimer i wskazał na wnętrze walizki. — Chcę granatnik.

— Tego nie może pan dostać — odparł oschle urażony oficer. — Nie stosuje się ich w terenie zabudowanym, gdzie istnieje ryzyko zranienia osób postronnych. Szczególnie w budynkach. Może pan jednak wybrać którąś z broni o mniejszej sile rażenia.

Mortimer splótł palce i pochylił głowę, jakby zamierzał się modlić. Spojrzał uważnie na zawartość walizki: pistolety maszynowe, granaty, noże, kastety, ampułki z kwasem, bicz, rewolwery, brzytwy, obtłuczone butelki, zatrute strzałki, morgensterny, granaty z gazem paraliżującym i łzawiącym...

— Ile mogę wziąć?

— Niech pan bierze po prostu wszystko, co uzna pan za przydatne. Tylko niech pan pamięta, że z każdego przedmiotu będzie się pan musiał potem rozliczyć.

— Chcę pistolet maszynowy reisling z pięcioma magazynkami, nóż komandoski z zadziornymi i pistolet z gazem łzawiącym.

Oficer szybko odhaczył stosowne pozycje na formularzu.

— Czy to wszystko?

Mortimer przytaknął i nie czytając formularza, złożył podpis na dole strony, po czym zaczął wpychać do kieszeni wyposażenie i amunicję.

— Ma pan dwadzieścia cztery godziny — powiedział oficer, spoglądając na zegarek. — Do siedemnastej czterdzieści pięć dnia jutrzejszego.

* * *

— Proszę, Ben, odejdz od drzwi — błagała Maria.

— Cicho — wyszeptał Benedict, przyciskając ucho do sklejki. — Chcę usłyszeć, co tam mówią. — Ze zmarszczonymi brwiami usiłował zrozumieć choć kilka słów. — Nie jest dobrze — mruknął, odwracając się. — Nic nie słyszę. Chociaż i tak... wiadomo, o co chodzi.

— Ktoś przyjdzie cię zabić — powiedziała Maria swym zwykłym głosem małej dziewczynki. Dziecko zapiszczało i przytuliła je mocniej do siebie.

— Proszę, idź do łazienki, jak się umówiliśmy. Masz tam łóżko, żywność i nie ma okien. Siądź pod ścianą obok drzwi, a będziesz bezpieczna. Zrób to dla mnie, kochanie. Niech chociaż o was nie muszę się martwić.

— Ale wtedy zostaniesz tu całkiem sam.

Benedict przygarbił nieco szerokie ramiona i mocniej ścisnął w dłoni pistolet.

— Tu jest moje miejsce. Mężczyzna powinien stawiać czoło niebezpieczeństwu w obronie rodziny. Zawsze tak było.

— Rodzina... — powiedziała Maria i nagle rozejrzała się wokół. — A gdzie Matthew i Agnes?

— Bezpieczni z twoją matką. Obiecała się nimi zająć, aż się zjawimy. Wolałbym, żebyś też tam poszła.

— Nie, nie mogę. Nie teraz. Nie zostawię małego, byłby głodny.

Spojrzała na niemowlę, które wciąż popiskiwało. Zaczęła rozpinać górę sukni.

— Proszę, kochanie — powiedział Benedict, odsuwając się od drzwi. — Idź z dzieckiem do łazienki i zostań tam. Tak trzeba. On może przyjść w każdej chwili.

Posłuchała go niechętnie. Począł, aż zamknie za sobą drzwi i przekręci klucz w zamku. Potem spróbował usunąć z myśli nazbyt rozpraszaający go obraz żony i dziecka.

Przygotował sobie wszystko już wcześniej i teraz obszedł tylko powoli mieszkanie, sprawdzając, czy niczego nie przeoczył. Przede wszystkim spojrzął na drzwi, jedyne wejście do mieszkania. Były zamknięte, zaryglowane, z założonym łańcuchem. Pozostało tylko zastawić je szafą, by napastnik nie mógł sforsować ich bezgłośnie. Gdy się przedrze, Benedict będzie czekał już na niego z bronią. Drzwi zatem miał z głowy.

W kuchni i łazience nie było okien, więc te dwa pomieszczenia mógł pominąć. Co innego sypialnia, której okno wychodziło na drabinę przeciwpożarową. Ale i to przemysłał.

Okno zostało starannie zamknięte i zabójca musiałby wybić szybę. Brzęk szkła to wystarczające ostrzeżenie. Benedict miałby dość czasu, by przepchnąć kanapę pod drzwi sypialni. Nie chciał robić tego już teraz, na wypadek, gdyby sam musiał się wycofywać do sypialni.

Pozostał tylko salonik, miejsce wybrane na bastion obrony. Miał dwa okna, z czego dalsze dość blisko drabiny przeciwpożarowej, zabójca mógłby więc próbować przez nie wejść. Drugie było za daleko, ale dawało dostęp kulom, gdyby ktoś usadowił się w budynku po drugiej stronie podwórza. Tak czy inaczej, jeden z kątów saloniku znajdował się w martwym polu ostrzału; tam należało usiąść. Benedict przepchnął wielki fotel pod ścianę i sprawdzwszy raz jeszcze, czy oba okna zostały zamknięte, usiadł.

Broń wsparł na kolanach i wycelował w dalsze okno, to obok drabinki na zewnątrz budynku, gotów zastrzelić każdego, kto by usiłował przez nie wejść. Bliższe okno nie stanowiło żadnego niebezpieczeństwa, jak długo nie stanie się przy parapecie. Cienkie zasłony pogrzyły pokój w półmroku, dając szansę dostrzeżenia intruza, zanim ten zauważy Benedicta. Obracając pistoletem ledwie o kilkanaście stopni, miał on w polu ostrzału całe pomieszczenie, od okien do drzwi przedpokoju. Gdyby cokolwiek się działo przy wejściu do mieszkania, wystarczyłoby kilka kroków, aby tam zajrzeć. Zrobił, co w jego mocy. Oparł się wygodnie w fotelu.

Światło dnia zaczęło gasnąć i pokój pogrzył się w ciemności mącznej jedynie poblaskiem miasta przezierającym przez zasłony. Było bardzo cicho i tylko sprężyny fotela jęczały pod nim, ilekroć zmieniał pozycję. Po kilku godzinach zorientował się, że w całym misternym planie nie uwzględnił jednego. Chciało mu się pić.

Z początku próbował zignorować pragnienie, ale o dziewiątej wyschnięte usta zaczęły przypominać papier ścierny. Wiedział już, że nie wytrzyma tak całej nocy, wrażenie było zbyt dokuczliwe. Trzeba było zabrać jakieś większe naczynie z wodą. Najlepiej byłoby wstać jak najszybciej i przynieść coś stosownego, nie chciał jednak opuszczać bezpiecznego kąta.

Zabójca nie dał do tej pory nawet znaku życia, co czyniło jego milczącą obecność tym groźniejszą.

Potem usłyszał, że woła go Maria. Z początku cicho, jednak z czasem to coraz głośniej. Niepokoiła się. Czy wszystko z nim w porządku? Nie śmiał odpowiedzieć, nie z tego kąta. Pozostało podejść do drzwi łazienki i szepnąć, by się uciszyła. Może wtedy zaśnie, a on weźmie z kuchni jakiś dzbanek z wodą.

Wstał jak najciszej i napiął zdrętwiałe mięśnie nóg. Nie spuszczać wzroku z szarego prostokąta drugiego okna, zsunął ostrożnie buty i na palcach przeszedł przez pokój. Maria zawodziła coraz głośniej, stukając w drzwi łazienki. Trzeba ją uciszyć. Czy ona nie rozumie, na jakie niebezpieczeństwo go naraża?

Mijał właśnie drzwi na korytarzyk, gdy w pokoju rozbłysło światło.

— Co ty wyrabiasz?! — krzyknął na stojącą obok włącznika Marię, oślepiiony nagłym blaskiem.

— Tak się martwiłam...

Przerwał jej brzęk tłuczonej szyby i jazgot pistoletu maszynowego. Nagły impuls bólu przeszył ciało Benedicta, który szczupakiem zanurkował do przedpokoju.

— Do łazienki! — krzyknął i wystrzelił w ciemne drzwi.

Ledwie słyszał przytłumiony płacz Marii, gdy dziewczyna zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. Na chwilę zapomniał o bolesnych ranach. W powietrzu niebieskawą mgiełką rozchodził się cierpki i smrodliwy dym wypalonego prochu. Coś stuknęło w saloniku, strzelił w ciemność. Skrzywił się, gdy w odpowiedzi cała seria kul podziubała tynk naprzeciw drzwi.

Ogień ustał, ale Benedict nie opuszczał broni. W końcu pojął, że zabójca nie sięgnie go na podłodze pod ścianą, obok otwartych drzwi. Żeby to uczynić, musiałby wejść do korytarzyka, a wówczas sam wystawi się na strzał. Kolejne pociski uderzyły w mur, ale Benedict nie odpowiedział. Gdy cisza przeciągnęła się ponad minutę, wysunął bębenek broni i wyjął puste łuski, zastępując je nowymi nabojami. Wokół jego nogi rozlewała się z wolna kałuża krwi.

Mierząc wciąż w drzwi, podwinął niezgrabnie lewą nogawkę i spojrzął na nogę. Krew ciekła po kostce, przemoczyła już całą skarpetkę. Kula przeszła przez mięśnie łydki, zostawiając dwa okrągłe otwory, z których ciurkiem sączyły się czerwone strużki. Benedict wpatrywał się w ranę jak zauroczony, aż opamiętał się i znów wycelował w drzwi. W saloniku panowała cisza. Piekło go też z boku, ale gdy podniósł koszulę, stwierdził, że ta druga rana, chociaż bolesna, nie jest tak groźna. Ledwie zadraśnięcie, kula musiała zrykoszetować po krzywiznie żebra. Krwawienie było dość słabe. Ale z nogą trzeba coś zrobić.

— Szybki jesteś, Benedict, moje gratulacje...

Benedict odruchowo wysłał dwie kule w ciemność pokoju, ale odpowiedział mu tylko śmiech.

— Te nerwy, Benedict, te nerwy... Nawet jeśli zamierzam cię zabić, to nie znaczy jeszcze, że nie możemy sobie pogadać.

— Jesteś bydlę, zafajdane bydlę — zaczął Benedict, zaraz potem sięgając po przekleństwa i obsceniczne porównania, których nie używał, ba, nie słyszał nawet od ukończenia szkoły. Umilkł raptownie, pomyślawszy, że przecież Maria też pewnie go słyszy. Nigdy jeszcze nie przeklinał przy niej.

— Ponosi nas, co, Benedict? — roześmiał się znów tamten. — Obelgi nic nie zmieniają.

— Czemu nas nie zostawisz? Idź sobie, nie będę cię zatrzymywał — powiedział Benedict, wolno wyciągając lewą rękę zza koszuli. — Nie chcę cię więcej widzieć, nie chcę cię znać. Czemu sobie nie pójdiesz?

— Obawiam się, że to nie takie proste. Sam ściągnąłeś sobie kłopoty na głowę, można powiedzieć, że zwabiłeś mnie tutaj. Jak czarnoksiężnik przyzywający złe moce. Miłe porównanie, prawda? Pozwól, że się przedstawię. Na imię mam Mortimer...

— Nie chcę znać twojego imienia, ty... zasrańcu.

Ostatnie słowo Benedict raczej wymamrotał, niż powiedział, niemal całą uwagę skupiając na możliwie bezgłośnym ściąganiu koszuli. Przełożył broń do lewej ręki, by zdjąć prawy rękaw, i omal nie upuścił rewolweru. Noga pulsowała bólem, gdy obwiązywał łydkę powyżej rany. Zacisnął węzeł, syknął z bólu i szybko się odezwał, aby zamaskować jęk.

— Przyszedłeś tutaj, bo chciałeś. I zamierzam zabić cię za to.

— Bardzo dobrze, panie Vernall, niczego innego od ciebie nie oczekiwałem. Ostatecznie w obecnych czasach trudno naruszyć literę prawa bardziej, niż ty to uczyniłeś. Jesteś aspołecznym indywidualistą, samotnym kryminalistą pielęgnującym tradycje Dillingerów i braci James. Co

prawda oni zabijali, a ty się uparłeś siać życie i masz pukawkę wiele mizerniejszą niż oni... — obleśny chichot zakończył kwestię.

— Masz robaczywy umysł, Mortimer, zresztą czego się można spodziewać po kimś, kto lubi zabijać. Jesteś chory.

Benedict chciał związać tamtego rozmową przynajmniej do chwili, aż opatrzy nogę. Koszula przesiąkła już krwią i trudno było zaciągnąć węzeł samą lewą dłonią.

— Musisz być chory, jeśli tu przyszedłeś. Jaki mógłbyś mieć inny powód?

Bezgłośnie odłożył broń i pospiesznie dokończył zakładania opatrunku.

— Względna sprawa — odparł głos z ciemności. — Podobnie jak względne jest pojęcie przestępstwa. Człowiek stworzył społeczne zasady życia, a społeczeństwa zdefiniowały pojęcie przestępstwa. O temporal! O mores! W Atenach Peryklesa homoseksualiści otaczani byli szacunkiem, jako jedyni zdolni do prawdziwej miłości. W Anglii okresu industrializacji pogardzano nimi i osądzano ich jak kryminalistów. I kto tu naprawdę popełnia przestępstwo? Jednostka czy społeczeństwo? Możesz się odwoływać do autorytetów stojących ponad człowiekiem, ale wszystko to będą tylko abstrakcyjne inwokacje, nie mające się nijak do otaczającej człowieka rzeczywistości, do tego, co człowiek postrzega.

Kilka strzałów dodało wagi tym słowom, aż drzazgi poleciały z futryny. Benedict zacisnął ostatni węzeł i znów sięgnął po rewolwer.

— Owszem, uznaję wyższe autorytety — powiedział. — Istnieje prawo naturalne, istnieje świętość życia, istnieje nierozzerwalny węzeł małżeństwa. To właśnie pozwala kochać, pobierać się, a dzieci świadczą o błogosławieniu mojego związku.

— To twoje błogosławieństwo, i nie tylko twoje zresztą, pustoszy ten świat jak szarańcza — powiedział Mortimer. — Ale to tylko stwierdzenie faktu. Przede wszystkim trzeba się uporać z twoimi argumentami.

Primo: Jedyne znane nam naturalne prawo to prawo grawitacji. To, co ty nazywasz prawem naturalnym, to prawa ustanowione przez człowieka, odmienne w każdej z niezliczonych religii. Tym samym argument traci moc.

Secundo: Życie pełni się żywiolowo. To, co żyje dzisiaj, będzie musiało umrzeć, by zrobić miejsce dla jutrzejszego wylęgu. Wszystkie religie mają janusowe oblicza. Niby gromią wszelkie zabijanie, lecz równocześnie z uśmiechem pobłazania spoglądają na wojny i karę śmierci. Tym samym argument traci moc.

Ultimo: Związek mężczyzny i kobiety przybiera rozmaite postaci w różnych społeczeństwach. Tym samym argument traci moc. Całe to gadanie o wyższych autorytetach nie odnosi się do realnego świata faktów i definiowalnych praw. Możesz wierzyć, w co zechcesz, o ile sprawia ci to satysfakcję, ale nie upoważnia cię to jeszcze do popełniania przestępstw.

— Przestępstw?! — krzyknął Benedict i wystrzelił dwukrotnie w otwór drzwi, po czym skulił się pod gradem bijących nad nim kul.

Zza drzwi łazienki dobiegał płacz obudzonego hukiem dziecka. Benedict wymienił energicznie łuski na pełne naboje i wsunął bębenek na miejsce.

— Sam jesteś kryminalistą, jeśli chcesz mnie zamordować — powiedział. — Jesteś narzędziem w rękach kryminalistów, którzy narzucili mi bluźniercze prawa i zakazali mieć więcej dzieci. Nikt nie może mi rozkazywać w tej sprawie.

— Głupiś — westchnął Mortimer. — Człowiek jest zwierzęciem społecznym i chętnie przyjmuje wszystko, czym społeczeństwo go obdarza. Bez oporów stosujesz lekarstwa, bez których twoje dzieci mogłyby umrzeć, jak często zdarzało się to w przeszłości. Akceptujesz przyznawanie twoim dzieciom dodatkowych racji żywnościowych, za które nie musisz nawet płacić. Ale planowania rodziny już nie akceptujesz. Wybacz, ale na dłuższą metę tak się nie da. Albo zaakceptujesz wszystko, albo wszystko odrzucisz. Pozostanie ci albo opuścić społeczeństwo, które cię żywi, albo uznasz dyktowane przezeń zasady. Nie ma darmowego wikt...

— O nic takiego nie proszę. Dziecko pije mleko matki, potem podzielimy nasze racje żywnościowe...

— Nie rób z siebie dumia. Ty i tobie podobni, zupełnie nieodpowiedzialni, gotowi jesteście zgubić ten świat, do ostatniej chwili nie nabierając rozumu. Próbowano przekonywać was po dobroci, a gdy to nie dało efektów, sięgnięto po ostrzejsze środki, wciąż bez skutku.

Pochlebiano wam, przekupywano, grożono, wszystko na próżno. Pozostaje powstrzymać was siłą. Odmawiacie wciąż pomocy i rady, jak zapobiec przybyciu jeszcze jednej istoty na głodującym świecie, i dalej mnożycie się bez opamiętania. Skoro tak, to na was spada odpowiedzialność za zrobienie miejsca na świecie. Ktoś przybywa, ktoś musi ubyć. To całkiem humanitarne prawo, wyrosłe z naszej dawnej tradycji pionierów i osadników zajmujących ten kontynent. Daje wam szansę obrony przekonań z bronią w ręku. Przekonań i życia...

— To nieludzkie prawo — powiedział Benedict. — Jak możesz tak myśleć? To okrutne, bezsensowne...

— Wręcz przeciwnie, cała sprawa została dobrze pomyślana. Spróbuj na chwilę dla odmiany uruchomić szare komórki, pozbadź się na moment uprzedzeń i spójrz na problem z perspektywy gatunku, do którego należysz. Cały świat jest okrutny, ale nie jest bezlitosny. Rządzi nim prawo zachowania masy, które człowiek łamie ze szczególnym upodobaniem. Czynił to już od tak dawna, zapominając w swym zaślepieniu o istnieniu owego prawa, że uruchomił inne mechanizmy mające ograniczyć przyrost ludzkich mas na powierzchni tego globu. Odwoływanie się do zwykłego zdrowego rozsądku nie odniosło żadnego skutku i nie ograniczyło przyrostu naturalnego, tak więc trzeba było sięgnąć po drastyczne prawa. Sama miłość, rodzina czy małżeństwo nie doznają żadnego uszczerbku, o ile poprzestaną na rozsądnej liczbie dzieci. Jeśli ktoś dobrowolnie przyjmuje opiekę i pomoc społeczeństwa, musi ponosić konsekwencje swoich poczynań. Jeśli zatraci się w swojej samolubności i egoizmie, musi zginąć dla dobra społeczeństwa. Jeśli jednak przetrwa próbę i okaże dość determinacji i zimnej krwi, by przeżyć, wówczas uznaje się go za jednego z tych ludzi, których społeczeństwo potrzebuje szczególnie, jako nosicieli wartościowej puli genetycznej. Jednak zasady tej nie stosuje się nigdy wobec obywateli przestrzegających prawa.

— Jak śmiesz! — krzyknął Benedict. — Czy ta bezbronna matka i jej, jak mówisz, nielegalne dziecko to kryminaliści?!

— Nie, o ile owa matka zrezygnuje z wszelkiej pomocy społecznej. Spokojnie może urodzić nawet dodatkowe dziecko, ale jeśli potem trwa w głupocie, musi za to zapłacić. Jest wiele sfrustrowanych kobiet, które wiele by dały, aby mieć choć jedno dziecko. One to, podobnie jak ja, popierają znane ci prawo, żądają nawet jego zaostrzenia. Staraj się, jeśli potrafisz, Benedict, bo zrobię, co w mojej mocy, aby ujrzeć wreszcie twoje zimne zwłoki.

— Wariat! — syknął Benedict, zaciskając mocno zęby w złości. — Wyrzutek społeczeństwa. To bluźniercze prawo wyciąga z rynsztoka takie męty jak ty. Tworzy zawodowych zabójców.

— Do pewnego stopnia. I słusznie czyni. W ten sposób patologiczne typy same się ujawniają i można mieć ich na oku. Chyba tak lepiej, niż żeby ktoś taki miał czyhać w parku z nożem na twoje dzieci. Zamiast tego ryzykuje życie i czy zabije, czy sam zginie, przysłuży się ludzkości.

— Zatem przyznajesz, że jesteś szaleńcem... i mordercą? — Benedict usiłował wstać, ale zakręciło mu się w głowie i ciężko opadł na podłogę.

— Ja nie — odparł beznamiętnie Mortimer. — Ja wspieram prawo i usuwam typy aspołeczne.

— To musisz być zboczeńcem, jeśli nienawidzisz miłości... Tym razem jedyną odpowiedzią był lodowaty śmiech, który jeszcze bardziej rozwścieczył Benedicta.

— Chory! A może szalony? A może bezpłodny, nie mogący mieć własnych dzieci i nienawidzący wszystkich, którzy je mają...?

— Dość tego! Pogadaliśmy sobie, a teraz cię zabiję.

Benedict po raz pierwszy wyczuł w głosie tamtego zimną złość i wiedział już, że trafił w czułe miejsce. Milczał jednak, słaby i bliski mdłości, a krew sączyła się przez prowizoryczny opatrunek i rozlewała coraz szerszą kałużą na podłodze. Musiał zachować chociaż tyle siły, by unieść dłoń z rewolwerem, gdy zabójca będzie wchodził do przedpokoju. Usłyszał, jak drzwi łazienki otwały się niemal bezgłośnie, dobiegł go cichy szmer kroków. Bezradnie spojrzął na zalaną łzami twarz Marii.

— Kto tam jest z tobą? — krzyknął Mortimer, skulony za fotelem. — Słyszę, jak szepczecie. Jeśli to twoja żona, lepiej każ jej odejść. Nie odpowiadam za jej bezpieczeństwo. Sam jesteś sobie winien i przyszła pora zapłacić za popełnione błędy. Zrobię, co do mnie należy.

Wstał i opróżnił magazynek, celując w drzwi, potem przycisnął zatrzask, wyjął pusty magazynek, cisnął go w ślad za kulami i natychmiast założył nowy. Szybkim ruchem przeładował broń i przykucnął, gotów do ostatecznego ataku.

Tak trzeba, nawet bez noża. Starczy podejść do drzwi, strzelić parę razy do środka, rzucić tam miniaturowy granat z gazem łzawiącym i wejść, siejąc kulami po podłodze i po gościu. Mortimer z drzeniem wciągnął głęboko powietrze i nagle zamarł, widząc dłoń Benedicta wyłaniającą się zza framugi i sunącą w górę po ścianie.

Było to tak nieoczekiwane, że strzelił dopiero po chwili, a i wtedy spudłował. Taka dłoń to kiepski cel dla broni automatycznej. Palce zacisnęły się na włączniku lampy i zniknęły, ledwie zapłonęło światło pod sufitem.

Mortimer zaklął i strzelił w ślad za dłonią, dziurawiąc ścianę. Czuł się bezbronny i obnażony w blasku żarówki.

Pierwszego strzału z rewolweru nawet nie usłyszał, huk zginął w jazgocie jego automatu. Dopiero gdy druga kula uderzyła w podłogę tuż obok jego stóp, przestał strzelać, obrócił się na pięcie i zamarł wpatrzony.

Na podeście drabinki przeciwpożarowej za wybitym oknem stała kobieta. Wiotka, o wielkich oczach, kołysała się lekko niby targana wiatrem. Broń trzymała w obu rękach, raz za razem kurczowo naciskając na spust. Jak dotąd nie trafiła Mortimera, ale ten, przerażony, uniósł automat i przejechał serią po ścianie nad oknem.

— Nie! Nie chcę cię skrzywdzić! — krzyknął jednocześnie.

Ostatni pocisk przeorał tynk i iglica szczęknęła głucho. Mortimer szybko wyciągnął pusty magazynek i spróbował ubić nowy, gdy rewolwer znów się odezwał. Kula trafiła go w bok, aż upadł i wypuścił broń z ręki. Benedict doczołgał się zaraz do zabójcy i zacisnął mu dłoń na gardle.

— Nie... — wychrypiał Mortimer i zamachał rękami.

Nigdy nie wprawiał się w bezpośredniej walce i niezbyt wiedział, co teraz robić.

— Proszę, Ben, nie — odezwała się Maria, wchodząc przez okno z powrotem do mieszkania i podbiegając do męża. — Zabijesz go.

— Nie... — wysapał Benedict. — Brak mi sił. Ręce mi osłabły...

Nagle tuż obok swej głowy ujrzał lufę rewolweru. Szybko wydarł go żonie z dłoni.

— Jedna gęba mniej do wyżywienia! — krzyknął, naciskając wygrzany spust i pakując kulę w pierś Mortimera.

Ten tylko raz wierzgnął nogami i skonał.

— Nic ci nie jest, kochanie? — zaczęła nagle zawodzić Maria, przyklękając przy mężu i tuląc go do siebie.

— Nie... Jestem słaby, ale to chyba z utraty krwi. Już przestała lecieć. Skończone. Wygraliśmy. Dostaniemy jeszcze jedną rację żywnościową i wszyscy wyjdą na swoje. Już nigdy nikt nie będzie się nas czepiał.

— Tak się cieszę — powiedziała, uśmiechając się przez łzy. — Bo wcześniej nie chciałam ci tego mówić... Wiesz, to całe zamieszanie. Ale będziemy mieli... — Opuściła oczy.

— Co? — spytał nie dowierzając. — Chyba nie chcesz powiedzieć...

— Ależ tak. — Poklepała się po lekko uwypuklonym już brzuchu. — Cieszysz się?

Ale on jedynie patrzył na nią w milczeniu, otwierając usta szeroko, jak wyrzucona na brzeg ryba.

Przełożył Radosław Kot

Przechowalnia

1967

Myślę, że to opowiadanie powinno mówić samo za siebie, zwłaszcza że opowiedzenie finału zepsułoby cały efekt. Należy jednak wspomnieć, że miało być częścią zbioru o rozmaitych cudach techniki, z którego ostatecznie nic nie wyszło. A co ważne, pokazuje pewne rozwiązanie problemu nurtującego ludzkość od początku jej dziejów.

Ledwie Jomfri wyszedł z kabiny teleportacyjnej, wiedział, że zdarzył się wypadek. Po pierwsze: strasznie bolała go głowa, co było typowym objawem przy awarii, po drugie: nigdy nie był w tym zakurzonym pomieszczeniu ani też nie zamierzał się tu znaleźć. Miał wrócić do domu. Zatoczył się i wymacał przymocowaną do ściany ławkę. Opadł na nią, trzymając się oburącz za głowę, i postanowił bez ruchu poczekać, aż ból minie.

Najgorsze było już za nim i powinien się cieszyć, że przeżył w jednym kawałku — co prawda w rzeczywistości awarie zdarzały się niezwykle rzadko, za to w trójwymiarowych filmach regularnie. Powodem bólu głowy było sprzężenie systemu nerwowego podczas awarii; ustępował po pewnym czasie. Sytuacja nie była najgorsza — gdy odzyska zdolność widzenia, teleportuje się do najbliższej stacji naprawczej, zamelduje o awarii i wróci do domu. Dobrze, że wypadek był niewielki, inaczej mógłby się już niczym nie martwić przenicowany dokumentnie lub rozciągnięty w jednowymiarową, długą na milę warstwę tkanki, z której zbudowane jest ludzkie ciało.

Po paru minutach uchylił powieki — światło nadal było bolesne, ale do wytrzymania. Ostrożnie wstał i rozejrzał się: najwyższy czas udać się po pomoc, na stacjach mieli lekarstwa na tego typu przypadłości, a poza tym należało poinformować o uszkodzeniu, zanim ktoś inny stanie się jego ofiarą. Odruchowo sięgnął do tablicy kontrolnej i dopiero po chwili zorientował się, że jej nie ma! Zaskoczony uważnie obejrzałabinę — drzwi otwierały się tylko od wewnątrz, a brak tablicy świadczył jednoznacznie, że jest to tak zwana jednostronna albo końcowa kabina — można tu było dotrzeć, ale nie można było się stąd nigdzie przenieść. Słyszał wprawdzie, że takie kabiny istnieją, ale widział coś podobnego pierwszy raz w życiu.

Wstrząśnięty ruszył ku ciemnemu otworowi w ścianie — sytuacja była poważniejsza, niż sądził, ale nie tragiczna. Otwór wychodził na korytarz, drzwi i ulicę pełną kurzu, śmieci i zapomnienia; należało znaleźć innąabinę i wydostać się stąd. Światło słoneczne oślepiło go, ledwie wyszedł na zewnątrz, tak że oczy zaczęły mu łzawić, prawie uniemożliwiając widzenie. Oparł się o mur i przesłonił je dłonią. Dopóki nic nie widział, nie mógł nigdzie trafić. Należało więc poczekać.

Tym razem czekał dłużej niż poprzednio, ale gdy otworzył oczy, ból spotęgował się tylko trochę i mógł spokojnie patrzeć. Nigdzie jednak nie dostrzegł czerwonej, podwójnej strzałki wskazującej drogę do teleportera. Za to w sąsiednich drzwiach dojrzał jakiegoś mężczyznę.

— Pomóż mi! — jęknął. — Gdzie jest najbliższa stacja naprawcza? Albo kabina teleportacyjna?

Mężczyzna podszedł bliżej, ale się nie odezwał.

— Nie rozumiesz? — Jomfri potrafił być uparty. — Był wypadek teleportera... Jestem ofiarą, a twoim obowiązkiem jako obywatela jest...

Więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż celny kopniak nieznajomego posłał go na ziemię, a drugi, w krocze, zwinął go w kłębek.

— Odwal się! — burknął mężczyzna i odszedł.

* * *

Minęło naprawdę dużo czasu, zanim Jomfri odważył się poruszyć — czuł się jak nadpęknięte jajko, które przy lada poruszeniu może pęknąć do reszty i rozlać się po brudnym chodniku. Gdy w końcu usiadł, dotarło doń, że mija go sporo ludzi, ale nikt się nie zatrzymał. Nie było to normalne. Gdziekolwiek się to miasto znajdowało, przestało mu się podobać. Najlepiej jak najszybciej opuścić to miejsce, dopóki jest jeszcze w jednym kawałku. Wstał z pewnym trudem, ale za pierwszym podejściem. Chodzenie było gorsze, lecz miał silną motywację — odszukać kabinę, teleportować się i znaleźć lekarza.

W normalnych okolicznościach zastanowiłby go brak pojazdów, niewielkie zaludnienie czy nieobecność jakichkolwiek napisów, jak choćby nazwy ulic — zupełnie jakby obowiązywał tu analfabetyzm. Miał jednak inne zmartwienia i inny cel, toteż otoczenie interesowało go w niewielkim stopniu. Mijając duże łukowate wejście, usłyszał dochodzące z oddali głosy, zatrzymał się więc i ostrożnie zerknął do wnętrza (jeden, a w zasadzie dwa kopniaki błyskawicznie nauczyły go dyskrecji). Wejście prowadziło na spore podwórze, na którym stały byle jak zbite stoły i ławy. Na centralnym stole spoczywała niewielka beczułka, z której sześciu mężczyzn i kobieta raczyli się obficie. Wyglądali równie ponuro jak otoczenie, ubrani na szaro, a jeśli nawet jakieś elementy stroju miały kiedyś inne barwy, to obecnie były wypłowiałe i brudne.

Kobieta podeszła bliżej, wpatrując się w ziemię, a raczej w plastikowy kubek w swej ręce, i siadła ciężko na pobliskiej ławce. Ponieważ wyglądała na starą i wyniszczoną, Jomfri zebrał się na odwagę, ale siadł z przeciwnej strony ławki, gdzie kopniak nie mógł go osiągnąć.

— Możesz mi pomóc? — zapytał.

Uniosła głowę i kurczowo złapała kubek, ale ponieważ tkwił nieruchomo, zamruwała zaczerwienionymi oczyma i oblizwała spękane wargi, nie ruszając się z miejsca.

— Pomożesz mi? — ponowił pytanie.

— Nowy — syknęła niewyraźnie przez braki w uzębieniu. — Nie podoba ci się tutaj, nie?

— Nie, nie podoba mi się i chcę się stąd jak najszybciej oddalić. Gdybyś wskazała mi drogę do najbliższej kabiny albo stacji naprawczej, to teleportowałbym się...

— To jest wycieczka w jedną stronę — zachichotała i głośno siorbnęła potężny łyk z kubka. — Powiedzieli ci to przecież, zanim cię tu wysłali: droga do Fangnis to droga bez powrotu.

Nagle zrobiło mu się zimno — doskonale znał to powiedzenie.

— To nie może być... — szepnął, rozglądając się przerażony.

— Może, bo jest — odparła kobieta i znów pociągnęła łyk.

— Popelniono okropną pomyłkę! Ja się tu nie powinienem znaleźć!

— Każdy tak mówi — machnęła lekceważąco ręką. — Szybko przestaniesz jak inni... kryminaliści wyrzuceni z własnych światów i skazani na zapomnienie w tej cholernej przechowalni. Kiedyś nas zabijali... Tak było lepiej.

— Słyszałem o Fangnis — powiedział pospiesznie Jomfri. — Nikt nie wie, gdzie leży ta planeta oświetlona dwoma słońcami, tak że zawsze jest tu południe... Skazańcy, nie chciani na własnych światach, za przestępstwa poprzednio karane śmiercią zostają wysłani na tę planetę bez prawa i możliwości powrotu. Dobra, zostają wysłani tutaj! Nie będę się kłócił; albo popelniono pomyłkę, albo zdarzyła się awaria: nie jestem przestępcą. Wracalem do domu, do żony... Wybrałem numer i wylądowałem tutaj...

Ponieważ kobieta znów wpatrywała się w kubek, spytał:

— Co pijesz? Mogę spróbować?

To rozbudziło ją natychmiast — przycisnęła naczynie do płaskich piersi.

— Moje, zarobiłam. Możesz pić wodę jak reszta. Cięłam drewno i pilnowałam ognia pod kotłem... to moja działka. — W jej oddechu czuć było alkohol. — Wyoś się. Jedzenie i woda są u Klawisza, to w dół ulicy. Idź sobie!

Jomfri usłuchał, nie mając ochoty na kolejną utarczkę, a poza tym był gnany nowym pomysłem: Klawisz to możliwość wyjaśnienia pomyłki.

* * *

Ulica kończyła się łagodnym, choć wysokim wzgórzem otoczonym zewsząd burymi brudnymi budynkami. Na szczycie wzgórza stała niska półkolista budowla z szarego plastbetonu, twardego i niezniszczalnego. Przed nim ku bunkrowi wspinał się chudy mężczyzna w czarnoszarym stroju, toteż Jomfri podążył za nim, na wszelki wypadek trzymając się w bezpiecznej odległości i gotów do natychmiastowej ucieczki.

Woda lała się cienkim, ale stałym strumieniem z plastbetonowej rury do takiegoż zbiornika z odpływem w bocznej, dotykającej bunkra ścianie. Jej plusk był jedynym dźwiękiem mączącym ciszę, gdyż mężczyzna zniknął za wyobleniem muru i jego kroki ucichły w trawie. Jomfri włożył głowę pod orzeźwiający strumień kręcąc nią tak, by woda dotarła wszędzie. Przy okazji się napił i umył twarz i ręce. Dopiero ocierając oczy, dostrzegł wytartą metalową plakietkę i biegnącą pod górę dziurę, w którą można było włożyć rękę. Na plakietce wyryto dużymi literami słowo NACISNAĆ, prawie zatarte od częstego używania.

Ostrożnie przyłożył kciuk i nacisnął; gdzieś we wnętrzu bunkra coś parsknęło i z pochyłego otworu wystrzeliła plastikowa paczka. Podniósł ją delikatnie — był to koncentrat spożywczy w formie pasty.

— Zjedz, to twoje. Nie będę ci przeszkadzał — rozległo się z boku i Jomfri podskoczył, omal nie upuszczając paczki.

Szczupły mężczyzna, za którym wszedł na górę, wrócił i to tak cicho, że Jomfri go nie usłyszał.

— Jesteś tu nowy. — Nieznajomy uśmiechnął się sztucznie. — Jestem Old Rurry i mogę być twoim przyjacielem.

— Weź to. — Jomfri podał mu paczkę. — To czyjaś racja, a ja tu jestem przez pomyłkę.

— Pewnie, że przez pomyłkę — zgodził się Old Rurry. — Wszyscy tu jesteśmy przez pomyłkę. Automat wydający żarcie gównno to obchodzi: ma pięciogodzinną pamięć i przez ten czas nie wyda ci drugiej porcji. Raz na pięć godzin wyda ją każdemu, to taka cholerna efektywność, od której człowiekowi niedobrze się robi.

— Ja mówię poważnie: znalazłem się tu w wyniku awarii teleportera. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to pokaż mi, jak się skontaktować z władzami.

— Nijak, to niemożliwe: są wewnątrz tego bunkra, mają własną kabinę i nigdy nie wychodzą. Nigdy też nie kontaktują się z nami. Po tej stronie jest kuchnia, po drugiej zsyp, to wszystko.

— Zsyp?! Zaprowadź mnie tam!

Old Rurry wysmarkał się w palce, wytarł je starannie w nogawkę i mruknął:

— Hiena cmentama! Poczekaj, zaraz zobaczysz. — Wskazał ręką w dół zbocza.

Wspinało się tam czterech mężczyzn niosących kobietę, a raczej trupa płci żeńskiej, każdy trzymając za jedną kończynę. Gdy spostrzegli czekających, niosący zwłoki bez słowa puścili je, odwrócili się i odeszli.

— To jedyna posługa, jaką każdy musi wykonać — oznajmił Old Rurry z obrzydzeniem. — Jak się ich zostawi albo wrzuci do bagna, rozkładają się i śmierdzą, zatruwając okolicę. Wygodniej jest wrzucić ich do zsypu. Chodź!

Zeszli do obu czekających, każdy złapał trupa za nogę, choć Jomfri się zawahał. Gdy jednak trzech pozostali spojrzeli na niego wymownie (pamięć edukacyjnych kopów była wciąż świeża), pospiesznie złapał w kostce brudną i siną kończynę. Była zimna, kobieta musiała umrzeć jakiś czas temu.

Powoli dotarli wydeptaną ścieżką biegnącą wokół Klawisza do miejsca usytuowanego dokładnie naprzeciw źródła wody. Na wysokości kolan umieszczono metalową płytę opatrzoną uchwytem. Wpuszczona w beton płyta miała osiem stóp długości i jedną szerokości. Jeden z idących z przodu pociągnął za uchwyt i uchylił osadzoną na dwóch trzpieniach skrzynię w kształcie litery V. Była wykonana z trzycalowego pancernego stopu, a i tak krawędź miała pogiętą i porysowaną, co najlepiej świadczyło o zdesperowaniu przynajmniej części przymusowych mieszkańców planety. Trup został wrzucony do środka, drzwi zamknięte kopniakiem i dwaj mężczyźni oddalili się bez słowa czy gestu.

— Niedościgniona funkcjonalność — parsknął Old Rurry. — Żadnego kontaktu. Tylko trupy i stare lumpy; za każdy zniszczony ciuch dostaniesz takie gustowne, szare wdzianko. Pamiętaj o tym, gdy ci się zniszczy ten elegancki przyodziewek, jaki masz na grzbiecie.

— To nie może być wszystko! — Jomfri szarpnął za uchwyt, ale kłapa ani drgnęła. — Muszę wyjaśnić tę pomyłkę! Ja się tu w ogóle nie powinienem znaleźć!

Płyta zadrzała i przy kolejnym szarpnięciu puściła, ukazując puste wnętrze. Jomfri pospiesznie wgramolił się doń i wyciągnął jak długi.

— Proszę, zamknij drzwi!

— To bez sensu — mruknął Old Rurry, ale wzruszył ramionami i spełnił prośbę.

Jomfri znalazł się w absolutnej ciemności.

— Nie jestem martwy! — wrzasnął. — Słyszycie? Chcę zameldować o pomyłce! Byłem w drodze do domu i...

Miękki uchwyt w kilku miejscach spowodował, że zamilkł. Coś prześliznęło się po jego twarzy i głowie, więc wrzasnął jeszcze głośniejsze. Odpowiedziało mu ciche buczenie.

— Jestem tu w wyniku awarii kabiny teleportacyjnej! — krzyknął spokojniej. — Nie powinienem tu być. Musicie mi uwierzyć!

Trzymające go ramiona cofnęły się równie cicho jak się pojawiły i zapadła cisza. Po chwili uwidoczniła się szczelina światła, a potem mógł podziwiać Old Rurry'ego pałaszującego koncentrat żywnościowy.

— Twój — poinformował go, oblizując palce. — Wyłaż, dopóki tego nie zrobisz, klapa nie da się zamknąć.

— Co się stało? Ktoś mnie trzymał...

— Maszyny. Automat sprawdzał, czy jesteś martwy albo chory. Gdybyś był chory, dostałbyś zastrzyk, zanimby cię wyrzucił z powrotem. Maszyn nie da się oszukać, przepuszczają tylko trupy.

— Nawet mnie nie chcieli słuchać — mruknął Jomfri z rezygnacją.

— Na tym właśnie polega współczesny system penitencjarny: społeczeństwo nie karze ani nie zabija przestępców, tylko ich odrzuca do społeczeństwa składającego się z podobnych wyrzutków. To miejsce jest jak przechowalnia zbędnych rzeczy, a ci wszyscy utytułowani mędrkowie twierdzą, że ta idea jest kwintesencją sprawiedliwości. Wszystkie światy łożą na ubrania, żywność, leki i utrzymanie sprawności Klawisza, co stanowi śmieszne sumy; mają za to pewność, że nikogo z nas nigdy więcej nie zobaczą. Stąd po prostu nie można uciec: planeta jest prymitywna, cały czas panuje tu środek dnia, a wokół tej miejsciny rozciągają się jedynie bagna. Nie ma tu także co robić, a przeludnienie nam nie grozi: miejsca jest dziesięć razy więcej niż potrzeba, a jedyną rozrywką jest alkohol. Ponieważ jesteś tu nowy, dam ci powitalnego drinka. Ostatnio zbyt wielu zginęło, a potrzeba więcej drewna...

— Nie chcę. Znalazłem się tu przypadkiem i nie jestem skazanym przestępcą jak wy.

Old Rurry uśmiechnął się: błyskawicznym ruchem przyłożył mu do gardła wyciągnięty z rękawa nóż.

— Naucz się podstawowej zasady, jaka tu obowiązuje: nigdy nikogo nie pytaj, dlaczego się tu znalazł, ani nie mów, dlaczego sam tu jesteś. Inaczej wybierzesz pewny, choć bolesny sposób samobójstwa. Ja ci powiem, dlaczego tu jestem, bo się nie wstydzę: byłem chemikiem i to niezłym; wynalazłem bezbarwną i bezsmakową truciznę, dzięki której zabiłem żonę i osiemdziesięciu trzech jej krewnych. Czyli całą rodzinę. Osiemdziesiąt cztery trupy to niezły wynik. Niewielu może się ze mną równać. — Schował nóż równie szybko jak go wyjął.

— Jesteś uzbrojony...

— To nie jest więzienie, a człowiek to pomysłowe bydlę i zawsze znajdzie sposób, by mieć broń. Ten nóż jest stary, a wieść głosi, że wykonano go z żelaznego meteorytu parę pokoleń temu. Może i prawda... Zabiłem jego poprzedniego właściciela zaostrzonym drutem wepchniętym przez ucho do mózgu.

— Chyba się czegoś napiję — Jomfri zmienił zdanie. — Dziękuję za propozycję, jeśli jest nadal aktualna.

— Jest, chodź ze mną.

* * *

— D...doskonale — wykrztusił Jomfri po pierwszym łyku gorzko-kwaśnego napoju palącego w przełyku.

— Berbelucha — podsumował Old Rurry. — Można by to było oczyścić i dodać naturalnego aromatu, ale mi nie pozwalają. Wszyscy w grupie wiedzą, za co tu jestem...

Jomfri kilkoma łykami wypił zawartość kubka, od czego zakręciło mu się nieco w głowie, więc odczekał, aż podwórce z byle jakimi stołami przestanie się kręcić. Było prawie identyczne jak pierwsze, które dziś widział, i uświadomiło mu, że taka egzystencja jest gorsza od śmierci. Jeśli tu zostanie, będzie pierwszy w kolejce do śmierci. Alkohol także przypomniał mu o czymś.

— Chory! Powiedziałeś, że jak będę chory, to mnie opatrzą! — wrzasnął radośnie, zrywając się i łapiąc tamtego za rękaw.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, dopóki w dłoni tamtego nie pojawił się nóż. Jomfri puścił go i cofnął się, nie spuszczać wzroku z ostrza.

— Chcę, żebyś mnie zranił! — oznajmił.

Old Rurry stanął jak wryty — nigdy jeszcze ewentualna ofiara nie żądała uszkodzenia.

— Gdzie? — spytał rzeczowo.

— Faktycznie, gdzie? Może odetniesz mi palec?

— Dwa albo nie ma gadania — sprzeciwił się z odruchem urodzonego handlarza Old Rurry.

— Niech będzie. — Jomfri opadł na ławę i rozłożył dłonie na blacie stołu. — Więc dwa najmniejsze, ale oba naraz. Potrafisz?

— Pewnie, że potrafię, ale musisz skrzyżować ręce, żeby palce leżały obok siebie. Dokładnie na drugim stawie — poinformował go radośnie Old Rurry.

Pogwizdując, obejrzał ostrze, przyjrzał się ofierze i bez ostrzeżenia zadał dokładnie wymierzony cios. Ostrze ze stukotem wbiło się w drewno. Trysnęła krew, a odcięte palce poleciały na bok. Obecni parsknęli śmiechem, słysząc krzyk ofiary. Nadal wrzeszcząc, Jomfri wybiegł na zewnątrz.

— Dobry Old Rurry! — pochwalił któryś.

* * *

— Jestem ranny... musicie mi pomóc... — mamrotał Jomfri, wspinając się ku Klawiszowi. — Diabelnie boli... wykrwawię się na śmierć... no, otwórz się, cholero...

Automat dozoru skrzynię uwierzył — tym razem miękkie obejmie nie cofnęły się, za to poczuł ukłucie w kark i ból minął jak ręką odjął. Mógł ruszać głową i mówić, ale od szyi w dół nie był w stanie się ruszyć. Coś zgrzytnęło i poczuł, że ruszył gdzieś w mrok. Po odgłosach i ruchu powietrza poznał, że minął wielokomorowe drzwi niczym w śluzie powietrznej. W końcu grube stalowe drzwi otworzyły się z sykiem i znalazł się w dobrze oświetlonej sali.

— Znowu tortury — stwierdził z niesmakiem mężczyzna w białym fartuchu. — Wrócili do starych zabaw.

Słowa skierowane były do stojących za jego plecami trzech osiłków z tęgimi pałami.

— Może to forma inicjacji, doktorze. To nowy.

— Jestem tu przez pomyłkę — wykrztusił Jomfri. — Nie jestem więźniem!

— Jak raz zaczęli, to będzie więcej amputacji: zawsze robią różne rzeczy seriami.

— Awaria teleportera...

— Masz rację, mam gdzieś wyliczenia potwierdzające...

— Musicie mnie wysłuchać! Wracalem do domu, wybralem numer i znalazlem sie tutaj. Popelniono pomyłke! Kazałem sobie obciąć palce, żeby do was trafić! Sprawdźcie w komputerze, dowiedcie się, że mówię prawdę!

— Nigdy dotąd nie zdarzyła się pomyłka. — Lekarz po raz pierwszy przyznał, że ma do czynienia z człowiekiem. — Choć wielu twierdziło, że jest tu przez pomyłkę.

— Proszę sprawdzić, błagam! Komputer powie prawdę!

Lekarz wzruszył ramionami.

— Niech będzie, sprawdzę, gdy opatrunek będzie sechł. Nazwisko i numer identyfikacyjny...
— Wystukał podane kombinacje liter i cyfr i bez wyrazu przyglądał się ekranowi.

— Przecież mówiłem, że to pomyłka — powiedział uszczęśliwiony Jomfri. — Nie mam do nikogo żalu, tylko wreszcie mnie uwolnijcie.

— Niemożliwe — powiedział cicho lekarz. — To nie pomyłka, zostałeś skazany i nie ma żadnej pomyłki.

— Za co?! Jestem niewinny, to jakiś kant!

— Ciśnienie, rytm mózgu, wszystko w normie... Ta aparatura może działać jako wykrywacz kłamstw, a ty mówisz prawdę! — zdziwił się lekarz. — Wyjątkowo rzadki wypadek: amnezja na skutek szoku.

— O co jestem oskarżony? — krzyknął Jomfri, bezskutecznie próbując się ruszyć.

— Lepiej żebyś nie wiedział.

— Nie! Chcę wiedzieć! Wracalem do domu, do żony...

— Zabiłeś swoją żonę!

Zamykające się stalowe wrota zagłuszyły przeraźliwy, upiorny krzyk.

* * *

Przez mgnienie oka miał przed oczyma siną twarz z wytrzeszczonymi oczyma i krew, krew, krew...

* * *

Metalowa kłapa otworzyła się i Jomfri siadł, potrząsając głową. Dali mu coś na uśmierzenie bólu i opatrzyli rany, ale nie chcieli mu pomóc, choć ich błagał. Nie chcieli sprawdzić w komputerze i przez taką niezyczliwość i błąd teleportera był skazany na dożywocie na tej więziennej planecie.

— Teraz już nigdy nie zobaczę domu i żony — zaszlochał.

Przełożył Jarosław Kotarski

Jeżeli

1967

Bardzo krótkie, bardzo lekkie i napisane jednym tchem, gdyż pomysł i rozwinięcie trafiły mnie równocześnie. Zatytułowałem je *Jeżeli*, wysłałem do Freda Pohła, wydawcy magazynu o tym samym tytule. Kupił je na pniu i natychmiast zmienił tytuł na *Chwalebny Saur (Praiseworthy Saur)*. Skoro on miał gdzieś mój tytuł, to ja miałem jeszcze głębiej jego, i gdy tylko mogłem, przywróciłem pierwotny.

Opowiadanie dorobiło się też trzeciego tytułu, który wywołał sporo zamieszania, gdy otrzymałem czek od agenta za opowiadanie *Chwalebna gorycz (Praiseworthy Sour)*. Ponieważ w życiu czegoś takiego nie napisałem, spowodowało to nagłe ożywienie sztuki epistolograficznej między nami, nim sprawa się wyjaśniła.

— Jesteśmy na miejscu! Obliczenia były idealne! — ucieszyła się Trzydziestka Piątka. — To jest to miejsce!

— Jesteś idiotką! — oznajmiła zimno Siedemnastka. — Miejsce jest to, ale czas nie ten: jesteście o dziewięć lat za wcześnie!

— Jestem idiotką i uwolnię cię od mej bezużytecznej obecności! — zgodziła się Trzydziestka Piątka, wyciągając z pochwy nóż i przykładając go do szyi zdecydowanym ruchem.

— Nie teraz! — syknęła Siedemnastka. — Już jest nas zbyt mało, a twój trup na nic się nam nie przyda! Bierz się do roboty i znajdź właściwy czas: wiesz, że mamy ograniczone zasoby energii.

— Tak jest! — Trzydziestka Piątka schowała nóż i podeszła do tablicy przyrządów.

Czterdziestka Czwórka nie zwracała uwagi na pozostałe i obserwowała ekrany reaktora, gotowa do natychmiastowej reakcji.

— Gotowe! — oznajmiła po chwili Siedemnastka, zacierając dłonie. — Właściwy czas, właściwe miejsce! Lądujemy na chwałę Saura, od którego zależy los wszystkich.

— Na chwałę Saura — mruknęły jej towarzyszki.

* * *

Z błękitnego nieba opadał kulisty pojazd o gładkiej powłoce, rozciętej jedynie w dolnej części prostokątną szluzą. Opadał powoli, choć nie było słyhać ani widać, w jaki sposób się porusza, aż zniknął za północnym grzbietem otaczającym Jezioro Johnsona na skraju sosnowego lasu.

W pobliżu nie było żadnego człowieka, a krowy pasące się opodal nie zwróciły najmniejszej uwagi na metalową kulę, która zniknęła w krzakach przy ścieżce łączącej jezioro z autostradą.

* * *

Ptaszki ćwierkały, a królik podgryzał coś ze smakiem, gdy rozległo się szuranie stóp i monotonne pogwizdywanie. Ptaszki umilkły, królik prysnął w zarośla, a od strony jeziora nadszedł chłopiec. Ubrany normalnie, z teczką w jednej i niewielką, domowej roboty klatką w drugiej ręce. Wewnątrz drucianej klatki siedziała niewielka jaszczurka, gorączkowo przewracając

ślepkami, najprawdopodobniej ze strachu. Chłopak gwizdał zdecydowanie niemelodyjnie i nie spiesząc się, szedł ku autostradzie.

— Chłopcze! — rozległ się cienki głosik, gdy wszedł w cień drzew. — Słyszysz mnie?

— Pewnie, że słyszę — zgodził się zapytany. — Gdzie jesteś?

— Obok ciebie, ale nie zobaczysz mnie, bo jestem twoją opiekuńczą wróżką...

— Guzik prawda! — parsknął chłopak pogardliwie. Wróżek nie ma! Wylaż z lasu, kimkolwiek tam jesteś. Nie wierzę we wróżki.

— Wszyscy chłopcy wierzą we wróżki — w głosie pojawiła się lekka panika. — Znam mnóstwo tajemnic. Wiem, że masz na imię Don i...

— Wszyscy wiedzą, że mam na imię Don, i nikt nie wierzy w żadne wróżki. Teraz wierzy się w rakiety, okręty podwodne i energię jądrową.

— A uwierzyłbyś w podróż kosmiczną?

— Uwierzyłbym.

— Nie chciałam cię przestraszyć. — W głosie słychać było ulgę. — Tak naprawdę to jestem z Marsa i właśnie wylądowałam.

Don smarknął pogardliwie i zażądał:

— Mars nie ma atmosfery i życia. Wylaż z krzaków i przestań się wygłupiać!

Zapadła długa cisza, którą przerwał w końcu niepewny głos:

— Uwierzyłbyś w podróż w czasie?

— Może. Zaraz mi powiesz, że jesteś z przyszłości?

— Jestem — przytaknęło z ulgą z krzaków.

— No to wylaż, żebym mógł ci się przyjrzeć.

— Są rzeczy, których człowiek nie powinien oglądać...

— Przestań pleść bzdury! Człowiek może oglądać wszystko, co chce. Wylazisz albo sobie idę!

— Wolałabym, żebyś tego nie robił — głos był zupełnie skonsternowany. — Mogę ci udowodnić, że jestem z przyszłości, podając ci rozwiązania jutrzejszej klasówki z matematyki. Zadanie pierwsze: jeden, siedemdziesiąt sześć. Zadanie drugie...

— To na nic: sam wynik nic nie daje, trzeba znać równanie. Liczę do dziesięciu: albo wyjdiesz, albo sobie idę.

— Nie możesz! Muszę cię prosić o przysługę: wypuść tę jaszczurkę, którą trzymasz w klatce, a spełnię twoje trzy życzenia... to jest, chciałam powiedzieć, odpowiem na trzy pytania.

— A niby dlaczego miałbym ją wypuścić?

— To pierwsze pytanie?

— Nie, to zdrowy rozsądek. Chcę wiedzieć, o co chodzi, zanim cokolwiek zrobię. Ta jaszczurka jest wyjątkowa, nigdy tu takiej nie widziałem.

— Masz rację. Należy do rodziny Rhipoglossa i popularnie zwana jest kameleonem.

— O! — Don po raz pierwszy wyraźnie się ucieszył. Przykucnął, wyjął z teczki książkę z czerwoną okładką i umieścił na niej klatkę, wszystko razem stawiając na ścieżce. — Zmieni kolor? — zainteresował się.

— W zauważamy sposób. Teraz do rzeczy: jeśli ją uwolnisz...

— Skąd wiesz, że to ona? Z przyszłości?

— Widzę, że muszę ci wszystko opowiedzieć. — Głos westchnął z rezygnacją. — Została kupiona w sklepie zoologicznym przez niejakiego Jima Benana wraz z drugim kameleonem płci męskiej. Wydostała się na wolność dwa dni temu, gdy Benan upojony płynem zawierającym alkohol etylowy siadł na klatce. Jej partner, niestety, zmarł z odniesionych ran. Uwolnienie jej...

— Myślę, że robisz sobie ze mnie jaja i idę zaraz do domu — przerwał Don. — Chyba że się pokażesz!

— Ostrzegam cię...

— Pa, pa! — Don złapał klatkę i książkę. — O, faktycznie poczerwieniała!

— Zostań! — pisnęło rozpaczliwie z krzaków. — Wychodzę!

Don przyglądał się z zaciekawieniem postaci, która wynurzyła się z zarośli. Stwór był purpurowy, miał wyłupiaste oczy i dobrze skrojony, brązowy kombinezon. Na plecach niósł prostokątny ładunek na szelkach. Poza tym miał jakieś siedem cali wysokości.

— Nie bardzo wyglądasz jak człowiek z przyszłości — przyznał. — Prawdę mówiąc, w ogóle nie wyglądasz jak człowiek. I jesteś za mały.

— Mogłabym powiedzieć, że ty jesteś za duży. Wielkość to pojęcie względne. Poza tym przybywam z przyszłości i nie jestem człowiekiem. Nigdy nie mówiłam, że jestem.

— Też fakt. Jesteś jaszczurką... prawdę mówiąc jesteś bardzo podobna do tego kameleona. Co was łączy?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Teraz wykonasz moje polecenie, jeśli nie chcesz, żebym zrobiła ci krzywdę. — Purpurowy przybysz odwrócił się i wrzasnął w stronę lasu: — Trzydziestka Piątka, to rozkaz: zniszcz te zarośla!

Wcale nie przestraszony, Don obserwował z zainteresowaniem pojawienie się błękitnej, metalowej piłki, która powoli wysunęła się spomiędzy drzew. W jej powierzchni odsłoniła się kolista klapka, z której wyjeżdżało coś do złudzenia przypominającego wylot strażackiego węża i skierowało się ku zaroślom odległym o jakieś trzydzieści stóp. Z wnętrza metalowej kuli dobiegło burczenie przybierające na sile tak, że stało się ledwie słyszalne, i ku zaroślom wystrzeliła nitka światła. Zarośla zapłonęły niczym pochodnia i po sekundzie zmieniły się w osmolone szczątki.

— To urządzenie nazywa się roxidizer i jest śmiertelnie groźne — oznajmiła jaszczurka. — Uwolnij kameleona!

— Dobra, dobra — mruknął Don. — Na co komu stara jaszczurka?

Postawił klatkę na ścieżce i zaczął ją otwierać. Nagle znieruchomiał, pociągnął nosem i bez słowa złapał klatkę i ruszył ku pogorzeliisku.

— Wracaj! — pisnęła jaszczurka, podskakując nerwowo. — Jeszcze krok, a otworzymy ogień!

Chłopak zignorował ją zupełnie i wyciągnął rękę — dłoń przeszła przez resztki spalonego krzaka jak przez powietrze.

— Tak też sobie myślałem — stwierdził zadowolony. — Całe to ognisko o parę stóp i żadnego zapachu... Hej, ty, to jakaś trójwymiarowa projekcja, nie? — Ponieważ odpowiedziała mu cisza, podszedł do metalowej piłki i spróbował jej dotknąć; dłoń przeszła przez obraz bez oporu. — Tego też tu nie ma — oznajmił z satysfakcją. — A ty jesteś!

— Nie musisz eksperymentować. Ja i okręt jesteśmy tu jedynie w postaci tak zwanego temporalnego echa. Materia nie może poruszać się w czasie, ale jej obraz i głos można przesyłać. Skończmy z tym, to dla ciebie zbyt trudne...

— Jak na razie wszystko rozumiem — sprzeciwił się Don. — Mamy ze sobą kontakt, ale fizycznie nas tu nie ma, a i tak operacja taka pochłania olbrzymie ilości energii. Prawie wszystkie nasze elektrownie współpracują przy transferze czasowym.

— Dlaczego? I przestań wreszcie kłamać! Żadnych wróżek i tym podobnych bajeczek.

— Było to konieczne, gdyż tajemnica jest zbyt wielka dla nas, żebyśmy ją wyjawiali od razu, nie próbując wcześniej innych sposobów przekonania cię.

— No to może wreszcie powiesz dla odmiany prawdę. — Don siadł wygodnie i dodał: — Słucham!

— Potrzebujemy twojej pomocy, gdyż zagrożone jest całe nasze społeczeństwo. Ostatnio, według naszej skali czasu ma się rozumieć, wykryliśmy dziwne zakłócenia czasoprzestrzeni. Żyjemy jakiś milion lat w przyszłości jako dominujący gatunek na tej planecie. Wasza rasa wyginęła w wyniku kataklizmu, ale oszczędzę ci szczegółów. Coś zagraża teraz naszej rasie, zaczęliśmy badać to zagrożenie i okazało się, że mamy zostać ogarnięci przez falę prawdopodobieństwa, w wyniku której przestaniemy najprawdopodobniej istnieć, jako że z naszej własnej przeszłości nadciąga potężna fala migracyjna...

— Czy ty nie potrafisz mówić po ludzku? Znaczy się tak, żeby dało się to zrozumieć?

— Dam ci przykład z waszej własnej, ludzkiej literatury: jeśliby twój dziadek zginął bezpotomnie, nie narodziłby się twój ojciec, i ciebie także by nie było.

— Ale jestem.

— Mówię przecież: „jeżeli”. Teraz zresztą nie pora na teoretyczne rozważania, gdyż mamy już niewiele energii. Upraszczając problem: prześledziliśmy nasze pochodzenie poprzez rozmaite mutacje i zmiany, aż dotarliśmy do tej pierwszej protojaszczurki, od której wywodzi się nasza rasa.

— Zgaduję, że to ta, którą mam w klatce!

— Ta — przyznała poważnie jaszczurka. — Gdzieś w tej okolicy urodzi potomstwo, a że skały w pobliżu jeziora są w pewien sposób radioaktywne, spowoduje to mutacje, w wyniku których zyskamy rozum. Stulecia później nasza rasa zapanuje nad całą planetą... Co nie nastąpi, jeśli nie otworzysz klatki.

Don podrapał się w głowę i na wszelki wypadek zapytał:

— I tym razem mówisz prawdę? Żadnych kantów?

— Przysięgam na Saura. — Jaszczurka gorączkowo zamachała rękoma (albo przednimi łapami, jak kto woli). — Przysięgam na gwiazdy wieczne i sezony mleczne...

— Przystań gadać do rymu — przerwał jej Don. — Nie cierpię wierszyków! Dobra, niech już będzie moja strata, nie chcę być odpowiedzialny za wyćpienie całej rasy.

I odgiął drut zamykający drzwi klatki. Kameleon spojrzał nań podejrzliwie jednym okiem, drugim zezując na otwarte drzwi. Jaszczurka w kombinezonie obserwowała wszystko w pełnej szacunku ciszy.

— Zmiataj! — polecił Don, wytrząsając kameleona na trawę.

Tym razem został właściwie zrozumiany — eks-więzień czym prędzej prysnął w krzaki.

— No, to przyszłość mamy spokojną — oznajmił Don — albo przeszłość, jeśli o was chodzi.

Jaszczurka i pojazd zniknęły bez jednego choćby dźwięku.

— Moglibyście chociaż podziękować! — parsknął Don. — Ludzie są lepiej wychowani.

Zebrał teczkę i pustą klatkę z ziemi, otrzepał portki i ruszył w stronę domu.

Nie zwrócił uwagi na nagły szelest w krzakach, toteż nie zauważył dorodnego kocura przemykającego z martwym kameleonem w pysku.

A oprócz niego nie było już nikogo, kogo mogłoby to zainteresować.

Przełożył Jarosław Kotarski

Dyżur

1967

To zaiste krótki kawałek, jeden z niewielu, jakie napisałem. Na tyle krótki, że i wstęp nie może być nazbyt długi.

W wypadku tego opowiadania jedno wszakże napawa mnie pewną dumą. Kilka ładnych lat po napisaniu tego tekstu usłyszałem od Barry'ego Malzberga, że przeczytał opowiadanko i że utkwiło mu w pamięci. Jest wprawdzie ukończoną, zamkniętą całością, jednak Barry znalazł w nim coś jeszcze i myślał nad tym czymś tak długo, aż w rezultacie wymyślił powieść. Miło mi wiedzieć, że zainspirowałem go tym drobiazgiem, skutkiem czego powstała znakomita i nagradzana powieść *Beyond Apollo*.

Dyżur

1967

JESTEM ROBOTEM.

W tych słowach zawiera się wszystko. I nic. Zbudowano mnie na Ziemi, całego w srebrzystych obwodach i chromowanej stali. Zbudowano mnie maszyną. To ja, bez duszy, rzecz jasna, i dlatego jestem niczym. Jestem maszyną i mam swoje obowiązki, a moje obowiązki to nieustanna troska o trzech ludzi. Którzy już nie żyją.

Ale to, że oni już nie żyją, nie zdejmuje ze mnie brzemienia obowiązku, w żadnym wypadku. Jestem maszyną drogą, maszyną wysokiej klasy, tak zatem, nie przerywając pracy, mógłbym poddać gruntownej analizie sens mojej motywacji, odkrywając absurd u podstaw. Ale pracuję dalej. Jak włączona raz tokarka, która obraca się niezależnie od tego, czy ma co obrabiać. Jak włączona raz maszyna drukarska, smarująca farbą matryce i dociskająca je do miejsca, gdzie powinna przesuwac się wstęga papieru.

Jestem robotem. Zmyślnie mnie zaplanowano. Jestem jedynym w swoim rodzaju robotem, ulokowanym dodatkowo na pokładzie pierwszego statku międzygwiazdowego. Aby dbał i troszczył się o potrzeby bohaterów ludzkości. Oto najlepsi z ludzi wypuścili się na długą wyprawę, a ja, jak ludzie zwykli mawiać, zabrałem się z nimi. Mechaniczny sługa nie ustający w swojej służbie. Niemniej. Oni. Już. Nie. Żyją.

Raz jeszcze powspominam, jak to było. Ludzie nie są stworzeni do podróży w nie-przestrzeni między gwiazdami. Roboty jak najbardziej.

Teraz nakryję do stołu. Nakrywam do stołu. Pierwszym, który spojrzał przez grube szkło na nicosć wypełniającą nie-przestrzeń, był Hardesty. Ustawiam jego nakrycie. Ledwo wyrztał, zaraz poszedł do swojej kajuty i popełnił samobójstwo. Znalazłem go za późno, był już martwy, a cała krew z jego olbrzymiego ciała wylała się przez rozcięte nadgarstki na podłogę kabiny.

Pukam do drzwi kajuty Hardesta i otwieram je. Leży na koi i nie rusza się. Jest bardzo blady. Zamykam drzwi, podchodzę do stołu i obracam jego talerz dnem do góry. Nie będzie jadł.

Przy stole są jeszcze dwa miejsca. Stukając metalowymi palcami o talerze, wyprowadzam prostą funkcję skojarzeniową, że dobrze jest mieć metalowe palce. Larson ma zwykle ludzkie

palce, kości i ciało. Zacisnął je na szyi Neala zaraz po tym, jak też spojrział w nie-przestrzeń. Musiał je mocno zacisnąć, bo nie zsunęły się nawet wtedy, gdy Neal ściągnął ze stołu nóż, ten właśnie nóż, który teraz kładę, i wbił go w klatkę piersiową Larsona między czwartym a piątym zębem po lewej stronie. Neal nigdy nie widział nie-przestrzeni, ale wyszło na to samo. Nie poruszył się, gdy odjąłem kolejno palce Larsona od jego szyi. Leży teraz w kabinie. Obiad gotowy, proszę pana! Mówię to i pukam do drzwi. Neal leży na koi. Ma zamknięte oczy, więc zamykam drzwi. Moje czujniki zapachowe odnotowują panujący we wnętrzu odór.

Raz. Obrócić talerz Neala dnem do góry.

Dwa. Zapukać do drzwi kabiny Larsona.

Trzy...

Cztery...

Pięć. Obrócić talerz Larsona dnem do góry.

Sprzątam ze stołu i myślę o tym, że statek widzi nie-przestrzeń i działa. Ja widziałem nie—przestrzeń i działałem. Ludzie widzieli nie-przestrzeń i nie działają.

Roboty mogą latać do gwiazd, ludzie nie mogą. To istotne stwierdzenie. Muszę wrócić na Ziemię, by przekazać to ludziom. Codziennie po posiłku myślę o tym na nowo i zawsze dochodzę do wniosku, że to bardzo ważne. Robot jest maszyną, to zapewne jedyna oryginalna myśl, na jaką kiedykolwiek wpadłem. Tym jest ważniejsza.

Jestem bardzo dobrym robotem i mam bardzo sprawny mózg. Lepszy chyba, niż sądzili jego twórcy z fabryki. Pomyślałem coś oryginalnego, chociaż nie zostałem do tego zaprojektowany. Zostałem zaprojektowany na służbę zdolnego słuchać ludzi i rozmawiać z nimi po angielsku, który jest trudnym językiem, nawet dla robota. Jestem anglojęzyczny i nie znam niemieckiego. Nie potrafię też, mając metalowe palce i szklane oczy, mówić po łacinie. Ale wiem, że takie języki istnieją, i wiem, czego nie potrafię. Roboty to wspaniałe wynalazki.

Proszę. Mam długie nogi i szybko się poruszam. Podbiegam nagle do konsoli kontrolnej i przyciskam guziki, aż palce migają. Potrafię zrymować słowa, ale wiersza napisać nie umiem. Wiem, że między jednym a drugim istnieje jakaś różnica, ale nie mam pojęcia jaka.

Potrafię czytać i sprawdzać wydruki. Byliśmy już przy Alphie Centauri, teraz wracamy. Nie wiem nic o gwiazdzie zwanej Alpha Centauri. Gdy do niej dotarliśmy, zawróciłem statek i ruszyliśmy z powrotem na Ziemię. Moje przesłanie jest o wiele ważniejsze, niż eksploracja nieznanego otchłani kosmosu. Muszę dostarczyć je na Ziemię.

Nie wymyśliłem sam tych słów o eksploracji nieznanymi otchłani kosmosu. Słyszałem je kiedyś od Larsona. Roboty tak nie mówią.

Roboty nie mają duszy, bo jak niby miałyby wyglądać dusza robota? Gładki metalowy cylinder? I co byłoby w środku?

Roboty nie zastanawiają się nad takimi rzeczami.

Muszę skończyć sprzątać ze stołu. Talerze tutaj, widelce tutaj, łyżki tutaj, noże tutaj.

— Uciąłem się w palec! Cholera, zakrwawiłem cały obrus...

ZAKRWAWIŁEM?

ZAKRWAWIŁEM!

Jestem robotem. Mam swoje obowiązki. Nakrywani do stołu.

Coś czerwienieje na moim metalowym palcu.

Pewnie trochę keczupu wylało się z butelki.

Przełożył Radosław Kot

Z fanatyzmu albo dla nagrody

1968

Przemoc i śmierć bardzo mnie obchodzą. Uważam, że jest ich zbyt wiele w naszym świecie, a sam w pewnym okresie uległem fascynacji nimi. Potem mi przeszło i staram się zachować w tej kwestii umiar, choć przyznaję, że kawałki w stylu „zabili go i uciekł” pisze się łatwo i stanowią doskonałą rozrywkę jako lektura. Zwłaszcza że liczą się efektowne strzelaniny, a nie logika akcji.

Prywatnie sędzę też, że ostatnio jest zbyt wiele przemocy na ekranie, i to w nie najlepszym czasie. Czy doprawdy trzeba w kolorze pokazywać całopalenia? Szczególnie, że parę dni później jakaś banda półgłówek próbuje wykonać to samo na żywo na ulicy. A takie wypadki się zdarzały. Uważam, że warto się nad tym zastanowić.

Na koniec jeszcze jedna uwaga: nigdy nie byłem pod urokiem legendy zawodowego mordercy. Wiem, że prawo należy łamać, ale do granic rozsądku, gdyż to właśnie rozum i prawo wyprowadziły nas z lasu. I o tym właśnie jest to opowiadanie.

Elektroniczny celownik był cudem pomysłowości. Gdy przestrzeliwał broń, miał jedynie zwykły teleskop optyczny, teraz zaś w okularze widział wszystko znacznie wyraźniej, niż gdyby panowały idealne warunki atmosferyczne i był środek słonecznego dnia. Tym razem noc była pełna mgły i drobnego, dokuczliwego deszczu, ale wejście do budynku po przeciwległej stronie ulicy było idealnie widoczne przez szczelinę, którą wcześniej wyciął w ścianie.

— Wychodzi pięciu! Twój to najwyższy! — zaszeptał głos we włożonym do ucha odbiorniku.

W bramie pojawili się zapowiedziani mężczyźni — jeden był wyraźnie wyższy. Właśnie coś mówił z uśmiechem. Jagen powiększył zbliżenie, aż jego twarz wypełniła cały celownik, po czym delikatnie nacisnął spust. Broń podskoczyła z hukiem, lekko kopiając go w ramię. Zmniejszył powiększenie i ponownie nacisnął spust, celując w padającą postać... i jeszcze raz... i jeszcze... Miał pięć kul w magazynku, szóstą w lufie i każda trafiła w cel, czemu towarzyszył kolejny podskok padającego lub leżącego ciała. W głowę, w serce, w brzuch, w szyję.

— Koniec — powiedział do mikrofonu zawieszzonego przed ustami na cienkim drucie. — Pięć celnych, jeden prawdopodobny.

— Znikaj! — szepnął głośniczek.

Zachęta była zbędna — policja Wielkiego Despoty uchodziła za jedną z najskuteczniejszych w okolicy.

* * *

Jedynym oświetleniem pomieszczenia był blask tablicy kontrolnej kabiny teleportera. Dotarł do tablicy w trzech susach i wcisnął guzik startu. Parametry ustawił wcześniej, choć nie wiedział, gdzie się one znajdują.

* * *

Po godzinach spędzonych w mroku blask gołej żarówki wiszącej pod sufitem był prawie oślepiający. Kamienne ściany, zardzewiałe pancerne drzwi i cementowa urna sporych rozmiarów z takąż pokrywą oraz druga kabina teleportacyjna były jedynymi przedmiotami w pomieszczeniu. To, gdzie się ono znajdowało, nie miało najmniejszego znaczenia. Odsunął się od pierwszej kabiny, która po dwóch sekundach rozjarzyła się i zgasła — nadajnik w miejscu zamachu został

zniszczony przez ładunek o mocy wystarczającej, by uniemożliwić policji dotarcie do jego pamięci i odtworzenie koordynatów. W końcu może im się to powiedzie, technika obecnie czyniła cuda, ale potrzebował jedynie czasu, by zatrzeć za sobą ślady znacznie skuteczniej.

Z kieszeni wyjął niewielką piłkę do metalu z diamentowym ostrzem i odciął lufę broni w miejscu, które zaznaczył kilka dni wcześniej po starannych obliczeniach. Piłka była na baterie, toteż poszło mu piorunem. Zdjął pokrywę z urny, wstrzymując oddech, i wrzucił do wnętrza plastikową kolbę, pusty magazynek, odciętą lufę i piłkę. Zasunął pokrywę i odetchnął — w urnie był tak przemyślny zestaw kwasów, że mogły rozpuścić praktycznie wszystko poza ceramitem, i to błyskawicznie.

Z drugiej kieszeni wyjął pełen magazynek, załadował i przeładował tak, by kula znalazła się w lufie, i wsunął broń w rękaw specjalnie obszernej bluzy. Lufa oparła się o lekko zgięte palce dłoni; był gotów do kolejnego etapu. Karabin był teraz znacznie mniej celny, ale na bliski dystans równie śmiertelny jak poprzednio.

Uaktywnił ładunek w pierwszej kabinie i uruchomił drugą — tak jak przedtem koordynaty były wcześniej wpisane do pamięci urządzenia. I wszedł do środka.

* * *

Hałas, lawina świateł i dźwięków. W pobliżu był ocean, o czym dobitnie świadczyła słonawa wilgoć wypełniająca powietrze. Kabina była publiczna i usytuowana na placu pełnym ludzi. Ledwie zdołał ją opuścić, a już ktoś do niej wszedł i zniknął. Po sekundzie ktoś inny z niej wyszedł i tak w kółko, jak to zwykle w publicznych środkach transportu. W górze płonęło czerwone słońce, a plac był pełen ludzi — idealne miejsce, by rozpuścić się w tłumie. Przeszedł na drugą stronę, podążając za kilkoma osobami, przez co dochodził element przypadkowości nie skażony jego pragnieniami i prawie niemożliwy do wykrycia. Idąc za dziewczyną w minispódniczce i o wyjątkowo niezgrabnych nogach, dotarł do bocznej uliczki, minął najbliższą kabinę i skierował się do następnej, stojącej na rogu.

Gdy się tam znalazł, zobaczył, że ulica wychodzi na gmach oznaczony znajomą, zieloną gwiazdą, i uśmiechnął się — najciemniej jest pod latarnią, a w tym wypadku była to kwatera główna policji Wielkiego Despoty. Spokojnie wszedł do kabiny i wybrał koordynaty — jedyne, jakie zapamiętał.

* * *

Powietrze było rzadkie i zimne, ledwie nadawało się do oddychania. Oczy zaczęły mu łzawić, toteż ledwie dostrzegł biegnącego ku niemu mężczyznę w masce tlenowej na twarzy.

— Poczekaj! — krzyknął tamten.

Dopał go i pomógł założyć drugą maskę, którą trzymał w dłoni. Ciepłe, pełne tlenu powietrze wypełniło mu płuca, umożliwiając rozejrzenie się po otoczeniu. Byli na mostku starego liniowca międzyplanetarnego, a raczej wraku starego liniowca — popękane ekrany, tablice kontrolne rozmontowane, ściany pełne lodowych sopli. Mężczyzna dostrzegł nieme pytanie malujące się na twarzy Jagena, wyjaśnił więc pospiesznie:

— Jesteśmy na orbicie, gdzie ten wrak przebywa od wieków. Gdy go opuścimy, zadziała ładunek nuklearny i po statku oraz kabinie nie pozostanie ślad. Nawet gdyby dotarli za tobą tutaj, trop się urwie.

— Dalsze instrukcje — mruknął Jagen.

— Nie będą potrzebne. Nie wiedzieliśmy, czy zdołamy na czas przygotować statek, więc były planem awaryjnym. Nie ma sensu teraz o nich mówić.

Jagen bez słowa pozbył się mikroodbiornika i reszty wyposażenia oprócz broni. Zostawił wszystko na pokładzie i spojrzał wyczekująco na mężczyznę. Ten bez słowa zrzucił maskę i wszedł do kabiny. Jagen zrobił to samo.

* * *

Znaleźli się w zwyczajnym pokoju hotelowym, jaki można znaleźć na każdej z tysięcy planet. Czekali na nich dwaj mężczyźni siedzący nieruchomo w fotelach, ubrani w czarne kombinezony i maski. Przewodnik wybrał nowy namiar, wszedł do kabiny i zniknął bez słowa.

— Zrobione? — spytał pierwszy przez syntetyzator dźwięku, przez co jego głos był bezbarwny, maszynowy i niemożliwy do zidentyfikowania.

— Zapłata — odparł Jagen, opierając się plecami o ścianę.

— Masz! — Pudełko ciśnięte wprawną dłonią upadło u jego stóp, otwierając się i ukazując gruby plik banknotów o wysokich nominałach. — Teraz opowiedz, jak poszło.

— Wystrzeliłem do podanego celu sześć kul — powiedział, przyglądając się banknotom: na oko suma się zgadzała. — Dwie kule w głowę, jedna w serce, jedna w brzuch, jedna w szyję i jedna w ochroniarza, który znalazł się na linii ognia. Ekranosy osobiste, zgodnie z oczekiwaniami, okazały się nieskuteczne wobec mechanicznie napędzanych plastikowych kul.

— A więc wygraliśmy! — Radosne podrygiwanie mówiącego oraz pełne satysfakcji walenie pięścią w oparcie fotela wyraźnie odstawały od beznamiętności głosu mówiącego.

Jagen schylił się, by pozbierać pieniądze, pozornie tylko tym zajęty. Jego rozmówca uniósł ukryty dotąd w fałdach stroju pistolet laserowy i nacisnął spust.

Jako zawodowy myśliwy Jagen był przygotowany, iż od czasu do czasu traktowano go jak zwierzynę. Uskoczył w bok, tak że świetlna igła trafiła w ścianę. Otworzył dłoń przytrzymującą wylot lufy i broń wślizgnęła się w nią płynnym ruchem. Drugą dłonią wymacał spust poprzez luźny materiał rękawa i nie wstając, strzelił.

Z tak małej odległości nie mógł chybić — kula trafiła zamaskowanego w brzuch, składając go wpół przy wtórze mechanicznego jęku. Druga kula utkwiała w sercu, rzucając ciało w tył. Z bezwładnej dłoni wysunął się pistolet, a trup znieruchomiał obok wywróconego fotela.

— Pociski z miękkiego stopu są znacznie efektywniejsze niż plastikowe — wyjaśnił Jagen tonem towarzyskiej konwersacji, wyplątując broń z rękawa, gdzie wepchnął ją odrzut. — Powodują paskudne rany wylotowe i szybką śmierć. A ta broń nie daje się wykryć przez detektory energetyczne. Miałem się jej pozbyć wraz z innymi dowodami, ale że jestem z natury ostrożny, postanowiłem nieco zmienić zasady niszczenia ewidencji. Myśleliście, że jestem bezbronny, i postanowiliście zmniejszyć koszty, co, spryciarze?

— Nie zabijaj mnie! — Głos drugiego zamaskowanego był monotony, w przeciwieństwie do pełnego przerażenia zachowania. — To był jego pomysł, bał się, że jeśli cię złapią, mogą dotrzeć i do nas. Byłem temu przeciwny... Nie mam broni i nie chcę cię skrzywdzić. Nie zabijaj mnie, dam ci więcej pieniędzy.

— Masz je przy sobie? — spytał Jagen, unosząc broń.

— Niewiele: parę tysięcy, ale mogę szybko postarać się o więcej.

— Obawiam się, że nie stać mnie na czekanie... Wyjmij, ile masz, ale powoli! I rzuć tutaj.

Sumka była wcale okazała — gość musiał być majątny, skoro nosił ją przy sobie na drobne wydatki. Jagen miał ochotę go zastrzelić, ale w ostatniej chwili się rozmyślił; miał chwilowo dość zabijania. Podeszedł do mężczyzny i zdarł mu kaptur. Ukazało się zapłakane i przerażone

oblicze grubasa w średnim wieku. Jagen rzucił go na podłogę, kopnął z wprawą, pozbawiając przytomności i uważając, by zasłonić sobą klawiaturę teleportera, wybrał nową kombinację.

Wszedł do kabiny, czując, że zrobił błąd.

* * *

Z kabiny służbowego teleportera nadkomisarza policji wyszedł automat. Było to o wiele lat świetlnych od pokoju hotelowego — na planecie, na której Jagen nie tak dawno wykonał zlecenie, ale zdarzyło się prawie równocześnie z jego zniknięciem z hotelu.

— Ty jesteś Gończy? — spytał Nadkomisarz.

— Tak — odparł automat.

Wyglądał jak masywny mężczyzna, mierzył ponad dwa metry, choć kształty jedynie w ogólnych zarysach miał humanoidalne — jego konstruktorzy doszli do wniosku, iż takie najbardziej nadają się do stałych kontaktów z ludźmi, ale nie próbowali ukryć, że jest to maszyna. Nie byłoby to zresztą celowe, toteż resztę podporządkowali funkcjonalności. Opływowe kształty pokryte złotawym materiałem podobnym do metalu i czaszka pozbawiona jakichkolwiek rysów poza wycięciem w kształcie litery T, tam gdzie człowiek ma oczy i nos.

— Jak rozumiem, jesteś jedynym egzemplarzem operacyjnym — powiedział szpakowaty oficer, który mimo lat spędzonych na służbie nie zatracił ciekawości.

— Twoje stanowisko zezwala mi na udzielenie informacji, że jestem pierwszym, ale nie jedynym Gończym. Nie mogę ci jednak powiedzieć, ilu nas jest i w jakim czasie następne wejdą do służby.

— Co masz nadzieję osiągnąć?

— Odnaleźć przestępcę. Mam dokładniejsze detektory niż jakiegokolwiek dotąd używane w praktyce, dlatego zresztą jestem taki duży. Mam ogromną pamięć i zdolność uczenia się. Moim celem jest wytropić zabójcę.

— To może być trudne: zniszczył kabinę teleportacyjną po zamachu...

— Niczego się nie da zniszczyć całkowicie. Mam swoje sposoby.

— To będzie trudne zadanie...

— Gdyby było łatwe, nie byłbym potrzebny.

— W takim razie życzę ci szczęścia... jeśli szczęście może pomóc maszynie.

— Dzięki za uprzejmość. Nie mam uczuć, choć potrafię je zrozumieć. Chciałbym obejrzeć wszystko, co macie na temat zamachu, a potem zobaczyć miejsce, od którego zabójca rozpoczął ucieczkę.

* * *

Dwadzieścia lat dostatniego i spokojnego życia nie pozostało bez wpływu na Jagena. Nie musiał już zabijać dla pieniędzy, robił to okazjonalnie, bardziej dla satysfakcji niż z realnej potrzeby, ale zawsze równie starannie zacierał za sobą ślady. Na tę zacofaną planetę trafił przypadkiem i spodobała mu się, tak że postanowił tu osiąść. Prymitywne puszcze zapewniały doskonale łowy, a ostatnio polowanie na zwierzynę zaczynało być przyjemniejsze niż na ludzi. Pieniądze, rozsądnie zainwestowane, zapewniały mu dostatni byt, toteż był zadowolony z życia.

Ze szklaneczką w dłoni obserwował właśnie zachód słońca nad lasem przez przezroczystą ścianę salonu, gdy rozbrzmiał gong oznajmiający przybycie gościa z kabiny teleportacyjnej. Odwrócił się w chwili, gdy wyszedł z niej Gończy.

— Przybyłem po ciebie, zabójco — oznajmił automat.

Jagen wypuścił szklanekę — zawsze miał przy sobie broń, ale tym razem był to zdecydowanie zbyt słaby laser jak na opancerzenie gościa. Przygotowany był na ludzkich przeciwników, a nie na pancerne roboty.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział, wstając. — Zaraz zawiadomię policję.

Spokojnie podszedł do komunikatora i nagłym skokiem zniknął w sąsiednim pokoju. Gończy dał dwa kroki i znieruchomiał, widząc wymierzony w siebie bezodrzutowy karabin sporego kalibru. Jagen używał go do polowań na tutejszą zwierzynę — broń miała magazynek na dziesięć rakietowo napędzanych pocisków kalibru dwadzieścia milimetrów, eksplodujących przy zetknięciu z celem; zdolna była zatrzymać wielotonowego przeciwnika zaledwie jednym z nich. Nie czekając sekundy dłużej, opróżnił magazynek, celując w złocistą sylwetkę.

Gdy rozwiął się dym, pokój wyglądał jak pobojowisko — nawet sufit był poszarpany przez odłamki. Jagen czuł lekki ból w nodze i w karku, musiały drasnąć go drobniejsze fragmenty pocisków, ale przede wszystkim czuł wszechogarniającą wściekłość: nie licząc wgłęć i rys w złocistym pancerzu, prześladowca był cały i najwyraźniej sprawny. A on nie miał przy sobie zapasowego magazynka!

— Siądź! — polecił robot. — Serce bije ci zbyt szybko, co może okazać się groźne dla twego zdrowia.

— A co to ciebie może obchodzić, mechaniczny kacie — zachnął się, wypuszczając beużyteczny karabin.

— Nie jestem Katem, jestem Gończym.

— I tak oddasz mnie w ich ręce, więc co za różnica?! Chciałbym się tylko dowiedzieć, jak mnie odnalazłeś.

— Szczegóły są tajemnicą. Mogę ci jedynie powiedzieć, że użyłem technik odczytywania mikrośladów, o których nie masz nawet pojęcia, a poza tym mam jako maszyna dosłownie niewyczerpaną cierpliwość.

— Też prawda. — Skoro nie mógł zniszczyć prześladowcy, należało go przechytryć i uciec. — Co zamierzasz ze mną zrobić?

— Chcę ci zadać kilka pytań.

Jagen uśmiechnął się w duchu — dwadzieścia lat pogoni tylko po to, by zadać kilka pytań; nawet umysłowo ociążały smarkacz by w to nie uwierzył.

— No to pytaj.

— Wiesz, kogo zastrzeliłeś tamtej nocy?

— Nie przyznaję się do zastrzelenia kogokolwiek.

— Zrobiłeś to, próbując mnie zniszczyć.

— Niech ci będzie. — Mógł przyznać się do wszystkiego: i tak przesłuchujący wyciągną z niego prawdę. — Nie wiem, kim był, prawdę mówiąc nie jestem nawet pewien, na jakiej planecie do tego doszło. Lało tam prawie cały czas, ale wątpię, by ta informacja na wiele ci się przydała.

— Kto cię wynajął?

— Nie podali żadnych nazwisk, a ja nie pytałem. Uzgodniliśmy kwotę, wykonałem zlecenie, dostałem pieniądze i to wszystko.

— Mogę w to uwierzyć. Puls doszedł do normy, więc mogę cię poinformować, że masz ranę na karku.

— Dzięki za nieoczekiwaną troskę, wiem o niej. To drobiazg.

— Wolalbym cię opatrzeć — oznajmił Gończy. — Zgadzasz się na to?

— Skoro nalegasz... Apteczka jest w drugim pokoju. — Gdyby robot tam poszedł, miał szansę dotrzeć do teleportera, a potem gonitwa zaczęłaby się od nowa.

— Najpierw muszę obejrzeć ranę.

Gończy zbliżył się zadziwiająco cicho, jak na tak potężny mechanizm, i dotknął palcem karku Jagena. Ten poczuł lekkie ukłucie i stwierdził, że nie może się poruszyć. Mógł normalnie oddychać, ale nie mógł poruszyć nawet gałkami oczu.

— Musiałem cię oszukać, gdyż przed operacją twój organizm ma być rozluźniony. Operacja, jak sam się przekonasz, jest całkowicie bezbolesna.

Automat zniknął z jego pola widzenia, zostawiając go chwilowo w spokoju. Jaka, do cholery, operacja?! Co znów wymyślił Wielki Despota...? Lobotomia też ponoć jest bezbolesna... Był przerażony i wściekły na samego siebie; dał się podejść jak amator i teraz był całkowicie bezsilny. Te smętne rozmyślenia przerwały dźwięki dochodzące z tyłu — Gończy wrócił i coś robił z jego głową.

Dopiero widok pianki depilacyjnej uzmysłowił mu, co to było. Automat musiał użyć całego opakowania, spryskując mu głowę, i po chwili zajął się usuwaniem szpakowatej wprawdzie, ale nadal wcale obfitej czupryny.

— Ogoiliłem cię — poinformował robot, stając przed Jageniem i wycierając dłonie w jego ubranie. — Włosy odrosną ci za jakiś czas, a jest to niezbędne przygotowanie do zabiegu.

W korpusie automatu pojawił się otwór; z początku wąski, po chwili wystarczający, by zmieściła się w nim głowa. Wnętrze lśniło srebrzyście, a w ściankach tkwiły rozmaite instrumenty nieznanego Jagenowi przeznaczenia.

— To nie będzie bolało — powiedział robot i delikatnie ujął go oburącz za głowę.

Powoli i precyzyjnie przyciągał go do siebie i wsunął głowę sparaliżowanego w srebrzyste zagłębienie.

Jagen stracił przytomność, toteż nie czuł ostrych igieł wbijających się w skórę i cieńszych od włosa sond docierających do mózgu. Potem na szczęście pograżył się w nieświadomości.

* * *

Ocknął się, siedząc na krześle w pełni zdolny do ruchu. Odruchowo potarł łysą głowę zaskoczony brakiem nie tylko bólu, ale w ogóle jakiegokolwiek odczucia, choćby swędzenia.

— Coś mi zrobił? — wrzasnął. — Co to była za operacja?!

— Przeszukanie pamięci. Teraz znam tożsamość tych, którzy zlecili zabójstwo — odparł Gończy, odwrócił się i podszedł do teleportera.

— Czekaj! Co chcesz ze mną zrobić?!

— A co chcesz, żebym zrobił?

— Przestań się zgrywać, blaszanko! Jestem człowiekiem i rozkazuję ci, żebyś odpowiedział! Jesteś z policji Wielkiego Despoty?

— Tak.

— I aresztujesz mnie?

— Nie. Zostawiam cię tutaj. Miejscowa policja może cię zatrzymać, ale wątpię, by to zrobiła, ponieważ nie przekroczyłeś żadnego prawa na tej planecie. Przełałem też wszystkie pieniądze z twego konta jako częściową zapłatę za koszty odszukania. — Gończy wybrał koordynaty i otworzył drzwi kabiny.

— Stój! — Jagen zerwał się gwałtownie. — Zabrałeś moje pieniądze, takie jest złodziejskie prawo. Ale nie pozwolę, żebyś ze mną grał w kulki. Nie lałeś za mną przez dwadzieścia lat tylko po to, żeby teraz tak po prostu sobie iść. Jestem zawodowym zabójcą, pamiętasz?!

— Wiem o tym, dlatego właśnie cię tropiłem. Teraz znam także twoją opinię o sobie samym i uważam ją za błędną: nie jesteś ani unikatem, ani specjalnie utalentowany, ani nawet interesujący. Każdy może zabić, mając odpowiednią motywację: żołnierze podczas wojny robią to niejako zawodowo i niewielu ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Ty jesteś zwykłym myśliwym, tyle że polujesz na specyficzną zwierzynę: na przedstawicieli własnego gatunku. Nie ma w tym nic szlachetnego, bohaterskiego czy chociażby interesującego. Zabicie ciebie nie przywróci życia tym, których zabiłeś. Masz jeszcze jakieś pytania?

— Tak. Skoro nie ja cię interesuję, to po co straciłeś tyle czasu, by mnie odnaleźć?

— Ty jesteś niczym i ci, którzy cię wynajęli, także są niczym. Wszystkim są powody, dla których to zrobili, oraz to, w jaki sposób zdołali tak postąpić. Jeden człowiek, dziesięciu ludzi czy milion są niczym dla Wielkiego Despoty władającego tysiącami planet. On zajmuje się zjawiskami społecznymi i dlatego tu jestem: trzeba zbadać twoje społeczeństwo, a przede wszystkim społeczność, z której wywodzą się twoi zleceniodawcy, i odkryć, dlaczego sądzili, że przemoc rozwiązuje problem. Istotne są powody, które ich do tego skłoniły, bowiem zabójcą jest społeczeństwo, nie jednostka. Ty byłeś i jesteś niczym.

Z tymi słowami Gończy wszedł do kabiny i zniknął.

Przełożył Jarosław Kotarski

Nad wodospadem

1968

To jedyne opowiadanie, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek napisać pod wpływem (A) wizji, a szczególnie (B) emocjonalnego podtekstu owej wizji. Żeby nie zostać źle zrozumianym, dopowiem szybko, że nie była to w żadnym wypadku wizja religijna, a tylko taka wywołana snem i strachem.

Mieszkaliśmy wówczas w Kalifornii, w domu u stóp niebywale stromego wzgórza zwanego w okolicy Wzgórzem Samobójstwa, która to nazwa tylko mgliście oddawała uroki okolicy. Przez wzgórze przebiegała szosa. Dzieciaki zjeżdżały nią na rowerach, nagminnie łamiąc ręce. Pijani kierowcy z uporczywą regularnością wypadali tu z drogi i rozbijali się o słupy telegraficzne. Kupa śmiechu. W czasie gdy miałem moją wizję, był to jeszcze dziewiczy kawałek świata, gdzie nie spojrzeć tylko dzikie króliki i krzaki bylicy. Nocami panowała cisza tak wielka, że każdy z rzadka przejeżdżający samochód było słychać już z daleka.

Ta noc była szczególna. Zasnąłem, czy też raczej znalazłem się na granicy między snem a jawą, takie ni to, ni sio. Wtedy właśnie ten samochód zjawił się na wzgórzu. Zatrzymał się na szczycie, zawył silnikiem i na pełnym gazie ruszył w dół, ze zgrzytem i wizgiem zmieniając błyskawicznie biegi. Jego światła omiotły okna sypialni i nagle pomyślałem, że wyrznie w nasz dom. Byłem pewien, że tak się stanie. Ogarnęła mnie panika. Napiąłem wszystkie mięśnie i gotów jestem przysiąc, że uniosłem się o cal nad pościelą. Wóz przemknął obok i zniknął, a ja leżałem, całkiem przebudzony, i wpatrywałem się w ciemność. Przed oczami zaczął mi się z wolna formować pewien obraz.

Zamiast pędzącego na mnie samochodu ujrzałem jednak wodospad tak szeroki, że jego drugi kraniec ginął gdzieś w dali, i tak wysoki, że nie można było dostrzec szczytu. Jego huk wstrząsał podstawami ziemi.

Gdy rano znów pomyślałem o tym wodospadzie, przypomniałem sobie też nocny strach. Pisarskie umysły potrafią przemielić każdy drobiazg z życia autora. Skierowałem się do gabinetu i przed wieczorem opowiadanie o wodospadzie było gotowe. Ilekroć zdarza mi się popadać w

jakiś marazm, zaraz wspomnianą ową wizję i towarzyszące jej wrażenia. Podbudowuje mnie to i pozwala utrzymać równowagę emocjonalną na właściwym jej, wysokim poziomie.

Ścieżka zarosła długą, śliską trawą i to przez nią, a nie przez stromiznę stoku, Carter przewracał się i zjeżdżał raz za razem, aż przemoczył cały przód płaszcza i zabłocił nogi aż do kolan. Im bliżej był szczytu, tym głośniej rozlegał się odległy wciąż ryk. Spocony i zziębnięty stanął wreszcie na grani i ledwo spojrzął na rozległą zatokę, zaraz zapomniał o wszelkim zmęczeniu.

Tak jak wszyscy, po raz pierwszy usłyszał o Wodospadzie w dzieciństwie, widział niezliczone fotografie i filmy, ale te obrazki nijak nie przygotowywały na osobiste spotkanie z Wodospadem.

Ujrzał rzekę przelewającą w pionie cały ocean. Jak to policzono? Ile to galonów wody spadało tu w każdej sekundzie? Wodospad rozciągał się na całą szerokość zatoki, jego drugi kraniec ginął w białej kurzawie. Powierzchnia zatoki zdawała się wrzeć, wstrząsana impetem strug rozbijających się o skaliste dno, fale spowijały kłęby wodnej mgiełki. Carter czuł wibrację wywołaną przez Wodospad, ale ginęła ona we wszechobecnym huku. Uszy zareagowały boleśnie na takie natężenie hałasu i nie mogąc zareagować inaczej, próbowały uciec w głuchotę, ale wibrujące kości czaszki zdawały się wciąż przenosić dźwięk wprost do mózgu, maltretując i otepiając Cartera, który zakrył w końcu uszy dłońmi. Z przerażeniem stwierdził, że wciąż słyszy tak samo głośno. Jeden z wielu tworzących się nieustannie u podstawy Wodospadu prądów powietrznych cisnął nagle w jego stronę ścianę wodnej kurzawy, która zmoczyła go dokładniej niż oberwanie chmury. Gdy mgła opadła, Carter ciężko łąpał powietrze, tak gęsty był wodny obłok.

Nigdy nie doświadczył czegoś podobnego. Roztrzęsiony spojrzął wzdłuż grani na szary, pociemniały od wilgoci granit klifu. U stóp urwiska przytulił się przypominający kamienną narośl dom wzniesiony z tej samej skały i na oko równie solidny. Niepewnym krokiem Carter pobiegł w tamtym kierunku. Ani na chwilę nie oderwał dłoni od uszu.

Wiatr porwał na chwilę wodną kurzawę i uniósł ją w stronę morza. Żłociste, popołudniowe słońce rozjaśniło ściany domu, podświetliło strużkę dymu wznoszącą się ponad stromym dachem. To był naprawdę solidny dom, trwający równie pewnie jak skała, do której się przytulił. W frontowej ścianie naprzeciwko Wodospadu miał tylko dwa okna, oba niewielkie i głęboko osadzone, jak małe podejrzliwie ślepie. Drzwi nie było, ale Carter dojrzał wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę wiodącą za narożnik.

Idąc jej tropem, znalazł wejście od strony przeciwnej Wodospadowi. Też niewielkie, głęboko osadzone i osłonięte szerokim na dwie stopy kamiennym nadprożem. Rozejrzał się za kołatką, ale

drzwi z gładkiego, nabijanego ćwiekami drewna pozbawione były takiego urządzenia. Choć wciskający się i tutaj ryk Wodospadu prawie uniemożliwiał myślenie, Carter pojął w końcu, że w takich warunkach wszelkie kołatki, nawet najgłośniejsze, były całkiem bezużyteczne. Opuścił ręce i zmusił się do zastanowienia.

Jednak musi być jakiś sposób, by obwieścić swoje przybycie. Dopiero gdy odstąpił krok od wnęki, ujrzał zardzewiały żelazny lewar wyłaniający się z muru o kilka stóp od wejścia. Carter ujął żelazo i spróbował przekręcić, ale bez skutku. Dopiero gdy pociągnął, wyszło z oporami na kilka cali z muru, ukazując natłuszczone ogniwa wcale nie przerdzewiałego łańcucha. Dobry znak. Puścił lewar dopiero wtedy, gdy widoczny był już z jard łańcucha, który za nic nie chciał się dalej wysuwać. Przez chwilę nic się nie działo, potem jakiś mechanizm wciągnął powolnym ruchem łańcuch do wnętrza domu i lewar sam wrócił na miejsce.

Jakiegokolwiek dziwne urządzenie udało się Carterowi uruchomić, działało ono należycie, gdyż nie minęła minuta, a ciężkie drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich jakiś mężczyzna, który bez słów zmierzył przybysza spojrzeniem.

Gospodarz dziwnie kojarzył się z domem i urwiskiem, też był solidnej budowy, poważny, sterany życiem, pomarszczony i posiwiasty. Choć widać było po nim upływ lat, to nie dał się zwyciężyć czasowi. Trzymał się prosto jak młodzieniaszek i wyglądał na silnego. Miał błękitne oczy, które barwą przypominały spadającą nieustannie wodę. Nosił zdarte buty rybackie, proste portki i wytarty szary sweter. Nie zmieniając wyrazu twarzy, skinął na Cartera, zapraszając go do środka.

Gdy grube drzwi zatrzasnęły się za nimi i rygle licznych zamków znalazły się na swoim miejscu, można było dosłyszeć, jak spokojnie jest we wnętrzu domu. Carter wiedział, czym jest brak dźwięków, ale ta cisza była szczególna, oznaczała bowiem brak ryku Wodospadu. Owszem, ogłuchł, ale nie na tyle, by nie zorientować się, że Wodospad został za drzwiami. Gospodarz musiał wyczuwać świetnie wrażenia gościa, kiwnął bowiem jedynie głową, biorąc płaszcz Cartera, i wskazał na wygodne krzesło przy sosnowym stoliku obok kominka. Carter przyjął propozycję z wdzięcznością i opadł na miękkie siedzenie. Gospodarz zniknął na chwilę i wrócił z tacą, na której widniała karafka i dwa kieliszki. Nalał wina i postawił jeden z kieliszków przed Carterem, który podziękował gestem i ujął szkło w obie dłonie, by nie rozchłapać zawartości. Pierwszy łyk ukoił dreszcze i uszy zaczęły z wolna reagować na dźwięki. Gospodarz wciąż kręcił się po pokoju, Carter zaś przychodził do siebie. W końcu spojrzał na swego dobroczyńcę.

— Muszę podziękować panu za gościnę. Byłem wstrząśnięty...

— Jak się pan czuje? Wino pomogło? — spytał głośno mężczyzna, niemal krzykiem, i Carter zrozumiał, że jego poprzednia kwestia nie została dosłyszana. Oczywiście, mieszkaniec tego domu musi być na wpół głuchy, to cud, że nie jest głuchy jak kłoda.

— Bardzo dobrze, dziękuję — odkrzyknął Carter. — Bardzo miło z pana strony. Nazywam się Carter. Jestem dziennikarzem. Dlatego do pana przyszedłem.

Mężczyzna przytaknął i uśmiechnął się lekko.

— Nazywam się Bodum. Ale to pan chyba wie, jeśli przyszedł pan specjalnie, żeby ze mną porozmawiać. Pisz pan do gazet?

— Przysłali mnie tutaj... — Carter zakaszłał, takie wydzieranie się nie robi dobrze na gardło. — Oczywiście, że wiem, kim pan jest, panie Bodum. To znaczy, słyszałem o panu. Nazywają pana Człowiekiem Wodospadu.

— Już od czterdziestu trzech lat — stwierdził dumnie Bodum — mieszkam tutaj i ani jednej nocy nie spędziłem gdzie indziej. Nie, żeby życie było tu łatwe. Kiedy wiatr wieje w moją stronę, to niesie tyle wody, że nie ma czym oddychać, nawet ogień gaśnie. Sam zbudowałem komin, dałem zastawki i odpływy, tak że dym wylatuje, ale kiedy woda chce wlecieć, to zastawki ją zatrzymują, a jej ciężar otwiera odpływ i woda wylatuje rurką na zewnątrz. Mogę panu pokazać, gdzie wypływa, mur aż poczerniał w tym miejscu.

Bodum gadał jak najęty, Carter zaś rozglądał się po pokoju. W migotliwym blasku kominka ledwo dawało się dojrzeć mroczne kształty mebli. Przez dwa okienka wpadało naprawdę niewiele światła.

— A te okna, sam pan je wprawił? Czy mogę wyjrzeć?

— Nad każdym pracowałem rok. Stojąc na tej ławie. Inaczej się ich nie dosięgnie. To pancerne szkło, specjalnie robione, twarde jak mur i dobrze wprawione. Nie ma się czego bać. Proszę wejść na ławę. Okna są bezpieczne. Niech pan tylko spojrzy, jak mocno siedzą we framugach.

* * *

Carter nie spoglądał na szkło, tylko na Wodospad. Nie zdawał sobie przedtem sprawy, jak mała odległość dzieli dom od wody. Tkwił tuż pod klifem i z okien widać było jedynie

poczerniałą granitową ścianę po prawej i pienisty maelstrom zatoki poniżej, resztę miejsca wypełniał Wodospad. Nawet gruby mur i pancerne szkło nie tłumili huku do końca. Kiedy dotykało się tafla opuszkami palców, można było wyczuć wyraźną wibrację.

Nawet widziany przez małe okienko, Wodospad wciąż robił potężne wrażenie. Przytłaczał, pozwalając tylko stać i patrzeć, nie dając wykluć się żadnej myśli, tak samo jak na zewnątrz. Oto był wziernik dający podejrzenie zimne, wodne piekło. Bezpieczny punkt obserwacyjny nie tłumiący wszakże strachu przed tym, co dzieje się po drugiej stronie. Coś czarnego mignęło w spadających strumieniach i zniknęło.

— Tam... Widział pan — krzyknął Carter. — Coś spadło. Co to mogło być?

Bodum pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Mieszkam tu od ponad czterdziestu lat i mogę panu pokazać, co przynosi Wodospad. — Wsunął szczapkę drewna do ognia i przypalił nią lampę. Potem skinął na Cartera, by poszedł za nim. Przeszli przez pokój i gospodarz podniósł lampę nad wielką szklaną banią.

— Wyrzuciło go na brzeg ze dwadzieścia lat temu. Wszystkie kości miał połamane. Sam go wypchałem i tak ustawiłem.

Carter przysunął się bliżej, wpatrzony w zrobione z guzików oczy i rozdziawioną paszczę pełną ostrych zębów. Nienaturalnie wygięte sztywne kończyny, ciało powybrzuszane w dziwnych miejscach. Bodum wyraźnie nie potrafił wypchać zwierząt, jednak przypadkiem dobrze uchwycił przerażenie malujące się na nieruchomym pysku.

— To pies — powiedział Carter. — Taki sam jak inne psy.

Bodum musiał poczuć się urażony.

— Może i podobny, ale nie taki sam — odparł lodowatym głosem. — Mówię panu, wszystkie kości miał połamane. Skąd tu pies, jak nie z Wodospadu?

— Przepraszam, nie to miałem na myśli, jasne, że Wodospad go przyniósł. Chciałem powiedzieć, że tak bardzo przypomina nasze psy, iż tam na górze musi być chyba cały świat. Taki z psami i wszystkim, taki jak nasz.

—Nigdy się nad tym nie zastanawiam — mruknął Bodum. — Zrobię kawę.

Zabrał lampę i podszedł do piecyka, a zostawiony w półmroku Carter wrócił do okna. Dziwnie go przyciągało.

— Muszę zadać panu kilka pytań, żeby mieć co napisać w moim artykule — powiedział, jednak nie na tyle głośno, by Bodum go usłyszał. Wszystko zdawało się nieważne wobec ogromu

Wodospadu. Wiatr znów rozerwał na chwilę kurtynę mgły i Wodospad pojawił się jako wielka rzeka spadająca prosto z nieba. Carter przechylił głowę i odniósł wrażenie, że istotnie patrzy na nurt rzeki.

Nagle na rzece pojawił się statek, wielki liniowiec z rzędami bulajów. Mknął tak szybko, że Carter ledwo nadążał za nim spojrzeniem. Mignął ledwie kilkaset jardów od domu i dobrze było widać ludzi na jego pokładzie — wczepionych kureczowo w barierki, z ustami otwartymi jakby krzyczeli w wielkim strachu. Statek zniknął nagle i znów tylko woda huczała za oknem.

— Widział pan? — krzyknął Carter, obracając się gwałtownie.

— Kawa zaraz będzie gotowa.

— Ale tam, na zewnątrz — krzyknął Carter, biorąc Boduma pod ramię. — W Wodospadzie. To był statek, przysięgam, spadł z góry. Byli na nim ludzie. Tam musi być cały świat, o którym nic nie wiemy.

* * *

Bodum uwolnił się od uścisku Cartera i sięgnął na półkę po filiżankę.

— Mój pies przybył z Wodospadu. Sam go znalazłem i wypchałem.

— Oczywiście. Nie twierdzę, że było inaczej. Ale przysięgam, że na tym statku byli ludzie. Nie jestem szalony, ale przysięgam, że ich skóra miała inny kolor niż nasza.

— Skóra to skóra, zawsze ma kolor skóry.

— Wiem. Tak jest z nami. Ale możliwe, że skóra może mieć też inną barwę, inną od naszej.

— Cukru?

— Tak, proszę, dwie łyżeczki.

Carter siorbnął kawy, była mocna i gorąca. Mimo wszystko znów podszedł do okna. Popijał kawę drobnymi łyżkami i spoglądał na Wodospad. Wzdrygnął się, gdy coś czarnego i bezkształtnego spłynęło z góry. Potem pojawiły się jeszcze inne obiekty, których nie mógł rozpoznać, wiatr bowiem niósł teraz mgłę w kierunku domu. Carter poczuł, że kawa zawiera coraz więcej fusów i ostrożnie odstawił filiżankę.

Niesiona powiewem mgła ustąpiła i znów było widać wszystko dokładnie.

— To był dom! Zupełnie jak ten, tyle że z drewna, nie z kamienia, i mniejszy. Czarny, jakby częściowo spalony. Niech pan podejdzie, bo może poleci coś jeszcze.

Bodum zadzwonił imbryczkiem, odstawiając go do zlewu.

— Co gazety chcą o mnie wiedzieć? Mieszkam tu od ponad czterdziestu lat i mogę panu wiele opowiedzieć.

— Co jest nad Wodospadem, na szczycie urwiska? Czy są tam ludzie? A może cały świat, o którego istnieniu nie mamy najmniejszego pojęcia?

Bodum zawahał się i zmarszczył brwi, nim zdecydował się odpowiedzieć:

— Ja wierzę, że tam są psy.

— Owszem — odkrzyknął Carter, uderzając pięścią w ramę okna. Nie wiedział, czy ma śmiać się czy płakać. Woda wciąż huczała, podłoga i ściany wibrowały.

— Coraz więcej rzeczy leci z góry — powiedział cicho, do siebie. — Dają się rozpoznać. To mogło być drzewo i kawałek ogrodzenia. Te mniejsze to mogą być ciała, zwierzęta, kłody drewna, wszystko... Nad Wodospadem jest inny świat i właśnie zdarzyło się tam coś strasznego. A my nic o tym nie wiemy. Nie wiemy nawet, że ten świat istnieje.

Uderzał pięścią w kamień tak długo, aż go knykcie rozbolały.

Słońce rozjaśniło wodę i ukazało dziwną zmianę. Wodospad zmienił barwę, z początku tylko tu i ówdzie, a po chwili całkowicie.

— A to co? Woda różowieje... Nie, jest już czerwona. Coraz intensywniej. Tam chociażby, to intensywny szkarłat. Kolor krwi.

Obrócił się do wnętrza pokoju i spróbował uśmiechnąć. Nie za bardzo mu to wyszło, wargi miał ściągnięte.

— Krew? Niemożliwe. Na całym świecie nie ma tyle krwi. Ale co tam się dzieje? Co się dzieje?

Jego krzyk nie poruszył Boduma, który tylko pokiwał głową na znak zgody.

— Coś panu pokażę — powiedział. — Ale musi mi pan obiecać, że o tym nie napisze. Ludzie mogliby się ze mnie śmiać. Mieszkam tu już ponad czterdzieści lat i nie ma w tym nic śmiesznego.

— Daję słowo, nawet słowo honoru. Proszę pokazać to coś, może podpowie nam, co tam się właściwie dzieje.

Bodum zdjął z półki ciężką księgę, ułożył ją na stoliku obok lampy i otworzył. Druk był czarny, bardzo wyraźny. Gospodarz przewracał strony tak długo, aż znalazł kawałek najzwyczajniejszego papieru.

— Znalazłem to na brzegu. Jeszcze zimą. Nikt nie zaglądał tu wtedy przez całe miesiące. Mógł spaść z góry. Z Wodospadem. Nie mówię, że tak było na pewno, ale mógł. Zgadza się pan, że to możliwe?

— Oczywiście, całkiem możliwe. Bo i skąd niby mógłby się tu wziąć? — Carter dotknął kartki. — Owszem, zwykły papier. Podarty na brzegach, pomarszczony jakby zamókł i potem wysechł. Obrócił kartkę. — Po drugiej stronie coś jest napisane.

— Tak, ale bez sensu. Nie znam tego słowa.

— Ani ja, chociaż władam czterema językami. Czy to może w ogóle coś znaczyć?

—Niby jak. Takie dziwaczne słowo.

— Żaden ludzki język. — Carter odczytał każdą z liter z osobna: — Pe, o, em, o, ce, ygrek.

— Co niby może znaczyć wyraz POMOCY?! — krzyknął Bodum głośniej niż zwykle. — Jakiś dzieciak musiał to nagryzmolić. Bez sensu. — Złapał kartkę, zmiął ją w kulkę i cisnął do kominka.

— Napisze pan o mnie — powiedział zdecydowanie. — Mieszkam tu już ponad czterdzieści lat i wiem o Wodospadzie wszystko.

Przełożył Radosław Kot

Wieczne drzewo

1969

Rzadko pisze się coś na rozkaz. Niemniej czasem przychodzi list od wydawcy, który szuka szczególnego tekstu, gdyż chce wykorzystać go w konkretnym celu i pyta, czy autor nie ma przypadkiem jakiegoś pomysłu, który by pasował?

Anthony Cheetham, wydawca i przyjaciel jednocześnie, napisał, że szuka opowiadań na tematy naukowe, tekstów do wykorzystania najpierw w magazynie naukowym dla młodzieży, a potem w antologii. Prenumerowałem już to czasopismo dla mego syna Todda. Był to „Young Scientist”, udana odrośl „New Scientist”. Sprawa mnie zainteresowała i wyraziłem zgodę. Miałem akurat ochotę napisać o ewolucji, na ten temat materiału nie brakuje. Jednak musiałem się zastanowić, jak ująć wątek w prozie i jak uczynić go atrakcyjnym dla młodych czytelników. Konieczne były uproszczenia, ale bez przesady, tekst nadal miał się nadawać i dla starszych, szczególnie, że miał potem ukazać się w antologii.

Pisanie to w znacznej części sprawa zdolności, jak przy uprawianiu każdej sztuki. Świadomy czy nieświadomy akt kreacji, muzy itp. Jednak druga ważna sprawa, to w pełni świadoma decyzja, jaką technikę pisarską wybrać, jak rzecz skomponować, od czego zacząć. Z dawna wówczas podziwiałem twórczość Anthony’ego Burgessa, wyśmienitego pisarza. Szczególnie podobał mi się pierwszy rozdział powieści *Enderby*. Autor we wspaniały sposób wyznaczył w nim od razu charakter całego dzieła, uwzględniając na dodatek reguły fantastyki naukowej. Ponieważ w tej samej książce odnalazłem również bardzo subtelną parodię nieumiarkowania właściwego prozie Grahama Greene’a, uznałem, że mogę zaryzykować naśladownictwo i nie urażę tym Burgessa (potem nawet go o to spytałem i miałem wrażenie, że pomysł mu się spodobał, w każdym razie zupełnie się nie przejął moim „piractwem”).

Oto opowiadanie, z którego dowiedziecie się o ewolucji więcej, niż zapewne zdarza się wiedzieć przeciętnemu człowiekowi.

Dzieci rozbiegły się po plaży, a niektóre nawet wbiegły do wody, zmagając się z zielonymi falami. Słońce płonęło na intensywnie błękitnym niebie, rozgrzewając żółty piasek. Fala załamała się bezgłośnie i wbiegła pianą na plażę. Ryło na tyle cicho, by głośnie klaskanie nauczyciela dobiegło do wszystkich.

— Koniec zabawy, ubierać się, Grosbit–9, wszyscy. Pora na lekcję.

Możliwie jak najwolniejszym krokiem dzieci ruszyły ku nauczycielowi. Kąpiący się wyszli z oceanu, ale nie byli mokrzy. Ani ziarnko piasku nie przyłgnęło do skóry pozostałych. Zebrali się wkoło nauczyciela. Rozmowy ucichły z wolna i wtedy nauczyciel wskazał dramatycznym gestem na małe stworzonko wijące się na piasku.

— Och, robal! — krzyknęła Mandi–2 i zadrżała przepięknie, potrząsając czerwonymi kędziorami.

— Zgadza się. Robak, prymitywny robak, wczesny robak, protorobak. Istotny robak. Choć nie należy on do tej gałęzi ewolucji, którą się teraz zajmujemy, winniśmy poświęcić mu nieco uwagi. Słuchaj, Ched–3, nie zamykaj oczu. Tutaj właśnie po raz pierwszy zauważamy segmentację ciała. To istotny krok w rozwoju życia, równie istotny jak wykształcenie form wielokomórkowych. Przyjrzyjcie się uważnie, to te pierścienie wokół ciała robaka. Wygląda, jakby zrobiony był z małych obrączek nanizanych razem. I tak jest w istocie.

Pochylili się kręgiem nad brunatnym robakiem, który pospieszał krętą ścieżką przez piasek. Zbliżył się do Grosbita–9, który uniósł stopę i przydepnął stworzenie. Pozostali uczniowie zachichotali. Robak wypętl z drugiej strony buta i podążył dalej.

— Masz niewłaściwy stosunek do przedmiotu, Grosbit–9 — powiedział surowo nauczyciel. — A przecież wysłanie was wszystkich do przeszłości, byście mogli na własne oczy podziwiać cuda ewolucji, kosztowało wiele energii. Nie wolno nam niczego dotykać, nie wolno nam zmieniać przeszłości, możemy jednak pilnie rozglądać się wkoło. Ogarnia nas podziw, gdy pomyślimy o tych siłach, które pozwoliły nam ujrzeć naszą Ziemię taką, jaka była przed milionami lat, ujrzeć ten ocean, praocean wszelkiego życia ujrzeć czas początku, ujrzeć pierwsze formy życia tworząc nieustannie rozgałęziające się, wieczne drzewo ewolucji. A co ty robisz, stojąc wobec czegoś tak zdumiewającego? Przydeptujesz pierścienicę! Wstydź się, Grosbit–9.

Daleki od jakiegokolwiek zawstydzenia, Grosbit–9 przygryzł paznokcie kciuka i opuściwszy głowę, spojrział ukradkiem na nauczyciela. Widać było, że ledwie opanowuje uśmiech.

Nauczyciel nie po raz pierwszy zastanowił się jakim cudem 9 dostał się do jego klasy. Pewnie za sprawą kontaktów i wysoko postawionych przyjaciół ojca.

— Zapewne dobrze zrobię, streszczając sprawę dla tych którzy nie potrafią skoncentrować się na temacie. — Spojrzał znacząco na Grosbita-9, ale chłopak wcale się tym nie przejął. — Ewolucja to proces, dzięki któremu człowiek osiągnął obecnie zajmowaną pozycję. Ewolucja to nieustanna przemiana form życia, od jednokomórkowców po istoty wielokomórkowe, w tym i myślącego człowieka. Jaka forma wytworzy się po nas, tego nie wiemy, ale widzimy właśnie, jakie formy nas poprzedzały. Wczoraj byliście świadkami burzy, podczas której pioruny uderzały w powierzchnię praoceanu, powodując miejscowe zmiany jego składu chemicznego. Widzieliśmy, jak ze złożonych związków chemicznych powstają pierwsze formy życia, jednokomórkowce. Odniosły one pierwsze zwycięstwo nad czasem i wiecznością, uzyskując zdolność podziału komórkowego, a następnie przekształcając się w formy wielokomórkowe. Co jeszcze pamiętacie z wczorajszych lekcji?

— Gorącą lawę wlewającą się do oceanu!

— Łąd wyłaniający się z morza!

— Jak piorun uderzył w falę!

— Te wijące się paskudztwa!

Nauczyciel skinął głową i uśmiechnął się, ostatnią uwagę puszczając mimo uszu. Nie miał pojęcia, kto właściwie zakwalifikował Mandi-2 do odbycia zajęć z propedeutyki nauk biologicznych i miał zamiar ułatwić jej przy najbliższej okazji zmianę klasy.

Bardzo dobrze. Tak właśnie doszliśmy do pierścienic, takich jak nasz robak. Ciało zbudowane ma z segmentów, przy czym każdy segment żyje w zasadzie własnym życiem. Po raz pierwszy obserwujemy naczynia krwionośne doprowadzające krew do wszystkich zakątków organizmu. Po raz pierwszy pojawia się też serce, maleńka pompa wymuszająca przepływ krwi w arteriach, krew zaś po raz pierwszy zawiera hemoglobinę. Czegoś jednak wciąż brakuje. Czy wiecie czego?

Wszyscy opuścili oczy, nie znając odpowiedzi.

— Pomyślcie tylko. A gdyby Grosbit-9 naprawdę przydepnął robaka?

— To by została mokra plama — odparł Agon-1, praktycznie podchodzący do sprawy ośmiolatek, a Mandi-2 odruchowo się wzdrygnęła.

— Właśnie. Robak by zginął. Jest miękki, nie ma skorupy ani szkieletu. Co przenosi się na wyższy poziom drzewa ewolucji.

Nauczyciel przycisnął stosowny guzik na przypiętym do pasa module kontrolnym i zaprogramowany uprzednio komputer przerzucił błyskawicznie całą grupę do następnego punktu czasoprzestrzeni. Na chwilę ogarnęła ich nieprzenikniona szarość, która ustąpiła miejsca zielonemu półmrokowi. Dwadzieścia stóp ponad ich głowami promienie słońca załamywały się na rozfalowanej powierzchni oceanu. Wkoło śmigwały bezgłośnie ryby. Jakieś zębate monstrum, całe w płytkach rogowych, zainteresowało się przybyszami, aż Mandi-2 pisnęła ze strachu.

— Najpierw popatrzcie w dół, rybami zajmiemy się później. Na początek przyjrzymy się pierwszym formom szkarłupni. Phill-4, wskażesz nam szkarłupnię i powiesz, co oznacza to słowo.

— Szkarłupnia — powtórzył chłopiec, szukając w pamięci. Zgodnie z obowiązującą techniką nauczania stosowne informacje zostały już wcześniej zapisane w jego mózgu i mógł je teraz wyrecytować. — W oryginalnym brzmieniu greckie określenie czegoś kolczastego. To musi być to stworzenie przypominające włochatą rozgwiadę.

— Dobrze. Ważny krok na drodze ewolucji. Dotąd zwierzęta nie miały żadnej ochrony i były jak nasza pierścienica lub też miały zewnętrzne szkielety, jak ślimaki, małże czy owady. To nieefektywne rozwiązanie, narzucające wiele ograniczeń. Dopiero wewnętrzny szkielet wspiera należycie, nie krępując ruchów osobnika, jest przy tym dość lekka. To już coraz bliżej, dzieci! Ten tutaj prosty wewnętrzny szkielet wyewoluował potem w praktyczniejszą strunę, pojedynczą kość biegnącą przez całą długość ciała i chroniącą główne włókna nerwowe. Strunowce, czyli organizmy z pojedynczą struną, są już tylko o krok od tego tu!

Nauczyciel rozpostarł ręce, wskazując na rojący się od wszelkiego życia ocean. Przypominające rekiny ryby drapieżne rozgramiały srebrzystą ławicę narybku, idealnie punktując dramatyczne zakończenie mowy nauczyciela. Kilkoro mniejszych dzieci odwróciło głowy od tej, służącej życiu, zagłady, a Grosbit-9 przymierzył się, jakby chciał kopnąć jednego z przepływających tuż obok drapieżników.

— Tak zatem doszliśmy do chwili, kiedy organizmy jednostrunowe — ciągnął nauczyciel, dając się ponieść własnemu entuzjizmowi — pozwalają powstać wielostrunowcom, czyli organizmom, jakie znamy na co dzień. Mocny i elastyczny wewnętrzny szkielet, który chroni organy wewnętrzne i daje oparcie całości organizmu. Chrzątki tych rekinów, takie same chrzątki jak to, co macie w uszach, rozwiną się następnie w twarde kości, jak ości tych tu ryb.

Można powiedzieć, że rodzaj ludzki jest tuż, tuż! Co jest, Ched-3? — spytał nauczyciel, czując, że ktoś ciągnie go za tokę.

— Muszę do...

— No to wciśnij guzik powrotu, ale żebyśmy nie musieli zbyt długo na ciebie czekać.

Ched-3 uruchomił umieszczony przy pasie moduł i zniknął, przenosząc się w jednej chwili z powrotem do klasy. Nauczyciel cmoknął, nieco wytrącony z kontenansu, i spojrzał na kłębiące się wkoło życie. Czasem trudno wytrzymać z tymi dzieciakami.

— A skąd zwierzaki wiedziały, jak wytworzyć strunę i kości? — spytał Agon-1. — Skąd znały sposób, by przerobić się w wielostrunowce i w nas?

Nauczyciel omal nie pogładził go po włosach. Ostatecznie poprzestał na uśmiechu.

— Dobre pytanie, bardzo dobre pytanie. Ktoś tu jeszcze słucha i myśli. Tak naprawdę to niczego nie wiedziały, nie istniał żaden plan. Ewolucja nie zna celu. Stwarzane przez nią zmiany rządzą się przypadkiem, to mutacje spowodowane wpływem naturalnej radiacji środowiska. Mutacje korzystne przeżywają, niekorzystne giną. Strunowcom łatwiej było się poruszać i radziły sobie lepiej niż inne stworzenia. Przeżyły, by dalej ewoluować. Dochodzimy teraz do nowego słowa, które chciałbym, abyście zapamiętali: ekologia. Mówimy właśnie o niszach ekologicznych. Ekologia to cały świat, wszystkie zwierzęta i rośliny oraz relacje pomiędzy nimi. Nisza ekologiczna to obszar bytowania konkretnego gatunku w ramach owego świata, miejsce, gdzie gatunek taki może żyć i rozmnażać się. Wszystkie stworzenia, którym udało się znaleźć własną niszę ekologiczną, przetrwały z powodzeniem.

— Przetrwały i przystosowały się? — spytał Agon-1.

— Musiałeś chyba czytać jakąś starą książkę. Kiedyś postrzegano ewolucję jako proces przystosowywania do środowiska, ale to był mylny pogląd. Wszystkie organizmy przystosowane są do środowiska, inaczej by ich nie było, nie przeżyłyby ani chwili. Jedne radzą sobie lepiej, drugie gorzej. Czy możemy jednak powiedzieć, że człowiek jest lepiej przystosowany do środowiska niż, powiedzmy, ostryga?

— Tak? — odparł pewnie Phill-4, spoglądając na powracającego Cheda-3, który zdawał się wyłaniać z boku jednego z rekinów.

— Naprawdę? Podejdz no bliżej, Ched-3, i uważaj. My żyjemy i ostrygi też żyją. Ale co by się stało, gdyby cały świat został nagle zalany płytkim oceanem?

— A to niby jakim cudem?

— To nieważne — sapnął nauczyciel i westchnął głęboko. — Powiedzmy sobie, że tak się właśnie stało. Co spotkałoby wówczas ludzi?

— Wszyscy by utonęli! — powiedziała smutnym głosem Mandi-2.

— Właśnie! Nasza ekologiczna nisza by zniknęła. Ostrygi by przetrwały i opanowały większe przestrzenie. Jak długo udaje nam się przeżyć, tak długo możemy powiedzieć, że w oczach natury jesteśmy równi innym. A teraz popatrzmy, jak zwierzęta kostnoszkieletowe opanowywały nową niszę. Suchy łąd.

Jedna chwila i już stali na bagnistym brzegu słonych moczarów. Nauczyciel wskazał na pierzastą płetwę przecinającą płataninę pływających na powierzchni wody alg.

— Grupa *Crossopterygii*, co oznacza frędzlaste płetwy. Dzielna rybka, która przetrwała w tych nieruchomych wodach, przystosowując skrzela do oddychania tlenem atmosferycznym. Wiele ryb tak przetworzyło skrzela, żeby oddychać na dużych głębokościach, ale to coś nowego. Patrzcie!

Ryba płynęła w coraz płytszej wodzie, aż nie tylko jej płetwa grzbietowa, ale i wyłupiaste oczy znalazły się nad powierzchnią. Stworzenie rozejrzało się, jakby przerażone nowym otoczeniem. Mocne, usztywnione kośćmi płetwy wparły się w błoto i ryba ruszyła powoli coraz dalej od krawędzi wody przez wyschłe rozlewisko. Wążka zniżyła lot, przysiadła obok — i zniknęła w jamie gębowej ryby.

— Oto dokonał się podbój łądu — powiedział nauczyciel, wskazując na rybę znikającą już między trzcinami. — Najpierw rośliny, potem owady, a na końcu istoty wyżej zorganizowane. Za kilka milionów lat, 255 milionów lat przed naszym czasem, ujrzemy...

Znów przeskok w czasie, tym razem w świat mokradeł porośniętych paprociami wielkimi jak drzewa. Spomiędzy nisko sunących obłoków wyglądało gorące słońce.

W dole zaś kłębiło się życie. Wieczne piski, ryki, zabijanie, pożeranie. Badacze służb temporalnych musieli długo szukać miejsca tak dokładnie obrazującego zwrotny punkt w historii świata. Obraz nie wymagał w zasadzie żadnego objaśnienia.

Oto epoka gadów. Małe uciekały szybko, unikając zgrabnie drapieżników. Przez trzcinę przeciskały się opancerzone jak mały czołg scolosaury, głęboko orząc błoto kolczastym ogonem. Wielkie brontosaurusy czerniały na tle nieba, kręcąc małymi główkami. Mózgu miały akurat tyle, by machać ogonem. Góry kości i ciała, łakomy kąsek dla drapieżnych tyranosaurów. Drobne przednie łapy wpijały się w skórę ofiary, a masywne szczęki wydierały kawały mięsa. Pożerany

brontosaur wciąż niezbyt się orientował, co się z nim dzieje, i spokojnie nabierał do pyska całe wanny wody z wodorostami. Wysoko w górze krążyły skórzastoskrzydłe pteranodony, rozdziawiając długie paszcze.

— Tutaj jeden robi krzywdę drugiemu — powiedziała Mandi-2. — Nie moglibyśmy jakoś ich rozdzielić?

— Jesteśmy tylko obserwatorami, dziecko. To, co widzisz, zdarzyło się już bardzo dawno temu i nie da się już niczego zmienić.

— Załatw go! — mruknął Grosbit-9, po raz pierwszy zainteresowany lekcją. Wszyscy rozglądali się wkoło, zdumieni gwałtownością tego świata.

— To są gady, pierwsze zwierzęta, którym udało się opanować lądy. Przed nimi żyły dwudyszne, jak znane nam żaby, rozmnażające się wszakże tylko i wyłącznie w wodzie. Gady jednak składają jaja na lądzie i są niezależne od morza. Stwory te podbiły lądy, jednak brakowało im pewnej cechy, pozwalającej bytować w każdych warunkach. Powinniście wiedzieć, jaka to cecha?

Odpowiedziało mu milczenie. Brontosaur upadł i drapieżca wyrwał kolejny kęs. Pteradon załopotał skrzydłami. Zaczął padać deszcz i słońce skryło się za chmurą.

— Chodzi mi o ciepłość ciała. Te gady czerpały większość swego ciepła ze słońca. Mogły żyć tylko w ciepłym klimacie, ich ciała bowiem miały temperaturę otoczenia...

— Ciepłokrwistość! — krzyknął uradowany Agon-1.

— Właśnie. Wreszcie ktoś z was czegoś się nauczył. Nie wystawiaj języka, Ched-3, bo ci tak zostanie. Stała ciepłota ciała, oto początek nowego etapu ewolucji. Najważniejszymi, które opanowały tę sztukę, są ssaki. Jeśli zagłębimy się nieco dalej w tę puszcę, to ujrzycie, o czym mówię.

Nie rozłazić się, za mną. Tutaj, na tę polanę. Spokój. Przyjrzyjcie się uważnie tym krzakom. Za chwilę...

Zastygli w oczekiwaniu. Liście poruszyły się i spomiędzy krzewów ukazał się wężący ryjek z dwoma podejrzliwie spoglądającymi ślepkami. Uznawszy, że chwilowo nic mu nie grozi, stworzenie wyszło z ukrycia.

— Czy tu wszystko musi być takie brzydkie? — powiedział Aill-4.

— Piękno jest kategorią względną, młody człowieku. Powściągnij język. Oto mamy przykład jednego z pierwszych zwierząt stałocieplnych, to tritylodon. Przez wiele lat spierano się, czy był

gadem czy ssakiem. Miał gładką skórę i zrogowacenia typowe dla gada, ale porastał gdzieniegdzie włosami. Gady nie mają owłosienia. Składał jaja jak gady, ale wychowywał młode jak ssaki. Przypatrzcie się temu wspaniałemu stworzeniu, pierwszemu ssakowi, pomostowi między dawnymi gadami a ssakami!

— Ale fajne! — krzyknęła Mandi-2, gdy z listowia wyłoniły się cztery malutkie duplikaty matki. Zwierzę ułożyło się na boku i potomstwo zaczęło ssać.

— Oto jeszcze jedna nowość, która pojawiła się wraz z ssakami. Miłość macierzyńska. Gady zostawiają potomstwo swojemu losowi, natomiast ssaki potrzebują ciepła dorosłych osobników, muszą być chronione i żywione, aż podrosną. Potrzebują matki.

Jakiś odgłos musiał spłoszyć stworzenia, bo zerknąwszy wkoło, duży osobnik zerwał się na łapy i zagnał potomstwo w zarośla. Po chwili przez pustą polanę przemaszerowała gromadka rogatych triceratopsów. Trzydzieści stóp pancernego cielska plus koleczasty ogon.

— Wielkie jaszczury mają się wciąż dobrze, ale ich dni są już policzone. Ssaki przetrwają i opanują świat. Później porozmawiamy o różnorodności form ssaków. Dzisiaj skoczmy od razu miliony lat do przodu, by ujrzeć naczelne. Ich widok może wam się wydać znajomy.

Dżungla zmieniła się. Stała się bardziej gęsta, wyższa i cieniasta, pełna kwiatów i owoców. Labirynt życia. Obok śmigały kolorowe ptaki, owady krążyły całymi chmurami, jakieś brunatne postaci przemykały po gałęziach.

— Małpy — powiedział Grosbit-9 i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby cisnąć w stworzenia.

— Naczelne. Stosunkowo prymitywne, weszły na drzewa jakieś pięćdziesiąt milionów lat przed naszymi czasami. Widzicie, jak doskonale przystosowały się do życia na drzewach? Oczywiście mają skierowane ku przodowi, by dobrze oceniać odległość. Mają zdolność widzenia stereometrycznego. Dla bezpiecznego poruszania się po gałęziach, ich pazury stały się krótkie i spłaszczone, a przeciwstawny kciuk pozwala na pewny chwyt. Będą rozwijać się dalej, aż pewnego dnia zejść z drzew i odważą się wyjść z bezpiecznej puszczy.

— Afryka! — powiedział nauczyciel, gdy wehikuł czasu raz jeszcze przerzucił całą gromadkę. — Równie dobrze mógłby to być dzień dzisiejszy, niewiele bowiem zmieniło się na tym kontynencie od chwili, gdy naczelne ruszyły na podbój świata.

— Niczego nie widzę — mruknął Ched-3, rozglądając się po nasłonecznionej, trawiastej równinie. W dali czerniał pas dżungli.

— Cierpliwości. Zaraz się zacznie. Patrzcie na to stado antylop, które podąża w naszym kierunku. Klimat jest już bardziej suchy i sawanna wypiera lasy. W dżungli jest wciąż dość pożywienia, ale konkurencja się zaostrza. Wiele różnych naczelnych wypełnia jedną niszę ekologiczną i niebawem zaczną się kłopoty. Czy jest gdzieś w pobliżu jakaś pusta nisza? Z całą pewnością nie tutaj, na równinie. Oto kopytni trawożercy. Widzicie, jak szybko uciekają, cała ich nadzieja na przeżycie tkwi w nogach. Mają bowiem wrogów, drapieżców żywiących się ich ciałami.

Antylopy ruszyły biegiem, wzniesając tumany kurzu. Słońce odbiło się w ich rogach, grzmot kopyt zabrzmiał krótko i już ich nie było. Lwy pogoniły w ślad za nimi, otaczając w końcu podrostka, którego jedna lwica odseparowała od stada. Jeden cios pazurzystą łapą wystarczył, by zwierzę padło i krew popłynęła w pył. Pierwsze lwy dopadły zdobyczy. Dzieci patrzyły oniemiałe, a Mandi-2 zaczęła pociągać nosem.

— Dochodzi południe. Lwy podjadły i czują się ociężałe. Znajdą sobie jakiś cienisty zakątek na drzemkę, zostawiając resztki ścierwojadom, czyli zjadaczom padliny.

Pierwszy sęp opadł już z nieba, złożył brudne skrzydła i zbliżył się do pożywienia. Po chwili pojawiły się jeszcze dwa, bezgłośnie wydzierając sobie mięso.

Nagle na skraju dżungli pojawiła się najpierw jedna potem jeszcze dwie małpy. Zamrugały, oślepienie blaskiem słońca, rozejrzały się trwożnie i podbiegły do szczątków antylopy, pomagając sobie przy tym wierzchem dłoni przednich kończyn. Sępy spojrzały wrogo na przybyszów i wzleciały, gdy jedna z małp cisnęła w nie kamieniem. Teraz przyszła kolej na małpy. Dobrały się do zdobyczy.

— Patrzcie i podziwiajcie, dzieci. Pozbawiona ogona małpa wychodzi z lasu. Oto nasi odlegli przodkowie.

— Nie moi!

— Są paskudni!

— Chyba się porzygam.

— Przestańcie i pomyślcie trochę! Głową, nie brzuchem. Te tutaj małpoludy zajęły nową niszę. Już się do niej przystosowują. Pozbawione są niemal owłosienia, tak że mogą pocić się i nie grozi im przegrzanie, podczas gdy pozostałe stworzenia muszą szukać schronienia przed słońcem. Używają narzędzi. Kamieniami odeгнаły sępy. A teraz jeden z nich odcina mięso ostrym kamieniem. Potrafią stanąć niemal prosto na nogach, uwalniając ręce do innych zadań,

zdobywania pożywienia i walki o przetrwanie. Zapamiętajcie tę wspaniałą scenę. Mandi–2, nie zamykaj oczu.

Starsze klasy potrafiły zwykle okazać nieco więcej entuzjazmu, ale teraz tylko Agon–1 zdawał się przyglądać wszystkiemu z zainteresowaniem. Pozostali, jak Grosbit–9, okazywali wręcz niezdrową fascynację. Cóż, podobno już jeden dobry uczeń wart jest wysiłków.

— To już koniec na dzisiaj, ale powiem wam jeszcze, co będzie jutro. — Afryka zniknęła i pojawił się zimny, smagany deszczem krajobraz jakiejś północnej okolicy. W dali wysokie góry wstawały ponad mgłę, a cienka smużka dymu sączyła się z niskich, wkopanych w ziemię domów. — Zobaczymy, jak naczelnice zamieniły się w człowieka, jak urósł on w siłę. Jak plemiona wczesnych ludzi przeszły ewolucję od wspólnoty rodzinnej po społeczność neolityczną. Dowiemy się, kto mieszka w tych domach i jak sobie radzi. Pewien jestem, że wszyscy z niecierpliwością czekacie na tę lekcję.

Nie doczekawszy się żadnego potwierdzenia owej niecierpliwości, nauczyciel dotknął chronomodulu i wkoło pojawiło się znajome wnętrze klasy, a oznajmiający koniec zajęć dzwonek rozbrzmiał niczym słodka muzyka. Nie zwracając już na nic uwagi, dzieciarnia wybiegła z klasy. Nauczyciel poczuł się nagle zmęczony. Odpiął modul od paska i zamknął go w biurku. To był długi i pracowity dzień. Zgasił światła i wyszedł z klasy.

Przy wyjściu na ulicę znalazł się tuż za młodą, płomiennorudą kobietą, kusząco świecąca udami spod bardzo krótkiej mini. To matka Mandi–2, przypomniał sobie. Już wcześniej mógł ją rozpoznać po włosach. Obie wyszły przed nim ze szkoły.

— A czego się dziś nauczyłaś? — spytała matka córkę.

Nauczyciel z zasady nie pochwalał podsłuchiwania, jednak tym razem ciekawość wzięła górę. Właśnie, czego?

— Niczego takiego — powiedziało dziecko i zniknęło z matką za rogiem.

Nauczyciel westchnął bezwiednie, obrócił się w drugą stronę i poszedł do domu.

Przełożył Radosław Kot

Nowy wspaniały świat

1970

Bob Silverberg podsunął kiedyś ciekawy pomysł na antologię. Isaac Asimov miał napisać wstęp i nakreślić w nim kilka wizji możliwych przyszłych światów wykreowanych dzięki postępom w rozmaitych dziedzinach biologii. Jak wszystkim wiadomo, Isaac doktoryzował się w dziedzinie biochemii, jednak rzadko wykorzystywał tę właśnie wiedzę w swojej twórczości. Jeden z jego pomysłów wydał mi się interesujący, i tak powstało poniższe opowiadanie. Specjalnie miało być długie (wyszło ponad trzynaście tysięcy słów), by nie traktować istotnej sprawy pobieżnie.

Poza tym pociągała mnie też możliwość wypowiedzenia się o wizjach utopijnych. Spośród zaś rozmaitych wariantów utopijnej przyszłości najbardziej interesuje mnie jeden — ten mówiący o rozwiązaniu problemu przeludnienia. Nie mogłem przystąpić do konstruowania świata Isaaca, nie uporawszy się pierwaj ze skutkami klęski demograficznej. Aby cel osiągnąć, odwołałem się do najsilniejszej z możliwych motywacji nie posiadania potomstwa: samolubności.

Oczywiście, również i utopijny świat nie może być wolny od kłopotów — niezadowoleni znajdują się nawet w najlepiej urządzonym rajach.

Livermore lubił widok roztaczający się z małego białego balkonu na zewnątrz budynku, w którym mieściło się jego biuro. Nie przeszkadzało mu mroźne o tej porze roku i na tej wysokości powietrze, gdy stanął tam, tłumiąc dreszcze i spoglądając na młodą zieleń wzgórz i drzewa Starego Miasta. Poniżej i ponad nim biegły poziomami białe tarasy Nowego Miasta, gustowne i eleganckie w swej prostocie. Swoim wyglądem przypominały wielkie A, szerokie u podstawy na pół mili, ostre niczym szpikulec na szczycie. Każdy poziom okalała ozdobna bariera, a z utworzonych tym sposobem tarasów rozpościerał się wspaniały widok. Całość była idealnie wręcz zaprojektowana. Livermore znów zadrżał, serce zabiło mu mocniej; stare zastawki stymulowane nowymi lekami. Jego wnętrze było równie starannie zaprojektowane jak Nowe Miasto, niemniej wygląd zewnętrzny pozostawiał wiele do życzenia. Brunatne plamy, zmarszczki i siwe włosy sprawiały, że wyglądał na równie steranego, jak domy Starego Miasta. Było cholernie zimno, a na dodatek słońce zaszło za jakąś chmurę. Musnął palcem przycisk, a gdy szklana ściana odsunęła się, wszedł pospiesznie do ciepłego, klimatyzowanego wnętrza.

— Długo pan czekał? — spytał starego mężczyznę, który spojrzał nań chmurnie z fotela po drugiej stronie biurka.

— Skoro pan pyta, doktorze, to wprawdzie nigdy nie narzekam, ale...

— To niech pan da sobie spokój i tym razem. Proszę wstać i rozpiąć koszulę. Gdzie ja mam pańską kartę... A, Grazer, pamiętam pana. Miał pan wszczepiony zarodek implantu nerki, prawda? Jak się pan czuje?

— Kiepsko, łagodnie mówiąc. Brak apetytu, bezsenność. A gdy już uda mi się zasnąć, to budzę się cały zlany zimnym potem. A jaki rozstrój żołądka, nie uwierzy pan, gdy powiem... Hejże!

Livermore przytknął chłodną słuchawkę do nagiej piersi Grazera. Pacjenci lubili się u niego leczyć, ale nie cierpieli jego stetoskopu podejrzewając, że trzyma go chyba specjalnie w lodówce. I mieli poniekąd rację, słuchawka miała bowiem wmontowaną termoelektryczną płytkę chłodzącą. Livermore uważał, że taki mały wstrząs dobrze wpływa na psychikę pacjentów.

— Hmmmm... — mruknął, marszcząc czoło. I tak nic nie słyszał, ponieważ już rok temu zalepił woskiem wtykane do ucha końcówki przewodów; wyławiane przez stetoskop burczenia i szmery zbyt go dekoncentrowały, zresztą dość nasłuchiwał się już własnych. Poza tym wszystko i tak było w kartach pacjentów, jako że automaty analityczne radziły sobie ze stawianiem diagnoz

o wiele lepiej, niż jakikolwiek człowiek. Doktor sięgnął po kartki z wykresami i szeregami danych.

— Proszę zapiąć koszulę, usiąść i wziąć dwie z tych tabletek. Teraz. To na poprawę stanu ogólnego.

Z wyjątego z szuflady biurka słoiczka wytrząsnął dwie pokryte słodką polewą czerwone tabletki i wskazał na plastikowy kubeczek i karafkę z wodą. Grazer gorliwie sięgnął po coś, co wydało mu się prawdziwym lekarstwem. Livermore znalazł wyniki ostatniego prześwietlenia i wcisnął kliszę do czytnika. Wspaniale. Nowa nerka rosła niczym dorodna fasolka, i choć była wciąż mniejsza niż jej starsza siostra, nim minie rok, obie staną się identyczne.

Nauka wszystko zwycięża, no, prawie wszystko; doktor rzucił papiery na biurko. Poranek był nader pracowity i nawet popołudniowy dyżur chirurgiczny nie przyniósł, jak to zwykle bywało, żadnego wytchnienia. Starzy fachowcy z jego grupy wiekowej szanowali się wzajemnie, ale jedyne, co o nim wiedzieli, to tyle, że bardzo wcześnie zdobył tytuł doktora medycyny. Tak, dla nich był po prostu doktorem ze zbliżonego rocznika. Wątpliwe, by kojarzyli go z doktorem Rexem Livermore'em odpowiedzialnym za program ektogenetyczny. Najpewniej w ogóle nie słyszeli o tym programie.

— Bardzo dziękuję za pigułki, doktorze. Nie chcę już zastrzyków. Ale co do stolca...

— To na pewno nie jest drut kolczasty. Moje jelita są równie stare, jak pańskie, a sprawują się całkiem nieźle. Pan się nudzi, panie Grazer, i to jest pański największy problem.

Pacjent przytaknął mimo szorstkiego tonu wypowiedzi lekarza, mile zaskoczony tak rzadkim w sterylnej egzystencji przejawem zainteresowania.

— Łagodnie mówiąc, doktorze. Tyle godzin, ile ja wynudzę się w wychodku...

— A co pan robił przed pójściem na emeryturę?

— To było tak dawno...

— No, chyba pan nie zapomniał. A jeśli jednak, to by znaczyło, że niepotrzebnie zajmuje pan swój kawałek podłogi. Marnuje pan tylko powietrze. Pozostaje wziąć piłkę do kości i wyciąć panu z głowy mózg, potem wpakować go w słoik i nalepić na szkle kartkę „przypadek totalnej sklerozy”.

Grazer zachichotał; gdyby ktoś młodszy palnął mu podobną mowę, na pewno zareagowałby ostro.

— No nie, to było dawno, ale pamiętam. Malarz. Byłem malarzem pokojowym, nie żadnym artystą, ale pracowałem kilkadziesiąt lat, zanim związek mnie nie wywalił i nie posłał na emeryturę.

— Dobry pan był?

— Najlepszy. Teraz nie ma już takich malarzy.

— Nie do wiary. Wie pan co, dość już mam tego jasnoseledynowego, niezniszczalnego wykończenia mojego gabinetu. Sądzi pan, że mógłby pan to dla mnie przemalować?

— Farba nie będzie przylegać do tworzywa.

— A jeśli znajdę taką, która zechce trzymać?

— Wówczas do usług, panie doktorze.

— Zobaczymy zatem. Rozumiem, że nie będzie panu brakować wyplatania koszyków, telewizji i herbatek ze starymi ciotkami?

Grazer parsknął w odpowiedzi i niemal się uśmiechnął.

— Zatem w porządku. Skontaktuję się z panem, a niezależnie od wszystkiego, proszę zajrzeć do mnie za miesiąc w sprawie nerki. Co do reszty, to nie ma na co narzekać. Kuracja geriatryczna udała się wyśmienicie. Jedynie nuda pana zżera. Pieprzone koszyki i telewizja...

— Miło mi słyszeć, jak pan to mówi. I proszę nie zapomnieć o malowaniu, dobrze?

Rozległ się dyskretny dźwięk srebrnego dzwonka i Livermore wskazał uprzejmie na drzwi. Gdy tylko starszy pan wyszedł, doktor podniósł słuchawkę, a z ekranu spojrzała nań drobna, zatroskana twarz Leathy Crabb.

— Och, doktorze Livermore, znów się nie udało.

— Wiem, byłem rano w laboratorium. Zajrzę tam o piętnastej, wtedy o wszystkim porozmawiamy. Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze dwadzieścia minut, dość, by przyjąć jednego lub dwóch pacjentów. Geriatria nie należała do jego specjalności, nigdy go nawet szczególnie nie interesowała. Jego uwagę przyciągali ludzie. Czasem zastanawiał się, czy wiedzą, że w gruncie rzeczy mogą wspaniale obyć się bez niego, będąc nieustannie pod nadzorem automatów medycznych. Może bawiło ich chodzenie do lekarza i ta chwila rozmowy. Ostatecznie nikomu to nie szkodziło.

Następną pacjentką była szczupła, siwowłosa kobieta, która zaczęła narzekać jeszcze w progu. Nie przestała i wtedy, gdy odstawił na bok jej kule i posadził ją ostrożnie na krześle. Potakiwał zatem, rysując esy-floresy w notatniku i pozwalając jej wylewać z siebie pełne dygresji żale nie

różniące się niczym od tego, co wygłosiła podczas poprzedniej wizyty. Cała przemowa dotyczyła stopy, obiektu pozornie nie nadającego się na przedmiot dłuższego referatu, bo ile można ostatecznie opowiadać o palcach i podbiciu, a jednak... Najpierw omówiła szeroko osobliwe symptomy chorobowe, potem ból jako taki, jakiś mniejszy jeszcze kłopot, ale połączony z obrzękami i swędzeniem, najciekawsze zaś było to, iż inkryminowana stopa została już sześćdziesiąt lat temu całkowicie i nieodwołalnie amputowana. Oczywiście, rzekome bóle dotyczące odczuwanej wciąż pozornie kończyny to nic osobliwego, medycyna od stuleci notuje podobne wypadki. Zdarzały się nawet potwierdzone przypadki rzekomych zachowań seksualnych u całkowicie sparaliżowanych pacjentów, informujących o pozornych orgazmach. Ta sprawa jednak była o wiele banalniejsza. Doktor odprężył się nieco, słuchając litanii żalów, a gdy ostatecznie pożegnał kobietę dając jej kilka tych samych, czerwonych tabletek, oboje czuli się o wiele lepiej.

Potem przeszedł do sali konferencyjnej, gdzie czekali już Catherine Ruffin i Sturtevant. Ten ostatni, niecierpliwy jak zawsze, postukiwał zielonkawymi palcami w marmurowy blat stołu, a z kącika ust zwisał mu zdrowy do obrzydzenia i nie mający w sobie ani grama nikotyny papieros. Okrągłe, grube szkła okularów i ostro zarysowany nos upodabniały go do sowy, ale wąska linia ust kojarzyła się raczej z żółwią paszczą. W ogóle był to mocno zoologiczny okaz. Jeszcze te uszy jak u łosia, pomyślał Livermore, drapiąc się po nosie.

— Czy powiedział już ktoś panu, panie Sturtevant, że te pańskie fałszowane papierosy śmierdzą jak stare materace, moczone w gnojówce?

— Pan. I to wiele razy — odparła Catherine Ruffin swym starannym, powolnym angielskim. W młodości wyemigrowała z Południowej Afryki, by wyjść za mąż za nieżyjącego już obecnie od dawna pana Ruffina i wciąż jeszcze akcent zdradzał, iż dzieciństwo spędziła wśród Burów. Biodra miała szerokie, a twarz krągłą niczym przykładowa holenderska gospodyni, niemniej dorównujący sprawnością komputerowi umysł czynił z niej wyśmienitą administratorkę.

— Mniejsza o moje papierosy. — Sturtevant zduśił peta i zaraz sięgnął po następnego. — Czy dla odmiany nie mógłby się pan choć raz nie spóźnić?

Catherine Ruffin stuknęła kłykciami palców w stół i włączyła nagrywanie.

— Protokół ze spotkania Genetycznej Rady Programowej, Syracuse, Nowe Miasto, wtorek, czternastego stycznia dwa tysiące dwudziestego piątego roku. Obecni: Ruffin, Sturtevant, Livermore. Przewodnicząca: Ruffin.

— Czemu znów słyszę o niepowodzeniach? — spytał Sturtevant.

Livermore machnął lekceważąco ręką, wyraźnie pomniejszając wagę sprawy.

— Niepowodzenia w testach próbówkowych są na tym etapie czymś zupełnie normalnym. Przyjrzę się temu ostatniemu i na następne nasze spotkanie przygotuję pełny raport. Nie ma się co przejmować tymi przeciwnościami, to zwykły opór materii. Co naprawdę mnie niepokoi, to kwestia naszych priorytetów genetycznych. Tu mam wykaz.

Zaczął przeszukiwać kolejno kieszenie marynarki, Sturtevant popatrywał tymczasem na niego ponuro, niczym wkurzony żółw.

— Znów to samo. Ile pan nam już ich przekazał? Priorytety, szanowny panie, należą do przeszłości. Teraz mamy program i nic więcej nam nie trzeba.

— Ależ nie można zrezygnować z priorytetów! Mówiąc w ten sposób, zdradza pan typową dla socjologów ignorancję w kwestii realiów badań genetycznych.

— Pan mnie obraża!

— Ale taka jest prawda i nie ma się co unosić. — Znalazł w końcu w wewnętrznej kieszeni pomiętą kartkę i rozprostował ją na stole przed sobą. — Tak pan przywykł do list, zestawień, krzywych demograficznych i prognoz, że gotów jest pan uznać je za rzeczywisty obraz świata, chociaż tak naprawdę wszystkie mają tylko charakter orientacyjny. Nie zamierzam jednak przejmować się pańskimi wyobrażeniami, zbyt mnie przerastają. Pragnę jedynie, by zechciał pan zastanowić się przez chwilę nad rozległością i złożonością poszczególnych dziedzin genetyki. Rodzaj ludzki, jak wiemy, trwa od pół miliona lat podlegając mutacjom, zmianom i krzyżówkom. Każda śmierć w obrębie niezliczonych pokoleń oznaczała selekcję naturalną i nigdy nie pozostawała bez echa. Dobre i złe cechy, czynniki sprzyjające przetrwaniu i unicestwiający, duże mózgi i hemofilia, owłosienie pod pachami i chwytne palce. Wszystko to pojawiało się, mieszało i ogarniało cały rodzaj ludzki. A teraz my twierdzimy, że paroma zaledwie posunięciami udoskonalimy pulę genetyczną człowieka. Mamy niezliczoną ilość cech do wyboru, mamy niewyczerpany materiał, jajeczka od każdej kobiety, spermę od wszystkich mężczyzn. Możemy tworzyć z tego dowolne kombinacje genetyczne i kazać komputerowi wybrać te, które bada najlepiej rokować. Potem pozostaje zapłodnić odpowiednie jajeczko właściwym plemnikiem i pozamacicznie wyhodować zarodek. Jeśli dobrze pójdzie, dziewięć miesięcy później otrzymujemy noworodka o pożądanym cechach, poprawiając tym samym o cal dziedzictwo genetyczne ludzkości. Ale jaka cecha jest najbardziej pożądana, jaka kombinacja jest właściwa?

Ciemna skóra sprzyja przeżyciu w tropikach, ale w chłodnym klimacie pozbawia organizm zbyt wielkiej ilości ultrafioletu ograniczając produkcję witaminy D, co powoduje rachityczność. Wszystko to jest relatywne.

— Już to słyszeliśmy — mruknęła Catherine Ruffin.

— Ale nie dość często. Jeśli zaniechamy nieustannego weryfikowania naszej listy celów, znajdziemy się w ślepej uliczce. Cechy, które zostają wyeliminowane, znikają na zawsze. Zespół z Nowego Miasta San Diego ma w pewnym stopniu łatwiejsze zadanie, ich cel jest bardziej specyficzny, mają stworzyć szczepy przystosowane do odmiennych środowisk życia. Przykładem może być kosmonauta, który potrafi przetrwać bez załamania nerwowego dziesięcioletnie podróże do planet zewnętrznych. Albo ludzie stanowiący prototyp przyszłego osadnika, zdolni do życia w bardzo niskiej temperaturze i przy bardzo niskim ciśnieniu, jakie panuje na Marsie. Naukowcy z San Diego bezlitośnie przykrawają geny, by osiągnąć jednoznaczny, jasno wytyczony cel. My mamy zajmować się ulepszaniem, co tak naprawdę jest mało precyzyjnym określeniem zadania. Ale konstruując nową rasę supermanów, co stracimy? Czy ten nowy człowiek będzie różowy? Jeśli tak, to co wówczas z typami orientalnymi i negroidalnymi...

— Na miłość boską, Livermore, nie zaczynaj wszystkiego od nowa — krzyknął Sturtevant. — Mamy zatwierdzony grafik badań, wiemy co, jak i gdzie robić. Wszystko zostało starannie zaplanowane.

— I w ten sposób znów wyszło na jaw, że nie ma pan zielonego pojęcia o genetyce. Nie może pan zrozumieć, że selekcja cech genetycznych nie przebiega tak, jak pan sobie to wyobraża. Po każdym kroku trzeba zaczynać od nowa. Praktycznie od zera. Za każdym razem to zupełnie inna historia, jak mawiał pewien pisarz. Każde nowe dziecko to cały, nowy świat.

— Dramatyzuje pan — warknęła Catherine Ruffin.

— Ani trochę. Geny to nie cegły, które układa się spokojnie wiedząc, że otrzymamy taki budynek, jaki chcemy. Możemy co najwyżej dążyć do stanów optymalnych, a potem dopiero sprawdzać, co właściwie otrzymaliśmy. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć wielu drobiazgow, nie potrafimy kontrolować sprawy na tyle, by zapanować nad wszystkimi możliwymi kombinacjami. Każdy z naszych techników jest jakby bogiem, decydującym o życiu i śmierci. A niektóre z ich wyborów są na dłuższą metę dyskusyjne i rodzą następne pytania, na które trzeba odpowiedzieć.

— Niemożliwe — powiedział Sturtevant, a Catherine Ruffin mu przytaknęła.

— Możliwe, to tylko kwestia pieniędzy. Musimy dowiedzieć się więcej o każdej ewentualnej zmiennej, by móc dokładniej ustalić, do czego właściwie zmierzamy.

— Wybiega pan poza porządek spotkania, doktorze Livermore — wtrąciła się Catherine Ruffin. — Składał już pan podobne propozycje w przeszłości. Sporządzono wówczas szacunkowy budżet takich badań, odrzucając propozycję ze względu na koszty. Jak pan pamięta, nie my podjęliśmy wówczas tę decyzję, ale Programogenorada. Nic nie zyskamy, marnując czas na tę dyskusję. Musimy porozmawiać o nowym projekcie, który zamierzam przedstawić radzie.

Livermore'a zaczynała boleć głowa, wyciągnął zatem z kieszeni pudełko z tabletkami, nie zwracając przy tym zupełnie uwagi na pograżoną już w rozmowie pozostałą dwójkę.

* * *

Odłożywszy słuchawkę po rozmowie z doktorem Livermore'em, Leatha Crabb miała ochotę się rozplakać. Całymi tygodniami pracowała po nocach ledwo łapiąc nieco snu, oczy ją piekły i wstyd jej było nieco za ową chwilę bliską słabości. Należała do tych osób, które po prostu nie płaczą, fakt bycia kobietą nie miał tu wiele do rzeczy. Ale siedemnaście porażek z rzędu, siedemnaście śmierci w próbkach, siedemnaście nieprawdopodobnie drobnych istot, dla których życie tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło... Cierpiała niemal tak bardzo, jakby chodziło o prawdziwe dzieci.

— Tak małe, że ledwo je widać — powiedział Yeazy trzymając jedną z odłączonych od aparatury retort i potrząsając, aż płyn w środku zachlupotał. — Pewna jesteś, że nie żyje?

— Przestań natychmiast — krzyknęła Leatha na asystenta, ale zaraz się uspokoiła. Zawsze dumna była z tego, jak rozsądnie potrafi traktować podwładnych. — Owszem, nie żyje. Sprawdziliśmy wszystko. Zakorkuj retorty, zamroź i opisz nalepkami. Później je zbadamy.

Yeazy skinął głową i zabrał szklany pojemnik. Leatha zastanowiła się, co właściwie ją opętało, by myśleć o tych próbkach jak o żywych dzieciach. To chyba zmęczenie. Rozrastające się kolonie komórek, którymi się zajmowała, miały w sobie równie wiele życia osobniczego, jak brodawka, która wyrosła jej na grzbiecie dłoni. Leatha podrapała ją w zamyśleniu, stwierdzając po raz kolejny, że bardziej powinna o siebie dbać. Przystojna i kształtna dziewczyna ledwie po trzydziestce, o miodowych włosach i kontrastującej z nimi, ciemnej karnacji skóry mogła się podobać. Czuprynę jednak nosiła krótką, przyciętą niemal przy skórze, twarz nie zdradzała ani

śladu makijażu, a figura ginęła w obszernych fałdach białego, laboratoryjnego kitla. Mimo młodego wieku, wokół oczu widać już było pierwsze zmarszczki pogłębiające się za każdym razem, gdy pochylona nad mikroskopem oglądała zabarwioną kontrastem próbkę.

Niepowodzenia martwiły ją o wiele bardziej, niż się do tego przyznawała. Przez kilka ostatnich lat program przebiegał bez zakłóceń, skłaniając do coraz bardziej optymistycznego patrzenia w przyszłość, na możliwości genetyczne drugiej generacji. Nie było łatwo pogodzić się z niespodziewanymi trudnościami. Należało wziąć się za rozwiązywanie prostych stosunkowo problemów związanych z ektogenezą.

Czyjeś silne ramiona objęły ją od tyłu, czyjeś dłonie sięgnęły do jej krągłości, czyjeś usta ucałowały ją w kark.

— Nie! — krzyknęła zaskoczona, wrywając się. Spojrzała do tyłu, rozpoznając swego męża, który od razu opuścił ramiona i cofnął się o krok.

— Nie ma powodu do złości — powiedział. — Przecież się pobraliśmy, poza tym jesteście tu sami...

— Nie w tym rzecz, że polazłeś z łapami, Gust. Nie widzisz, że pracuję? — rzuciła gniewnie. Stał przed nią zmieszany i jakby ogłupiały; mocno zbudowany, ciemnowłosy, o śniadej cerze. Wystająca nieco dolna warga przydawała mu trochę nadęty wygląd.

— Nie musisz tak na mnie patrzeć. Pracuję teraz i nie mam czasu na zabawy.

— Nigdy nie masz czasu. — Rozejrzał się szybko w koło, jak by chciał sprawdzić, czy nikt nie słyszy. — Co innego było dla ciebie najważniejsze zaraz po ślubie. — Zwinął dłoń w pięść.

— Nie rób tego. — Odsunęła się, unosząc ręce w geście obrony. — Mieliśmy dziś piekło. Popsuł się zawór dawkujący jeden z hormonów. Za późno to zauważyliśmy. Straciliśmy siedemnaście pojemników. Szczęśliwie wszystkie we wczesnym stadium.

— To co za problem? Macie pewnie w lodzie pełno jajeczek i spermy. Weźmiecie tego trochę i zaczniecie od nowa.

— Ale tyle pracy poszło na marne! Tak starannie dobieraliśmy geny...

— Za to właśnie wam płacą. Przynajmniej technicy nie będą się nudzić. Posłuchaj, a może byśmy tak zapomnieli na moment o pracy i wybrali się gdzieś wieczorem? Chodźmy do Starego Miasta. Słyszałem o pewnej knajpce, gdzie mają szalone żarcie i muzykę. U Sharma...

— Nie moglibyśmy później o tym porozmawiać? To nie jest chwila...

— Rany boskie, nigdy ci nie pasuje. Masz czas do namysłu do siedemnastej trzydzieści. Przyjdę po ciebie.

Pchnął gwałtownie drzwi, ale automaty nie pozwolił mu nimi trzasnąć. Coś, nie miał pojęcia co właściwie, zniknęło z ich życia. Owszem, kochał Leathę i ona kochała jego, tego był pewien, niemniej coś się zmieniło. Oboje pracowali i nigdy przedtem nie powodowało to między nimi zadrażnień. Przywykli do tego, że czasem bywały takie noce, które każde z nich spędzało w skupieniu przy swoim biurku. Nad ranem łyk kawy spłukującej zmęczenie, łóżko, chwila miłości. To wszystko odeszło i zastanawiał się, dlaczego. Wszedł do najbliższej windy.

— Pięćdziesiąte — zawołał, a drzwi się zamknęły i kabina ruszyła łagodnie. Powinni wybrać się gdzieś dzisiaj, ten wieczór na pewno będzie inny.

Dopiero gdy wysiadł, przekonał się, że jest na niewłaściwym piętrze. To było piętnaste, nie pięćdziesiąte. Z jakichś powodów dekodery głosu komputera windy mylił zawsze te dwa numery. Zanim zdążył zawrócić, drzwi się zamknęły. Zauważył dwóch starców spoglądających nieprzychylnie w jego kierunku. To piętro należało do gerontów. Nie czekając na następną windę, pospiesznie ruszył korytarzem. Wszędzie w koło kręcili się starzy ludzie. Niektórzy stąpali powoli, szurając nogami, inni jechali na samobieźnych wózkach. Patrzył przed siebie, by uniknąć ich spojrzeń. Nie lubiano tu młodych.

Gust ze złością pomyślał o tych wszystkich starcach zajmujących miejsce w jego nowiutkim budynku. I zaraz pożałował tej myśli. To nie był jego budynek, dołożył tylko swoją część, należąc do zespołu projektantów, który przypadkiem powstał na czas budowy. Geronci mieli wszelkie prawo tu przebywać, ostatecznie to był również i ich dom. Tak, całkiem udany kompromis. Nowe Miasto zostało zaprojektowane z myślą o przyszłości, ale ta jakby ociągała się z nadejściem. Ostatecznie wszystko niemal można przyspieszyć w tym świecie, oprócz tempa wzrostu organizmu. Dziewięć miesięcy musi minąć od zapłodnienia do narodzin, niezależnie, czy rzecz dzieje się w probówce, czy w łonie kobiety. Potem długie lata dzieciństwa i szybkie pokwitanie. Głupotą byłoby marnować powierzchnię miasta przez tyle czasu i pozwalać, by całe piętra stały puste.

Tak zatem zasiedlono tu gerontów, stojące nad grobem odpadki wyplute przez przeludniony świat. Geriatrizy utrzymywali ich wciąż przy życiu, pozwalając starzeć się w gromadzie tym ostatkom nader licznych pokoleń. Ci tutaj mieli już mniej dzieci, niż bywało w ich własnych rodzinach, i jeszcze mniej wnuków. Był to rezultat głodu, chorób i coraz paskudniejszego

klimatu. Oczywiście, zmiana nie zaszła dobrowolnie, w innych warunkach nie różniliby się od innego dowolnego pokolenia w historii ludzkości. Byli podobnie samolubni, skłonni uważać, że jeśli Ziemi grozi przeludnienie, to trudno, ale niech przynajmniej stanie się to za sprawą moich dzieci! Ostatecznie przełom w geriatricy i farmakologii zaowocował wynalezieniem najlepszej marchewki, jaką kiedykolwiek podsunęto osiołkowi ludzkości. Im mniej będziesz miał dzieci, tym dłużej pożyjesz, tym lepiej zajmą się tobą fachowcy–geriatrzy. Przyrost naturalny spadł do zera niemal z dnia na dzień. Skłonni dotychczas do spontanicznego mnożenia się ludzie postanowili, że skoro mają się już tłoczyć na tej planecie, to zadowolą się własnym towarzystwem, a dzieci mogą poczekać. Życie, owszem, ale własne, skoro można je aż tak wydłużyć.

Skutkiem tego każde dziecko z następnego pokolenia oprócz matki i ojca miało całą masę krewnych w nader podeszłym wieku. Na przeciętne małżeństwo przypadało dziesięciu do piętnastu samotnych starców. Młode pokolenie nie miało za co utrzymywać antenatów, nie miało też ich gdzie podziąć. Byli zatem ciężarem dla rządu. Trzeba jednak przyznać, że z roku na rok wydawano na nich coraz mniej pieniędzy, pomimo cudów medycyny bowiem, pokolenie to jednak wymierało. Gdy zaczęto budować nowoczesne miasta przeznaczone dla nowych, naukowo zaplanowanych pokoleń, postanowiono czasowo ulokować w nich gerontów. Stosunkowo niedużym kosztem można było zapewnić im tam godziwe warunki życia, najlepszą żywność i opiekę medyczną. Życie w dawnych miastach stało się o wiele wygodniejsze, gdy wyeliminowano z ich społeczności starzejącą się i gorzkniejącą większość. Leki geriatryczne działały całkiem dobrze, ale tylko do chwili ukończenia stu pięćdziesięciu lat.

Dało to podstawy do opracowania długofalowego planu, eufemistycznie określającego zjawisko jako „wymianę pokoleń”. Słowa „wymieranie” wołano unikać. Gdy zatem obecni mieszkańcy tych pięter „ulegną wymianie” i zostaną pochowani w dowolnie wybranym miejscu, będą mogli wprowadzić się tu młodzi. Czysta sprawa, przykład wspaniałej organizacji.

Można było tak myśleć, dopóki unikało się poziomów zamieszkałych przez starców.

Patrząc wciąż przed siebie, Gust przemyskał pełniącym funkcje ulicy korytarzem, nie zwracając uwagi ani na sauny, ani na łaźnie czy tropikalne ogrody i piaszczyste plaże, które mijał po obu stronach. No i na ludzi. Z ulgą powitał znajomy widok następnego zespołu wind. Gdy tylko drzwi się zamknęły, hiperpoprawnie wymówił „pięćdziesiąt”.

Do końca długachnego korytarza dotarł w chwili, gdy jego zmiana kończyła już pracę. Dalej, w blasku przymocowanych do wysokich stojaków reflektorów, widać było nagi beton ze śladami szalunku.

— Mamy kłopoty z maszyną, panie Crabb — przywitał go majster. Ci ludzie wychowali się w świecie, w którym maszyny nie zawodziły i drobna nawet usterka mocno ich frustrowała.

— Zajmę się tym. Jak zbiornik?

— Napelnięny do połowy. Opróżnić?

— Nie trzeba. Sam sprawdzę, zanim wezwę serwis.

Wszystkie silniki maszyny zostały kolejno wyłączone i w sztucznej jaskini zapadła intensywna cisza. Głośne kroki brygady oddalały się coraz bardziej, aż umilkły i one, i odgłosy rozmów. Gust został sam. Wspiął się po drabince na szczyt masywnej maszyny do układania podłóg i włączył komputer. Zarządził kontrolę podzespołów, która nie wykazała żadnego uszkodzenia. Te na wpół inteligentne maszyny potrafiły doskonale analizować własną kondycję i sygnalizować niesprawność, ale czasem zawodziły, nie mogąc poradzić sobie z jakąś usterką lub wręcz jej rozpoznać. Gust wyłączył komputer i uruchomił maszynę.

Urządzenie ożyło z przytłumionym łoskotem i zadrzało. Większość kontrolki zapłonęła na czerwono, zmieniając kolejno barwę na zieloną, w miarę gdy ożywały kolejne podzespoły. Gdy zazieleniła się również kontrolka gotowości, Gust zerknął na ekran po prawej, gdzie widać było betonową posadzkę pod maszyną. Świeżo położona powierzchnia podłogi kończyła się jak nożem uciął. Cofnął maszynę kilka stóp, by ożywić sensory, potem ruszył naprzód z szybkością roboczą. Gdy tylko dotarł z powrotem do krawędzi, urządzenie wznowiło pracę, samodzielnie kontrolując skład mieszanki i szlak wylewania nawierzchni. Operatorowi pozostawało tylko włączenie go na początku i wyłączenie pod koniec. Gust jak zahipnotyzowany wpatrywał się w gładź nowej podłogi, nie dostrzegając żadnych niedokładności. Praca była całkiem miła i prosta, a przy tym ważna i potrzebna.

Na pulpicie zapaliła się czerwona lampka, rozległ się brzęczyk. Gust zamrugał oczami, dostrzegając przez moment na ekranie coś ciemnego, co zaraz zniknęło z pola widzenia. Zatrzymał maszynę i cofnął ją o dobre dziesięć stóp, po czym wyłączył całkowicie zasilanie i zszedł na dół. Plastikowa powierzchnia była jeszcze ciepła i Gust szybko przebiegł na beton. Na skraju nowej podłogi widniała szeroka, mierząca około stopy luka, zupełnie jakby w mieszance znalazła się bańka powietrza. Wygląda na to, że głównomiot pierdnął, pomyślał. Technicy łatwo

sobie z tym poradzą. Nagrał na memoreksie informację, by ich zawezwać, zgasił wszystkie światła prócz awaryjnych i poszedł do wind. Bardzo starannie podał numer piętra.

Doktor Livermore i Leatha pochylali się nad stołem laboratoryjnym, wyraźnie czymś zafrapowani. Gust podszedł cicho, by nie przeszkadzać.

— Najbardziej obiecujące były te tutaj nowe odkształcenia łańcucha — powiedziała Leatha. — Szczególnie w przypadku Reilly–Stone. Nie wiem, ile czasu zajęła komputerowi wstępna selekcja i symulacja, ale tylko to jedno zapłodnione jajeczko musiało pochłonąć technikom kilkaset godzin.

— Trochę to dziwne.

— Zapewne, ale był to pierwszy wielokrotny podział krzyżowy Bershocka, a wiadomo, jak z tym niełatwo.

— Owszem. Następnym razem pójdzie lepiej. Proszę przekazać im wyniki badań, zaznaczając błędy. Niech złączą pracę z materiałem rezerwowym. Cześć, Gust, nie słyszałem, jak wszedłeś.

— Nie chciałem przeszkadzać.

— Nie przeszkadzasz. Już skończyliśmy. Straciliśmy dziś parę retort.

— Słyszałem. Wiesz już, dlaczego?

— Gdybym wszystko wiedział, byłbym Bogiem.

Leatha spojrzała zdziwiona na starszego pana.

— Ależ doktorze, przecież ustaliliśmy już, co zabiło embriony. Zawiódł zawór dawkujący...

— Ale czemu zawiódł? Są rzeczy, które pozostają nadal poza barierą poznania...

— Wybieramy się do Starego Miasta, doktorze — oznajmił Gust, pragnąc jak najszybciej przerwać te nazbyt dla niego abstrakcyjne rozważania.

— Nie zatrzymuję was. Tylko nie przywlecście ze sobą jakiejś infekcji, dobra?

Livermore odwrócił się, by odejść, ale drzwi otworzyły się, nim zdążył zrobić choć jeden krok. W progu stanął młody mężczyzna i spojrzał na nich w milczeniu. Wszedł w końcu, nadal milcząc, a napięte rysy jego twarzy sprawiały, że nikt z obecnych także nie kwapił się odezwać. Drzwi zamknęły się za nim.

— Doktorze Livermore, Leatho Crabb, Guście Crabb, przybyłem, by się z wami zobaczyć — odezwał się nieznajomy, patrząc kolejno na obecnych. — Nazywam się Blalock.

Livermore'owi wyraźnie nie spodobało się takie powitanie.

— Proszę skontaktować się z moją sekretarką. Umówi pana. Teraz jestem zajęty. — Znów chciał odejść, ale Blalock powstrzymał go uniesieniem ręki. Równocześnie wydobyl z kieszeni cienki portfel.

— Wolałbym porozmawiać z panem natychmiast, doktorze. Oto mój identyfikator.

Żeby wyjść, Livermore musiałby teraz odepchnąć mężczyznę. Zatrzymał się i zerknął na złotą odznakę.

— FBI. Czego, u diabła, pan tu szuka?

— Zabójcy. — Zapadła pełna zdumienia cisza. — Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że jeden z pracujących w laboratorium techników jest naszym agentem. Regularnie melduje Waszyngtonowi, jak przebiega realizacja projektu. Oczekuję, że nie przekażecie tej informacji nigdzie dalej.

— Wścibski szpieg! — Livermore był już zły.

— Niezupełnie. Rząd zainwestował w ten projekt poważne sumy i oczekuje, że rzecz się powiedzie. Poza tym należy strzec pieniędzy podatników. Pierwszy tydzień po dokonaniu zapłodnienia charakteryzuje się u was dużą liczbą niepowodzeń.

— To tylko wypadki przy pracy — powiedziała Leatha i zamilkła, oblewając się rumieńcem pod zimnym spojrzeniem Blalocka.

— Naprawdę? My jesteśmy innego zdania. W Stanach Zjednoczonych są jeszcze cztery inne nowe miasta, w których podobne zespoły pracują nad projektami zbieżnymi z waszym. Też zdarza im się stracić jakieś obiekty testowe, ale nigdy tyle, ile ginie ich u was.

— Kilka mniej, kilka więcej, to bez znaczenia — stwierdził Livermore. — Wszystko jest sprawą przybliżeń i statystyki.

— Zapewne, doktorze, przynajmniej gdy chodzi o drobne różnice. Ale wasz współczynnik wypadkowości jest dziesięciokrotnie wyższy niż w innych laboratoriach. Tam, gdzie inni notują jedną porażkę, wy podajecie w sprawozdaniu dziesięć. Zatem nie jestem tu przypadkiem. Ponieważ to pan właśnie odpowiedzialny jest za realizację projektu, oczekuję od pana upoważnienia do swobodnego poruszania się po terenie laboratorium i rozmów ze wszystkimi zatrudnionymi.

— Moja sekretarka już wyszła. Proszę zgłosić się rano...

— Mam już wypisany odpowiedni formularz. Potrzebuję jedynie pańskiego podpisu.

Livermore złościł się teraz bardziej na pokaz, niż naprawdę.

— Nie pozwolę na to, by ktoś podbierał druki z mojego biura. Nie pozwolę...

— Proszę się nie unosić, doktorze. W papier firmowy zaopatruje was rządowa drukarnia. Dla ułatwienia sprawy wziąłem od nich parę kartek. Teraz pan utrudnia.

To ostatnie nieco utemperowało doktora, który zajął się poszukiwaniem pióra, by podpisać dokument. Gust i Leatha patrzyli z boku, nie mając pojęcia, co zrobić. Blalock złożył papier i schował go z powrotem do kieszeni.

— Będę chciał jeszcze z państwem porozmawiać — powiedział i wyszedł.

Livermore poczekał, aż drzwi się za nim zamkną, po czym także wyszedł. Bez słowa.

— Co za typ — mruknęła Leatha.

— Niech sobie będzie jaki chce, ale jeśli ma rację? Czy te wasze retorty są podatne na sabotaż?

— I to jak!

— Ale czemu ktoś miałby to robić? Nie rozumiem. Jakkolwiek spojrzeć, nie widzę żadnego sensownego powodu.

— To już zmartwienie Blalocka, za to mu płacą. Ja zaś mam za sobą męczący dzień, jestem głodna i najbardziej interesuje mnie perspektywa obiadu. Idź już może do domu i wyjmij cokolwiek z zamrażalnika. Dołączę do ciebie za parę chwil, tylko skończę testy.

— Rozumiem, że najciekawszy etap naszego małżeństwa dobiegł końca — warknął niemal Gust. — Zapomniałaś, że zapraszałem cię na obiad do Starego Miasta.

— To nie tak... — powiedziała Leatha, ale umilkła, rozumiejąc, że w słowach męża jest jednak nieco racji. Najpierw pochłaniająca ją bez reszty praca, teraz pojawienie się Blalocka... Dała spokój testom, uprzątnęła stół i zdjęła fartuch, pod którym miała prostą, ciemnoszarą sukienkę z cienkiego materiału, wystarczająco przewiewną jak na klimatyzowane wnętrza Nowego Miasta.

— Jeśli na dworze jest zimno, będę musiała wziąć jeszcze płaszcz.

— Jasne, że jest zimno, wciąż mamy marzec. Ale wyprowadziłem już samochód i wrzuciłem do środka twój ciepły płaszcz. Mój zresztą też.

W milczeniu zjechali windą na parking, gdzie na podjeździe czekał na nich kopulasty samochód. Góra odsunęła się gładko. Zanim wsiedli, włożyli ciepłe okrycia, a uruchomiwszy elektryczny silnik, Gust włączył ogrzewanie. Samochód pomrukując skierował się ku wrotom, które otworzyły się automatycznie. Trzeba było poczekać jeszcze chwilę w służbie, nim

wewnętrzne wrota się zamkną i otworzą zewnętrzne; w końcu wyjechali na pochyłą rampę wiodącą do Starego Miasta.

Dawno tu nie zaglądali i zmiany wprost rzucały się w oczy. Ulice były pełne dziur i brudne, ze szpar w nawierzchni sterczały martwe źdźbła trawy, przy krawężnikach wały się papiery. Przejeżdżając przez pusty parking wzniesli całą chmurę kurzu. Leatha zapadła się w siedzenie i trzęsła się z zimna, chociaż ogrzewanie nastawione było na maks. Mijane budynki, szczególnie te drewniane, wyglądały na chylące się ku upadkowi, gdzieś tam widniały w szarym zmierzchu poszarzałe drzewa, gołe jak szkielety. Gust, który kierował się nazwami ulic, zgubił raz drogę, ale ostatecznie ujrzeli jaskrawy neon SHARM'S. Albo przybyli za wcześnie, albo interes nie szedł tu najlepiej, udało im się bowiem bez problemu zaparkować przed samymi drzwiami. Nie chcąc czekać na ulicy, Leatha pobiegła do wejścia, podczas gdy Gust zamykał samochód. Zaraz za progiem powitał ich właściciel lokalu.

— Dobry wieczór — uśmiechnął się ze sztuczną uprzejmością. Był to wysoki, szeroki w barach Murzyn w lśniącym, wschodnim kaftanie i czerwonym fezie. — Akurat mam stolik dla państwa, przy samej scenie.

— Idealnie — zgodził się Gust.

Łatwo było zrozumieć wylewną gościnność Sharma. W restauracji była jeszcze tylko jedna para. W powietrzu unosiły się ciężkie wonie dochodzące z kuchni. Można było z nich wywnioskować, że tłuszczu na patelniach nie zmieniano od wielu dni. Obrus przypominał lekko spraną kartę dań, prezentującą menu od chwili założenia lokalu.

— Coś do picia?

— Tak, co pan proponuje?

— Może mi pan zaufać, najlepsza będzie Krwawa Mary z tequillą, specjalność zakładu. Przyniosę cały dzbanek.

Musiał już wszystko mieć gotowe, pojawił się bowiem po chwili z tacą, dzbankiem i dwiema kartami dań pod pachą. Nalał im drinki, przy okazji przygotował szklaneczkę i dla siebie, po czym przysiadł się do ich stolika. Panująca tu atmosfera działała wybitnie odprężające.

— Na zdrowie — powiedział. Wypili. Leatha ledwie umoczyła wargi i szybko odstawiła szklanekę, ale Gust pociągnął całkiem niezły łyk.

— Znakomite, nigdy jeszcze czegoś takiego nie piłem. A jakie są inne specjalności zakładu?

— Wszystko jest tu warte uwagi. Moja żona jest wspaniała, gdy chodzi o jakiegokolwiek jedzenie zgodne z różnymi wymogami religijnymi. Mamy czarną fasolę i ciasto kukurydziane, koszerne hot-dogi i gotowaną fasolkę bostońską. Proszę wybierać. Zaraz będzie muzyka, a za pół godziny zatańczy Aikane. Drinki na koszt firmy.

— To bardzo miłe z pana strony — stwierdził Gust, znów sięgając po szklaneczkę.

— Nie jest to całkiem bezinteresowne. Chciałbym się czegoś od pana dowiedzieć, panie Crabb. W ubiegłym tygodniu widziałem pana w telewizji w programie o Nowym Mieście. Fajne miejsce, pomyślałem sobie. Jak pan sądzi, czy nie dałoby się tam otworzyć interesu? — Wychylił swojego drinka i zaraz nalał następnego, dopełniając także i ich szklaneczki.

— W zasadzie trudno powiedzieć.

— Wszystko jest trudne, proszę pana. Najłatwiej jest żyć tutaj, gdzie można zdechnąć z nudów. Ja chcę czegoś więcej. Wszyscy lubią koszerne żarcie. Geronci, bo to przypomina im dawne czasy, a dzieciaki, bo im smakuje. Ludzie ze Starego Miasta nie jedzą wiele, brakuje im grosza. Zatem trzeba zmienić pole działania. Nowe Miasto to jest dobre miejsce. Jakie są wymogi?

— Mogę sprawdzić. Ale sam pan rozumie, panie Sharm...

— Po prostu Sharm. To moje imię.

— Rozumiesz, że geronci wymagają specjalnej diety. Jedzenie dla nich podlega szczególnym obostrzeniom sanitarnym...

— Tutaj nie ma robactwa. Żadna kontrola nic nie znalazła.

— Nie w tym rzecz. Żeby było jasne, oni potrzebują naprawdę szczególnych diet, bo dla nich to część kuracji. Ich jedzenie przygotowuje się praktycznie w laboratoriach...

Przerwało im nagle dudnienie bębnow w wykonaniu osobliwie zgaszonego Indianina, który skończywszy bębnienie wojenne, włączył taśmę i zaczął dokładać swój rytm do starej izraelskiej piosenki ludowej. Wychodziło mu nawet niezłe, ale za głośno.

— A co z młodszymi? — krzyknął do nich Sharm. — Takimi jak wy. Przyjeżdżacie aż tutaj na koszerne żarcie. Nie byłoby wygodniej mieć je pod ręką?

— Takich jak my jest jeszcze niewielu. Tylko technicy i ekipy budowlane. Nie urodziło się jeszcze nawet dziesięć procent tych dzieci, dla których to wszystko zbudowano. Nie sądzę, by było nas dość, żeby cię utrzymać. Może później.

— Taak, później. Cudownie. Czekaj dwadzieścia lat. — Sharm posmutniał i nalał sobie ostatki z dzbanka. Po kłopotliwej chwili milczenia w końcu wstał niechętnie, by powitać następnego klienta.

Oboje zamówili półmiski z małymi porcjami wszystkich tutejszych przysmaków oraz butelkę wina, jako że Leatha nie gustowała w Krwawej Mary. Zza kulis wybiegła ciemnoskóra dziewczyna, pochodząca zapewne z Hawajów, i z umiarkowanym entuzjazmem wykonała taniec hula. Gust spoglądał na nią z niezdrową fascynacją, poza nadwagą miała bowiem na sobie jedynie wyleniałą spódniczkę z trawy, a jej próby podskakiwania w trakcie płasów groziły zawaleniem się sceny.

— Wulgarne — stwierdziła Leatha, wycierając serwetką oczy, które zaszyły łzami po nazbyt dużej ilości chrzanu nałożonego na kawałek faszerowanej ryby.

— Nie aż tak bardzo. — Gust położył rękę na jej kolanie pod stołem. Odsunęła je, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Nie przy ludziach.

— Oraz w żadnej innej sytuacji! Do cholery, Lea, co się z nami porobiło? Co z naszym związkiem? W porządku, oboje pracujemy, to normalne, ale co z naszym życiem prywatnym? Co z dzieckiem?

— Już o tym rozmawialiśmy...

— I tyle z tego wyszło, że powiedziałaś nie. Słuchaj, kochanie, przecież nie próbuję cofnąć cię do średniowiecza, kiedy to jeden dzieciak przy piersi, drugi na ręku, a następny już w brzuchu. Kobiety nie ryzykują teraz niczym przy porodzie, ale wciąż są kobietami, na Boga! Nic nie zmieniło ich płci. Owszem, wiele par nie chce mieć dzieci, to ich sprawa. Ale wiem też, że oddawanie niemowląt do żłobka daje wiele swobody. Są również i tacy, którzy sami wychowują dzieci, a po odpowiednich zastrzykach matki mogą nawet karmić je piersią.

— Chyba nie sądzisz, że mogłabym się zgodzić na coś takiego?

— Nie proszę cię aż o tyle, skoro tak to widzisz. Zapewniam cię jednak, że nie jest to nawet w połowie tak okropne, jak — sądząc po twoim tonie — wyobrażasz sobie. Chcę jedynie, byś zastanowiła się nad urodzeniem dziecka. Chciałbym mieć syna. Moglibyśmy spędzać z nim wieczory i weekendy. To byłoby zabawne.

— Z pewnością nie dla mnie.

Gust miał już gotową odpowiedź, która niechybnie dolałaby oliwy do ognia, dając początek kłótni pełnej gorzkich żalów i wyrzutów. Zanim jednak zdołał cokolwiek odwarknąć, Lea chwyciła go za ramię.

— Gust, zobacz, tam przy stoliku w rogu, czy to nie jest ten sam facet, który nachodził nas w laboratorium?

— Blalock? Faktycznie, podobny, ale w tym superromantycznym oświetleniu trudno coś pewnego powiedzieć. A co to ma do rzeczy!

— Nie rozumiesz? Jeśli też tu przyszedł, to musiał nas śledzić! Może sądzi, że to my jesteśmy odpowiedzialni za te wszystkie wypadki.

— Masz zbyt bujną wyobraźnię. Może po prostu też lubi kosztowną kuchnię. Wygląda jak ktoś, kto jada tylko takie rzeczy.

Ale czemu tu przyszedł? Jeśli po to, by ich zaniepokoić, to mu się udało. Leatha odsunęła talerz, Gust też stracił nagle apetyt. Poprosił o rachunek. Bez humorów wbili się w płaszcze i wyszli w chłodną noc, mijając w milczeniu spoglądającego na nich oskarżycielsko Sharma, który zrozumiał już, że jakkolwiek by tego pragnął, nigdy nie będzie mu dane zamieszkać w Nowym Mieście.

* * *

Już kiedyś, dawno temu, Catherine Ruffin opracowała sobie prosty plan, mający umożliwić jej karierę zawodową. Plan ten nie opierał się na rutynowym pokonywaniu kolejnych szczebli awansu. Bardzo wczesnie odkryła, że posiada wybitnie ścisły umysł, zdolny do zapamiętywania olbrzymiej ilości danych. Było to nader pomocne, wymagało jednak powolnego i skrupulatnego przyswajania sobie wiadomości w ciszy i skupieniu — warunkach nieosiągalnych na co dzień. Zostawanie po godzinach nie było żadnym rozwiązaniem. Telefon wciąż dzwonił, a zmęczenie dopełniało reszty. Trudno było również przysiąść w domu, gdzie współmieszkańcy — typowe nocne marki — nie mieli ani krzty zrozumienia dla podobnych jej rannych ptaszków. Gotowi byli na wiele poświęceń, ale wstanie do pracy choćby o pięć minut wcześniej przerastało ich możliwości. Obecnie zjawiała się zatem w biurze o siódmej rano, wykorzystując jak najpełniej długie chwile ciszy, dzielące ją od pojawienia się pozostałych pracowników. Rozwiązanie okazało się praktyczne i skuteczne. Przywykła do wczesnoporannej samotności tak bardzo, że

gotowa była patrzeć wówczas na każdego, kto prócz niej kręciłby się po laboratorium, jak na intruza.

Tego ranka znalazła na biurku wypisaną na maszynie notatkę, której wieczorem z pewnością nie było:

Czekam na panią przy retortach. Pilne. R. Livermore.

Była zdumiona zarówno tonem, jak i samym faktem pojawienia się takiej informacji. Oburzyło ją również nieco, że ktoś śmiało zjawić się w pracy przed nią. Najpewniej doktor spędził tu całą noc; personel naukowy często praktykował podobne rzeczy, mimo że administracja stanowczo zabraniała tego, zamykając drzwi na klucz. Skoro jednak sprawa była tak pilna, lepiej będzie się pospieszyć, nawet jeśli doktor zagalopował się z tym wezwaniem. Czas na zajęcia własne będzie potem. Schowała wypchaną torebkę do szuflady biurka i skierowała się do wind.

Piętro laboratoriów wydawało się puste, podobnie jak biuro. Kątem oka zarejestrowała jakieś poruszenie i odwróciła się, spoglądając na drzwi prowadzące do pomieszczenia z retortami. Były zamknięte, ale miała wrażenie, że jeszcze chwilę temu uchylły się nieco. Może Livermore wszedł, by tam na nią zaczekać? Gdy zrobiła krok w ich kierunku, usłyszała ostry brzęk tłuczonego szkła. Dźwięk powtórzył się raz i drugi, niemal równocześnie rozległ się w oddali głośny dzwonek alarmu. Zastygła na chwilę, zdumiona. Ktokolwiek był w środku, rozbijał właśnie aparaturę. Retorty! Niemal biegiem dopadła drzwi i otworzyła je gwałtownie.

Podłogę zaścielało szkło ze zniszczonych retort, ale nikogo nie było. Rozejrzała się, przerażona rozmiarami zniszczenia i nagłą zagładą tak wychuchanych załączków życia. Ledwie widoczne pod mikroskopem wielokomórkowe organizmy, mające dać początek nowym pokoleniom, umierały właśnie na jej oczach i nic nie mogła na to zaradzić. Stojąc tak bezradnie, dostrzegła młotek leżący na mokrej podłodze pomiędzy odłamkami szkła. Broń mordercy? Pochyliła się i podniosła go, niemal równocześnie słysząc za plecami czyjś głos.

— Proszę obrócić się powoli. I bez sztuczek, bo wiele mogą kosztować.

Catherine Ruffin była zupełnie wytrącona z równowagi. To wszystko działo się za szybko jak na nią. Zaczęła tracić poczucie rzeczywistości.

— Co? Co mam zrobić?

Obróciwszy się, dostrzegła czyjąś postać, stojącą w drzwiach. Postać trzymała coś, co wyglądało na rewolwer.

— Proszę powoli odłożyć młotek — usłyszała.

— Kim pan jest? — Narzędzie upadło z hukiem na podłogę.

— O to samo chciałbym spytać panią. Nazywam się Blalock, z FBI. Oto moja odznaka. — Wyciągnął ku niej portfelik.

— Catherine Ruffin. Kazano mi tu przyjść. Doktor Livermore mi kazał. Co tu się stało?

— Może pani to udowodnić?

— Oczywiście, mam tu jego notatkę. Niech sam pan sobie przeczyta.

Ujął karteczkę koniuszkami palców i rzucił na nią okiem, po czym wsunął do koperty i schował do kieszeni. Broń też zniknęła.

— Każdy mógł to napisać — powiedział. — Pani też.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Ta kartka leżała na moim biurku, gdy kilka chwil temu przyszedłam do pracy. Przeczytałam wiadomość i postanowiłam załatwić sprawę od razu. Usłyszałam brzęk tłuczonego szkła, więc weszłam. Potem zobaczyłam młotek i podniosłam go. To wszystko.

Blalock przyjrzał się jej uważnie, po czym skinął głową i pokazał dłonią, by poszła z nim do biura.

— Może i tak. Potem to sprawdzimy. Na razie poproszę panią, by zechciała posiedzieć tu spokojnie, ja tymczasem zatelefonuję w kilka miejsc.

Wyciągnął całą listę numerów. Trwało dość długo, nim uzyskał pierwsze połączenie, w końcu na ekranie pojawiła się zaspana twarz Leathy Crabb.

— Czego pan chce? — spytała, ale zaraz oprzytomniała widząc, kto dzwoni.

— Pani męża. Chcę z nim porozmawiać.

— Ale... on jeszcze śpi. — Rozejrzała się niepewnie, a Blalock nie mógł nie zauważyć pobrzmiewającego w jej głosie wahania.

— Naprawdę? To proszę go obudzić i dać do aparatu.

— Ale czemu? Czego pan chce?

— A zatem zaraz u państwa będę. Mam nadzieję, że nie sprawi to pani zbyt wielu kłopotów. Czy może jednak woli pani obudzić męża, lub powiedzieć mi prawdę?

Opuściła oczy.

— Nie ma go — odparła cicho. — Nie było go przez całą noc.

— I nie wie pani, gdzie jest?

— Nie. I nic mnie to nie obchodzi. Poróżniliśmy się i wyszedł. To wszystko, co mam panu do powiedzenia.

Ekran ściemniał, a Blalock natychmiast wybrał kolejny numer. Tym razem zupełnie bez skutku. Spojrzał na Catherine Ruffin, która siedziała spokojnie, wciąż jeszcze otumaniona rozwojem wydarzeń.

— Proszę pokazać mi drogę do gabinetu doktora Livermore’a.

Chociaż zdezorientowana, zrobiła dokładnie to, o co prosił. Drzwi nie były zamknięte. Blalock przepchnął się obok dziewczyny i zajrzał do środka. Błady, poranny blask słońca wpadał przez szklane ściany do pustego pomieszczenia. Blalock wciągnął powietrze, jakby chciał wywęszyć ślad, potem wskazał na drzwi po prawej stronie.

— Dokąd prowadzą?

— Nie mam pojęcia.

— Proszę tu zostać.

Catherine Ruffin nie spodobał się jego ton, ale zanim zdołała zaprotestować, Blalock stał już przyciśnięty do ściany i otwierał drzwi. Wewnątrz stał tapczan, na którym leżał Livermore z kocem podciągniętym aż pod brodę. Blalock podszedł cicho i wziął doktora delikatnie za nadgarstek. Śpiący natychmiast otworzył oczy, zamrugał i wyszarpnął rękę.

— Co, u diabła, pan tu robi?

— Sprawdzam pański puls. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

— Owszem, mam i to bardzo. — Usiadł, odrzucając koc. — To ja jestem lekarzem i specjalistą od takich rzeczy. Przede wszystkim jednak, co ma znaczyć to najście?

— Doszło do kolejnego sabotażu w laboratorium z retortami. Włączył się alarm. W środku znalazłem tę oto kobietę. Z młotkiem.

— Catherine! Czemu zrobiła pani coś tak głupiego?

— Jak pan śmie! Sam zostawił mi pan wiadomość, żebym przyszła. Pewnie po to, by zrzucić wszystko na mnie. To pan potłukł retorty!

Livermore ziewnęła i przetarł oczy, potem pochylił się, szukając pantofli.

— Tak pewnie myśli ten łapacz. — Pochrzążując włożył kaptur. — Znajduje mnie tutaj śpiącego i nie dowierzając własnym oczom sprawdza mi puls, bo tętno osoby śpiącej jest zwykle

wolniejsze od tętna kogoś, kto gania z młotkiem po laboratorium. Idiota! — Wraz z ostatnim słowem wstał na równe nogi. — To ja jestem odpowiedzialny za ten projekt. To mój projekt! Zanim oskarży mnie pan o sabotaż, proszę znaleźć coś lepszego, niż tylko nie uzasadnione podejrzenia. Niech pan ustali, kto napisał tę kretyńską notatkę, a znajdzie pan ślad.

— To właśnie zamierzam zrobić — powiedział Blalock i zaraz potem zadzwonił telefon.

— Do pana — mruknął Livermore, podając słuchawkę agentowi, który najpierw słuchał w skupieniu, a potem rozkazał ostrym tonem:

— Przeprowadźcie go tutaj!

Catherine Ruffin złożyła przed wyjściem zaprzysiężone zeznanie, nagrane na rejestratorze w gabinecie doktora. Livermore zrobił to samo. Owszem, nie był w domu, pracował do późna w gabinecie, nie po raz pierwszy zresztą, potem ułożył się do snu na tapczanie w przyległym pokoju. Spać poszedł około trzeciej nad ranem i nie widział ani nie słyszał nikogo do chwili, gdy Blalock go obudził. Tak, możliwe jest wyjście z laboratorium retort tylnymi drzwiami, a potem poprzez biura dostanie się do jego gabinetu, ale nie uczynił tego.

Doktor kończył już składanie zeznania, gdy w drzwiach pojawił się facet o podobnie ponurej gębie jak u Blalocka i w podobnie niemodnym ubraniu, wprowadzając do środka Gusta Crabba. Blalock odprawił podwładnego i skupił całą uwagę na Guście.

— Nie było pana przez całą noc w domu. Gdzie pan ją spędził?

— Nie pana pieprzony interes.

— Zwracam panu uwagę, że to nie jest właściwa odpowiedź. Nie wiadomo, gdzie pan przebywał przez całą noc, znaleziono pana dopiero kilka minut temu, gdy zjawił się pan w swoim biurze. W czasie gdy miejsce pana pobytu pozostawało nie ustalone, w laboratorium z retortami ktoś dokonał sabotażu za pomocą młotka. Pytam pana ponownie: gdzie pan był?

Gust, który w gruncie rzeczy miał nieskomplikowaną osobowość i tylko w pracy stawiał czoło poważniejszym problemom, odegrał pantomimę zaniepokojenia, winy i smutku, uzupełniając to rozbieganym spojrzeniem i strumykami potu spływającymi po twarzy. Livermore'owi zrobiło się go żal, odwrócił się zatem i nader pilnie zajął zawiązywaniem krawata.

— Proszę mówić — nakazał głośno Blalock, starając się wykorzystać zmieszanie przesłuchiwanego.

— To nie jest tak, jak pan myśli — mruknął głucho Gust.

— Zatem proszę o pełne zeznania, albo zaraz pana aresztuję za dokonanie sabotażu szkodzącego realizacji rządowego projektu.

Cisza wydłużała się. Wreszcie przerwał ją Livermore.

— Na miłość boską, Gust, powiedz mu. Przecież nie zrobiłbyś czegoś takiego. Co, byłeś u jakiejś dziewczyny? — Prychnął, widząc nagły rumieniec zalewający oblicze Gusta. — No właśnie. Obiecuję, że cała sprawa nie wyjdzie poza ten pokój. Rządu nie obchodzą czyjeś sprawy łóżkowe, a ja jestem już zbyt stary, by robić z tego sensację.

— To nie wasza sprawa — warknął Gust.

— Zbrodnia jest przestępstwem ściganym z oskarżenia federalnego... — zaczął Blalock, ale Livermore mu przerwał.

— Ale miłość nie jest zbrodnią, zatem może wreszcie się pan zamknie. Powiedz mu prawdę, Gust, albo napytasz sobie biedy. Dziewczyna?

— Tak — odparł Gust po dłuższym wahaniu, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— No dobrze. Został pan u niej na noc. Teraz poproszę jeszcze o kilka szczegółów, które wykluczą pana z grona podejrzanych.

Ostatecznie Gust zdołał wyjąkać, że dziewczyna jest sekretarką komisji inżynierskiej i że zna ją od dawna, ale dotychczas trzymał się od niej z daleka, chociaż wyraźnie go lubiła. Dopiero ostatniej nocy, gdy wyszedł z domu po kłótni z Leathą, tak się jakoś zdarzyło, że zawędrował pod drzwi Georgetty... Ale nikomu nie powiecie...? Wpuściła go, a potem sprawy potoczyły się już same i w końcu...

— Na pewno tak było — powiedział Livermore. — Rób pan swoje, Blalock. Jeśli trzeba, to Gust zostanie tu ze mną, a pan niech znajdzie dziewczynę i sprawdzi jej wersję; nas niech pan zostawi w spokoju. Proszę zająć się tą notatką, wziąć odciski palców z młotka czy co tam jeszcze... O ile nie ma pan żadnych dalszych poszlak, ani nie chce pan mnie aresztować, to proszę opuścić mój gabinet.

Gdy zostali już sami, Livermore zrobił kawę i podał filiżankę Gustowi, który stał przy oknie spoglądając na zaciągnięty chmurami, deszczowy krajobraz.

— Uważa mnie pan za głupca — mruknął Gust.

— Ani trochę. Rozumiem, że coś popsulo się pomiędzy panem i Leathą, ale zamiast naprawiać sytuację, tylko pan wszystko pogarsza.

— Ale co niby mogę zrobić?

Livermore zignorował błagalny ton rozpaczony pobrzmiwający w głosie Gusta i zamieszał kawę, żeby szybciej przestygła.

— Sam pan dobrze wie, co robić. To pański problem. Jest pan dorosły i potrafi rozwiązywać takie rzeczy. Razem z żoną, z pomocą poradni rodzinnej czy jakkolwiek inaczej. W tej chwili mam na głowie nieco ważniejsze sprawy. Ten sabotaż, FBI i cała reszta... Gust usiadł prosto i niemal się uśmiechnął.

— Ma pan rację. Świat nie skończy się tylko dlatego, że mam kłopoty małżeńskie. Zajmę się tym. Czy zauważył pan, że pan, Leatha i ja byliśmy dla niego głównymi podejrzanymi? Musiał dzwonić do mnie do domu, skoro wiedział, że mnie tam nie ma. I jeszcze śledził nas wczoraj wieczorem w restauracji. Czemu właśnie nas?

— Pewnie dlatego, że jesteście małżeństwem. Tylko my i technicy swobodnie kręcimy się po tym laboratorium. Jak wiemy już od Blalocka, jeden z tutejszych techników jest wtyczką agencji, zatem dobrze pilnuje swoich kolegów. Co automatycznie czyni z nas głównych podejrzanych.

— Zupełnie tego nie rozumiem. Czemu ktoś miałby niszczyć retorty?

Livermore skinął niespiesznie głową.

— Odpowiedź na to pytanie należy już do Blalocka. Kiedy ją znajdzie, dowie się też, kto jest za to odpowiedzialny.

* * *

Leatha weszła po cichu do biura i zamknęła za sobą drzwi. Zdziwiony Gust uniósł głowę nad papierów; żona nigdy dotąd go tutaj nie odwiedzała.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała chropawym głosem, z twarzą ściągniętą od opanowywania targających nią emocji. Gusta wręcz zatkało.

— Nie myśl, że nie wiem. Blalock przyszedł do mnie i wszystko mi powiedział. Gdzie byłeś w nocy i u kogo. Nie próbuj zaprzeczać. Jestem pewna, że nie kłamał.

Gust był zbyt zmęczony, by cokolwiek udawać.

— Ale po co ci o tym powiedział?

— Po co? To oczywiste. Nic go nie obchodzimy, dla niego istnieje tylko jego praca. Jestem pewna, że mnie podejrzewa. Chciał mnie zdenerwować, co mu się świetnie udało, chociaż nic z

tego nie miał. A teraz powiedz mi, świni jedna, czemu to zrobiłeś? Tylko tyle chcę wiedzieć: dlaczego?

Gust spojrzał na zaciśniętą w pięść dłoń, leżącą na biurku.

— Chyba dlatego, że miałem na to ochotę.

— Miałeś ochotę! — krzyknęła Leatha. — Taki z ciebie goguś! Jak masz na coś ochotę, to idziesz i sobie bierzesz. Pewnie nie muszę cię już pytać o nic więcej, mam dość bujną wyobraźnię.

— Lea, to nie jest miejsce ani chwila, by rozmawiać o czymś takim...

— Naprawdę? Ale mnie mało obchodzi, gdzie i kiedy powiem ci, co o tobie myślę, ty... zdrajco!

Widok jego zaciętej twarzy wzburzył ją bardziej niż jakiekolwiek słowa. Chwyliła ze stojącego obok stoliczka model Nowego Miasta przygotowany jeszcze kiedyś, w fazie projektowania, uniosła go nad głowę i cisnęła w męża. Model był jednak za lekki i tylko trącił Gusta w ramię, nim upadł na podłogę, gdzie rozleciał się na niezliczone kawałki plastiku.

— Nie powinnaś tego robić — powiedział Gust, pochylając się, by uprzątnąć szczątki. — To sporo kosztowało i będę musiał za to zapłacić.

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami. Leatha wyszła, nim zdążył podnieść głowę.

* * *

Leatha nie doświadczyła jeszcze nigdy uczucia tak intensywnego gniewu jak ten, który pchał ją teraz do marszu na ślepo korytarzami Nowego Miasta. Przystanęła w końcu z obolałymi płucami, by złapać nieco powietrza, rozejrzała się i pojęła, że tak naprawdę cała ta wędrówka miała swój cel. Pobliskie biura należały do Centralnej Komisji Inżynierskiej, której nakreślony na czerwono, osobliwy skrót CENTRKOMINŻY widniał nad wejściem. Czy powinna tu wchodzić? A jeśli tak, to co powie? Jakiś mężczyzna wychodząc przytrzymał jej drzwi, a ponieważ nie mogła zdobyć się na żadne wyjaśnienie, dlaczego właściwie tu sterczy, przekroczyła próg. Na przeciwległej ścianie znalazła plan całego piętra i nacisnęła guzik z napisem SEKRETARIATY, a potem ruszyła we wskazanym kierunku.

Dalej poszło już łatwiej. W wielkim pokoju wypełnionym pomrukiem drukarek i komputerów pracowało kilkanaście dziewczyn. Ludzie wchodzili i wychodzili, ona zaś stała przez chwilę z boku, nim zaczęła młodzieńca niosącego stertę papierów.

— Przepraszam, ale szukam... panny Georgetty Booker. Powiedziano mi, że tu pracuje.

— Jasne, Georgy. Przy tamtym biurku pod ścianą. W białej bluzce, czy jak to się tam nazywa. Chce pani, bym ją poprosił?

— Nie, dziękuję, nie trzeba. Sama się tym zajmę.

Leatha poczekała, aż młodzieniec odejdzie, potem spojrzała ponad pochylonymi głowami w odległy kąt pokoju i wciągnęła głęboko powietrze. Tak, to musiała być ona. Biała bluzka, ciemne włosy i czekoladowa skóra. Leatha ruszyła pomiędzy biurkami mierząc tak, by przejść obok Georgetty. Gdy była już blisko niej, nieco zwolniła.

Dziewczyna bezsprzecznie była piękna. Miła twarz, drobny nos. Całość szpecił jednak nadmiar purpurowej szminki na ustach. Jeden z policzków ozdobiony był drobnym, srebrzystym pyłem, który ciągnął się smugą aż na gors, przykryty modną ostatnio, niemal prześwitującą tkaniną ukazującą wysokie i obfite piersi z ciemnymi aureolkami sutek. Czując na sobie czyjeś spojrzenie, Georgetta uniosła głowę i uśmiechnęła się ciepło do Leathy, która jednak odwróciła wzrok i przeszła obok, przyspieszając z każdą chwilą coraz bardziej.

* * *

Popołudnie dobiegało ledwie połowy, a doktor Livermore już czuł się wykończony. Mało spał ostatniej nocy, a wizyta agenta dodatkowo go wzburzyła. Po jego wyjściu kazał technikom posprzątać laboratorium i chociaż ufał im całkowicie, tym razem chciał sam jeszcze wszystko sprawdzić. Poczeka zatem aż skończą, a potem utnie sobie drzemkę. Odsunął skomplikowane wydruki kodów genetycznych i wstał ciężko. Zaczynał odczuwać dolegliwości właściwe wiekowi. Może już pora zastanowić się nad zmianą zajęcia, czas dołączyć do gromady zażywających wygod pacjentów z poziomów geriatrycznych? Uśmiechnął się na tę myśl i podążył do laboratorium.

Cała pracująca tu ekipa nie przywiązywała większego znaczenia do oficjalnych form i Livermore'owi do głowy nawet nie przyszło, by zapukać do drzwi pokoju Leathy, gdy zobaczył,

że są zamknięte. Myślami był wciąż przy zniszczonych retortach, pchnął je zatem po prostu, przytomniejąc dopiero na widok zapłakanej, pochylonej nad biurkiem twarzy kobiety.

— Co się stało? — wykrzyknął, zanim zrozumiał, że najlepiej byłoby w tej sytuacji wycofać się po cichu. Nagle pojął, co właściwie mogło się stać.

Leatha zwróciła ku niemu zaczerwienioną, moką twarz.

— Przepraszam cię, że tak włączę. Powiniennem zapukać.

— Nic takiego, doktorze, w porządku. — Wytarła oczy chusteczką. — To ja przepraszam za ten żaloszny widok.

— Chyba rozumiem i wcale się nie dziwię.

— To nie ma żadnego związku z retortami...

— Wiem. Chodzi o tę dziewczynę? Miałem nadzieję, że się nie dowiesz.

Leatha była zbyt wzburzona, by spytać go, skąd o tym wie; na samo wspomnienie znów zaczęła płakać. Livermore marzył o tym, żeby jak najszybciej wyjść z pokoju, obawiał się jednak, że wypadnie to niezręcznie. Zupełnie nie miał w tej chwili głowy do czyichkolwiek tragedii osobistych.

— Widziałam ją — powiedziała Leatha. — Poszłam tam. Bóg jeden wie dlaczego, ale poszłam. To było poniżające, zobaczyć kogo mój mąż woli bardziej niż mnie. Pospolita, wulgarna dziewczucha, wpadająca każdemu samcowi w oko. I jeszcze w dodatku kolorowa! Jak mógł to zrobić...

Znów rozległo się łkanie i Livermore zatrzymał się z dłonią na klamce. Było już za późno, żeby wyjść. Został wciągnięty w tę całą awanturę.

— Mówiłaś mi kiedyś, skąd pochodzisz — stwierdził. — Gdzieś z Południa, jak pamiętam?

Pytanie zaskoczyło Leathę. Przestała nawet płakać.

— Tak, z Missisipi, z małego rybackiego miasteczka w pobliżu Biloxi.

— Tak właśnie myślałem. Wyrosłaś pośród wciąż żywych przesądów rasowych. Najbardziej boli cię, że ta dziewczyna jest czarna.

— Tego nie powiedziałam, chociaż faktycznie są istotne różnice...

— Nie, nie ma żadnych, przynajmniej jeśli mówić o rasach, kolorach skóry, religiach czy czymkolwiek podobnym. Nie rozumiem, jak wykształcony genetyk może wygłaszać podobne bzdury. Martwisz mnie. Naprawdę. Chociaż, z drugiej strony, trudno powiedzieć, że jestem tym przesadnie zaskoczony.

— Ona mnie wcale nie obchodzi. Ważne jest to, co on mi zrobił.

— W zasadzie nic. Mój Boże, kobieto, od wczesnego dzieciństwa wychowywano cię w kulcie wolności i równouprawnienia, czego i tobie nikt nie odmawia. Czy sądzisz, że masz prawo narzekać na męża, iż poszedł gdzie indziej, skoro wcześniej sama wyrzuciłaś go z łóżka?

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytała ze zdumieniem.

— Przepraszam. Rozzłościłem się. Jesteś dorosła i sama musisz zdecydować, co dalej z twoim małżeństwem.

— Niech się pan nie wycofuje. Skoro już zaczął pan coś mówić, proszę dokończyć.

Wciąż wzburzony Livermore opadł na krzesło i zanim znów się odezwał, zdołał trochę uporządkować myśli.

— Jestem dość staromodnym typem lekarza i najlepiej będzie chyba, gdy wytłumaczę ci to z czysto medycznego punktu widzenia. Jesteś młodą, zdrową kobietą w kwiecie wieku. Gdybyś przyszła do mnie po poradę małżeńską, zapewne powiedziałbym ci, że twoje małżeństwo przeżywa kryzys, którego bezpośrednią przyczyną byłaś najpewniej ty sama. Obecnie sprawy zaszły już tak daleko, iż odpowiedzialność za kłopoty spoczywa na was obojgu. Wygląda na to, że angażując się w pracę i lokując swoje pasje zawodowe poza życiem rodzinnym, straciłaś zainteresowanie seksem. Po prostu nie masz na to czasu. Nie mówię jedynie o współżyciu, ale o tych wszystkich zabiegach, które w naszej kulturze czynią z ciebie kobietę: stosowanie się do aktualnej mody, makijaż, sposób bycia, ogólna prezencja. Praca stała się najważniejszą częścią twojego życia, a mąż zajął w kolejności rzeczy drugie miejsce. Musisz zrozumieć, że ta wolność, którą kobiety sobie wywalczyły, do pewnego stopnia odbiła się na ich stosunkach z mężczyznami. Małżeństwo nie jest obecnie równoznaczne z posiadaniem dzieci. Wielu mężczyzn odczuwa brak zainteresowania ze strony żon, na które bardzo liczyli. Oni chcą, aby ktoś zadbał o nich samych i ich potrzeby. Nie twierdzę, że musi to opierać się na układzie władca–niewolnik. Jednak obie strony powinny więcej z siebie dawać, miast jedynie brać. A tak zdaje się być obecnie w waszym związku. Spytaj sama siebie — co twój mąż ma z waszego małżeństwa poza frustracjami seksualnymi? Jeśli zależałoby mu jedynie na jakimkolwiek towarzystwie, to dobrałby sobie na kwatery drugiego mężczyznę, jakiegoś inżyniera, z którym przynajmniej miałby o czym rozmawiać. Zapadło przedłużające się milczenie, aż Livermore odkaslnął i wstał.

— Przepraszam, jeśli tylko namieszałem ci w głowie.

Wyszedł, natykając się na Blalocka maszerującego zdecydowanym krokiem przez korytarz. Zerknąwszy krzywo na oddalające się plecy agenta, poszedł do laboratorium dopilnować podłączania nowych retort.

* * *

Agent FBI wszedł do pokoju Catherine Ruffin bez pukania. Spojrzała na niego chłodno i wróciła do pracy.

— Jestem zajęta i nie mam ochoty z panem rozmawiać.

— Przyszedłem prosić panią o pomoc.

— Mnie? — roześmiała się ponuro. — Oskarża mnie pan o zniszczenie retort, więc jak może pan spodziewać się mojej pomocy?

— Tylko pani może dostarczyć mi pewnych informacji, których właśnie potrzebuję. Jeśli rzeczywiście jest pani bez winy, to powinna pani przystać na to z ochotą.

Jej ścisły umysł nie mógł zignorować tego argumentu. Odmowa oparta na faktach, że po prostu nie lubiła tego typu, nie miała w tej sytuacji racji bytu. Poza tym był to funkcjonariusz oficjalnie wyznaczony do prowadzenia śledztwa.

— Co mogę dla pana zrobić?

— Chciałbym ustalić, jaki był motyw przestępstwa.

— Wiem dokładnie tyle samo, co pan.

— Owszem, ale ma pani dostęp do wszystkich danych komputera i wie pani, jak obsługiwać program. Interesują mnie dane dotyczące zawartości tych retort. Przeglądałem raport dotyczący szkód i mam wrażenie, że w tym wszystkim jest jakaś prawidłowość, ale nie wiem jeszcze dokładnie jaka. Niszczona była zawartość tylko niektórych retort, na przykład trzech z każdych pięciu, lub też pochodzących z danego dnia czy określonego cyklu zapłodnień. Musi istnieć jakiś klucz do tego.

— To nie będzie łatwe.

— Mogę uzyskać dla pani potrzebne upoważnienia.

— Zatem dobrze. Zaprogramuję komputer tak, by sprawdził wszystkie zbieżności i podobieństwa, ale nie mogę obiecać, że dostarczę panu w ten sposób odpowiedzi. Równie dobrze mógł tu decydować czysty przypadek, a wówczas moja praca na nic się nie przyda.

— Mam pewne powody, by przypuszczać, że to jednak nie przypadek rządził przestępcą. Proszę brać się do roboty i poinformować mnie, gdy tylko będzie pani miała jakieś wyniki.

Zadanie wypełniło jej bez reszty dwa następne dni. Catherine Ruffin była bardzo zadowolona z wyników swej pracy. Chociaż to, co faktycznie otrzymała, nie nasuwało jej żadnych skojarzeń ani przypuszczeń, mogło jednak podpowiedzieć coś agentowi federalnemu. Zadzwoiła po niego, a potem raz jeszcze przejrzała wydruki.

— Nie widzę w tym niczego szczególnego — powiedziała, przekazując mu papiery.

— Sam to sprawdzę. Może mi pani tylko wyjaśnić, co jest czym?

— To jest lista zniszczonych retort — pokazała arkusz na samym wierzchu. — Pierwsza kolumna to numer kodowy, potem identyfikacja za pomocą nazwisk.

— Nazwisk?

— Nazwisk dawców, by łatwiej było zapamiętać poszczególne kombinacje. Tutaj, na przykład, mamy zestaw Wilson–Smith, czyli sperma od Wilsona, jajeczko od Smith. Pozostałe kolumny zawierają szczegóły dotyczące samej selekcji, preferowanych cech i tak dalej. Ustawiłam program tak, by opierał identyfikację nie na numerach kodowych, ale na nazwiskach. Na pozostałych kartkach ma pan wykaz wszelkich możliwych korelacji, ale wydaje mi się, że to tylko szum informacyjny. Nie dostrzegam żadnego związku. Co innego, jeśli przyjrzeć się nazwiskom.

Blaalock spojrział na wydruki.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Właściwie nic, to tylko moje osobiste przewrażliwienie. Pochodzę z Burów, urodziłam się w jednym z rezerwatów dla białych w Południowej Afryce, już po rewolucji. Miałam jedenaście lat, gdy rodzice wyemigrowali do Ameryki i mówiłam wówczas tylko w języku *afrikaans*. Czuję się jednak nadal związana emocjonalnie z tą, powiedzmy, grupą etniczną. Była ona bardzo nieliczna i trudno jest spotkać tu jakiegoś Bura. Przejrzałam zatem listę, odruchowo nastawiona na wyszukiwanie burskich nazwisk. Odnalazłam już kiedyś w ten sposób kilku rodaków, by móc z nimi pogadać o starych, dobrych czasach, gdy nie trzeba jeszcze było żyć za ogrodzeniami z drutu kolczastego.

— A co to ma wspólnego z tą listą?

— Nie ma na niej żadnych burskich nazwisk. Blaalock wzruszył ramionami i znów spojrział na kartkę.

Catherine Ruffin, niegdyś Katerina Bekink, trzymała ją wciąż jeszcze w dłoni, zagryzając wargi.

— W ogóle nie ma tu żadnych nazwisk Afrykanerów, są wyłącznie angielskie i irlandzkie.

Blalock spojrział na nią przenikliwie.

— Proszę to powtórzyć.

Miała rację. Dwukrotnie przejrzał całą listę, znajdując tylko anglosaskie i irlandzkie nazwiska. Nie dostrzegł w tym jednak żadnego sensu, podobnie jak w innej jeszcze prawidłowości odkrytej przez Catherine Ruffin, tej mianowicie, że na liście nie było w ogóle Murzynów.

— To jakaś zupełna bzdura — powiedział Blalock, potrząsając gniewnie papierami. — Po co ktoś miałby eliminować te właśnie zarodki?

— Możliwe, że stawia pan niewłaściwe pytanie. Zamiast zastanawiać się, czemu określone zarodki zostały wyeliminowane, należy spytać, dlaczego w wykazie strat nie pojawiają się żadne inne nazwiska, chociażby Afrykanerów.

— A czy na liście ogólnej byli Afrykanerzy?

— Oczywiście. I Włosi, i Niemcy, i jeszcze wiele innych narodowości.

— Dobrze, zatem podejźmy do sprawy z tej strony — powiedział Blalock, ponownie pochylając się nad listą.

To rzeczywiście było właściwe pytanie.

* * *

Nadzwyczajne spotkanie Genetycznej Rady Programowej zostało zwołane na dwudziestą trzecią i Livermore jak zwykle się spóźnił. Przy końcu wielkiego marmurowego stołu pojawiło się dodatkowe krzesło dla Blalocka, który starannie rozłożył przed sobą wydruki komputerowe. Catherine Ruffin włączyła magnetofon i otworzyła już zebranie, gdy Livermore pojawił się w końcu w drzwiach. Sturtevant zakaszłał, zgasił swojego kręconego z podejrzanych chwastów papierosa i zaraz zapalił następnego.

— Ten preparowany kompost zabije pana w końcu — mruknął Livermore.

Catherine Ruffin nie pozwoliła mu na kontynuowanie tradycyjnej tyrady, rychło mogącej przerodzić się w pyskówkę.

— Spotkaliśmy się tu na życzenie pana Blalocka z FBI, który prowadzi śledztwo w sprawie zniszczenia retort i wcześniejszych aktów sabotażu. Jest już gotów przedstawić nam wyniki swego dochodzenia.

— Nareszcie — powiedział Livermore. — Wie pan już, kto to zrobił?

— Tak — odparł Blalock obojętnym tonem. — Pan, doktorze Livermore.

— No proszę, mysz ryknęła. Nie zmusi mnie pan jednak, abym przyznał się do czegokolwiek bez konkretnych dowodów.

— Myślę, że dysponuję takowymi. Zanim zaczęły się akty sabotażu, których początkowo nikt jeszcze za takie nie uważał, niepowodzeniem kończyła się tu jedna próba na dziesięć. Jest to wielkość uznawana za krytyczną i sugerująca nierzetelne podejście do programu lub błędny sposób pracy. Jest to również współczynnik wyższy dziesięciokrotnie od spotykanego w innych, podobnych laboratoriach, gdzie niepowodzenia zamykają się w granicach jednego procenta. Istotną informacją wskazującą na sabotaż jest fakt, że wszystkie zniszczone zarodki pochodziły od dawców noszących irlandzkie lub angielskie nazwiska.

— Też mi dowód — sapnął Livermore. — Czysta fantazja! Co to ma wspólnego ze mną?

— Otrzymałem do wglądu liczne sprawozdania z poprzednich spotkań tej rady, na których wypowiadał się pan otwarcie przeciwko czemuś, co określał pan jako dyskryminację w trakcie selekcji. Deklarował się pan jako obrońca mniejszości etnicznych, zaznaczając wielokrotnie, że dyskryminuje się tu Murzynów, Żydów, Włochów, Indian i inne grupy. Z wykazu strat wynika, że żadna z retort opatrzonych nazwiskami przedstawicieli mniejszości nie została zniszczona ani przypadkiem, ani w trakcie sabotażu. Związek wydaje się zatem oczywisty, podobnie jak oczywiste jest to, że jest pan jedną z niewielu osób dysponujących odpowiednią wiedzą, a nieograniczony dostęp do laboratorium umożliwia dokonanie sabotażu.

— To wszystko są poszlaki, a nie fakty, proszę pana. Czy zamierza pan na tej podstawie wystąpić z publicznym oskarżeniem i wytoczyć sprawę, czy jak to się tam nazywa?

— Owszem.

— Zatem wówczas wyjdzie na światło dzienne również świadoma i nieświadoma dyskryminacja praktykowana przez techników genetycznych. Okaże się, ile grup etnicznych w ogóle nie jest reprezentowanych w tych badaniach.

— Nic mi na ten temat nie wiadomo.

— Ale ja wiem dobrze, jak to wygląda, i dlatego przyznaję się do wszystkiego, o co mnie pan oskarża. Ja to zrobiłem.

W sali zapadła cisza. Wstrząśnięta na równi z innymi, Catherine Ruffin uniosła powoli głowę, usiłując cokolwiek zrozumieć.

— Dlaczego? Nie pojmuję, czemu pan to zrobił?

— Wciąż jeszcze nie rozumiesz, Catherine? Myślałem, że jesteś bystrzejsza. Zrobiłem to, mając sposobność naprawienia błędnej polityki genetycznej przyjętej przez to grono i inne, podobne instytucje w całym kraju. Nie osiągnąłem dokładnie nic. Biorąc pod uwagę prawie całkowity zanik naturalnych urodzeń, przyszli mieszkańcy tego państwa będą w całości reprezentować zbiór genów, który został zgromadzony przez nas pod postacią spermy i jajeczek, obecny zaś klucz selekcji, przyjęty przez służby techniczne, doprowadzi do powolnej fizycznej eliminacji kolejnych mniejszości etnicznych. Ich pule genetyczne przepadną na zawsze. Być może roi się wam, że idealne społeczeństwo przyszłości będzie zbiorem białych, niebieskookich, jasnowłosych i muskularnych anglosaskich protestantów. Dla mnie to żaden ideał. Podobnie nie spodoba się to wszystkim ludziom o innych kolorach skóry, cudzoziemsko brzmiących nazwiskach, odmiennym trybie życia i inaczej ukształtowanych nosach. Zasłużyli na przetrwanie w tym kraju w takim samym stopniu jak my. Żyjemy w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zatem nie opowiadajcie mi o pulach genów zachowanych we Włoszech czy Izraelu. Jedynymi prawdziwymi Amerykanami są Indianie, również zresztą wykluczeni z naszych prac. To zbrodnia, proszę państwa. Zbrodnia, której mam świadomość, ale nie udało mi się przekonać o jej popełnieniu nikogo więcej. Postanowiłem zatem radykalnie zmienić tę sytuację. Wszystkie te fakty zostaną upowszechnione podczas mojego procesu, co zmusi do zrewidowania programu i jego modyfikacji.

— Ty stary głupcze — powiedziała Catherine Ruffin głosem na tyle ciepłym, że wyrzut był ledwie wyczuwalny. — Sam doprowadziłeś do własnej zguby. Zostaniesz ukarany grzywną, może pójdziesz do więzienia, a na pewno zostaniesz zwolniony ze stanowiska i zmuszony do przejścia na emeryturę. Nigdy już nie znajdziesz pracy.

— Catherine, kochana, zrobiłem to, co musiałem zrobić. W moim wieku emerytura nie jest już tak upiorną perspektywą, sam nawet o niej myślałem. Nie mam nic przeciwko temu, by porzucić genetykę i jako lekarz–hobbysta zająć się moimi żywymi skamielinami. Nie grozi mi nic więcej,

niż przymusowa emerytura, a podanie wszystkich tych faktów do wiadomości publicznej jest tego warte.

— Muszę pana rozczarować — powiedział oschle Blalock, składając papiery i chowając je do aktówki. — Nie będzie żadnego otwartego procesu, a jedynie zwolnienie. Tak będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Skoro przyznał się pan do winy, pańscy przełożeni mogą spokojnie we własnym gronie podjąć decyzję, co z panem zrobić.

— To nie jest w porządku! — stwierdził Sturtevant. — Uczynił to wszystko tylko po to, by publicznie nagłośnić sprawę. Tego nie może mu pan odebrać. To nie fair...

— Myślenie w tych kategoriach nie ma tu nic do rzeczy, panie Sturtevant. Program badań genetycznych będzie realizowany dalej bez żadnych zmian. — Blalock niemal się uśmiechnął. Livermore rzucił mu zdegustowane spojrzenie.

— Chciałby pan, prawda? Cicho, spokojnie, ani mru–mru, pozbyć się milczkiem niewygodnych pracowników i tym samym oczyścić ten kraj z niepożądanych elementów.

— Nie ja to powiedziałem, doktorze. Skoro przyznał się pan do winy, nie może pan już zrobić w tej sprawie nic więcej.

Livermore powoli wstał i skierował się do wyjścia, ale odwrócił się, zanim dotarł do drzwi.

— Myli się pan, Blalock. Nadal żądam publicznego przesłuchania. Zostałem oskarżony o popełnienie przestępstwa w obecności moich współpracowników, mam zatem prawo domagać się oczyszczenia mojego nazwiska, skoro czuję się niewinny.

— To niemożliwe. — Blalock znów się uśmiechnął. — Pana przyznanie się do winy zostało zarejestrowane. Jest częścią protokołu z tego zebrania.

— Nie wydaje mi się. Wie pan, parę godzin temu dokonałem jeszcze jednego aktu sabotażu. Jego obiektem był magnetofon. Taśma jest pusta.

— Nic to panu nie da. Są świadkowie.

— Naprawdę? Dwoje moich współpracowników z rady to osoby równie zainteresowane sprawą i niezależnie od tego, jak bardzo czasem się różnimy w swoich sądach, najpewniej zechcą, by te fakty zostały ogłoszone publicznie. Czy nie mam racji, Catherine?

— Nie słyszałam, by przyznawał się pan do winy, doktorze Livermore.

— Ani ja — stwierdził Sturtevant. — Będę nalegać na oficjalne przesłuchanie dla oczyszczenia pana ze wszystkich zarzutów.

— Zatem do zobaczenia w sądzie, Blalock — powiedział Livermore i wyszedł.

* * *

— Myślałem, że będziesz w pracy. Nie sądziłem, że cię tu znajdę — powiedział Gust, widząc Leathę siedzącą przy oknie w salonie i wyglądającą na zewnątrz. — Wróciłem tylko spakować torbę. Zabieram moje rzeczy.

— Nie rób tego.

— Przykro mi, przepraszam za tę historię tamtej nocy, ale ja...

— Kiedy indziej o tym porozmawiamy.

Zapadła kłopotliwa cisza. Nagle Gust zauważył, iż Leatha ma na sobie sukienkę, w której jeszcze nigdy jej nie widział, kolorową i kusą, a jej włosy wyglądają jakby inaczej, na dodatek te usta, najwyraźniej pociągnięte szminką... Widok był zaskakująco atrakcyjny i zaczął się już zastanawiać, jak jej to powiedzieć.

— A może wybralibyśmy się do tej restauracyjki w Starym Mieście? — spytała Leatha. — Może być całkiem miło.

— Jasne że tak, oczywiście — odparł Gust, ochłonawszy nieco ze zdumienia. Czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek dotąd.

* * *

Georgetta Booker spojrzała na zegar zauważając, że czas już kończyć pracę. Dobrze. Dave znów zaproponował jej wspólny wieczór, co znaczyło, że po raz kolejny zamierza się oświadczyć. Był taki miłutki! Owszem, mogłaby nawet wyjść za niego, ale jeszcze nie teraz. Życie jest zbyt ciekawe, a różni ludzie ogromnie sympatyczni. Małżeństwo to też dobra rzecz, ale może poczekać.

Uśmiechnęła się. Pomyślała, że świat jest piękny.

* * *

Sharm uśmiechnął się i ugryzł następny kawałek zwiniętego w obrączkę, parzonego i piezonego jeszcze potem ciasta.

— Świetne — orzekł. — Naprawdę niezłe. Jak się nazywa?

— Bajgel. Powinno się to jeść z wędzonym łososiem i białym serem. Znalazłam przepis w starej książce kucharskiej. Chyba dobre.

— O wiele lepsze, niż dobre. Wypieczemy tego ile się da, a potem sprzedam je w Nowym Mieście. Ich chleb smakuje jak papier. Zaraz to polubią. Muszą polubić, bo przeniesiemy się do Nowego Miasta. Pokochają te bajgle i całe nasze żarcie, które będziemy im sprzedawać, gdy już zamieszkamy razem z nimi.

— Przekonasz ich, Sharm?

— Już ich przekonuję. Stary Sharm też uszczknie swoje z tego cudownego żywota.

Przekład: Radosław Kot

Złośliwy uciekinier

1970

To opowiadanie miało być przymiarką do noweli, z której zresztą nic nie wyszło. Z noweli, nie z przymiarki, ma się rozumieć. Zawsze pociągała mnie historia opowiedziana na zasadzie „co by było gdyby”, na przykład jak u Dicka w *Człowieku z wysokiego zamku*, co by było, gdyby Hitler wygrał wojnę. Opowieści takie najłatwiej opierać o zmieniony wynik sporego konfliktu. Znacznie później popełniłem podobny utwór, wykorzystując pewną piętnastowieczną bitwę w Hiszpanii. Gdyby Anglicy ją wygrali, rządząliby światem, i to jest właśnie pomysł powieści *A Transatlantic Tunnel, Hurrah!*

Pisząc jednak to opowiadanie, nosiłem się z innym pomysłem, mianowicie zmiany nie z powodu epokowego wydarzenia, a zwykłej śmierci jednego człowieka spośród miliardów. A przy okazji, po raz kolejny kościół katolicki był uprzejmy wkurzyć mnie hipokryzją swych funkcjonariuszy. Tak oto powstała mieszanka pierwszy raz opublikowana w antologii *New Dimensions*, redagowanej przez Boba Silverberga, którego list z pytaniem, czy nie mam jakiegoś opowiadania typu „co by było gdyby”, przybył notabene w dniu, w którym skończyłem je pisać.

Vino rosso, un mezzo.

Wino było cierpkie i ciężkie. Przypominało smakiem kurz unoszący się z bitej drogi, przy której leżała niewielka winiarnia z obdrapanym szyldem „Vini e Bibite” — „Wino i Napoje”. Wino było lokalnym sikaczem, a napoje powlewanymi do poobtlukiwanych flaszek, przeraźliwie barwionymi wytworami miejscowych chemików amatorów. Od samego patrzenia na nie robiło się nieswojo. Birbante opróżnił szklanę, nalał z półlitrowej karafki resztkę wina i, starannie omijając wzrokiem obtłuczone butelki, spojrzął na właściciela pucującego szklanę brudnym ręcznikiem. Śniada twarz miała wyraz całkowitej rezygnacji, podobnie jak twarze trzech mężczyzn pochylonych nad stolikiem w rogu niewielkiej salki, na którym leżała talia kart z dziwnymi obrazkami.

Chiomonte było takie samo jak każde włoskie miasteczko leżące z dala od autostrady. Prowadziła do niego wąska droga stanowiąca równocześnie główną ulicę miejsciny, a potem znów wąską drogę. Odosobnione, nieufne wobec obcych, biedne i brudne, było typowym zadupiem, w którym nikt obcy o zdrowych zmysłach nie zatrzymywał się dłużej niż parę minut. Ten, kogo Birbante szukał, mógł jednakże tu być, a jeśli nie tu, to z pewnością w najbliższej okolicy. Powolnym ruchem dotknął tarczy zegarka — naciśnięta w dwóch miejscach koperta ukazała ukryty pod cyferblatem ekran detektora, który wyraźnie pokazywał, że sytuacja się nie zmienia — Narciso był w pobliżu, ale nie w bezpośrednim.

Birbante czuł to — po latach tropienia zbiegów wyrobił sobie instynkt, który był lepszy i dokładniejszy niż detektor zainstalowany w samochodzie. W zegarku zamontowany był tylko czytnik, jako że urządzenie było zbyt duże, by można je było nosić ze sobą. Narciso uciekł dalej niż inni i pozostawał na wolności dłużej niż ktokolwiek, lecz Birbante nigdy dotąd nie zawiódł i w Bogu nadzieja, że również tym razem nie zawiedzie. Odruchowo dotknął masywnego krucyfiks wiszącego pod koszulą.

— Chciałbym zabrać ze sobą jeden litr tego wina — oznajmił.

Właściciel przyjrzał mu się z nieszczęśliwą miną.

— A masz butelkę? — spytał.

— Nie mam.

— Może jakąś znajdę... Będziesz musiał zapłacić pięćdziesiąt lirów kaucji.

Birbante skinął z rezygnacją głową, akceptując to wyłudzenie, i cierpliwie czekał, aż zakurzona flaszka została znaleziona, umyta, napełniona z gąsiorka oplecionego wikliną i

starannie zakorkowana. Położył na blacie należność a gdy właściciel po nią sięgnął, dodał kolorową fotografię i spytał:

— Znasz go?

Karczmarz starannie zebrał monety z mokrego kontuaru, ignorując zdjęcie poważnego mężczyzny o krótko ściętych, czarnych włosach i błękitnych oczach.

— To mój kuzyn — dodał Birbante — nie widziałem go od lat, a słyszałem, że przebywa gdzieś w okolicy. Zmarł nasz stryj i zostawił mu trochę pieniędzy... nie jest tego dużo, ale każda kwota się przyda, nie? Nie wiesz, gdzie on może być?

Przy ostatnich słowach położył na kontuarze złożony banknot o nominale dziesięciu tysięcy lirów. Właściciel spojrzął na banknot, potem na niego i oznajmił:

— Nigdy go nie widziałem.

— Szkoda... — Birbante schował banknot, wziął butelkę i wyszedł.

Promienie słońca odbijały się od pomalowanych na biało domów, toteż czym prędzej założył przeciwsłoneczne okulary. Ci tu zawsze trzymali się razem i jeśli uznali kogoś za swojego, to nigdy go nie zdradzą. Oczywiście świadomie nie zdradzą, ale dla kogoś o jego doświadczeniu istniały rozmaite sposoby uzyskiwania informacji i wypłaszania ofiary.

Jaskrawa czerwień jego alta romeo, była jedyną plamą koloru na szarej i brudnej ulicy. Wsunął butelkę pod siedzenie, by jak najdłużej była w cieniu, i pomaszerował na drugą stronę ulicy, gdzie mieściło się coś, co wyglądało jak sklep, choć nie miało ani szyldu, ani okna wystawowego. W takiej mieścinie byłby to zbędny luksus; wszyscy wiedzieli, gdzie jest sklepik i co można w nim kupić.

Wnętrze pogrążone było w półmroku. Dopiero po chwili dojrzał za ladą kobietę ubraną w tradycyjną czerń. Nie odpowiedziała na powitanie, ale sprzedała to, co chciał — świeży ser i jeszcze ciepły chleb. Birbante cały czas stał tak, by widzieć wyjście z winiarni, nie spieszył się. Płacąc, uśmiechnął się lekko — jeden z graczy wyszedł właśnie i pokuśtykał w dół ulicy.

Jeśli Narciso jest w pobliżu, to bez wątpienia dowie się wkrótce, że ktoś się nim interesuje. To było wszystko, czego Birbante potrzebował, by zakończyć pościg. W zwykłych warunkach detektor był mało precyzyjny, gdyż lokalizował uciekiniera z dokładnością nie większą niż dziesięć kilometrów. Jeśli jednak ten dowiadywał się o pościgu, sytuacja zmieniała się diametralnie. Każde bowiem silne uczucie, jak na przykład strach, było natychmiast wykrywane,

ponieważ aparat skalibrowano na indywidualny wzorzec neurologiczny. Reszta była tylko formalnością.

Birbante wrócił do samochodu, ale nie odjechał — we wstecznym lusterku widział, jak stary, kuśtykając, zniknął w drzwiach jednego z domów. Powoli włożył zakupy pod siedzenie, rozejrzał się i zapuścił silnik. Z drzwi, w których zniknął stary, wybiegł chłopak i pomknął przed siebie. Przebiegł obok samochodu, nie spoglądając nawet na niego. Birbante starannie ukrył pełen zadowolenia uśmiech — żaden włoski, zachowujący się normalnie, chłopiec nie powstrzymałby się przed dokładnym obejrzeniem takiego wozu. Wniosek był prosty. Chłopak wykonywał polecenie, a więc biegł z ostrzeżeniem. Zadowolony wrzucił bieg i odjechał w przeciwną stronę niż posłaniec — detektor i tak powie mu to, co istotne.

* * *

Zatrzymał się na szerokim poboczu osłoniętym drzewami przy jednym z nielicznych zakrętów drogi i zgasił silnik. Był wyżej, dzięki czemu miał dobry widok na miasteczko. Z tej odległości wyglądało prawie ładnie — brud i bieda nie były już widoczne, a biel ścian, czerwień kościelnego dachu i zieleń drzew tworzyły miły i spokojny krajobraz. Odkorkował wino, scyzorykiem ukroił pachnącą pajdę chleba i grubo ją posmarował świeżym serem — to był posiłek, do jakiego przywykł w młodości spędzonej w górach, gdy spokojne, ciepłe popołudnia wypełniało odległe bicie dziesiątków kościelnych dzwonów i sygnaturek... Zupełnie jak teraz — bez wątplenia był to kraj ukochany przez Boga i wierny mu od zarania dziejów...

Idyllę przerwał głośny strzał z rury wydechowej. Zza zakrętu wytoczył się odrapany i ledwie dyszący autobus, który ze skrzypieniem i jękiem wysłużonych mechanizmów pokonywał stromiznę i łuk zakrętu. Jako ostateczną obelgę kierowca tego pojazdu, kurczowo ściskający kierownicę, nacisnął na klakson, szczerząc w złośliwym grymasie zęby.

Zaskoczony Birbante posłał za nim soczystą wiązaną i dopiero gdy pojazd zniknął, zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Pozwolił ponieść się złości i przeklął niewinnego człowieka! Czując pot spływający na oczy, gorączkowo sięgnął do skrytki i wyszarpnął z niej ciężki różaniec ze srebra. Nie tracąc ani sekundy, pogrążył się w gorączkowych modłach, błagając Pana o przebaczenie i prosząc, by nie potraktował tych przekleństw poważnie, jako że nic nie znaczyły, a były jedynie wynikiem jego ludzkiej słabości.

* * *

Po dobrym kwadransie różańca uspokoił się na tyle, by przestać się modlić. Poszukiwania nadszarpnęły jego nerwy i zdecydował, że gdy wróci z Narciso, poprosi przełożonych o co najmniej rok odpoczynku w jakimś odosobnionym klasztorze, gdzieś w górach. Presja, pod jaką żył ostatnimi czasy, jak i warunki, zdecydowanie nie sprzyjały zachowaniu równowagi ducha niezbędnej dobremu słudze bożemu.

Dopiero w tym momencie dostrzegł wskazania detektora, którzy już od dłuższej chwili zwracał na siebie uwagę. Nauka była jasna — skoro zbyt wiele uwagi poświęcił własnym problemom i potrzebom, mały pokutny post był jak najbardziej wskazany. Schował więc jedzenie i uspokojony zajął się instrumentami. Narciso był naprawdę blisko i to pełen słusznych obaw przed gniewem Pana. Zapalił silnik i ruszył, trzymając entuzjazm na wodzy — pościg był długi i parę minut nic już nie znaczyło, a po co miał wszystko zepsuć, wywołując niepotrzebny wypadek. Gdy wyjechał na prostą, ponownie sprawdził wskazania — przed nim znajdowało się źródło silnych emocji: Narciso.

Dopiero parę kilometrów za Chiomonte zorientował się że coś jest nie tak — sygnał słabł, zamiast się nasilać, choć wciąż był tuż przed nim. Zaskoczony stanął, by sprawdzić urządzenie, ale okazało się, że jest w jak najlepszym porządku. Zaniepokojony rozejrzał się wokół i nagle parsknął śmiechem — rozwiązanie było tak proste, że nic dziwnego, iż dopiero teraz na nie wpadł. Narciso wsiadł do autobusu, a nie uciekał na piechotę. Nic dziwnego, że sygnał był ciągle przed nim i słabł coraz bardziej, w miarę jak rosła odległość.

Uspokojony ruszył w pościg, który nie trwał długo: alfa romeo błyskawicznie dogoniła zabytkowy pojazd, toteż Birbante zmniejszył prędkość i zastanawiał się, jak wyciągnąć z autobusu pełnego ludzi tego jednego, na którym mu zależało, robiąc przy tym jak najmniej zamieszania. Okazało się to niepotrzebnym wysiłkiem, gdyż po kolejnym zakręcie wskazania detektora gwałtownie spadły, toteż czym prędzej zahamował. Poszukiwany musiał wysiąść i był teraz gdzieś na prawo od drogi wśród wzgórz. Najwidoczniej dostrzegł pogoń i z siebie tylko znanych względów opuścił autobus.

Birbante jechał wolno na wstecznym, obserwując okolicę, aż dotarł do polnej, wijącej się przez pola drogi. Była wąska i nierówna, ale i tak mógł się po niej poruszać szybciej, niż ktoś

idący piechotą. Nie musiał zresztą jechać daleko — na pobliskim wzgórzu siedział spokojnie mężczyzna w chłopskim przyodziewku z laską i tobołkiem.

Przez długą chwilę przyglądali się sobie w milczeniu, po czym Birbante wyłączył silnik. I detektor.

— Jesteś Narciso Lupori — oznajmił.

— A ty? — spytał spokojnie Lupori.

— Ojciec Birbante.

— Zdaje się, że powinienem być zaszczycony: największy łowca heretyków fatygował się po mnie osobiście.

— Jeśli aż tyle o mnie wiesz, to powinieneś także wiedzieć, że nie jestem tu, by z tobą dyskutować. Ułatwisz nam obu życie, jeśli wsiądziesz i wrócisz ze mną do swojego czasu.

— Cierpliwości, jeśli łaska! Nawet skazańcowi przysługuje ostatnie życzenie i nawet, jak wieść niesie, niejaki Jezus Chrystus miał okazję spokojnie zjeść ostatnią wieszakę.

— Nie bluźnij! Wracasz ze mną, i to zaraz. I kończy to cały problem, jaki stworzyłeś.

— Doprawdy? — Narciso uśmiechnął się lekko. — A co zrobisz, jak nie będę chciał wrócić? Zabijesz mnie?

Birbante westchnął i uniósł leżącą dotąd na sąsiednim fotelu plastikową tubę z rękojeścią i kilkoma przyciskami. Przypominała suszarkę do włosów, tyle że w czarnym kolorze i ozdobioną złotymi aniołkami.

— Wiesz, że nikogo nie zabijamy — powiedział, kierując jej wylot w stronę uciekiniera. — Jesteśmy dobrymi chrześcijanami i dzięki miłości bliźniego górujemy nad otaczającymi nas zwierzętami. Dzięki temu tu urządzeniu nie będziesz w stanie się poruszyć, toteż nie wyrządzisz sobie krzywdy w drodze powrotnej. A mnie wystarczy sił, by przenieść cię do samochodu.

Zanim zdążył jednak nacisnąć którykolwiek guzik, coś huknęło i przednia szyba rozprysła się na kawałki. Zaskoczony Birbante przeniósł wzrok z odłamków szkła na ciemny kształt w dłoni zbiega. Z otworu w metalowym przedmiocie sączył się dym.

— To się nazywa pistolet, jeśli zapomniałeś frater lekcje historii — poinformował go uprzejmie Narciso. — W tobie może zrobić dziurę równie łatwo jak w szybie, więc rzuć to gównem na tylne siedzenie!

Birbante posłuchał polecenia, gdy broń znalazła się na wysokości jego głowy, ale nie odwrócił wzroku.

— Zabicie mnie nic ci nie da. Dołączę do grona świętych męczenników, a ty nadal będziesz tu czekał na kolejnych wysłanników. Nie ma ucieczki, odrzuć pistolet i chodź ze mną.

— Przestań bredzić. Wsiądź i odsuń się od samochodu, żeby ci coś głupiego nie przyszło do głowy... Ślicznie, teraz siadaj. Pogadamy, a ja odłożę pistolet. Tak na marginesie, nie dziwi cię jego widok?

— A dlaczego? Mamy Anno Domini 1970, czyli mroczne czasy, i nic mnie nie zdziwi.

— Powinieneś większą wagę przywiązywać do historii padre. Nie byłeś na odprawie przed tą wycieczką?

— Byłem. W Szkole Inkwizycji nie wychowują durni, jak najwyraźniej sądzisz. Teraz zostało ledwie czterdzieści siedem lat między eonami i przybyłem odpowiednio wyposażony. Ten samochód jest dokładną repliką pojazdów z owego wieku.

— Więc powinieneś wiedzieć, że panuje Czas Pokoju, a Święte Wojny zakończyły się dawno temu.

— Powinien panować — poprawił go Birbante — skoro jednak masz broń, to znaczy, że archiwa mają luki...

— Albo że zostały sfalszowane.

— Błuźniesz!

— Nie. Próbuję jedynie dotrzeć do twojej zakutej duchowej pały. Skoro wysłano cię po mnie, rozsądnym jest założyć, że wiesz, kim jestem i dlaczego znalazłem się tutaj.

— Naturalnie. Jesteś fizykiem. Nazywałeś się Narciso Lupori, a pracowałeś w Laboratorium Watykańskim w Costal Santangelo. Jesteś człowiekiem wybitnego intelektu i sprawowałeś wyjątkowo odpowiedzialną funkcję, mimo że nie złożyłeś święceń. Powinieneś być kapłanem, a to, co zrobiłeś, dobitnie świadczy, iż w przyszłości tak odpowiedzialne stanowiska należy powierzać jedynie wiernym sługom bożym Świętego Kościoła. Skusił cię diabeł i uciekłeś w przeszłość, powody są naprawdę nieistotne.

— Chcesz mi powiedzieć, że księża są lepiej zabezpieczeni przed zakusami szatana?

— Naturalnie!

— Ciekawa teoria... a co byś powiedział na informację, że szatana nie ma? Podobnie zresztą jak Boga...

— Przestań bluźnić!

— A dlaczego? To, że zostałem wychowany w wierze chrześcijańskiej, nie znaczy, że całe życie muszę spędzić w ciemności. Teraz jestem wolny i miałem sporo czasu, by wiele spraw przemyśleć. Zacząłem myśleć zresztą już wcześniej, i to właśnie doprowadziło do tego, że znalazłem się tutaj. Myślenie i wątpliwości... to dwie rzeczy, których najbardziej boją się twoi przełożeni. Nie wierzę, że człowiek został stworzony, by być pokornym, mnożyć się jak robactwo i niszczyć inne formy życia. I nie wierzę, że to z woli bożej pewne dziedziny nauki mają zawsze leżeć odłogiem i że pewne fragmenty tych dziedzin mają na wieki pozostać białą plamą. To nie Bóg tak chciał, tylko ludzie, a konkretnie tępi papieże i głupi kardynałowie. Ci, którzy ślepo wierzą we własną nieomyślność i uważają, że reszta świata musi postępować tak, jak oni chcą. Widzisz katabasie, wiara to jedno, a kapłani to coś zupełnie innego. Papież nie był i nie jest Bogiem. Jest człowiekiem i jak każdy jest omylny, a ludzką rzeczą jest błądzić. Natomiast jeśli uważa się za nieomylnego, i to od dawna, to przy tępcie urzędników kościoła może to doprowadzić jedynie do ograniczenia wolności, tępienia inicjatywy i talentów i zasłaniania się prawdami wiary.

— Będziesz się smażył w piekle za te bluźnierstwa. Chodź ze mną do tych, którzy pomogą ci oczyścić duszę z herezji.

— Chcesz powiedzieć, że zrobią mi lobotomię, a w najlepszym wypadku skasują pamięć, żebym nie głosił innym tego, co myślę. Nigdzie nie wracam! Tak przy okazji, wydaje mi się, że ty też nigdzie nie wrócisz.

— Co proszę?!

— Widzisz, wychodzi mi, że my nie jesteśmy w przeszłości, jaką znamy, a to oznacza, że nie da się wrócić do przyszłości, z której wyruszyliśmy. Nie zastanowiło nikogo, dlaczego udałem się aż tak daleko w przeszłość? Pewno, że nie. Czego ja od was oczekuję?! Już eksperymenty z cofaniem się o parę lat dawały dziwaczne wyniki, toteż zacząłem się zastanawiać, jak to jest możliwe, a to doprowadziło mnie do pewnej teorii... teraz wiem, że była prawdziwa. Pomajstrowałem trochę przy urządzeniach i przenieśliem się w okres, w którym według moich obliczeń wciąż jeszcze musiał panować spokój i tolerancja. Wyszło lepiej niż sądziłem. Mam pracę, nie przymieram głodem, a jeszcze zdążyłem sporo się dowiedzieć. Słyszałeś kiedyś o królu Anglii Henryku VIII?

— Nie jestem studentem historii.

— Dowiedziałbyś się, że zginął w wypadku, mając dwadzieścia lat — spadł z konia i skrzył kark. A o jakimś Martinie Lutrze chyba słyszałeś?

— Naturalnie, że słyszałem. Niemiecki kleryk, potem heretyk. Uwięziony, zmarł po paru latach w lochach, nie pamiętam dokładnie, w którym roku.

— W 1515. A co byś powiedział na informację, że tutaj Luter nie umarł w więzieniu, ale w 1517 wystąpił przeciwko Kościołowi katolickiemu i utworzył nowy Kościół?

— Szaleństwo?

— Powiadasz? A dobry król Henryk żył długo i szczęśliwie z paroma żonami i założył własny Kościół. Nie jesteśmy w raju, ale w wolnym, nie tłamszonym przez doktrynę i hierarchię kościelną świecie. Będziesz się musiał nauczyć w nim żyć, bo przyszłość, jaką znamy, nie istnieje. Ironią jest tu co innego: ty, znajdując mnie, straciłeś wszystko, w co wierzyłeś: świat, Kościół, wiarę...

— Przestań! Kłamiesz! — Birbante zerwał się blady jak ściana.

— Boisz się? I słusznie. Skoro uważasz, że kłamię, dlaczego tego nie sprawdzisz? Masz przy sobie awaryjny zestaw do podróży w czasie, wszyscy podróżujący w czasie muszą go mieć na wypadek awarii głównego urządzenia, które pewnikiem masz w samochodzie. Nie zniknę, poczekam. Nic się nie zmieni poza tym, że poznasz prawdę. — Widząc niezdecydowanie prześladowcy, fizyk wyjął z kieszeni fragment gazety. Było to zdjęcie wydarte z pierwszej strony papieskiej propagandówki „L'Osservatore Romano”. Nad zdjęciem widniał tytuł artykułu napisany tak dużą czcionką, że Birbante nie musiał się wysilać, by go odczytać: „PAPIEŻ MODLI SIĘ O POKÓJ I ZAPRASZA WYZNAWCÓW WSZYSTKICH RELIGII DO WSPÓLNYCH MODŁÓW!” Birbante wrzasnął coś niezrozumiale, wyrwał z kieszeni płaskie pudełko z jednym guzikiem, nacisnął go i zniknął.

Narciso przez kilkadziesiąt sekund siedział bez ruchu, czekając, czy tamten nie pojawi się powtórnie, zanim odetchnął z ulgą.

— Udało się! — krzyknął, zrywając się radośnie.

Prawda bowiem była nieco inna niż to, co powiedział księdzu — istniało wiele przeszłości i przyszłości równoległych i to właśnie była teoria, na którą wpadł. Przeniósł się nie do swej przeszłości, lecz do innej, a przed ucieczką zainstalował niespodziankę w banku danych programujących komputery wehikułów czasu — urządzenie losowo wybierające, w jaką przyszłość trafi kolejne urządzenie. Techniczny problem polegał na tym, że ten, kogo za nim

wyślą, musiał znaleźć się w tej samej, co on przeszłości, by zamknąć do niej dostęp na długie lata. Wobec czego należało na niego poczekać i zmusić go do próby powrotu. Zabić bowiem Narciso nie był w stanie — zbyt dokładnie wychowano go w zasadach katolickiej moralności. Trochę kłamstw i długie ćwiczenia z bronią wystarczyły jednakże w zupełności — był wolny, a poza tym miał do dyspozycji całe wyposażenie wypełniające pojazd o wyglądzie samochodu. Same baterie napędzające silnik warte były majątek w świecie używającym okropieństwa zwanego silnikiem spalinowym. Istniała też nadzieja, że zniknięcie słynnego łowcy heretyków zniechęci innych do podróży w czasie, bowiem szansa, by Birbante wrócił do swej czasoprzestrzeni, była nieskończenie mała. Jakkolwiek by było, Narciso miał teraz spokój, a w najbliższej przyszłości perspektywę pieniędzy, dzięki którym mógł zwiedzić ten nowy świat, nauczyć się angielskiego i udać do Ameryki rządzonej przez Anglików i do szlachetnych Azteków, których religia coraz bardziej go pociągała.

Pogwizdując wesoło, schował pistolet, wrzucił tobolek do samochodu i powoli ruszył tyłem w stronę drogi.

Przełożył Jarosław Kotarski

Współmieszkańcy

1970

Thomas Disch przygotowywał antologię opowiadań poświęconych różnym zagrożeniom wiszącym nad światem, a szczególnie klęskom ekologicznym i demograficznym. Kwestia przeludnienia rzadko się wówczas pojawiała w literaturze SF, przynajmniej w tych utworach, które Tom uznawał. Czytał już przedtem moją powieść *Przestrzeni! Przestrzeni!* i stwierdził, że właśnie czegoś takiego szuka. Możliwie realistycznego, nie podbarwionego spojrzenia na najbliższą przyszłość. Dokładnego pokazania czytelnikowi, co się stanie, jeśli problemu przeludnienia nie uda się jakoś rozwiązać.

Ja jednak miałem powieść, a Tom chciał opowiadania. Zakreślił parę fragmentów, bym złożył z nich krótszy tekst, i przesłał mi całą propozycję, a ja uznałem, że zabieg ma sens. Dopiero potem stwierdziłem, że nowej wersji brak ciągłości, płynności narracji, która w opowiadaniu jest rzeczą nader pożądaną.

Tak zatem przepisałem utwór, nie zdając sobie wtedy sprawy z jeszcze jednego — że tekst wciąż pełen jest zarysowanych w tle problemów i pytań i że jest ich tam o wiele za dużo, jak na jedno opowiadanie. Tak zatem wiecie już, skąd wziął się ten ekstrakt z powieści.

LATO

Wpadające przez otwarte okno sierpniowe słońce przypalało nagie nogi Andy'ego Ruscha tak długo, aż niewygodna wyrwała go z głębokiego snu. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę z gorąca i z tego, jak zmięte i przepocone jest prześcieradło, na którym leży. Przetarł sklezione powieki, lecz nie wstawał jeszcze, wpatrywał się tylko w popękany, pełen plam i zacieków sufit. W pierwszej chwili niezbyt pamiętał, gdzie jest, na wpół obudzony jakby na nowo rozpoznawał pokój, w którym mieszkał już od ponad siedmiu lat. Ziewnął, spojrzął na leżący na krześle obok łóżka zegarek i od razu poczuł się lepiej. Ziewnął raz jeszcze, przyglądając się przez porysowane szkiełko wskazówkom. Siódma... siódma rano, a w kwadratowym okienku widniała cyfra 9. Poniedziałek, dziewiąty sierpnia 1999 roku, już od rana upalny; fala gorąca, która trzymała Nowy Jork w swym obezwładniającym uścisku od dziesięciu dni, nie ustępowała. Podrapał się w bok, w miejsce gdzie pot dał mu się we znaki, po czym usunął nogi ze smugi światła i skłębził poduszkę pod karkiem. Z drugiej strony cienkiego przepierzenia, które dzieliło pokój na dwie części, rozległo się najpierw pobrząkiwanie, potem jazgot przechodzący szybko w wysoki pisk.

— Dobry...! — krzyknął poprzez hałas i rozkaszał się. Wciąż kaszłąc, wstał niepewnie i podszedł do ściennego zbiornika, by utoczyć szklanek wody; pociekła cienkim, brązowym strumykiem. Wypił ją i postukał knykciami w miernik poziomu, aż ten podskoczył, zawahał się i opadł w poblizze napisu: „Pusty”. Zbiornik wymagał napełnienia i Andy będzie musiał zająć się tym, zanim wyjdzie przed czwartą na służbę. Dzień się zaczął.

Przysunął twarz do wielkiego, pękniętego lustra pokrywającego cały fronton szafy i potarł szczeniasty policzek. Trzeba będzie jeszcze ogolić się przed wyjściem. Nie należy spoglądać na siebie wczesnie rano, kiedy jest się nagim i wystawionym na ciosy, pomyślał, z niesmakiem przyglądając się bieli skóry i krzywym nogom, które w spodniach wyglądały jeszcze nie najgorzej. Jak ci się to udało, że żebra sterczą niczym u głodującej szkapy, a brzuch rośnie coraz większy? Uszczypnął miękką skórę, dochodząc do wniosku, że musi to być wynik diety skrobiowej i przesiadywania w tej klitce. Szczęśliwie tłuszcz nie pojawił się na twarzy, chociaż czoło co roku robiło się wyższe — cecha mało widoczna, dopóki przycinał krótko włosy. Dopiero co przekroczyłeś trzydziestkę, pomyślał, a już robią ci się worki pod oczami. I masz za duży nos; czy to nie wujek Brian powtarzał zawsze, że to przez walijską krew w rodzinie?

Uzębienie zaś masz po wilkach i gdy się uśmiechasz, przypominasz rozradowaną hienę. Przystojny z ciebie diabeł, Andy Rusch, ale czy możesz mi powiedzieć, kiedy ostatni raz wybrałeś się na randkę? Skrzywił się do siebie i poszedł poszukać chustki, by wytrzeć swój imponujący walijski nos.

W szufladzie została już tylko jedna para czystych gatek; włożył je stwierdzając, że oto jest kolejna rzecz, którą będzie musiał dzisiaj zrobić — pranie. Pisk za ścianką działową nie ustawał. Andy pchnął drzwi łączące oba pomieszczenia.

— Nabawisz się choroby wieńcowej, Sol — powiedział do siwobrodego mężczyzny, który pedałował zapamiętałe usadowiony na pozbawionym kół rowerze, a strużki potu ściekały mu po piersi, wsiąkając w owinięty wokół bioder ręcznik.

— Nie grozi — wydyszał Salomon Kahn, miarowo poruszając nogami. — Robię to codziennie od tak dawna, że moje serducho z miejsca by zaprotestowało, gdybym przestał. Odkąd nie stać mnie na papierosy, za którymi wcale zresztą nie tęsknię, nie grozi mi rak płuc, a regularne dawki alkoholu przemywają mi arterie z cholesterolu. Na dodatek w wieku lat siedemdziesięciu pięciu nie muszę obawiać się raka prostaty, ponieważ...

— Sol, proszę, oszczędź mi tych wszystkich szczegółów, zwłaszcza na pusty żołądek. Masz może odrobinę lodu?

— Weź dwie kostki, jest naprawdę gorąco. Ale nie otwieraj za szeroko lodówki.

Andy uchylił drzwiczki małej chłodziarki, która przycupnęła pod ścianą, szybko wyjął plastikowy pojemnik z margaryną, i wycisnął z foremki dwie kostki lodu. Napełnił szklanę wodą ze ściennego zbiornika i odstawił ją na stół obok margaryny.

— Jadłeś już? — spytał.

— Zjem razem z tobą, chyba już dość się naładowało.

Sol przestał kręcić pedałami i pisk przeszedł najpierw w pojękiwanie, wreszcie zamarł. Starszy pan odłączył przymocowane do tylnej piasty druty, zwinął je ostrożnie i położył obok czterech samochodowych akumulatorów czerniejących na lodówce. Potem, wytarłszy dłonie w przepocony sarong, odsunął jedno z uratowanych z fforda, rocznik 1975, starych siedzeń i usadowił się przy stole naprzeciwko Andy'ego.

— Słuchałem wiadomości o szóstej — powiedział. — Geronci organizują dziś kolejny marsz protestacyjny dla poparcia kwatery głównej. Tam dopiero zobaczysz, co to jest choroba wieńcowa!

— Ten widok zostanie mi szczęśliwie oszczędzony, wychodzę dopiero na czwartą, a Union Square to nie nasz rewir. — Otworzył pudełko z pieczywem, wyjął ogromny kwadrat niskokalorycznego suchara i pchnął opakowanie w stronę Sola. Rozsmarował cienko margarynę, nadgryzł, i krzywiąc się zaczął żuć. — Mam wrażenie, że margaryna jest zepsuta.

— Nie może być! — mruknął Soi, wgrzyzając się w suchar bez omasty. — Wszystko co jest zrobione ze starego oleju samochodowego i wielorybiego tranu od samego początku śmierdzi zepsuciem.

— Zaczynasz przemawiać jak zielony — powiedział Andy, splukując suchara zimną wodą. — Wszystkie wytwarzane petrochemicznie tłuszcze nie mają praktycznie żadnego zapachu, a na dodatek nie ma już w ogóle wielorybów, a zatem nie ma i tranu. To dobra oliwa z chlorelli.

— Wieloryby, plankton, olej ze śledzi, wszystko to samo. Zalutuje rybą. Nie smaruję nigdy pieczywa, brakuje tylko, żeby mi płetwy wyrosły. — W tej samej chwili rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. — Nie ma jeszcze ósmej, a oni już cię szukają.

— A może to do ciebie — powiedział Andy, kierując się ku drzwiom.

— Może, ale nie tym razem. Wiesz równie dobrze jak ja, że tak puka tylko wasz posłaniec i stawiam dolary przeciwko orzechom, że się nie mylę. Widzisz? — Z ponurą satysfakcją spojrział na szczupłego posłańca z gołymi nogami, który pojawił się w drzwiach prowadzących na mroczny korytarz.

— Czego chcesz, Woody? — spytał Andy.

— Niszecho nie chce — wyseplenił Woody; miał zaledwie dwadzieścia parę lat, ale po zębach zostało mu już tylko wspomnienie. — Porusznik mówi psynieś, ja psynose. — Wręczył Andy'emu tabliczkę opatrzoną nazwiskiem adresata.

Andy zwrócił się ku światłu i rozpieczętował przesyłkę. Szybko odcyfrował kanciaste pismo porucznika, po czym wziął kredę i naskrobał pod spodem swoje inicjały. Zwrócił tabliczkę posłańcowi, zamknął za nim drzwi i wrócił do stołu, by dokończyć śniadanie.

— Nie patrz tak na mnie — powiedział Sol widząc, jak Andy marszczy brwi. — To nie ja wysłałem tę wiadomość. Czy nie mylę się przypuszczając, że to nie jest nic miłego?

— To geronci. Już teraz zablokowali Union Square i trzeba wzmocnić patrole w rewirze. Ściągają nas tam.

— Ale czemu ty? To robota dla krawężników.

— Krawężniki! Kto cię tego nauczył? Jasne, potrzeba przede wszystkim zwykłych patroli przeczesujących tłum, ale prócz tego muszą też być detektywi zdolni wyłowić znanych nam agitatorów, złodziejaszków, kieszonkowców i całą resztę. To będzie mordęga. Muszę zameldować się przed dziewiątą. Zdążę jeszcze przynieść wodę.

Powoli włożył spodnie i luźną, sportową koszulę. Na parapecie okna ustawił rondel wody, aby nagrzała się od słońca, i wziął dwa pięciogalonowe kanistry. Gdy wychodził, Sol oderwał się od ekranu telewizora i spjrzał na niego ponad oprawkami starych okularów.

— Jak przyniesiesz wodę, zrobię ci drinka. A może to za wcześnie dla ciebie?

— Jeśli wziąć pod uwagę, jak dzisiaj się czuję, nie jest za wcześnie.

Zamknął za sobą drzwi i ostrożnie zaczął szukać drogi w atramentowej czerni korytarza. Tuż przed schodami zaklął: omal nie spadł, potknąwszy się na pozostawionej przez kogoś kupie śmieci. Dwa piętra niżej w ścianie przebite zostało okno i wpadało przez nie dość światła, by móc widzieć stopnie aż do parteru. Po wilgotnej sieni gorąco Dwudziestej Piątej Ulicy uderzyło go zatęchłą falą, dusznym miazmatem woni rozkładu, brudu i nie umytej ludzkości. Musiał przeciskać się między kobietami, które już zapełniały stopnie budynku. Ostrożnie stawiał stopy, bacząc, by nie nadepnąć na jakieś dziecko, których wiele bawiło się poniżej. Chodnik był wciąż pograżony w cieniu, ale tak pełen ludzi, że iść można było jedynie jezdnią. Andy odsunął się od rynsztoka, by ominąć również nieczystości i śmieci. Rozmiękczony upałem asfalt ustępował pod stopami, przyklejał się do podeszew butów. Przed czerwoną kolumną punktu poboru wody na rogu Siódmej Alei zgromadziła się już zwykła kolejka. Gdy podszedł bliżej, dosłyszał gniewne krzyki, którym towarzyszyło kilka uniesionych pięści. Rozszemrany tłum zaczął się rozpraszać i Andy ujrzał policjanta w mundurze zamykającego stalowe drzwi.

— Co się dzieje? — spytał Andy. — Myślałem, że punkt otwarty jest do południa?

Policjant odwrócił się, a jego dłoń odruchowo poszukała broni. Gdy rozpoznał kolegę z tego samego rewiru, zsunął czapkę i wierzchem dłoni wytarł pot z czoła.

— Właśnie dostałem rozkazy od sierżanta. Wszystkie punkty zostają zamknięte na dwadzieścia cztery godziny. W związku z suszą poziom rezerw obniżył się niebezpiecznie i zachodzi konieczność oszczędzania wody.

— Do diabła z takimi wiadomościami — powiedział Andy, patrząc na klucz, który wciąż jeszcze tkwił w zamku. — Zaraz idę na służbę, a to znaczy, że nie będę miał co pić przez parę dni...

Rozejrzawszy się uważnie wokoło, policjant otworzył drzwi i wziął od Andy'ego jeden kanister.

— Jeden ci wystarczy. — Napełnił go pod kranem, a potem przyciszonym głosem zwrócił się do Andy'ego: — Nie powtarzaj tego, ale podobno znów wysadzono akwedukt w głębi stanu.

— Znów farmerzy?

— A któż by inny? Byłem tam strażnikiem, zanim przeszedłem do naszego rewiru. Tam jest paskudnie, można wylecieć w powietrze razem z wodociągiem. Uważają, że miasto kradnie ich wodę.

— Dość jej mają — stwierdził Andy, biorąc pełny pojemnik. — Więcej, niż potrzebują. A tutaj, w mieście, jest trzydzieści pięć milionów cholernie spragnionych ludzi.

— A kto mówi, że jest inaczej? — spytał gliniarz, zatrzasnąwszy i dokładnie zamykając drzwi.

Andy przepchnął się przez tłum na schodach i przeszedł na tylne podwórko. Wszystkie ubikacje były zajęte, a gdy w końcu udało mu się wejść do jednej z kabin, zabrał kanister ze sobą. Pozostawiony padłby z pewnością łupem któregoś z bawiących się na stercie śmieci dzieciaków.

Gdy wspiął się wreszcie na schody i otworzył drzwi mieszkania, przywitał go czysty dźwięk kostek lodu obijających się o szkło.

— To, co grasz, to piąta symfonia Beethovena — powiedział, stawiając pojemnik i samemu padając na krzesło.

— Mój ulubiony kawałek. — Sol zdjął z lodówki dwie oszronione szklanki i z religijnym niemal namaszczeniem wrzucił do każdej z nich po cienkim plasterku cebuli. Podał napój Andy'emu, który ostrożnie siorbnął lodowaty płyn.

— Próbując tego jestem prawie gotów uwierzyć, Sol, że nie jesteś całkiem szalony. Czemu to się nazywa Gibson?

— To tajemnica, odpowiedź przepadła w otchłani dziejów. Zresztą, czemu Stinger to Stinger, a Pink Lady to Pink Lady?

— Nie mam pojęcia. Nigdy żadnego nie próbowałem.

— I ja też nie, ale teraz mówię o nazwie. Zupełnie jak to zielone coś, co można dostać w byle spelunie: Panama. Też nic nie znaczy, po prostu nazwa.

— Dzięki. — Andy opróżnił szklankę. — Od razu wszystko lepiej wygląda.

Poszedł do pokoju. Z szuflady wyjął broń z kaburą i zamocował ją do paska spodni. Znaczek policyjny, jak zawsze, spięty był razem z kluczami. Położył jeszcze notatnik, ale zawahał się.

Zapowiadał się długi i ciężki dzień, i wszystko mogło się zdarzyć. Spod leżącej na półce koszuli wyciągnął najpierw kajdanki, potem tubkę z miękkiego plastiku wypełnioną śrutem. W tłumie bywa to użyteczniejsze niż pistolet. Poza tym nowe, o wiele surowsze przepisy nie pozwalały użyć ostrej amunicji z byle powodu. Umył się, jak potrafił, połową kwarty wody, która ogrzała się na parapecie, natarł twarz małym kawałkiem szorstkiego szarego mydła, aż zarost nabrał niejkiej miękkości. Brzytwa była solidnie wyszczerbiona; ostrząc ją o brzeg szklanki rozmyślał, jakby to było dobrze, gdyby udało się sprawić sobie nową. Może jesienią.

Gdy wrócił do pokoju obok, Sol podlewał właśnie rosnące w skrzynce na oknie grządki ziółek i wątlej cebulki.

— Nie daj się zrobić — powiedział, nie podnosząc oczu. — Uważaj na drewniane pięciocentówki. — Sol miał miliony takich i podobnych dziwacznych powiedzonek. Co to niby miało być, ta drewniana pięciocentówka?

Słońce stało już wyżej i upał narastał, opanowując bez reszty smolistobetonowy wąwóz ulicy. Cień na chodnikach był węższy, a stopnie domu tak zapchane ludźmi, że Andy ledwo przeszedł przez drzwi. Ostrożnie odepchnął małą, brudną dziewczynkę ubraną jedynie w postrzępione, poszarzałe majtki. Stopień niżej ustąpiła mu z drogi wychudzona kobieta, a siedzący obok niej mężczyzna spojrział na niego z nienawiścią. Zimny wyraz twarzy nadawał mu osobliwy wygląd, jakby dawał do zrozumienia, że wszyscy, jak tu siedzą, są członkami jednej rozzłoszczonej rodziny. Andy utorował sobie drogę między pozostałymi. Dochodząc do chodnika musiał przestąpić nogę leżącego bezwładnie starszego mężczyzny, który wyglądał nie tyle na śpiącego, ile raczej na martwego. Mógł rzeczywiście nie żyć, kogo to tutaj obchodziło... Wokół jednej z jego kostek obwiązany był drut, którego drugi koniec obejmował pętlą klatkę piersiową małego dziecka, siedzącego obojętnie obok brudnych i bosych nóg starego. Dzieciak bezmyślnie żuł poskręcany skrawek plastikowego talerza; był równie mocno obrośnięty brudem, z patykowatymi ramionami i ciężkim, obrzmiałym brzuchem. Czy stary naprawdę był trupem? Jedynym zadaniem, jakie miał na tym świecie do wypełnienia, była rola kotwicy utrzymującej to dziecko w jednym miejscu, a do tego nadawał się w każdym stanie.

Będąc już daleko od wspólnego pokoju i nie mając szansy ujrzenia Sola przed wieczorem, Andy przypomniał sobie nagle, że znów nie wspominał ani słowem o Shirl. Niby prosta sprawa, ale wciąż ulatywała mu z głowy, jakby podświadomie starał się uniknąć rozmowy na temat

dziewczyny. A przecież Sol nieustannie chwalił się, jaki to był z niego w dawnych, wojskowych czasach jummy młodzieniec, i powinien zrozumieć.

Ostatecznie mieszkali razem, nie wtrącając się nawzajem w swoje życie. Jasne, że byli przyjaciółmi. Wprowadzenie do mieszkanka dziewczyny nie powinno niczego zmienić.

Dlaczego więc mu nie powiedział?

Jesień

Wszyscy mówią, że to najzimniejszy październik, jaki pamiętają. I jeszcze ten deszcz; nigdy nie ma go dość, by napełnić zbiorniki, ale starcza, by przemoknąć, a potem marznie się jeszcze bardziej. Czy nie mam racji?

Shirl przytaknęła. Nie słuchała całej tej przemowy, ale zwróciła uwagę na intonację głosu, która musiała oznaczać pytanie. Kolejka przesunęła się do przodu. Shirl postąpiła kilka kroków za swą rozmówczynią — bezkształtnym tobołem grubych ubrań nakrytym podartym płaszczem przeciwdeszczowym i przewiązanym paskiem. Całość przypominała niewprawnie wypchany worek. Sama nie wyglądam o wiele lepiej, pomyślała Shirl, naciągając wyżej koc, którym okryła się cała włącznie z głową dla ochrony przed mżawką. Kolejka zmaląła. Przed nią stało już tylko parę tuzinów ludzi. Wszystko to trwało niemiłosiernie długo, było już prawie ciemno. Zainstalowana na wierzchu wagonu–cysterny latarnia rzucała słaby blask na czarne boki zbiornika, światło rozpraszało się w kropelkach rzadkiego deszczu. Kolejka znów się przesunęła i stojąca z przodu kobieta zrobiła chybotliwie parę kroków, ciągnąc za sobą dziecko z twarzą okrytą szalem, pakunek równie bezkształtny jak matka. Spod tego szala dobywało się nieustanne popiskiwanie.

— Przestań — warknęła kobieta i odwróciła się do Shirl. Miała nalaną twarz z wąskimi ustami, które wyglądały jak czarny otwór z pobłyskującymi tu i ówdzie resztkami zębów. — Płacze, bo było u doktora. Myśli, że jest chore, ale to tylko kwasz. — Podniosła do góry opuchniętą, baloniastą dłoń dziecka. — Można to poznać po nabrzmieniu dłoni i czarnych pryszczach na kolanach. Musiałam siedzieć dwa tygodnie w klinice Bellevue, żeby zobaczyć się z doktorem, który powiedział mi to, co i tak wiedziałam. Ale to jedyny sposób, żeby dostać

podpisaną kartkę na przydział masła orzechowego. Mój stary bardzo je lubi. Mieszkasz blisko mnie, prawda? Chyba już cię widywałam?

— Na Dwudziestej Szóstej Ulicy — powiedziała Shirl, zdejmując z kanistra nakrętkę i chowając ją do kieszeni. Miała dreszcze i była pewna, że się przeziębi.

— Zaraz wiedziałam, że to ty. Poczekaj chwilę, pójdziemy razem. Robi się późno i niejeden gówniarz chętnie odebrałby ci wodę. Teraz to dobry towar. W moim domu mieszka pani Ramirez, bywa czasem złośliwa, ale jest w porządku. Siedzi tam razem z rodziną od drugiej światowej. Ma teraz dwa wybite zęby i oko w takim stanie, że prawie nie widzi. Jakiś szczeniak dał jej pałą przez łeb i zabrał wodę.

— Dobrze, poczekam na panią, to dobry pomysł. — Shirl poczuła się nagle bardzo osamotniona.

— Kartki — zawołał policjant; wręczyła mu trzy. Jej własną, Andy’ego i Sola. Tamten przyjrzał się im pod światło i oddał. — Sześć kwart — nakazał mężczyźnie przy zaworze.

— Należy mi się więcej — stwierdziła Shirl.

— Dziś ograniczono racje, moja panno, proszę się przesunąć, inni czekają.

Przytrzymała kanister, gdy pompowy wsunął do środka końcówkę węża i puścił wodę.

— Następny! — zawołał już po chwili.

Bulgoczący kanister był tragicznie lekki. Shirl odsunęła się i stanęła obok policjanta, czekając na sąsiadkę. Ta pojawiła się po chwili, jedną ręką holując dziecko, w drugiej niosąc pięciogalonowy zbiornik, który wydawał się prawie pełen. Musiała mieć liczną rodzinę.

— Chodźmy — powiedziała, przytrzymując chwiejącego się malca.

Gdy oddaliły się od bocznic kolejowej przy Dwunastej Alei, zrobiło się jeszcze ciemniej. W okolicy wznosiły się głównie stare fabryki i magazyny, za których ślepych murami kłębiły się tłumy mieszkańców. Chodniki były mokre i puste, a najbliższe latarnie odległe o całą przecnicę.

— Mąż sklnie mnie od najgorszych, że przyszedłam do domu tak późno — mruknęła kobieta, gdy skręciły za róg.

Tuż przed nimi na chodniku pojawiły się dwie ciemne postacie.

— I oto mamy wodę — powiedziała bliższa z sylwetek, a w blasku odległych latarni błysnął nóż.

— Nie, nie róbcie tego, proszę, nie! — zaczęła błagać kobieta, chowając naczynie za siebie. Na widok podchodzących bliżej napastników Shirl przylgnęła do muru. Obaj byli nastolatkami, obaj dzierżyli w dłoniach noże.

— Woda! — zażądał pierwszy, wymachując nożem w kierunku kobiety.

— A weź ją sobie! — zaskrzeczała, po czym rozkołysała zbiornik i zanim chłopak zdążył uskoczyć, wyrznęła go z całej siły w głowę. Upadł, gubiąc nóż.

— Też masz ochotę? — krzyknęła do drugiego.

— Nie, nie szukam kłopotów — zapiszczał, pomagając pozbierać się pierwszemu i wycofując pospiesznie.

Kobieta schyliła się i podniosła nóż. Drugi z napastników dźwignął wreszcie na nogi oszołomionego kolegę i pociągnął go za najbliższy róg. Wszystko to trwało parę sekund. Shirl stała pod ścianą i trzęsła się ze strachu.

— Zaskoczyłam ich — ucieszyła się kobieta, oglądając stary nóż do krojenia mięsa. — Potrafię zrobić z tego lepszy użytek niż oni. Zwykle, zafajdane szczeniaki. — Była podekscytowana i szczęśliwa. Ani na chwilę nie puściła ręki dziecka, które płakało coraz głośniej.

Na miejsce dotarły bez dalszych przygód, ale kobieta odprowadziła Shirl aż do drzwi.

— Dziękuję bardzo, nie wiem, co bym sama zrobiła.

— Żaden kłopot. — Kobieta wciąż była w dobrym humorze. — Widziałaś, co z nimi zrobiłam. No i kto ma teraz nóż? — Odeszła, dźwigając w jednej ręce ciężki zbiornik, drugą ciągnąc za sobą dziecko.

Shirl weszła do domu.

— Gdzie byłaś? — spytał Andy, gdy pojawiła się w drzwiach. — Zaczynałem się już zastanawiać, co się z tobą stało.

W pokoju było ciepło, w powietrzu unosiła się woń zalatującego rybą dymu, a Andy i Sol siedzieli przy stole z drinkami w dłoniach.

— Byłam po wodę. Kolejka ciągnęła się aż do przecznicy. Dali mi tylko sześć kwart, znów obcięli racje. — Zauważyła gniewne spojrzenie Andy'ego i postanowiła nic nie wspominać o incydencie w drodze powrotnej. Byłby wówczas dwakroć bardziej rozdrażniony, a nie chciała, by coś popsuło im nastrój.

— Zaiste, wspaniale — powiedział z sarkazmem Andy. — Racje i tak już były za małe, a zatem obniżono je jeszcze bardziej. Lepiej zdejmij te mokre rzeczy, Shirl, a Sol należy ci Gibsona. Jego domowy wermut doszedł wreszcie, a ja dokupiłem trochę wódki.

— Wypij to — polecił Soi, wręczając jej oziębioną szklankę. — Ugotowałem zupę z ener-G, to jedyny sposób, aby przyswoić to bezboleśnie. Zaraz będzie gotowe. To na pierwsze danie, przed... — nie dokończył zdania, pokazując brodą na lodówkę.

— Co jest? — spytał Andy. — Tajemnica?

— Nie mamy żadnych tajemnic. — Shirl otworzyła chłodziarkę. — Tylko niespodziankę. Byłam dziś na rynku i kupiłam po jednym dla każdego z nas. — Wyjęła talerz z trzema małymi sojowymi zrazami. — To nowy gatunek, mówili o nim w telewizji. Reklamują jako przywędzane.

— Musiały kosztować majątek — stwierdził Andy. — Nie będziemy mieli co jeść przez resztę miesiąca.

— Nie są aż tak drogie. Zresztą kupiłam je za moje pieniądze, nie ruszyłam budżetu domowego.

— Bez znaczenia, pieniądze to pieniądze. To, co wydałaś, starczyłoby normalnie pewnie na tydzień.

— Zupa podana — powiedział Sol, stawiając talerze na stole.

Shirl poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Nic nie mogąc powiedzieć, usiadła i wbiła wzrok w talerz. Z trudem powstrzymywała łzy.

— Przepraszam — rzekł Andy. — Ale sama wiesz, jak ceny idą w górę. Musimy myśleć o jutrze. Podniesiono podatek miejski, teraz już o osiemdziesiąt procent. Wszystko przez to, że zwiększono dotacje na opiekę społeczną. Zimą będzie nam bardzo ciężko. Nie myśl, że nie cenię sobie...

— Jeśli tak wysoko to cenisz, to czy mógłbyś się zamknąć i zjeść zupę? — spytał Sol.

— Nie wtrącaj się, Sol — odparł Andy.

— Nie będę się wtrącał, ale nie przenoś swoich konfliktów do mojego pokoju. A teraz cisza, nie należy psuć tak miłej okazji.

Andy chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się. Zamiast tego sięgnął poprzez stół i ujął dłoń Shirl.

— Na pewno będą smaczne — powiedział. — Zrobiłaś nam wielką przyjemność.

— Najpierw spróbuj zupy — mruknął Sol, zezując na pełną łyżkę. — Ale zrazy to będzie bez wątpienia niebo w gębie.

Jedli w milczeniu, wreszcie Sol zaczął opowiadać jedną ze swoich historyjek z czasów Nowego Orleanu. Była to historia tak nieprawdopodobna, że nie można było się nie roześmiać. Atmosfera wyraźnie się poprawiła. Sol rozdzielił resztę Gibsona, a Shirl podała zrazy.

— Gdybym tak jeszcze mógł się upić, to może zaczęłoby mi to wówczas przypominać mięso — stwierdził Sol z pełnymi ustami, przeżuwając z widoczną przyjemnością.

— Całkiem smaczne — powiedziała Shirl, a Andy przytaknął.

Dziewczyna szybko zjadła swój zraz i kawałkiem suchara zebrała z talerza sos. Upiła łyk drinka. Kłopoty z wodą wydały się teraz tak odległe. Co ta kobieta mówiła o swoim dziecku?

— Czy wiecie może, co to jest kwasz? — spytała. Andy wzruszył ramionami.

— Wiem, że to jakaś choroba. Czemu pytasz?

— Rozmawiałam trochę z kobietą, która stała przede mną w kolejce po wodę. Miała ze sobą małe dziecko, które było chore właśnie na tę chorobę. Nie rozumiem, czemu w takim razie zabrała je na deszcz i zastanawiam się, czy to nie jest zaraźliwe.

— Zaraźliwe nie jest na pewno — odparł Sol. — Kwasz to skrót od *kwashiorkor*, po naszymu kwasiorkowiec. Gdybyś w trosce o swoje zdrowie tak jak ja oglądała programy medyczne lub zajrzała czasem do książki, to wiedziałabyś o niej wszystko. Nie możesz się zarazić, bo to choroba wynikająca z niedoborów, tak jak beri-beri.

— O tej też nigdy nie słyszałam.

— Bo jest rzadka, ale kwasz spotyka się ostatnio coraz częściej. Powodowany jest przez niedobór protein. Kiedyś występował tylko w Afryce, obecnie jednak panoszy się w całych Stanach Zjednoczonych. Miłe, prawda? Nie ma mięsa, soczewica i fasola są za drogie, a zatem mamusie napychają dzieci sucharami i cukierkami, wszystkim, co jest tanie...

Żarówka zamigotała i zgasła. Sol znalazł po omacku drogę przez pokój i w gmatwaninie piętrzących się na lodówce drutów odszukał przełącznik małej lampki. Mdły blask rozproszył ciemność.

— Trzeba naładować akumulatory — mruknął. — Ale można poczekać z tym do rana. Większy wysiłek po jedzeniu źle wpływa na krążenie krwi i trawienie.

— Cieszę się, że pana widzę, doktorze — odezwał się Andy. — Bo widzi pan, mam pewien kłopot. Otóż wszystko, co zjem, wędruje zaraz do żołądka...

— Bardzo zabawne, panie Mądraliński. Naprawdę, Shirl, nie pojmuję, jak możesz wytrzymać z tym dowcipnisiem.

Po jedzeniu wszyscy poczuli się lepiej i rozmawiali aż do czasu gdy Sol ogłosił, że wyłącza światło, by oszczędzać akumulatory. Mała kostka zalatującego rybą węgla morskiego spłonęła na popiół i pokój zaczął się wyziębiać. Powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się. Andy ruszył pierwszy, aby znaleźć latarkę. W ich pokoju było jeszcze zimniej.

— Idę spać — powiedziała Shirl. — Nie jestem naprawdę zmęczona, ale to jedyny sposób, aby się ogrzać.

Andy bezskutecznie pstrykał przełącznikiem zawieszanej pod sufitem lampy.

— Prąd jest wciąż wyłączony, a ja mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Co się dzieje, to już tydzień, odkąd ostatni raz mieliśmy światło wieczorem?

— Pozwól mi się położyć, to wezmę od ciebie latarkę i poświecę. Starczy?

— Będzie musiało.

Rozłożył notatnik na komodzie, obok położył formularz wielokrotnego użytku i zaczął przepisywać informacje do raportu. Lewą dłoń rytmicznie ścisnął latarkę. Powinno być cicho tej nocy, deszcz i ziąb przegoniły ludzi z ulic. Powarkiwanie małego generatora, przerywane od czasu do czasu poskrzypywaniem rysika na plastiku, brzmiało w tej ciszy nienaturalnie głośno. Było dość światła, by Shirl mogła się rozebrać. Zadrzała, zdjawszy wierzchnią odzież i szybko naciągnęła grubą, zimową piżamę i pocerowaną parę skarpetek, których używała tylko do snu. Na to narzuciła jeszcze sweter. Prześcieradła były zimne i wilgotne, nie zmieniali ich od czasu, gdy zaczęły się kłopoty z wodą. Wietrzyła je, jak często się dało, ale to niewiele pomagało. Równie wilgotne były jej policzki, ale dopiero dotknąwszy ich palcem przekonała się, że to łzy. Starła się nie pociągać nosem, by nie przeszkadzać Andy'emu, który przecież bezsprzecznie starał się jak mógł. Robił wszystko, co tylko możliwe. Owszem, kiedyś, nim się tu wprowadziła, było inaczej. Życie było łatwe, jedzenie dobre, mieszkanie zawsze ogrzane, a gdy wychodziła, miała przy sobie Taba, jej ochronę osobistą. Wystarczyło sypiać z nim parę razy na tydzień, czego nie cierpiała, nie znosiła nawet gdy jej dotykał, ale przynajmniej zawsze szybko załatwiał swoje. Dzielenie łóżka z Andym to było coś zupełnie innego. To było dobre i mocno żałowała, że Andy jeszcze się nie kładzie. Zadrzała znowu i nade wszystko zapragnęła przestać płakać.

Zima

Nowy Jork chwiał się na krawędzi katastrofy. Każdy z zamkniętych sklepów, wokół którego gromadziły się głodne i przerażone tłumy, był potencjalnym zarzewiem konfliktu. Rozwścieczeni ludzie szukali kogoś, kogo mogliby uczynić winnym. Gniew rozniecał zamieszki przeradzające się w rabunek, najpierw żywności, potem wody, a w końcu wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Policja ledwie panowała nad sytuacją, byle iskra mogła zamienić gniewny protest w krwawy chaos.

Z początku zwykle pałki i obciążone łożem pały oddziałów szturmowych wystarczały, by kontrolować tłumy. Gdy one zawodziły, był jeszcze gaz. Napięcie jednak narastało. Ludzie przepędzeni z jednego miejsca zaraz zbierali się w innym. Owszem, sikawki były skuteczne, ale ciężarówek z sikawkami było za mało, brakowało poza tym wody, by napełnić puste zbiorniki. Departament Zdrowia zakazał używania w tym celu wody rzecznej, byłoby to jak rozpylenie trucizny. Tę niewielką dostępną ilość czystej wody należało zachować na inne potrzeby. W mieście zaczęły wybuchać pożary, które ledwo było czym gasić. Wiele ulic było zablokowanych i wozy strażackie musiały pokonywać dalekie objazdy. Niektórych pożarów nie udało się opanować. Około południa zwykle całość miejskiego sprzętu była w użyciu.

Pierwszy strzał padł kilka minut po dwunastej dwudziestego pierwszego grudnia. Oddany został przez strażnika z opieki społecznej do mężczyzny, który wybił szybę w oknie magazynu żywności przy Tompkins Square i zamierzał wejść do środka. Mężczyzna zginął. Nie była to jedyna ofiara. Strzały było słychać coraz częściej.

Kilka szczególnie newralgicznych i kłopotliwych rejonów ogrodzono drutem kolczastym, ale drutu też nie było wiele. Gdy się skończył, ponad zatłoczonymi ulicami mogły już tylko krążyć śmigłowce, warcząc bezradnie. Wykorzystano je później jako powietrzną służbę obserwacyjną wyszukującą miejsca, gdzie uzupełnienia były najpilniej potrzebne. Lecz wszelki wysiłek jawił się już jako daremny, wszyscy zostali bowiem wysłani do walki i rezerw nie było.

Po pierwszym starciu nic nie mogło już zrobić na Andym szczególnego wrażenia. Przez resztę dnia i większą część nocy usiłował, razem z innymi policjantami, przywrócić prawo i porządek w rozdzieranym walką mieście. Przez cały czas odpowiadał brutalnością na brutalność, a jedyna chwila odpoczynku, jaka była mu dana, miała miejsce na samym początku, gdy poczęstowano go gazem. Zdołał przedostać się do stojącego w pobliżu ambulansu, gdzie udzielano pierwszej

pomocy. Dyżurny przemył mu oczy i wręczył tabletkę mającą zneutralizować dokuczliwe nudności. Poleżał jeszcze trochę na noszach wewnątrz pojazdu, by dojść do siebie. Hełm, bomby i pałkę przyciskał do piersi. Na drugich noszach, przy drzwiach, siedział kierowca karetki uzbrojony w karabinek kalibru 30. Jego zadaniem było odstraszyć każdego, kto przejawiłby zbyt duże zainteresowanie ambulansem lub jego medyczną zawartością. Andy z chęcią poleżałby dłużej, ale zimna mgła napływająca przez otwarte drzwi zmusiła go do wstania. Chwyciły go dreszcze, zęby mu podzwaniały. Ciężko było się zebrać, ale gdy zrobił pierwszy krok, większość przykrych sensacji ustąpiła, zrobiło się nawet cieplej. Atak na centrum opieki społecznej osłabł nieco, zatem Andy powłókł się z wolna ku najbliższej gromadzie postaci w granatowych mundurach. Zmarszczył nos — brudne ubranie śmierdziało wymiocinami.

Od tej chwili zmęczenie już go nie opuściło i jedyne, co zapamiętał z tych godzin, to rozwarpte do wrzasku usta, gniewne twarze, biegnące stopy, odgłosy strzałów i eksplozje granatów z gazem. I jeszcze coś, czego nie widział dokładnie, a co zostało w niego rzucone. Odbił to coś wierzchem dłoni, raniąc się przy tym głęboko.

Z nadejściem wieczoru zaczęło padać; zimna ulewa rychło zamieniła się w deszcz ze śniegiem i to on, a nie policja, spędził ludzi z ulic. Jednakże wraz ze zniknięciem tłumów prawdziwa praca dopiero się zaczęła. Na zabezpieczenie czekały setki wybitych okien i wyłamanych drzwi; każde musiało być strzeżone. Trzeba było odnaleźć rannych i zapewnić im opiekę, straż pożarna oczekiwała wsparcia w gaszeniu niezliczonych pożarów. Tak zesłała noc. Rankiem Andy opadł wreszcie ciężko na ławkę w komendzie. Siedział skulony, gdy usłyszał, jak Grassioli odczytuje z jakiejś listy również jego nazwisko.

— I to już wszystko, na co możemy sobie pozwolić — dodał porucznik. — Zanim wyjdziecie, odbierzcie swoje racje żywnościowe i zdajcie wyposażenie. Chcę was tu widzieć wszystkich z powrotem o osiemnastej zero zero i nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień. Nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Deszcz ustał przed rankiem i wschodzące słońce rzucało długie cienie na lśniącym mokro czarnym asfalcie. Frontony spalonych domów nie przestały jeszcze dymić. Andy musiał znajdować drogę pomiędzy zaścielającymi ulice szczątkami i gruzem. Na rogu Siódmej Alei leżały połamane wraki dwóch riks, odarte już ze wszystkich części, a parę stóp dalej zauważył ludzkie ciało. Mogło się wydawać, że mężczyzna śpi, ale skierowana w górę, nieruchoma twarz

jasno wskazywała, że był martwy. Andy poszedł dalej. Śmieciarki będą dziś zbierać jedynie zwłoki.

Ze stacji metra wychodzili pierwsi jaskiniowcy. Rozglądali się wokoło, mrużąc oczy przed światłem. Latem wszyscy wyśmiewali się z tych, którym opieka społeczna wyznaczyła kwatery na stacjach nieczynnego metra, ale gdy nadeszły chłody, zazdrośczone im, a śmiech zamieniał się w zawiść. Było tam brudno, ciemno i duszno, ale zawsze znajdowały się jakieś piecyki elektryczne. Nie był to luksus, ale przynajmniej nie groziło zamarznięcie. Andy skręcił w kierunku swojego kwartału.

Wechodząc po schodach nadeptywał raz za razem na śpiących, ale był zbyt zmęczony, by zwrócić na to uwagę. Nie mógł trafić kluczem w zamek, aż w końcu Sol usłyszał go i otworzył drzwi.

— Właśnie przygotowałem zupę — powiedział. — Idealne zgranie w czasie.

Andy wydobyl z kieszeni płaszcza pokruszone resztki sucharów i rzucił je na stół.

— Z kradzieży? — spytał Sol biorąc kawałek suchara do ust. — Myślałem, że magazyny będą zamknięte jeszcze przez dwa dni.

— Racje policyjne.

— Należy wam się. Nie możecie ruszać do walki o pustym żołądku. Wrzucę trochę do zupy, będzie gęściejsza. Domyślam się, że nie oglądałeś wczoraj telewizji i nie słyszałeś nic o cyrkach w Kongresie. Zaczyna się naprawdę kotłować...

— Shirl już wstała? — przerwał mu Andy, zrzucając płaszczyk i padając ciężko na krzesło.

Sol milczał przez chwilę, aż powiedział powoli:

— Nie ma jej.

Andy ziewnął.

— Wyszła tak wcześnie? Po co?

— Wyszła, ale nie dzisiaj, Andy. — Sol odwrócił się doń plecami i zamieszał zupę. — Wyszła wczoraj, kilka godzin po tobie i jeszcze nie wróciła...

— Chcesz powiedzieć, że przez cały czas zamieszek nie było jej w domu? Cały dzień i całą noc? I co zrobiłeś? — Usiadł prosto, jakby zapomniał nagle o zmęczeniu.

— A co mogłem zrobić? Pójść i dać się zadeptać? Wiesz, ilu takich starych zginęło? Idę o zakład, że nic jej się nie stało. Wyczuła pewnie zagrożenie, więc postanowiła przeczekać z przyjaciółmi.

— Jakimi przyjaciółmi? O czym ty mówisz? Muszę ją znaleźć.

— Siadaj! — rozkazał Sol. — I tak nic nie zwojujesz. Zjedz zupę, prześpij się. Z nią na pewno wszystko w porządku. Pewien jestem — dodał po wahaniu.

— Czego niby jesteś tak pewien? — Andy ujął go za ramiona i odwrócił od piecyka.

— Uprasza się o niedotykanie eksponatów! — krzyknął Sol, odpychając jego ręce, a potem, cichszym głosem, powiedział: — Wiem tyle, że nie wyszła stąd bez powodu, ot, tak sobie. Na wierzch narzuciła stary płaszcz, ale pod spodem miała szykowną suknię i nylonowe pończochy. Cała fortuna na nogach. A gdy się żegnała, spostrzegłem, że była umalowana.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Sol?

— Niczego nie chcę powiedzieć, mówię po prostu. Była ubrana jakby szła w gości, a nie na zakupy. Pomyślałem, że może się z kimś umówiła. Może poszła odwiedzić ojca.

— A niby czemu miałaby go odwiedzać?

— Ty mnie pytasz? Pokłóciliście się, prawda? A może poszła przejść się trochę i ochłonać.

— Pokłóciliśmy się... pewnie tak. — Andy usiadł z powrotem i przycisnął dłonie do czoła. Czy to było zeszłej nocy? Nie, jeszcze wcześniej. Wydawało mu się, że od tej głupiej wymiany zdań minęło już ze sto lat. Zdjęty nagłym strachem spojrzał na Solę. — Czy wzięła ze sobą rzeczy?

— Tylko torebkę — powiedział Soi, stawiając przed nim parującą wazę. — Możesz pożreć, ile chcesz, ja naleję sobie tylko trochę. Ona wróci — dopowiedział po chwili.

Andy był zbyt zmęczony, by się spierać, zresztą co mógł powiedzieć? Machinalnie złapał łyżkę i dopiero gdy zaczął jeść, poczuł, jaki był głodny. Łokcie trzymał na stole, wolną ręką podpierał głowę.

— Powinieneś posłuchać wczorajszych przemówień w senacie — powiedział Sol. — Pierwszorzędna zabawa. Usiłują przepchnąć ustawę wyjątkową, wyobraź sobie, teraz dopiero, podczas gdy ta sytuacja szykowała się już od stu lat. Gdybyś słyszał, jak gardłowali nad byle detalami, nie poruszając tematów zasadniczych — Sol zaczął naśladować południowy akcent. — W obliczu tragicznych okoliczności proponujemy bliższe przyjrzenie się bogactwom tego olbrzymiego illuwialnego zbiornika, którym jest, eee, delta Missisipi, największej z naszych rzek. Tamy i dreny, eee, nauka, eee, i będziemy mieli najwydajniejszy teren uprawny zachodniego świata! — Podmuchał gniewnie na zupę. — Tak, tamy. Jeszcze jeden, który leci z paluchem zatykać dziurę. Tego próbowano już tysiące razy. Ale czy ktokolwiek powiedział głośno, jaki jest

zasadniczy i jedyny powód wprowadzenia ustawy wyjątkowej? Oczywiście, że nie. Po tylu latach dobrobytu zrobiliśmy się zbyt dziecinni, by po prostu wyjść na mównicę i ogłosić prawdę. Tak zatem ukryli ją w jednej z pomniejszych klauzul przyczepionych na samym końcu.

— O czym ty właściwie mówisz? — spytał niezbyt przytomnie Andy, który wciąż myślał o Shirl.

— O kontroli urodzeń, rzecz jasna. Dochodzą właśnie do legalizacji klinik, które zgodnie z prawem dostępne będą dla każdej kobiety, niezależnie od tego czy pozostaje w związku małżeńskim, czy nie, i do uczynienia obowiązującym prawa, żeby wszystkie matki musiały się zapoznać z metodami unikania nie chcianej ciąży. Chłopie, wyobrażasz sobie ten wrzask, kiedy ta informacja dotrze do wszystkich oszołomów? Papież chyba się wścieknie!

— Sol, jestem zmęczony. Czy Shirl nie mówiła, kiedy wróci?

— Już ci powiedziałem... — Zamilkł, nasłuchując. Ktoś nadchodził korytarzem. Kroki ucichły pod ich drzwiami i rozległo się nieśmiałe pukanie. Andy zerwał się i pierwszy dopadł drzwi, otwierając je szeroko.

— Shirl! Nic ci się nie stało?

— Nie, wszystko w porządku.

Objął ją i przytulił, aż straciła na chwilę oddech.

— Nie wiedziałem, co myśleć. Te zamieszki... — powiedział. — Sam wróciłem ledwie chwilę temu. Gdzie byłaś? Co się stało?

— Chciałam tylko wyjść na trochę. — Pociągnęła nosem. — Co tak śmierdzi?

Odsunął się od niej. Stłumione na chwilę zmęczenie znów dawało znać o sobie.

— Oberwało mi się. Mój własny gaz mi zaszkodził i zwymiotowałem, a to ciężko schodzi z ubrania. Co to znaczy, że chciałaś wyjść na trochę?

— Pozwól, niech zdejmę płaszcz.

Andy poszedł za nią do drugiego pokoju i zamknął drzwi. Shirl wyjęła z torby parę butów na wysokim obcasie i schowała je do szuflady.

— No i?

— To proste. Czułam się tu jak w pułapce. Ten chłód, brak wszystkiego i w ogóle... Ciebie nie było, nie mogłam dojść do siebie po sprzeczce. Wszystko było nie tak... Pomyślałam więc sobie, że mogłabym się ubrać i pójść do jednej z tych restauracji, do których kiedyś zaglądałam i

wypić, na przykład, filiżankę kawy, i że może to poprawi mi samopoczucie, wiesz, podkręci trochę. — Spojrzała na jego zimną twarz i szybko odwróciła wzrok.

— I co było potem?

— Czy to przesłuchanie? O co jestem oskarżona?

Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

— O nic cię nie oskarżam, ale... nie było cię przez całą noc, to jak niby mam się czuć?

— Sam wiesz, co działo się wczoraj. Bałam się wracać. Byłam w Curly's...

— W tej garkuchni?

— Tak, ale jeśli nie zamawia się niczego do jedzenia, to nie jest drogo. Tam tylko jedzenie naprawdę kosztuje. Spotkałam paru znajomych, porozmawialiśmy trochę. Wybierali się na przyjęcie, zaprosili mnie, więc poszłam. Oglądaliśmy wiadomości, cały czas mówili o zamieszkach i nikt nie chciał wychodzić, zatem przyjęcie trwało dalej. — Zamilkła na chwilę. — To wszystko.

— Wszystko? — spytał gniewnie Andy, wciąż pełen podejrzeń.

— Wszystko — odparła głosem równie zimnym. Odwróciła się i zaczęła zdejmować suknię. Słowa wciąż zdawały się wisieć w powietrzu, budując między obojgiem niewidzialną barierę. Andy padł na łóżko i wykręcił się tyłem do dziewczyny. Byli jak obcy sobie ludzie i nawet mikroskopijne rozmiary pokoju nie były w stanie tego zmienić.

Wiosna

Pogrzeb zbliżył ich bardziej, niż jakiegokolwiek inne wydarzenie tej srogiej zimy. Dzień był niemiły, wietrzny i deszczowy, czuło się jednak, że zima zbiera się już do drogi. Trwała jednak nazbyt długo, jak dla Sola, którego pokastywanie zamieniło się najpierw w przeziębienie, a potem w zapalenie płuc. A co może uczynić stary człowiek z zapaleniem płuc w wychłodzonym pokoju i bez antybiotyków? Tylko umrzeć, i to właśnie zdarzyło się Solowi. Na czas jego choroby zapomnieli o wszystkim co ich różniło, a Shirl opiekowała się starszym człowiekiem jak umiała. Jednak nawet najlepsza opieka nic nie poradzi na zapalenie płuc. Pogrzeb był krótki i chłodny, tak jak cały ten dzień. Wczesnym zmrokiem wrócili do domu. Nie minęło jeszcze pół godziny, gdy posłyszeli gwałtowne stukanie do drzwi.

— To posłaniec. Nie mogą ci tego zrobić! Miałaś mieć dziś wolne.

— Spokojnie. Nawet Grassy nie złamałby słowa w takim dniu. A poza tym posłaniec stuka inaczej.

— Może to jakiś przyjaciel Sola, który nie mógł być na pogrzebie?

Shirl poszła otworzyć drzwi. Przez chwilę patrzyła mrugając oczami w mrok korytarza, nim rozpoznała gościa.

— Tab, to ty? Wchodź, nie stój tak. Andy, opowiadałam ci o Tobie, mojej obstawie...

— Dobry wieczór, miss Shirl — rzekł powściągliwie Tab, pozostając na korytarzu. — Przykro mi, ale nie wpadłem tu z towarzyską wizytą. Jestem w pracy.

— O co chodzi? — spytał Andy, podchodząc do Shirl.

— Musicie państwo zrozumieć, że przyjmuję taką pracę, jaką mi oferują — tłumaczył się Tab z ponurą miną. — Od września byłem na liście bezrobotnych strażników, znajdowałem tylko dorywcze zajęcia, żadnych stałych umów. Muszę zatem brać, co jest. Jeśli ktoś odmawia, ląduję na końcu listy, a ja mam rodzinę do wyżywienia...

— Ale o co chodzi? — nalegał Andy, dostrzegając w ciemności za Tabem kogoś jeszcze, a sądząc po szuraniu stóp, musiało tam być przynajmniej kilka osób.

— Nie gadaj z nimi — warknął mężczyzna skrywający się za plecami Taba. Miał nosowy i dość nieprzyjemny głos. — Prawo jest po mojej stronie. Zapłaciłem ci. Pokaż mu nakaz!

— Chyba już rozumiem — mruknął Andy. — Odejdź od drzwi, Shirl. Tab, wejdź do środka, byśmy mogli chwilę porozmawiać.

Tab przeszedł przez próg, a mężczyzna, który teraz znalazł się na pierwszym planie, usiłował wcisnąć się za nim.

— Nie wejdiesz beze mnie...! — wrzasnął, ale Andy zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

— Wolalbym, żeby pan tego nie robił — stwierdził Tab. Na zaciśniętej pięści jak zwykle nosił kastet.

— Uspokój się. Chcę ustalić najpierw, co właściwie jest grane. On ma nakaz kwaterunkowy, prawda?

Tab przytaknął, wpatrując się ponuro w podłogę.

— O czym wy, u diabła, mówicie? — spytała Shirl, spoglądając z niepokojem to na jednego, to na drugiego. Andy nie odpowiedział, zatem Tab zaczął wyjaśnienia.

— Nakaz kwaterunkowy wydawany jest przez sąd każdemu, kto może udowodnić, że naprawdę nie ma gdzie mieszkać i potrzebuje lokalu. Wydają ich zwykle niewiele i tylko bardzo licznym rodzinom, które musiały opuścić poprzedni lokal. Mając taki nakaz można szukać pustych mieszkań, pokoi czy czegokolwiek. Ten paperek jest rodzajem podstawy prawnej do ich zajęcia. Bywają kłopoty, ludzie nie lubią bowiem, gdy obcy ich nachodzą, tak więc każdy, kto ma taki nakaz, wynajmuje zwykle strażnika. I właśnie o to chodzi. To towarzystwo tam, za drzwiami, do Belicherowie. Wynajęli mnie.

— Ale co ty tu robisz? — Shirl wciąż niczego nie rozumiała.

— Jest tu, bo Belicher to hiena cmentarna — wyjaśnił Andy, tłumiąc gorycz. — Krąży po kostnicy i szuka świeżych zwłok.

— To jedna strona medalu — powiedział Tab, usiłując zachować spokój. — Ale trzeba wziąć też pod uwagę, że ma żonę i dzieci, i nie ma gdzie mieszkać.

Belicher załomotał w drzwi, krzyżąc coś obrażonym tonem. Shirl zrozumiała w końcu powód wizyty Taba i wciągnęła głęboko powietrze.

— Jesteś tutaj, by im pomóc? Dowiedzieli się, że Sol nie żyje i chcą zająć jego pokój?

Tab tylko przytaknął ponuro.

— Wciąż jeszcze można coś zrobić — stwierdził Andy. — Gdyby zamieszkał w tym pokoju ktoś, powiedzmy, z mojego posterunku, wówczas ci ludzie nie mogliby się tu wprowadzić.

Stukanie było coraz głośniejsze. Tab zrobił pół kroku w kierunku drzwi.

— Gdyby był tu teraz, to owszem, ale Belicher prawdopodobnie podałyby sprawę do sądu i tak czy inaczej dostał przydział, bo ma rodzinę. Zrobię co się da, by wam pomóc, ale Belicher jest moim pracodawcą.

— Nie otwieraj drzwi — polecił ostro Andy. — Przynajmniej dopóki nie wyjaśnimy wszystkiego.

— Muszę, nie mam wyboru. — Tab wyprostował się i zacisnął pięść. — Nie usiłuj mnie powstrzymać, Andy. Jesteś policjantem i znasz prawo.

— Naprawdę musisz, Tab? — spytała cicho Shirl.

Spojrzał na nią zakłopotany.

— Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, Shirl, i chciałbym to tak zapamiętać. Wiem, jak będziesz teraz o mnie myśleć, ale muszę wykonywać wszystko to, co wchodzi w zakres moich obowiązków. Muszę ich wpuścić.

— Dalej, otwieraj te cholerne drzwi — powiedział cierpko Andy odwracając się i podchodząc do okna.

Pokój zaroił się od Belicherów. Pan Belicher był szczupłym mężczyzną z dziwną, niemal zupełnie pozbawioną podbródka głową i inteligencją wystarczającą akurat do tego, by naskrobać swój podpis na formularzach opieki społecznej. Pani Belicher wyglądała na podporę rodziny. Z jej tłustego cielska wyszło dotąd siedmioro dzieci, skutecznie zwiększających przydziały żywnościowe utrzymujące całą bandę przy życiu. Numer ósmy wypychał właśnie jej brzuch, będąc tak naprawdę numerem jedenastym, troje młodszych Belicherów miało bowiem pecha i zakończyło egzystencję na skutek nieuwagi rodziców i różnych wypadków. Największa dziewczynka, zapewne około dwunastoletnia, dźwigała pokryte wrzodami, śmierzące upiornie i płaczące nieustannie niemowlę. Pozostałe bachory krzyczały jedno przez drugie. Wreszcie mogły przestać siedzieć cicho po długim i pełnym napięcia oczekiwaniu na korytarzu.

— O, patrzaj, jaka fajniasta lodowa — powiedziała pani Belicher, wtaczając się do środka i natychmiast sięgając ku drzwiczkom chłodziarki.

— Nie dotykajcie tego — warknął Andy, a Belicher pociągnął go za ramię.

— Podoba mi się ten pokój. Nieduży, wicie, ale miły. A tu co jest? — Skierował się do drzwiczek w przepierzeniu.

— To mój pokój. — Andy zatrzaskał mu drzwi przed nosem. — Trzymaj się od niego z daleka.

— Nie trzeba tak się nerwować — powiedział Belicher wycofując się szybko, jak pies przed kijem. — Mam swoje prawa, wiem co mi wolno. Prawo mówi, że z nakazem kwaterunkowym mogę zajrzeć, gdzie tylko chcę. — Ruszył w obchód, Andy za nim. — Ten pokój jest duży, ma stół, krzesła, łóżko...

— Meble należą do mnie, pokój będzie pusty. I jest mały, za mały dla pana i pańskiej rodziny.

— Starczy. W mniejszych mieszkałam...

— Andy, powstrzymaj ich, zobacz! — płaczliwy krzyk Shirl kazał Andy'emu odwrócić się. Ujrzał, jak dwóch chłopaków znalazło paczkę z ziołami, które Sol tak pracowicie uprawiał w skrzynce na oknie. Rozdzierali papier myśląc, że może to coś do jedzenia.

— Zostawcie to! — krzyknął, ale zanim ich dopadł, spróbowali ziół i zaczęli nimi pluć.

— Piece! — krzyknął większy, rozrzucając zawartość paczki po podłodze. Drugi podskoczył z radości i rozsypał resztę ziół. Wyrwali się Andy'emu i zanim ich złapał, torebki były już puste.

Kiedy się odwrócił, młodszy wspiął się na stół i zostawiając na blacie ślady zabłoconych stóp włączył telewizor. Grzmot muzyki zagłuszył krzyki dzieci i nieeeefektywne piski ich matki. Tab odciągnął Belichera, który usiłował dobrać się do szafy.

— Wyrzucicie stąd te bachory — powiedział poblądły z wściekłości Andy.

— Mam nakaz kwaterunkowy. Mam prawo — wrzasnął Belicher cofając się i wymachując zadrukowanym kawałkiem plastiku.

— Mam gdzieś twoje prawa. Porozmawiamy, gdy bachory znajdą się za drzwiami.

Tab przeszedł od słów do czynu, łapiąc najbliższego dzieciaka za kark i wypychając go na korytarz.

— Pan Rusch ma rację — powiedział. — Dzieci mogą poczekać na zewnątrz, aż wszystko uzgodnimy.

Pani Belicher usiadła ciężko na łóżku i zamknęła oczy, jakby nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Pan Belicher wycofał się pod ścianę mamrocząc coś pod nosem, ale nikogo to nie obchodziło. Wrzaski przeszły powoli w pełne złości łkania dochodzące z korytarza, gdy ostatni dzieciak został wyekspediowany za drzwi. Andy obejrzał się, zauważając nagle, że Shirl zamyka za sobą drzwi ich pokoju. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

— To pewnie przez was — powiedział patrząc na Taba.

Strażnik tylko wzruszył bezradnie ramionami.

— Przykro mi, Andy, na Boga, przysięgam, że mi przykro, ale co niby mogę zrobić? Prawo głosi, że jeśli zechcą tu zostać, to nie możesz ich wyrzucić.

— Tak, takie jest prawo, właśnie — zawtórował mu bezmyślnie Belicher.

Andy wiedział, że gołymi pięściami niczego tu nie zdziała. Zmusił się, by rozewrzeć dłonie.

— Tab, pomożesz mi przenieść rzeczy do drugiego pokoju?

— Jasne. — Tab znów uciekł ze spojrzeniem. — Spróbuj wytłumaczyć Shirl moją rolę w tym wszystkim, dobrze? Chociaż pewnie i tak nie zrozumie, że to tylko praca.

Rozległ się chrzęst deptanych ziół i Andy nic już nie powiedział.

Przekład: Jarosław Kotarski

Pancernik w rezerwie

1972

Opowiadanie to zostało napisane w hołdzie wielkiemu człowiekowi — Johnowi W. Campbelli.

Był naszym przyjacielem, żył z nami i wśród nas, a gdy zmarł, wszystkim nam go zabrakło. Byliśmy jego przyjaciółmi i chcieliśmy oddać mu hołd, a ponieważ jesteśmy pisarzami, zdecydowaliśmy, że będzie to zbiór opowiadań napisanych specjalnie dla Johna. Autorzy, których publikował w swoim magazynie, teraz napiszą coś dla niego. Ponieważ miałem już doświadczenie w tej dziedzinie, powierzono mi edycję tej antologii.

Pomysł szybko nabierał kształtów, choć nie bez pewnych subtelnych trudności. Przez trzydzieści trzy lata istnienia „Astounding–Analog” publikował prace wielu autorów i niestety z oczywistych względów nie wszyscy mogli znaleźć się w tej antologii. Wobec tego przygotowałem dwie listy. Na liście A umieściłem tych pisarzy, których nazwiska automatycznie kojarzyły się z magazynem, tzw. pisarzy Campbella — ich utwory jedynie z rzadka publikowane były w innych magazynach. Lista B obejmowała nazwiska tych, którzy współpracowali zarówno z ASF, jak i z wieloma innymi magazynami. Postanowiłem kolejno prosić autorów o współpracę i zamknąć książkę, gdy już będę miał wystarczającą ilość opowiadań.

Kształt antologii wyłonił się szybko — większość autorów pisała cykle dla magazynu Campbella i teraz dopisali nowe opowiadania, nierzadko zamykające taki cykl.

Kiedy przyszła moja kolej, nie mogłem się wyłamać.

Oto i ono.

Na początku czuję się w obowiązku zaznaczyć, że główni bohaterowie tego opowiadania po raz pierwszy spotkali się w książce pod tytułem „Planeta śmierci” (Deathworld), w której Jason din Alt — zawodowy hazardzista zostaje wynajęty przez Kerka — do rozbicia kasyna. Potem jest już tylko ze strony na stronę goręcej... Zaowocowało to całym cyklem o tematyce ekologicznej (sic!), ujętej w sensacyjną fabułę. Warto sięgnąć.

— Podejdę trochę bliżej — oznajmiła Meta, siedząca za sterami.

— Na twoim miejscu bym tego nie robił — rzekł zrezygnowanym głosem Jason, wiedząc, że najmniejsza próba ostrzeżenia była dla Pyrrusjan niemal równoznaczna z wyzwaniem.

— Nie ma się czego bać przy takiej odległości — wtrącił Kerk, zgodnie zresztą z przewidywaniami Jasona. — Przyznaję, że jest ogromny; to prawdopodobnie ostatni istniejący we wszechświecie pancernik. Ma jednak ponad pięć tysięcy lat i jesteśmy w odległości stu trzydziestu mil...

Przerwał mu niewielki pomarańczowy rozbłysk na kadłubie odległego okrętu i niemal w tej samej chwili ich maszyna zadygotała, a tablica przed Metą rozjarzyła się krwistym blaskiem lampek alarmowych.

— Mówiłeś, że ile on ma lat? — zapytał niewinnie Jason. W odpowiedzi otrzymał ponure spojrzenie milczącego nagle Kerka, a Meta zawróciła bez słowa, omijając szerokim łukiem pancernik i sprawdzając uszkodzenia.

— Statecznik burtowy został w znacznym stopniu zniszczony, trzy segmenty kadłuba są rozhermetyzowane. Napraw trzeba dokonać w próżni, bo przy pierwszym lądowaniu rozleci się w diabły — oznajmiła po chwili.

— Wspaniale! — mruknął Jason din Alt. — Choć w sumie to dobrze, że oberwaliśmy, może będziecie wreszcie na tyle ostrożni, by ująć z tego z życiem, no i z obiecany pięciuset milionami kredytów. Dobrze, bierzemy kurs na flotę i zajmiemy się teraz wyciągnięciem z admirała tych paru detali, które zapomniał nam podać, proponując tę robotę.

* * *

Admirał Djukich, dowódca Sił Zbrojnych Ziemi, był kurduplem od urodzenia, a teraz wyglądał jakby jeszcze się kurczył, przytłoczony osobowością i masywną sylwetką Kerka, gdy Pyrrusjanin pochylił się nad jego biurkiem i oznajmił lodowatym tonem:

— Możemy odlecieć, a wtedy Rim Hordes przejdą sobie spokojnie przez ten system i posprzątają. I to będzie twój koniec!

— Nie, nie... — zaprotestował słabo oficer. — Mamy rezerwy, możemy zbudować flotę czy kupić okręty, ale to wymaga czasu. O wiele łatwiej jest użyć tego pancernika Imperium.

— Łatwiej? — Jason uniósł brew. — Ilu ludzi dotąd straciliście, próbując tam wejść?

— No... łatwiej to może niewłaściwe słowo... były pewne trudności... razem czterdziestu siedmiu.

— I dlatego wysłaliście ofertę na Felicity? — upewnił się din Alt.

— Naturalnie. Nasz przemysł ciężki od dawna kupuje od was surowce, stąd też dowiedzieliśmy się, jak to mniej niż setka Pyrrusjan podbiła cały świat. Pomyśleliśmy więc, że można by zaproponować wam kontrakt na wejście do tego okrętu.

— Byliście tylko niezbyt dokładni w poinformowaniu nas, kto znajduje się na pokładzie i dlaczego nikomu nie pozwala on zbliżyć się do okrętu, nie mówiąc już o wejściu.

— No cóż... to właśnie jest cały problem... na pokładzie nie ma nikogo. — Admirał uśmiechnął się sztucznie i z dość dużym wysiłkiem. — Pozwólcie mi wyjaśnić. Otóż ta planeta za czasów Imperium była jedną z najważniejszych i chociaż przynajmniej z jedenaście innych twierdzi, że są kolebką ludzkości, to my tutaj, na Ziemi, wiemy, że mamy fację. Ten pancernik zresztą to potwierdza — kiedy zakończyła się IV Wojna Galaktyczna, został odstawiony do rezerwy, zahermetyzowany i pozostawiony tutaj, choć jeszcze niedawno nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu.

— Nie wierzę, że pozbawiony załogi i odstawiony do rezerwy pancernik, liczący sobie pięć tysięcy, zabił czterdzieści siedem osób — burknął Kerk.

— A ja wierzę — sprzeciwił się Jason. — Ty zresztą też uwierzysz, jak się chwilę zastanowisz. To jest ogromny, najtrudniejszy w dziejach do zniszczenia okręt wojenny, napędzany przez najpotężniejsze silniki, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Oznacza to największe pokładowe reaktory, a co za tym idzie — działa o najdalszym zasięgu i ekrany o największej mocy, nie licząc innych rodzajów broni ofensywnej i defensywnej. A do każdego urządzenia pasuje określenie naj... Wiadomo, że to wszystko jest przynajmniej zdublowane, jeżeli nie potrójne. Na pokładzie znajdują się wyspecjalizowane komputery bojowe... No, widzę, że dociera — to marzenie każdego Pyrrusjanina: najpotężniejsza we wszechświecie broń, zdolna praktycznie do wszystkiego. Nie uważasz, że miło byłoby znaleźć się za sterami takiego czegoś?

Kerk i Meta milczeli w zgodnym zachwycie, a na ich twarzach malowało się błogie rozmarzenie: nie było wątpliwości, iż całkowicie zgadzali się z przedmówcą. Pełne szczęścia uśmiechy zniknęły jednak, gdy ten dodał:

— Tylko że to cudo jest aktualnie w rezerwie i całkowicie zahermetyzowane, co oznacza, że jest wyłączone, choć gotowe do akcji. Poza jednym ze stosów, komputerem głównym i bronią

defensywną, reszta jest nieczynna. Częścią zabezpieczenia było naturalnie takie zaprogramowanie, by asekurować jednostkę przed meteorytami czy innymi zagrożeniami z kosmosu, ale przede wszystkim przed nie upoważnionymi do tego osobnikami, którzy mogliby dojść do wniosku, że taki drobiazg przydałby się im do kolekcji; a w ogóle dobrze byłoby go mieć ot tak, na wszelki wypadek. Zostaliśmy ostrzeżeni pierwszym strzałem, choć nie wątpię, że mógł nas równie łatwo zniszczyć. Gdyby miał załogę, to należałoby dać sobie z tym spokój; no, można jeszcze byłoby spróbować ją przekonać, że mamy wzniosłe i słuszne cele. Ponieważ jednak jej nie ma, pozostaje nam przechytrzenie komputera pokładowego. Nie jest to rzeczą łatwą, ale jakimś cudem mogłoby się udać. — Jason uśmiechnął się szeroko i zwrócił do admirała: — Weźmiemy tę robotę, ale stawka się podwoiła: miliard. Jeden miliard kredytów.

— Niemożliwe! To zbyt wielka suma, budżet nie...

— Zbliżają się Rim Hordes, mając na celu grabież i zniszczenie. By ich powstrzymać, potrzebujecie okrętów — zamawiacie je w stoczniach, kupujecie u innych... a jeżeli dostawy się opóźnią? Jeżeli nie będzie tych okrętów w chwili pojawienia się wroga? Wystarczy odrobina wyobraźni: oto pęka obrona, ląduje desant, wyłamuje drzwi i całe to ładne biuro tonie we krwi...

— Dość! — pisnął admirał, błady nagle niczym ściana.

Jason przewidział słusznie: był to typowy „oficer biurowy”, który nigdy w życiu nie brał udziału w żadnej akcji, nawet jej nie widział z bliska; a do tego był tchórzem.

— Macie ten kontrakt — wychrypiał — ale twardo stawiam warunek: trzydzieści dni. Jedna minuta dłużej i możecie się pożegnać z forszą; nie dostaniecie złamanego grosza! Zgoda?

Jason spojrział na Metę i Kerka, którzy jednocześnie skinęli głowami.

— Zgoda — stwierdził — ale ten miliard jest bez podatków i bez wydatków. Zapasy, zaopatrzenie, pomoc waszej floty, materiały i ludzie, to wszystko jest opłacane przez was. I żadnych oszczędności na listach zapotrzebowań, które wam dostarczymy.

— Ale... — jęknął Djukich.

— Krew na ścianach... — szepnął Jason i czoło oficera pokryło się potem.

— Przygotuję dokumenty — pisnął słabo admirał. — Kiedy zaczniecie?

— Już zaczęliśmy. Uściśnijmy sobie dłonie, a papiery załatwimy jutro. — Potrząsnął entuzjastycznie bezwładną dłonią siedzącego, dodając: — Nie sądzę, byście mieli coś w rodzaju instrukcji obsługi tego pancernika?

— Gdybyśmy mieli, to nie proponowalibyśmy wam tego kontraktu — prychnął zapytany. — W archiwach nie ma nawet śladu na ten temat. Wszystko, co odkryliśmy odnośnie tego okrętu, jest do waszej dyspozycji.

— Niewiele tego, skoro straciliście czterdziestu siedmiu ochotników. Okazuje się, że pięć tysięcy lat to jednak długi okres, nawet dla najlepszej biurokracji. Poza tym jedyną rzeczą, jakiej nie można skutecznie przechować, jest praktyczna instrukcja jak wyjąć z przechowania rezerwowego okręt. Nie ma się jednak co martwić, znajdziemy na to sposób. Pyrrusjanie nigdy nie rezygnują. Jeżeli wyda pan rozkaz, by przesłano nam te dane, którymi dysponujecie, to udamy się do naszych kwater i nakreślimy plan jak wykonać kontrakt przed terminem.

* * *

— Jak? — zapytał Kerk, ledwie zamknęły się za nimi drzwi ich kwatery.

— Nie mam zielonego pojęcia! — przyznał Jason, uśmiechając się niewinnie na widok ich zawiedzionych grymasów. — Proponuję napić się czegoś rozsądnego i zabrać do myślenia. Otóż jest to robota, która może skończyć się użyciem brutalnej siły, ale powinna się zacząć od udowodnienia umysłowej przewagi człowieka nad maszyną, którą zresztą sam wymyślił. Dla mnie podwójną z lodem, kochanie.

— Samoobsługa — warknęła Meta. — Skoro nie masz pojęcia, jak się za to zabrać, to dlaczego przyjąłeś kontrakt?

Zabręczało szkło, trunek sympatycznie zbulgotał, i Jason westchnął siadając.

— Bo jest to dla nas okazja zarobienia paru groszy — wyjaśnił — których, jak wiecie, potrzebujemy. Jeżeli nie uda nam się włamać do tej przerośniętej konserwy, to stracimy jedynie trzydzieści dni. — Pociągnął solidny łyk i przypomniał sobie, że rozsądna dyskusja z Pyrrusjanami to tylko strata czasu: istniały szybsze i skuteczniejsze sposoby. — Chyba nie boicie się tego pancernika, co?

Po czym, z anielskim uśmiechem wcielonej niewinności, obserwował dwa wściekłe oblicza i nagle napięcie mięśni, którym towarzyszył cichy szum serwomotorów wysuwających, a po krótkiej chwili chowających broń do kabur.

— Lepiej weźmy się do roboty — warknął Kerk — tracimy czas, a każda sekunda się liczy. Od czego zaczynamy?

— Od materiałów archiwalnych. Musimy najpierw zebrać maksimum wiedzy o tym pancerniku.

* * *

— Nie bardzo rozumiem, co nam daje obrzucanie skałami tego okrętu — oznajmiła Meta. — Wiemy już, że niszczy je, zanim dotrą w jego pobliże. To strata czasu, a teraz jeszcze chcesz marnować żywność. Te tusze...

— Meta, kochanie. Zamknij się z łaski swojej. W tym szaleństwie jest metoda. Jednostka flagowa, która mruga sobie wesoło radarem, zapisuje każdy strzał i odległość, w jakiej cel został zniszczony, z jakiej to nastąpiło broni itd. Trzydzieści okrętów obrzuca go w tej chwili różnym kosmicznym śmieciem, a to nie jest coś, co zwykle przytrafia się zahermetyzowanym i odstawionym do rezerwy jednostkom, i powinno dać ciekawe rezultaty. Teraz oprócz skał wystrzelimy te poście mięsa opakowane w dwadzieścia kilogramów pancernego plastiku i to z różnymi szybkościami i po różnych trajektoriach. Jeżeli któryś z nich dotrze do okrętu, to będziemy wiedzieli, że człowiek w kombinezonie z takiego plastiku także powinien tego dokonać. Poza tym, jeżeli to nie jest jeszcze wystarczające obciążenie dla jego komputera, to całkiem spora planetoida jest już w drodze, dokładnie na kursie kolizyjnym. Albo będzie musiał ją zniszczyć, a na to potrzeba sporo energii, albo postara się zmienić kurs. Wszystko to da nam nowe informacje, które pomogą w znalezieniu sposobu jak się do niego dostać.

— Pierwszy befsztyk w drodze — poinformował ich Kerk od drzwi. — Przy załadunku odciałem parę najładniejszych kawałków i chwilowo mamy pełną lodówkę. Po kilogramie z każdego. Nie powinno to mieć znaczenia przy doświadczeniu.

— Na stare lata zaczynasz specjalizować się w kradzieży — wtrącił din Alt.

— No cóż, uczę się od ciebie. Otóż i pierwszy idzie w diabły — wskazał malutki rozbłysk na ekranie. — Każdy ma przymocowaną flarę, eksplodującą w chwili trafienia. Teraz drugi. Docierają do celu bliżej niż skały, ale nie osiągają go.

— Zatem wracamy do myślenia. — Jason wzruszył ramionami. — Na początek proponuję steki i butelkę wina. Do przybycia planetoidy mamy jeszcze dwie godziny, a chciałbym to spokojnie obejrzeć.

* * *

Do oglądania było, łagodnie mówiąc, niewiele. Miliony ton solidnej skały umieszczono na kolizyjnej orbicie za pomocą sporego nakładu sił i środków (o czym nie omieszkiał przypomnieć im admirał Djukich). Teraz wyłaniały się one majestatycznie z mroków kosmosu przy wtórze zacieklego terkotania radaru pancernika. Zaledwie komputer zdążył przeliczyć kursy i czas, silniki główne ożyły na chwilę i planetoida przemknęła za rufą pancernika, niknąc w pustce.

— Dramatyczne jak cholera — oznajmiła Meta lodowatym tonem.

— Wiemy, że silniki są sprawne i mogą być użyte w każdej chwili — sprzeciwił się Jason. — A to jest nowa, cenna informacja.

— A jaka z tego korzyść? — spytał ironicznie Kerk.

— Cóż, nigdy nie wiadomo co się może... — zaczął Jason, lecz przerwał mu trzask w głośniku.

— Kontrola do Pyrrusa Jeden. Słyszycie mnie?

— Tu Pyrrus Jeden — odparł din Alt. — O co chodzi?

— Otrzymaliśmy wiadomość z pancernika na fali 183,4. Treść jest następująca: *Nederuebla al navigacio centro. Kroniku ci tio sangon...*

— Nic nie rozumiem — jęknęła Meta.

— To esperanto, język urzędowy Imperium. Okręt przesłał do bazy informację o zmianie kursu. A poza tym znamy jego nazwę: „Indestructible”.

— To ważne?

— Ważne! — Jason prawie zapał z zachwytem, dostrajając radio do nowej częstotliwości. — Kiedy skłonisz kogoś do gadania, to prawie go przekonałeś. Spytaj, a każdy komiwojażer potwierdzi, że to prawda. Teraz uprzejmie proszę o ciszę — będę ćwiczył najlepsze wojskowe esperanto jakie znam.

Odchrząknął, włączył nadajnik i oznajmił:

— Halo „Indestructible”, tu Kwatera Główna. Wyjaśnić samowolną zmianę kursu.

— Zmiana kursu zgodnie z instrukcją L-590, by uniknąć zniszczenia.

— Twój nowy kurs jest niebezpieczny dla ruchu. Wróć na poprzedni.

W milczeniu obserwowali ekran, na którym przez kilka sekund nic się nie działo, po czym rufę pancernika rozświetliła purpurowa poświata napędu głównego.

— Udało się! — Meta entuzjastycznie uściskała Jasona, aż jego żebra ostrzegawczo zatrzeszczały. — Słucha twoich rozkazów! Każ mu nas wpuścić i po sprawie.

— Nie sądzę, żeby to było takie proste. Spróbujmy lepiej okrężną drogą — mruknął Jason i przeszedł na esperanto. — Zmiana kursu przyjęta. Wyjaśnij powody wysokiego zużycia energii ostatnimi czasy.

— Deszcz meteorytów. Wszystkie znajdujące się na kursie kolizyjnym zniszczono.

— Raport mówi o użyciu pomocniczych baterii rakietowych. To prawda?

— Tak jest.

— Stwierdzam wysoki stopień zużycia amunicji. Zostanie wysłane uzupełnienie.

— Uzupełnienie niepotrzebne. Zapasy amunicji znacznie powyżej niezbędnego poziomu.

— Klótlivy jak na komputer, nie? — mruknął Jason wyłączwszy mikrofon. — Zobaczymy, jak zareaguje na użycie szarży.

— Kwaterna Główna anuluje twoją decyzję co do uzupełnień. Statek zaopatrzeniowy podejdzie do luku ładunkowego za siedemnaście godzin. Potwierdzić.

— Potwierdzam. Statek zaopatrzeniowy musi podać sygnał dehermetyzacyjny, zanim znajdzie się w odległości stu trzydziestu mil.

— Sygnał zostanie wysłany. Jakie jest aktualne hasło? Przez chwilę panowała cisza, która przeciągnęła się do pełnych dwóch sekund i Jason zaczynał się już niepokoić, gdy głośnik znów ożył.

— Informacja zastrzeżona.

— Przygotować się do sprawdzenia pamięci sygnału anulującego hermetyzację. Czy jest to wyłącznie sygnał radiowy?

— Tak.

— Czy jest to zdanie przekazane fonią?

— Nie.

— Czy jest to zakodowane hasło?

— Tak.

— Zrób mi drinka. — Jason wyłączył mikrofon. — Ta gra w dziesięć pytań może zająć trochę czasu.

* * *

Zajęła. Dzięki zaś cierpliwości i starannemu omijaniu głównego tematu, udało się w końcu wyciągnąć z komputera tyle, ile było można bez wzbudzania podejrzeń.

— Sygnał jest radiowy, kodowany i składa się z dziesięciu cyfr. Jeżeli uda się nam go nadać, to program dehermetyzujący zacznie działać natychmiast i ta puszka będzie słuchała naszych rozkazów.

— A w dodatku zainkasujemy należność — dodała Meta. — Czy można tak zaprogramować nasz komputer, by wysyłał kolejno wszystkie kombinacje cyfr, aż trafi na właściwy?

— Można. To samo właśnie przyszło mi do głowy. Komputer pancernika jest przekonany, że sprawdzamy systemy łączności, i poinformował mnie, że może przyjąć do powtórzenia i weryfikacji sto sygnałów na sekundę. Naturalnie każdy będzie przechodził przez obwody kodujące i jeżeli wyślemy ten właściwy, to rozpocznie się dehermetyzacja, a nasz komputer będzie przy okazji wiedział, jakie to było hasło.

— Na to nie dałby się nabrać nawet pięcioletni gówniarz — sprzeciwił się Kerk.

— Nie doceniasz głupoty komputera i zapominasz, że jest to maszyna całkowicie pozbawiona wyobraźni. Sprawdzimy jak długo to potrwa — din Alt zabrał się za klawiaturę nucąc coś pod nosem, ale już po chwili zaklął. — Do kitu. Musimy wysłać dziewięć cyfr do dziesiątej potęgi, co przy podanej przez niego szybkości zajmie nam około pięciu miesięcy.

— A zostały tylko trzy tygodnie.

— Dzięki, Meta, ale znam się jeszcze na kalendarzu. I tak musimy spróbować. Zacznij od 9.999.999.999. i odliczaj kombinacje w dół. Później skontaktuj się z Wydziałem Kodów Floty, wydostań ich szyfry i wyślij — może któryś będzie pasował. Szansę nadal mamy jak pięć do jednego przeciw trafieniu we właściwy, ale to i tak jest lepsze niż nic. Poza tym trzeba się znowu zabrać za myślenie.

* * *

Flota przysłała niewysokiego jegomościa o nazwisku Shrenkly, który przytargał ze sobą sporą pakę materiałów. Okazał się szefem Wydziału Szyfrów, a na dodatek entuzjastą kodów i

krzyżówek. Było to najciekawsze zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymał, toteż entuzjastycznie zabrał się do roboty, gadając przy tym bez przerwy.

— Coś wspaniałego! Cudowna okazja! Serie wstępne i zstępne nadawane są automatycznie, więc nie ma co sobie nimi zawracać głowy. Zajmiemy się zatem permutacjami i podstawieniami, które...

— Świetnie, nie przeszkadzaj sobie — przerwał mu Jason klepiąc go po plecach i radośnie szczerząc zęby. — Potem zdasz mi z tego raport, ale teraz mamy ważną naradę, więc pobaw się sam. Kerk, Meta — czas na nas.

— Jaką znowu naradę? — spytała szeptem, ledwie znaleźli się na korytarzu.

— Normalną, właśnie przed chwilą ją wymyśliłem, by urwać się temu nudziarzowi. Niech sobie w spokoju kombinuje; przecież i tak się na tym nie znamy. My tymczasem spróbujemy wymyślić coś innego.

— Uważam, że mówił o ciekawych rzeczach.

— Doskonale, to idź sobie z nim pogadać. Tylko nie wtedy, kiedy będę w pobliżu. Tymczasem wysilmy mózgownice, może przyjdzie nam do głowy coś genialnego.

* * *

To, co z tego myślenia wynikło, zaowocowało szeregiem najrozmaitszych przedsięwzięć, charakteryzujących się jedną cechą wspólną: żadne się nie powiodło. Jednym z pomysłów była miniaturyzacja robota i sprawdzenie czy i jak mały mógłby dotrzeć do pancernika. Konstruowali coraz mniejsze, wysyłali i... każdy kończył tak samo — w ładnym wybuchu. Obsesja miniaturyzacji zaszła tak daleko, że po robocie wielkości monety skonstruowali kamerę o wymiarach łebka od szpilki, ciągnącą molekularną nić sterującą i doprowadzającą energię do jej jonowego silniczka. Dotarła do okrętu na odległość dziesięciu mil, po czym została gładko załatwiona jednym strzałem. Inne, równie genialne co nieortodoksyjne pomysły, także nie powiodły się w praktyce. Pancerny kolos unosił się tymczasem w przestrzeni, spokojnie przyjmując i sprawdzając nie kończące się serie cyfr, a przy okazji odstrzeliwując wszystko, co tylko znalazło się w pobliżu. Każda próba wymagała czasu, toteż dni mijały raczej szybko i Jason zaczął mieć chroniczną migrenę oraz trudności z zasypianiem w miarę kurczenia się wyznaczonego czasu. Problem wydawał się nierozwiązywalny.

* * *

Gdy Meta zajrzała do jego kabiny, wprowadzał właśnie odległości i cechy zniszczonych dotąd obiektów do komputera, klnąc z cicha i bez przekonania.

— Będę u Shrenkly’ego, gdybyś mnie potrzebował — oznajmiła.

— Cudownie.

— Nauczył mnie już tabel częstotliwości, a dziś zaczniemy proste kody podstawieniowe.

— Pasjonujące!

— Dla mnie tak. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z czymś takim, a poza tym ma to swoją wartość. Wiadomo, że jeden z tych sygnałów jest właściwy, nie wiemy tylko który, a to więcej niż ty osiągnąłeś, obrzucając okręt skałami. Poza tym zostały nam dwa dni! — oznajmiła wychodząc.

Drzwi huknęły. Jason oklapł, nagle zdając sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Nalał do szklanki trochę „dopalacza” (około osiemdziesięciu procent) i zażył pierwszą dawkę leczniczą, gdy wszedł Kerk.

— Zostały nam dwa dni — oznajmił.

— Dzięki serdeczne, dopóki mi o tym nie powiedziałaś, żyłem w błogiej nieświadomości. Wiem, że Pyrrusjanie nigdy się nie poddają, ale tak mi coś śmierdzi, że możemy być w tej materii debiutantami.

— Jeszcze nie jesteśmy pokonani. Będziemy walczyć!

— Klasyczna pyrrusjańska odpowiedź, tylko tym razem głupia. Jak sobie to wyobrażasz? Abordaż?

— Dlaczego nie? Jeżeli będziemy mieli pancerne kombinezony, to małokalibrowa broń palna i lasery słabej mocy mogą nas tylko uszkodzić, a nie zabić. Wystarczy ominąć artylerię główną i miotacze oraz rozwalić którąś służbę.

— I to wszystko? A może masz jeszcze jakiś pomysł jak ominąć artylerię główną?

— Nie, ale jak cię znam, to ty już coś wymyślisz. Tylko lepiej się pospiesz, mamy...

— Wiem, dwa dni. Przypuszczam, że dla niektórych lepsza jest śmierć niż przyznanie się do porażki. Cóż, włożymy kombinezony, polecimy za chmurą odłamków, które pancernik rozbije w drobny pył, a potem wmówimy jego sensorom, że wcale nie jesteśmy parą pancernych

kombinezonów, tylko plastikowymi beczkami z piwem, na które szkoda energii dział i wystarczy broń małokalibrowa. Ta z kolei okaże się nieskuteczna. Potem wleziemy do środka, skasujemy miliard w gotówce i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

— O, właśnie, coś w tym stylu. Lecę przygotować kombinezony.

— Zanim polecisz, zastanów się uprzejmie nad jednym drobiazgiem: jak, u diabła, przekonać sensory tego tam, że... — Jason zamilkł nagle z szeroko otwartymi oczami.

Po dłuższej chwili ożył, trzepnął Kerka w plecy z radości i oświadczył wesoło: — Mam! — po czym ruszył do komputera.

Kerk czekał, spokojnie obserwując Jasona wprowadzającego dane. Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać.

— Oto plan ataku — oznajmił radośnie din Alt unosząc w dłoni dyskietkę. — I to ataku, który ma wszelkie szansę powodzenia. Trzeba było pamiętać, że komputer pancernika jest tylko głupią maszyną liczącą, tyle że liczy bardzo szybko. I że zawsze będzie się zachowywał tak samo, bo tak jest zaprogramowany. A teraz słuchaj: część rufowa, gdzie są dysze napędu głównego, jest najslabiej broniona — tylko sto czternaście stanowisk ogniowych może być skierowanych do tyłu. Czas ich obrotu o sto osiemdziesiąt stopni jest różny — od ułamka sekundy aż do sześciu sekund w przypadku artylerii głównej. To jedna sprawa. Druga to sposób, w jaki komputer traktuje cele. Na pierwszy ogień idą najszybciej poruszające się skały, nawet jeżeli są w dalszej odległości niż większe, ale wolniej poruszające się cele. Do tego dochodzi jeszcze szybkostrzelność, kąt podniesienia czy opuszczenia lufy i inne takie — nasz komputer przemielił to wszystko i oto efekt.

— A jaki on jest?

— Taki, że teoretycznie powinno nam się udać. Będziemy w środku dyskowatej formacji skalnych odłamków, która zostanie skierowana w rufę pancernika. Skał musi być tyle, żeby wystarczyło ich dla dział broniących tego sektora, i należy je dobrać tak, by najmniejsza była dwa razy większa niż człowiek w skafandrze. Powinniśmy mieć taką samą jak one szybkość i kierunek, wtedy zajmie się nami dopiero broń małokalibrowa. Druga chmura skał, i to, naprawdę ogromna zarówno wagą, jak i rozmiarem, będzie — wycelowana w rejon rufy pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, ale w obszar strefy ochronnej wkroczy dopiero wtedy, gdy my znajdziemy się pod ogniem. Komputer naturalnie wykryje ją w czasie ostrzeliwania naszego dysku i przesunie główne działa na większe zagrożenie. Kiedy tylko zaczną strzelać do nowego

celu, dajemy pełny ciąg silników plecakowych i kierujemy się ku dyszom napędu głównego — znajdziemy się w ten sposób w zasięgu małokalibrowej broni, którą nasze kombinezony powinny przetrzymać. A zanim główne działa zdołają się obrócić i walnąć, będziemy już wewnątrz dysz.

— To brzmi niezłe. Jaki jest odstęp czasu między dotarciem do dysz a najwcześniejszą możliwością otwarcia ognia przez artylerię główną?

— Dokładnie 0,6 sekundy.

— Kupa czasu. Bierzmy się do roboty.

— Zaraz — Jason uniósł dłoń — idziemy tylko my dwaj, z bronią i sprzętem tnącym. Kiedy już będziemy wewnątrz, nie powinniśmy mieć zbyt wielu problemów, niemniej operacja nie będzie łatwa. Ale Meta zostaje i nic o tym nie wie.

— Troje ma większe szansę niż dwoje.

— A dwóch lepiej sobie poradzi niż jeden. Nie ruszę się, jeżeli nie wyrazisz zgody na wyłączenie jej z tego.

— Skoro nalegasz... ale weźmy się w końcu do roboty.

* * *

Meta zajęta była kodami, które jej bardzo przypadły do gustu. Flota nabrała tymczasem niezłej wprawy w obrzucaniu pancernika skałami, nudząc się przy tym co niemiara, chociaż i tak większość roboty zwalili na komputery. Podczas gdy przygotowywano odpowiedni zapas skał, Kerk i Jason sprawdzili kombinezony pancerne, broń i sprzęt. Jason pomajstrował także przy urządzeniach służących, by Meta, będąca w sterówce, nie wiedziała o jej otwarciu. W końcu wszystko było gotowe. Ubrani w zbrojone wdzianka i obwieszani sprzętem jak dwie choinki, po cichu wymknęli się na zewnątrz.

* * *

Niezależnie od tego, ile razy się to już robiło i jak by się psychicznie do tego nie przygotowywać, uczucie swobodnego unoszenia się w kosmicznej próżni nie jest specjalnie miłe; łatwo stracić orientację i cały czas ma się dziwne wrażenie, że wszędzie jest albo góra, albo dół. Jason przyznawał, że tego nie lubił, i wdzięczny był za krzepiącą obecność Kerka.

— Operacja rozpoczęta — skrzeknęły słuchawki, a później byli zbyt zajęci, by zwracać uwagę na cokolwiek, co nie działo się tuż obok nich.

Komputer poinformował ich, że zbliża się ściana gigantycznych głazów i chociaż sami niczego nie mogli jeszcze dostrzec, polecił im zmienić kurs. Nagle okazało się, że są pośrodku zgrupowania potężnych odłamków skalnych, majestatycznie przepływających obok nich. Zgodnie z instrukcjami komputera uruchomili silniki, by wpasować się w zaplanowane miejsce wewnątrz formacji. Wymagało to trochę pracy: przyspieszania i hamowania, ale w końcu unosili się wśród skał i, pomimo wyłączonych silników, powoli zbliżali się do strefy ognia.

— Pamiętasz instrukcje? — spytał Jason.

— Doskonale.

— No to je powtórzmy dla podniesienia mojego morale, o ile nie masz nic przeciwko temu. — W dali przed nimi widać było rozbłysk na tle mroków kosmosu, czyli ich cel. — Podczas zbliżania się nie robimy dosłownie nic, by nie zwrócić na siebie uwagi. Wokół nas będzie spore zamieszanie, ale poza naprawdę poważnym zagrożeniem nie tykamy napędu. Kiedy zostaniemy ostrzelani z broni małokalibrowej, to możemy się bardzo cieszyć, bo to da nam pewność, że działa główne zajęte są czymś innym, czyli kolejną ławicą skał, tą nadlatującą z boku. My ich nie zobaczymy, ale komputer przez cały czas monitoruje pancernik i na pewno ich nie przegapi. Gdy tylko artyleria główna zacznie strzelać do tych skał, my dostaniemy sygnał „Naprzód” i ruszymy ile mocy w silnikach ku dyszom głównego napędu. Kiedy radary naszych skafandrów zameldują, że jesteśmy o milę od celu, dajemy całą wstecz, bo inaczej utworzymy na pancerzu efektowne płaskorzeźby. Będziemy już bezpieczni, bo znajdziemy się w martwej strefie ostrzału. Do zobaczenia w prawej dyszy.

— A co będzie, jeżeli komputer pokładowy odpali stos, by się nas pozbyć z rury wydechowej?

— Jest to coś, o czym usilnie staram się nie myśleć od chwili, gdy na to wpadłem. Pozostaje mieć nadzieję, że nie jest zaprogramowany na tak skomplikowane zadania i jego obwody logiczne nie... — przerwał, gdyż przestrzeń wokół nich eksplodowała oślepiającym blaskiem.

Przysłony kasków momentalnie ściemniały, ale i tak widać było przez nie intensywne rozbłyski, którym towarzyszyła absolutna cisza. Skała wielkości domku jednorodzinnego rozbłysła i zniknęła nie dalej niż sto jardów od Jasona, bez żadnego dźwięku. Przez dłuższą chwilę przebiegało wokół nich bezgłośnie zniszczenie, aż nagle zapanowała sekunda spokoju, brutalnie przerywana ogłuszającymi eksplozjami i wibracją kombinezonu din Alta.

Trafili go! Choć oczekiwał tego, ba, chciał aby tak się stało, to i tak podskoczył, a po plecach przemaszerowały mu ciarki. W całym tym hałasie ledwie usłyszał w słuchawkach polecenie komputera:

— Naprzód!

— Kerk, pełny ciąg! — wrzasnął i wykonał własną komendę.

Kombinezon kopnął go solidnie, utrudniając zwolnienie filtrów hełmu. W pierwszym momencie prawie go oślepiło, ale poprzez rozbłyski zdołał dostrzec rufę pancernika na wprost własnego nosa. Dysze napędu głównego wyglądały niczym wielkie czarne ślepia. Rosły, błyskawicznie wypełniając przestrzeń, gdy nagły błysk radaru poinformował go o minięciu granicy jednej mili. Działa nie mogły mu już zaszkodzić, ale uderzenie w kadłub było w stanie skutecznie je zastąpić. Wdusił do oporu silniki hamujące i kombinezon trzepnął go ponownie, niemal uniemożliwiając ruchy. Prawa dysza wypełniała mu pole widzenia niczym gigantyczna lufa, do której zmierzał bez żadnych szans na zatrzymanie.

Nagle był już wewnątrz i to nawet poruszając się niezbyt szybko. Powoli wyłączył silnik i łagodnie opadł, utrzymując się o parę jardów nad dnem. Coś nad nim przeleciało i z łomotem rąbnęło w jedną ze ścian, by po chwili osunąć się na dno.

— Kerk! — złapał bezwładną postać i włączył lampę umieszczoną na hełmie. — Kerk!

Cisza. Czyżby...

— Wylądowałem... trochę szybciej... niż chciałem...

— Faktycznie! Dobrze, żeś się od razu nie przebił do środka. Ruszajmy do roboty, zanim to liczydło postanowi nas usmażyć.

Niebezpieczeństwo dodało im skrzydeł, toteż wycięcie kolistego otworu za pomocą palnika molekularnego (jedynego narzędzia zdolnego naruszyć strukturę materiału, z którego wykonano dysze) zajęło im zaledwie dwie minuty katorżniczej pracy. Gdy krąg w pobliżu wtryskiwaczy był już kompletny, Kerk momentalnie wparł w niego ramiona i odpalił silnik. Wraz z wyciętym arkuszem zniknął w ciemnościach, a Jason natychmiast podążył w jego ślady. Znalazł się w oświetlonej i nader rozległej siłowni, która nagle stała się jeszcze jaśniejsza dzięki miniwulkanowi, który wybuchł tuż za nim — z otworu w podłodze strzeliły płomienie, by niemal natychmiast zgasnąć. Komputer zdecydował się w końcu oczyścić dysze mikrosekundowym odpaleniem silników.

— Cwana maszynka — przyznał roztrzęsionym z lekka głosem.

Kerk zignorował ogień i zajął się kabiną kontrolną usytuowaną obok siłowni. Jason spotkał go w drzwiach, trzymającego spory plan w pogiętej metalowej ramie.

— Plan pancernika — wyjaśnił Kerk. — Zerwałem go ze ściany. Sterówka jest tam. Idziemy!

— Dobra, dobra, przecież nic nie mówię — mruknął din Alt z trudem dotrzymując kroku Kerkowi, który był w swoim żywiole, ledwie znaleźli się w długim korytarzu. — Automaty naprawcze nie są groźne...

Zanim zdołał dokończyć, dwa najbliższe uniosły palniki i ruszyły w ich stronę. Zdążyły zrobić krok, ale pistolet Kerka plunął ogniem i oba zamieniły się w dymiące kupki złomu.

— Dobry komputer — pochwalił Pyrrusjanin. — Walczy z nami czym się da. Oslaniaj tyły.

Potem nie było czasu na pogawędki. Choć zmieniali kierunek marszu, oczywiście było, dokąd zmierzają, a każda napotkana maszyna była wrogiem. Roboty sprzątające atakowały nawet miotłami, ekrany monitorów eksplodowały, gdy przechodzili, hermetyczne drzwi usiłowały ich zmiażdżyć, podłoga kopała wyładowaniami elektrycznymi przy każdym kroku. To była regularna bitwa, ale jak długo uważali, tak długo nic im nie groziło; kombinezony były dobrze izolowane i trudne do przebiccia domowymi sposobami, a Pyrrusjanie byli wszak najlepszymi wojownikami w galaktyce. W końcu dotarli do drzwi oznaczonych *Centra kontrolo*, które Kerk od ręki rozwalił jednym strzałem. Wnętrze było jasno oświetlone, a klawiatura nienagannie czysta.

— Udało się! — Jason zdjął hełm i z rozkoszą odetchnął chłodnym powietrzem. — Miliard kredytów! Zrobiliśmy w jajo tę kupę złomu...

— TO OSTATNIE OSTRZEŻENIE — ryknął nagle jakiś głos i obaj odruchowo złapali za broń, zanim zorientowali się, że to nagranie.

— NIEPOWOŁANE OSOBY DOSTAŁY SIĘ NIELEGALNIE NA POKŁAD. JEŻELI W CIĄGU PIĘTNASTU SEKUND NIE OPUSZCZĄ OKRĘTU, ZOSTANIE ON ZNISZCZONY. ŁADUNKI ZOSTAŁY TAK ROZMIESZCZONE, BY ŻADEN FRAGMENT OKRĘTU NIE DOSTAŁ SIĘ W RĘCE WROGA. CZTERNAŚCIE...

— Nie zdążymy! — jęknął Jason.

— Rozwal tablicę kontrolną!

— To nic nie da — wyłącznik autodestrukcji na pewno jest gdzie indziej.

— DWANAŚCIE...

— To co robimy?

— Nic! Nic nie możemy zrobić!

— ...DZIESIĘĆ...

Bez słowa spojrzeli na siebie i uścisnęli opancerzone dłonie.

— ...SIEDEM...

— Cóż, do zobaczenia — Jason próbował się uśmiechnąć.

— ...CZTERY... errk... TRZY... — potem cisza, a po chwili inny głos oznajmił: — Dehermetyzacja rozpoczęta. Obrona wyłączona. Oczekuję rozkazów.

— Że... że jak...? — wychrypiał Jason.

— Otrzymałem sygnał nakazujący dehermetyzację okrętu. Oczekuję rozkazów.

— W samą porę — din Alt przełknął z wyraźnym trudem. — Dokładnie w samą porę.

* * *

— Nie powinniście iść tam beze mnie — powitała ich Meta. — Nie zapomnę wam tego!

— Nie mogłem cię zabrać, jesteś dla mnie więcej warta niż głupi miliard — odparł Jason.

— To najmiłsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałaś — rozpromieniła się i pocałowała go, czemu Kerk przyglądał się z obojętnym obrzydzeniem.

— Kiedy skończysz, to może poinformujesz nas uprzejmie, co tu się stało — nie wytrzymał wreszcie po dłuższej chwili. — Komputer trafił na właściwy sygnał?

— Nie. Ja trafiłam. — Uśmiechnęła się zadowolona, widząc ich całkowite zaskoczenie, po czym ponownie pocałowała Jasona i wyjaśniła: — Mówiłam ci, że zainteresowały mnie kody i szyfry, naturalnie z militarnym wykorzystaniem. Shrenkly opowiedział mi ostatnio o szyfrach podstawieniowych i zaczęłam od najprostszego, takiego gdzie A zastępuje cyfra 1, B to 2 itd. Spróbowałam zaszyfrować w ten sposób hasło, ale wyszło mi 81.122.021, czyli o dwie cyfry za mało. Dopiero Shrenkly powiedział mi, że każdą literę trzeba zastąpić dwiema cyframi, bo inaczej mogą być problemy z dekodowaniem. Przecież już od 10 są dwie cyfry i A to nie jest 1, ale 01. Sprawa stała się jasna. Dodałam zera do liter z pierwszej dziesiątki, co łącznie dało dziesięć cyfr. Dla żartu wprowadziłam całość do komputera, który wysłał to razem z innymi. I to wszystko.

— Trafiłaś za pierwszym razem? — spytał ogłupiały do reszty din Alt. — To się nazywa szczęście!

— To nie tak. Wiesz, że wojskowi są z zasady pozbawieni wyobraźni. Sam mi to wiele razy powtarzałeś. Wzięłam więc pod uwagę najprostszą możliwość, sprawdziłam, jak to będzie w esperanto i...

— *Haltu?*

— Właśnie! Zakodowałam najprostszym szyfrem i okazało się, że miałam rację.

— Co właściwie znaczy to słowo? — zainteresował się Kerk.

— Stop — poinformował go Jason. — Po prostu stop.

— Sam bym tak zrobił — przyznał Kerk — to całkiem logiczny sposób. Dobra, zabierajmy gotówkę i lecimy do domu.

Przekład: Jarosław Kotarski

Uczciwy dzień pracy

1972

Zawsze uważałem, że brak jest literatury S–F o robotnikach, czyli klasie pracującej. Nie żebym żywił nieprzepartą chęć czytania tego typu dzieł, jak to traktorzysta z tkaczką ratują galaktykę, ale uważam, że każdą niszę ekologiczną należy zappełnić. No, w najgorszym razie próbować zappełnić. Pełno jest bohaterów z klasy średniej, nie mówiąc już o arystokracji, jak władcy planet czy hegemonomie galaktyki, a o zwykłym, szarym robotniku nic. Powiedziałem, co myślę przy którejś okazji Brianowi Aldisowi (z wykształcenia socjolog), kończąc, że powinna powstać przynajmniej jedna opowieść o pracowniku wodociągów i kanalizacji miejskiej, który ocali świat. Usłyszałem w odpowiedzi, że jestem wprost stworzony, by takową napisać.

Więc napisałem.

Ja tam ino robie, co powinienem i nikt na mnie nie narzeka — oznajmił stanowczo Jerry, przygryzając ustnik starej fajki. — Co mam, to zrobie i kwita.

— Wiem, że jest pan sumiennym pracownikiem, panie Cruncher — zapewnił porucznik — i nikt nie chce, by zrobił pan coś niezgodnego z przepisami. Chcemy jedynie, by pan nam pomógł, wykonując swą pracę, to wszystko...

Jerry przyjrzał się podejrzliwie jego podartemu mundurowi i nieco dzikiemu wzrokowi i mruknął ponuro:

— Jak znam życie, to będą z tego same kłopoty... Kłopoty już były i to z gatunku najgorszych. Choć spodziewano się, że nastąpią, nikt nie przewidział, jaką przybiorą formę, w związku z czym nikt też nie był na nie przygotowany. Plany opracowane na wypadek inwazji nie brały pod uwagę takiego przebiegu wydarzeń i paruset betelgazjańskich komandosów na dwóch lub trzech okrętach omal nie opanowało całej planety. Taka jest prawda, a nie to, co podawali rozhisteryzowani dziennikarze i udzielający im wywiadów oficerowie (zazwyczaj specjaliści od liczenia gaci) o setkach okrętów i tysiącach napastników. I jeszcze jedno: misja handlowa założona przez mieszkańców Betelguzy w kraterze Tycho była misją handlową i z atakiem nie miała nic wspólnego ku szczeremu rozczarowaniu naszych strategów.

— Pułkowniku, to jest pan Cruncher, który zgłosił się na ochotnika...

— Cywil?! Zabierać go stąd, i to natychmiast! Najpierw zawiązać oczy! Dumniu, ta siedziba ma taki stopień utajnienia...

— Sir, stopień utajnienia i tak nie ma w tej chwili żadnego znaczenia, gdyż mamy odciętą łączność ze wszystkimi oddziałami.

— Cisza, kretynie! — Pułkownik poczerwieniał. Nigdy nie lubił rezerwistów, zwłaszcza przemądrzałych.

— Panie pułkowniku, sytuacja jest desperacka, toteż wymaga desperackich rozwiązań...

— Sierżancie! Wyprowadzić porucznika i tego tu na strzelnicę i rozstrzelać za naruszenie tajemnicy służbowej w czasie wojny!

— Panie pułkowniku...

— Sierżancie, to rozkaz!

Sierżantowi brakowało czterech miesięcy do emerytury, toteż podjęcie decyzji nie było sprawą łatwą. Nie mając wyjścia, w końcu wstał, wyszedł do toalety i starannie zamknął za sobą drzwi. Pułkownik, którego twarz przybrała barwę świeżo ugotowanego raka, obserwował jego

poczynania z wybałuszonymi oczami. W końcu sięgnął po broń, lecz zanim zdołał ją wyjąć z kabury, zacharczał i zwałił się na biurko. A z biurka na podłogę.

— Sanitariusz! — ryknął porucznik.

Wezwany trzasnął drzwiami, spojrzął na leżącego i nawet się nie schylając, oznajmił:

— No to wreszcie go krew zalała. Zawsze był cholerykiem.

Sierżant zwolnił ubikację i pomógł usunąć trupa pod ścianę. A Jerry Cruncher przyglądał się temu wszystkim spokojnie, nie wypuszczając spomiędzy zębów wysłużonej fajki.

— Proszę, panie Cruncher — jęknął porucznik — musi nam pan pomóc! Jest pan naszą ostatnią deską ratunku.

* * *

Analizując wydarzenia owej Czarnej Niedzieli z perspektywy czasu, łatwo jest zrozumieć genialną prostotę planów przeciwnika, jak i powody, dla których prawie zakończyły się one sukcesem. Wojska i okręty Ziemi gotowe były do odparcia zmasowanego ataku. Czekały na pozycjach, zwracając baczną uwagę na tak zwaną „misję handlową” na Księżycu i pozostawały w stałej łączności na wypadek niespodziewanych pomysłów przeciwnika. Łączność na wszelki wypadek była zdublowana — radio, lasery, podziemne ekranowane kable, helikoptery i mikrofalę — miała tylko trzy minusy: w całości szła przez trzy centrale: Główną ComCent w Global City i dwie zastępcze. Dodać należy, że oprócz jednostek na planecie obsługiwały one siły rozlokowane na Księżycu i całą flotę.

Właśnie te trzy cele stały się obiektem ataku komandosów z Betelguzy, poprzedzonego zrzućeniem na każdą z nich bomby antygravitacyjnej. Bitwy stoczone w warunkach nieważkości, do których napastnicy byli przyzwyczajeni, w przeciwieństwie do obrońców, były błyskawicznie przegrane przez ludzi. W efekcie powstał totalny chaos — sztaby odcięte od oddziałów, czołgi od piechoty, zaopatrzenie od pierwszej linii. Jedyne na krótki dystans można się było porozumieć przy pomocy krótkofalówek i radiotelefonów. Stacje radiowe na Ciemnej Stronie Księżyca wykryły zbliżającą się zza Saturna flotę inwazyjną i nie miały możliwości kogokolwiek o tym poinformować.

* * *

— Muszę pogadać z majstrem — oświadczył Jerry. — Mam dzień wolny, a zabieranie nie upoważnionych do kanałów, to jak w kij piernąc. Jak go znam, to mu się też ten pomysł się nie spodoba.

— Panie Cruncher. — Porucznik wyraźnie starał się zachować zimną krew. — Jakby pan nie wiedział, to mamy wojnę, a jedna z jej ofiar leży pod ścianą. Nie zdoła się pan dodzwonić do majstra, bo cywilna łączność także nie działa.

— To mi się nie podoba, cholera, to mi się zupełnie nie podoba.

— Nam też nie i dlatego potrzebujemy pańskiej pomocy. Obcy zajęli centra łączności i musimy je odbić. Zdołaliśmy zawiadomić najbliższe oddziały i wojsko próbuje je zdobyć, ale zostały zbudowane jak prawdziwe twierdze i nie jest to proste zadanie. A nie sądzę, żebyśmy mieli wiele czasu.

— Twierdze? To jak oni je zdobyli?!

— Cóż... jest niedziela, czyli minimalne załogi alarmowe, O ósmej były apele, zmiany dyżurnych i wart...

— Złapali nas w gaciach i w czasie srania — parsknął Jerry, wyraźnie dając do zrozumienia, co myśli o takim wojsku.

— No dobra, chcecie wejść do środka. A co to ma wspólnego z uczciwie pracującym człowiekiem? Jest niedziela.

— Wojna nie zwraca uwagi na dzień tygodnia, a pan jest najstarszym pracownikiem miejskiej sieci wodociągowo–kanalizacyjnej i prawdopodobnie jedynym, który zna odpowiedź na nasz problem. Nasze centrale mają własne źródła energii, ale w czasie pokoju korzystają z normalnej sieci miejskiej. Teraz proszę się dokładnie zastanowić: czy możemy się do nich dostać od dołu, z kanałów? Zwłaszcza do ComCent?

— A gdzie ono jest? — Jerry przydusił kciukiem tytoń, zapalił i z lubością zaciągnął się śmierdzącym dymem.

— Na rogu Osiemnastej i Wiggan Road.

— Aaa, to dlatego jest tyle kabli w sto czwartym BpL.

— Można się tam dostać?

Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie bulgot fajki Jerry Cruncher myślał intensywnie, co było widać po jego minie i nie było to zajęcie przychodzące mu łatwo (to też było widać). Pozostali zaś wstrzymali oddechy, by go nie, rozpraszać. Dobrze, że cisza nie trwała zbyt długo, bo by się jeszcze podusili z nerwów. Jerry wyjął fajkę z ust i w końcu oznajmił:

— Da się.

* * *

Nie był to doborowy oddział do zadań specjalnych, ale był to jedyny, jaki mógł się podjąć tego zadania. No i mimo wszystko byli to żołnierze (mechanicy, technicy, żandarmi, kucharze, kanceliści i gaciowi) uzbrojeni w najlepszą broń, jaką miała do zaoferowania zbrojownia oraz w świadomość, że od nich zależą losy świata. Na Jerry'ego czekali na wyznaczonym skrzyżowaniu ledwie kilka minut. Zjawił się ubrany w ciężki gumowy płaszcz, takiż kapelusz i wysokie do pasa buty. Na ramieniu miał wysłużoną skrzynkę z narzędziami, a w zębach nie zapaloną fajkę.

— Ale ubrani — ocenił, przyglądając się krytycznie oddziałowi.

— Wszyscy mają pełen ekwipunek polowy — zaprotestował porucznik.

— Ale ubrani do kanałów. Tam jest cholernie mokro...

— To są ochotnicy i skoro gotowi są zginąć za sprawę, to trochę wilgoci niewiele dla nich znaczy. Możemy iść?

Jerry potrząsnął głową z dezaprobatą, lecz zachował milczenie i ruszył ku środkowi ulicy, gdzie znajdował się wjazd do kanałów. Wsadził w jego wycięcie jakiś wichajster, przekręcił i wprawnym ruchem odsunął ciężką klapę na jezdnię.

— Pojedynczo za mną — polecił. — Ostatnich dwóch zasunie płytę. Tylko uważajcie na paluchy!

Automatyczne lampy zapalały się, w miarę jak schodzili w dół po stalowych stopniach wmurowanych w ścianę, aż Jerry, a za nim inni, znaleźli się w szerokim i chłodnym poziomym tunelu o ścianach i suficie prawie zakrytych płataniną kabli i rur biegnących we wszystkich kierunkach. Cruncher — jedyny, który się w nich orientował, urządził krótką demonstrację.

— Woda zimna, woda ciepła, kabel pięćdziesiąt tysięcy volt, lokalny dwieście dwadzieścia, telefon, teleks, poczta pneumatyczna, rura dystrybutora żywności, tlen, odpływ ścieków... po trochu wszystkiego.

— Sanitariusz! — zawyto z tyłu i wezwany pognał na koniec kolumny.

— Znaleźli nas! — jęknął pomagier feldkurata, przeładowując broń.

— Opuścić lufy! — głos porucznika przebił się przez szczęk repetowanych rozpylaczy. — Zanim się nawzajem pozabijacie. Sierzancie, proszę sprawdzić, co się stało, tylko gazem!

Podoficer zniknął w ślad za sanitariuszem, a pozostali czekali w nerwowym napięciu. Wyłączając Jerry'ego, który, pogwizdując, stukał w różne rzeczy małym, gumowym młotkiem, a w międzyczasie zdążył jeszcze poprawić jakiś zawór.

— Bourne-Smith ma zmiążdżony palec od zasuwania klapy — zameldował sierżant.

— A mówiłem — mruknął sarkastycznie Jerry. — Ruszamy — polecił porucznik.

— O jednym żeśmy nie mówili. — Jerry Cruncher nawet nie drgnął. — Gwarantujesz pan, że dostanę pieniądze za te dzisiejszą robotę?

— Oczywiście. Warunki możemy ustalić po drodze.

— W drodze to będziemy, jak ustalimy. Jest niedziela, więc należy się podwójna stawka, a po czterech godzinach potrójna.

— Zgoda. Ruszajmy.

— Jak zgoda, to na piśmie.

— Jasne, na piśmie — sapnął porucznik.

Wyrwał kartkę z notesu, napisał odpowiednie zaświadczenie i podał Jerry'emu.

— Podpisałem się czytelnie i podałem numer służbowy. Cała armia będzie respektować ten dokument.

— Lepiej, żeby respektowała. — Jerry starannie złożył pismo, umieścił w portfelu i schował go do wewnętrznej kieszeni. Dopiero potem ruszył w dalszą drogę.

* * *

Dla wszystkich poza przewodnikiem wycieczka była upiornym doświadczeniem i choć główne tunele były stosunkowo wygodne, to gdyby nie hełmy, połowa oddziału leżałaby nieprzytomna na pierwszej mili. Zawory, kolanka i zegary wystające z rur biegnących pod sufitem tylko czekały na nowicjuszy — dzięki hełmom tunel był pełen łomotów i przekleństw, ale nie ofiar. Szybko jednak dotarli do klapy inspekcyjnej i kanału, w którym trzeba było iść na czworakach. Był krótki, ale prowadził do liczącej sześćdziesiąt stóp studni o śliskich od wilgoci

klamrach zejściowych. Potem był tunel z obrobionych głazów bez automatycznego oświetlenia i potężna komora pełna ryku wody.

— Odpływ burzowy — wyjaśnił Jerry, oświetlając skłębioną toń o parę stóp poniżej kładki, na której stał. — Widziałem go nie raz, był suchy jak pieprz... na przedmieściach była ostatnio burza, to i macie. Uważać mi na kładce, jak się który poślizgnie, to wypłynie z pięćdziesiąt mil stąd w oceanie, chyba że ryby go wcześniej oskubią...

Po tak radosnej zachęcie wszyscy trzymali się kurczowo kładki, w związku z czym pokonali ją wzorowo i bez strat. Dalej był kolejny, szeroki tunel komunikacyjny, a w nim postój, bo Jerry zatrzymał się pod prowadzącą w górę metalową drabiną.

— Odnoga dziewięćdziesiąta ósma BaG — oznajmił. — To tu jest ta zastępcza centrala, o której mówiliście.

— Jest pan pewien? — spytał nerwowo porucznik.

Jerry przyjrzał mu się z wyraźnym obrzydzeniem i wyjął z kieszeni fajkę.

— Jesteś pan ignorant, więc się nie obrażam. Jak Jerry mówi, że jest to ten kanał, to jest to ten kanał.

— Nie chciałem obrazić!

— Nie obraził pan. To jest to miejsce, a tu jest cała masa kabli i drutów, to nie może być nic innego.

— Co jest na szczycie tych stopni?

— Drzwi z klamką i napisem „NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY ZGODNIE Z §897a KODEKSU WOJSKOWEGO”.

— Drzwi mają jakiś zamek?

— Nie: zakazane zgodnie z §45C Kodeksu Postępowania Kanałowego. Musimy mieć wszędzie wolny dostęp.

— Ślicznie! Sierzancie, proszę wziąć osiemnastu ludzi i na górę. Za dwie godziny zaczynacie atak, zaraz zsynchronizujemy zegarki. Wpadacie do środka i w łeb każdego, kto się ruszy, tylko ostrożnie ze strzelaniną, żeby mi sprzętu nie uszkodzić, bo nogi z... tego tam powyrywam. Zadanie zostanie wykonane, gdy zginie ostatni z tych pokurczów. Jasne?

— Wykonamy swój obowiązek, sir. — Sierżant wyprostował się, waląc hełmem w najbliższy zawór.

— Ciiiicho, do cholery! Wykonać! A reszta za mną.

* * *

Po kolejnym kwadransie marszu na w miarę niezagraconym odcinku kanału Jerry niespodziewanie stanął, rozejrzał się i siadł pod ścianą.

— Co się stało? — zdziwił się porucznik.

— Przerwa śniadaniowa — wyjaśnił lakonicznie zapytany, wyciągając ze skrzynki śniadanie.

— Człowieku, przecież jest wojna! Mamy ustalony harmonogram.

— I co, że wojna?! To mam latać o pustym brzuchu?! Jerry wyjął spory termos, odkręcił i powąchał zawartość. Zawsze o tej porze jest przerwa śniadaniowa. Wliczona w ten tam... harmonogram.

Ponieważ wojsko raczej wyfasowało, wszyscy, poza porucznikiem, zabrali się do jedzenia, jeśli już nie z apetytem, to co najmniej z przekonaniem. Porucznik nerwowo spacerował w kanale, spoglądając z niemym wyrzutem na spokojnie dopijającego herbatę Jerry'ego.

Ciszę, mąconą jedynie odgłosami trawienia, przerwał nagle dziki pisk, który odbił się echem od ścian, aż rury zadźwięczały, i coś czarnego wyskoczyło z niszy w ścianie, rzucając się do gardła szeregowego Barnes'a. Żołnierzy sparaliżował strach. W przeciwieństwie do Crunchera, który celnym ciosem trzystopowego francuza zdzielił napastnika w łeb. Stwór bez jednego dźwięku spadł na betonową posadzkę i znieruchomiał.

— Co... co to jest? — wykrztusił jeden z żołnierzy.

— Zmutowany chomik — wyjaśnił Jerry, ładując do skrzynki pełne kłów i pazurów paskudztwo. — Faceci z uniwerku dają mi po trzy kredyty za każdego. Nieźle i bez podatku, nie? Tylko nic nikomu nie mówcie.

Humor mu się wybitnie poprawił, a ponieważ przerwa śniadaniowa i tak dobiegła końca, po opatrzeniu szeregowego Barnes'a ruszyli w dalszą drogę.

* * *

Drugi oddział został przy wylocie szybu do drugiej centrali pomocniczej, a pozostali pospieszyli w stronę ComCent.

— Zostało tylko dziesięć minut — wysapał porucznik nieźle zdyszany pod ciężarem ekwipunku.

— Nie ma strachu, to dwa kanały stąd.

* * *

Do otworu w suficie dotarli na trzy minuty przed czasem.

— Na górze pancerne drzwi z zamkiem kołowym i dźwignią — oznajmił Jerry. — Jak przekręci się koło w kierunku przeciwnym niż zegar, dźwignia musi zostać przełożona na pozycję...

— Proszę iść z nami. — Porucznik spojrział na zegarek i przygryzł wargę. — Nie otworzymy ich w tak krótkim czasie, potem tamci będą uprzedzeni, gdy pozostałe centra zostaną zaatakowane.

— Nie moja robota dać się zabić. Niech idą ci, co im za to płacą.

— To pana obywatelski obowiązek... — zaczął porucznik, a widząc minę Jerry'ego, dodał: — Jest pan to winien sobie i swemu krajowi, a ponadto gwarantuję sto kredytów premii za otwarcie tych drzwi.

— Zgoda!

Na górę wspięli się błyskawicznie i stanęli przed drzwiami, gdy brak było piętnastu sekund do ustalonego czasu. Zawirowały szprychy kolistego zamka, cicho szczyknęła opuszczana dźwignia i masywne drzwi otworzyły się bezgłośnie.

— Za Matkę Ziemię! — wrzasnął porucznik i poprowadził atak.

Jerry spokojnie oparł się o ścianę i zapalił fajkę.

Po kilku minutach spokoju wiedziony ciekawością ruszył w ślad za wojskiem przez płataninę korytarzy pełnych elektronicznych urządzeń, mrugających światełek i cicho szumiących wentylatorów. Zatrzymał się, by ubić tytoń w fajce, gdy drzwi, ku którym zmierzał, otworzyły się niespodziewanie i wypadło z nich coś! To coś wyglądało jak kudłaty kręgiel z pół tuzinem rąk i sięgało Jerry'emu do pasa. Pognało jak kopnięte do dużego, czerwonego przełącznika zamontowanego w ścianie. Prawie go dosięgnęło pięcioma kończynami, gdy wierny francuz krótkim świstem trafił je w łeb. Stwór runął na podłogę, a Jerry uniósł klucz do poprawki, gdy z tych samych co kudłaty kręgiel drzwi wypadł zziajany porucznik z pistoletem w garści.

— Dzięki niebiosom — wycharczał — zdążyłeś...

— Niesympatyczne jakieś — mruknął Jerry — ale nie chciałem mu rozwalić łba...

— Nie rozwaliłeś pan: oni mają tam brzuch, a mózg w środku kadłuba. To był ich dowódca, ostatni, jaki został przy życiu i chciał uruchomić autodestrukcję... cholera, jakby przełożył tę wajchę, to byśmy wszyscy pofrunęli na milę wysoko. A tak mamy nieprzytomnego jeńca, który sporo nam powie.

— Miło słyszeć, że kaleki nie utłukłem...

* * *

— Gdzie byłeś? — spytała z kuchni Agata, słysząc ciężkie kroki męża w korytarzu.

— To się nazywa zlecenie — odsapnął, ściągając buty. Będzie premia przy wypłacie.

— To dobrze, bo się telewizor zepsuł. Cały dzień był głuchy, dopiero co zadziałał. I telefon też jest do naprawy. Chciałam zadzwonić do mamy i był głuchy. Uwierzyłyby, że oba w tym samym czasie? Trudne było to zlecenie?

— Nie bardzo. — Jerry wyjął fajkę z kieszeni. Robota dla rządu i premia od rządu. Oprowadzałem grupę różnych takich po kanałach. Zupełnie zieloni. Jeden przytrzasnął se paluchy klapą, drugi dał się pogryźć chomasowi, a reszta tylko się na niego gapiała...

— Przestań! Zaraz będzie obiad i nie chcę tracić apetytu! Herbata gotowa, nalej sobie.

— A., to faktycznie miła wiadomość! — ucieszył się Jerry i po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się zadowolony.

Przełożył: Jarosław Kotarski

Hurtem na wagę

1972

Przyznaję, że to raczej niemiłe opowiadanie, napisane w niemiłym nastroju. Jest krótkie, i to jest jego główną zaletą. Gdyby było dłuższe, mógłbym spróbować zakończyć je happy endem, co ani historyjce, ani mnie nie wyszłoby na dobre. Tak, nie ma w nim ani jednego zbędnego słowa.

Aha, tak na marginesie — jest to jedyne opowiadanie, jakie napisałem (i mam nadzieję napiszę), którego tytuł zaczerpnąłem z jakiejś głupawej telewizyjnej reklamówki.

A to niby dlaczego mam na siebie uważać? — spytał masywny o opalanej cerze fotograf wątłego i bladego porucznika w marynarskim mundurze, który nie sięgał mu nawet do brody.

— Bo w Nowym Orleanie, zwłaszcza w porcie, są wyjątkowe męty... Picayunnersi mogą pana zabić i sprzedać na mięso dla psów. Wielu obcych tak skończyło.

McSwine ryknął śmiechem i klepnął oficera w ramię, aż tamtego przygniotło do pokładu.

— Martw się o swoją dupę, chłopie. Pierwszego komucha zabiłem w Wigilię w Wietnamie, gdy miałem dwanaście lat. Teraz jesteśmy o osiemnaście wojen starsi i choć głównie robię im fotki, to jak mam okazję, eliminuję to ścierwo. Co i tak jest lepsze niż to, czym możecie się poszczycić wy, pordzewiali marynarze. — Poprawił dyndające mu na szyi aparaty. — Potrafię o siebie zadbać, chłopie.

Wokół okrętu widać było tłustą powierzchnię Missisipi. Z tafli wody zaczęła unosić się ostra, gryząca w nos mgła, która pochłaniała blask latarni nabrzeża, do którego podchodzili. Zabrzmiały dzwonki telegrafu, turbiny dały całą wstecz, a opancerzeni i uzbrojeni wachtowi złapali rzucone z brzegu cumy. Długi trap ze zgrzytem znalazł się na burcie i porucznik odetchnął nerwowo.

— Musi pan zejść na nabrzeże — oznajmił. — My płyniemy do portu wojennego, a na pana czeka na brzegu obstawa...

— Głowa do góry, przystojniaczku. Nikt lepiej ode mnie nie potrafi pilnować mojej dupy! — Parsknął z rozbawieniem fotoreporter i wkroczył na metalowy, pordzewiały trap.

Mgła tak zgęstniała, że nim dotarł do jego połowy, nabrzeża nie było widać jeszcze, a pokładu już. Nikt więc nie mógł dostrzec czarno ubranej postaci, która bezszelestnie wspięła się na trap za idącym, dogoniła dwoma długimi susami i zarzuciła mu na szyję metalową garotę. Drut działał jak skrzyżowanie stryczka i gilotyny, toteż zaatakowany nie był w stanie wydać dźwięku, tym bardziej, że dwie inne postacie, które stały w canoe ukrytym w cieniu trapu, trzymały go za nogi i skutecznie uniemożliwiały mu zrobienie jakiegokolwiek hałasu. McSwine nie umarł bez walki, za to umarł szybko, a zanim skończył, wprawne dłonie pozbawiły go identyfikatorów i sprzętu fotograficznego.

Aparaty i dokumenty przekazano ostatniemu pasażerowi łodzi, gabarytami i rysami twarzy przypominającemu zabitego, trupa zaś umieszczono w jej wnętrzu. Podstawiony fotoreporter wszedł na trap, a jego towarzysze pospiesznie z niego zeszli i rozplynęli się we mgle.

— Tylko pamiętajcie, że chcę swoją dołą za mięso! — przypomniał im szeptem współnik.

— *Oui*, Jean–Paul — odparły ciemności. Akcja trwała dwadzieścia sekund.

Tupiąc ciężko, Jean–Paul dotarł do nabrzeża, gdzie w blasku lampy czekało dwóch policjantów uzbrojonych w szybkostrzelne półcalówki i podejrzliwie łypiący zaczerwienionymi oczkami tajniak.

— Powiedziano ci, żebyś przyszedł tutaj, a nie stawał na środku tej pieprzonej kładki...

— I co z tego? — przerwał mu Jean–Paul i wzorem oryginału chuchnął mu prosto w nos przesiąkniętym czosnkiem oddechem. — Przystanąłem, żeby zrobić zdjęcie tego waszego ścieku. Niezłe szambo, daję słowo.

— W nocy! — Tajniak cofnął się, korzystając z pretekstu, jakim było udane zaskoczenie.

— A słyszałeś koleś o podczerwieni? Martwe rybki ładnie w niej wychodzą.

Rozeźlony tajniak pobieżnie i szybko sprawdził jego papiery (w tym celu zresztą został rozzłoszczony — inaczej robiłby to dokładniej i z zawodową podejrzliwością). Nie był w stanie w ten sposób niczego wykryć, więc oddał je bez słowa i gestem polecił mundurowemu odprowadzić gościa do windy.

— Tylko się nie zgubcie, chłopaki — mruknął Jean–Paul. — Nie chciałbym tu któregoś szukać.

Mrok skutecznie maskował lekki uśmiech na jego twarzy — dolne poziomy Nowego Orleanu znał na pewno lepiej niż obaj policjanci razem.

— Zamknij się, cwaniaczku — mruknął ten z prawej, oświetlając drogę silną latarką. — Tu jest tak samo jak na śmietniku, z którego przyjechałeś. Ani lepiej, ani gorzej.

— Gorzej, bo inaczej Trench by się tu nie zadowił. Jak zobaczycie reportaż w holowizji, to dopiero do was dotrze, że wyglądacie jak przez siatkę. Jak wam się to podoba?

Nie usłyszał odpowiedzi, gdyż o kilka kroków od nich rakieta wywaliła spory otwór w betonowej ścianie i obaj stróże prawa nacisnęli spusty. Odpowiedziała im bezładna palba, toteż ruszyli kłusem, przepychając podopiecznego przez brudne korytarze do opancerzonej windy. Operator ukryty w pancерnej komnacie pod tylną ścianą dokładnie ich obejrzał, zanim opuścił lufy sprzężonych karabinów maszynowych i uniósł kratę wejściową będącą, jak informowała tabliczka, pod napięciem.

— O, chyba mnie dostali! — Jean–Paul dopiero wtedy poczuł krew spływającą po szyi z niewielkiej rany koło ucha: współpracownicy okazali się nieco zbyt realistyczni.

— Niestety niedokładnie — zarechotał jeden z policjantów, słysząc szcęk zamykanych pancernych drzwi.

— Wy do pana Trenchy? — upewnił się dźwigowy.

— A do kogo? — warknął Jean-Paul. — Papież tu nie rezyduje, prawda?

Jazda była powolna i długa, jako że nad slumsami były poziomy produkcyjne, dormitoria, sektor administracyjny — skutecznie oddzielający pospólstwo od reszty i dopiero okolice właściwe. Zatrzymali się ledwie dwa piętra od skażonej mgły zasnuwającej nocne niebo. Przed drzwiami windy czekało dwóch kolejnych wartowników — czystych, uprzejmiejszych i równie groźnych jak mundurowi z nabrzeża.

— Pan McSwine?

— Szybko się uczycie.

— Proszę wejść na wartownię, muszę sprawdzić pańskie dokumenty. To rutynowa czynność.

— Ta rutyna już się odbyła. Nie staracie się przypadkiem utrudnić mi życia? — Wiedział o tej kontroli, ale nie należało wypadać z roli.

— To zwykła formalność. Proszę tutaj.

Jeden został na zewnątrz, drugi wszedł w ślad za Jean-Paulem i starannie zamknął drzwi. A potem niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

— To prawdziwa przyjemność móc pana spotkać, panie McSwine. Naprawdę! Widzi pan, jestem fotografem amatorem.

— Pięknie! — Jean-Paul poczuł na plecach zimne mrówki. — To co z tymi dokumentami?

— Nie muszę sprawdzać pańskiej tożsamości, ale musimy tu pozostać parę minut, bo tak zawsze to wygląda. Możemy się napić i pogadać, wiem, że lubi pan wódkę z planktonu o smaku bourbona, więc kupiłem butelczynę. Oto i ona... no to po maluchu.

— Bomba! — Jean-Paul wychylił podaną szklanekę, starając się przy tym nie otrząsać, nie cierpiał bowiem żadnej planktonówki, bez względu na jej smak.

— Nazywam się Hardesty i należę do klubu fotoamatorów. Jest nas kilkunastu i mamy nawet aparat. Sporo czasu z nim spędziłem, ale dobre zdjęcia, nawet czarno-białe, to nie taka prosta sprawa. Jakbym był lepszy w robieniu zdjęć, to tak sobie myślę, że może by mi się udało zostać policyjnym fotografem. Ten, co go teraz mamy, nie jest już taki młody...

— I mógłbyś dopilnować, żeby się już nie zestarzał?

— He, he, szybko pan łapie. Tak ten świat wygląda, no nie? Chciałbym pana spytać o parę technicznych knyfów, których inni nie znają. Jak, na przykład, kiedy pan robił tę holofotkę z zamachu na prezydenta, złapał pan zastrzelonego zamachowca, krew i kule wylatujące z gościa, i to w dodatku fotografując pod słońce. Znaczący miał pan filtr L-15, a przecież krew ma normalny kolor, co w teorii jest niemożliwe. Pamięta pan może przysłonę, migawkę czy rodzaj filmu, jakiego pan wtedy użył... — Hardesty uśmiechnął się z nadzieją niczym typowy mały złodziejaszek, mający do czynienia z królem doliniarzy.

— Coś ci powiem, ale może byśmy się tak najpierw napili? — Jean-Paul gorączkowo próbował zyskać na czasie, jedyną bowiem dziedziną, w której diametralnie różnił się od oryginału, była właśnie fotografia. McSwine był genialnym fotoreporterem, on zaś nie miał o tym zielonego pojęcia, toteż słuchał Hardesty'ego niczym durnia twierdzącego, że koronki to same dziury.

Stuknęły cicho plastikowe szklanki i mocno tracący śniętą rybą alkohol niespodziewanie natchnął go wykonałym rozwiązaniem tej niespodzianki.

— Widzisz, mam zasadę. Nie zdradzam zawodowych tajemnic. Ale dla ciebie mogę zrobić coś więcej, niż podać ci parę detali. Przyjrzyj się moim aparatom i powiedz, który jest najstarszy i najprostszyszy.

— Ten, to Asahi Pentax, prawdziwy antyk. Bez trójwymiaru, z prostym komputerem i...

— Doskonale. Widzisz, jest z nim związana pewna historia. Gdy zaczynałem robić zdjęcia, spotkałem pewnego sławnego fotografa, znasz jego nazwisko, ale ci go nie podam. Od niego właśnie dostałem tego Pentaxa jako talizman. On, gdy zaczynał, też dostał go od innej sławy obiektywu. Długo szukałem kogoś, komu zgodnie z tradycją mógłbym przekazać ten aparat, bo widzisz, to musi być prawdziwy wariat zdjęciowy, ale jeszcze nie zawodowiec. No i w końcu znalazłem. To ty!

Na krótką metę załatwiało to wszystkie problemy. Policjant był tak wniebowzięty, że gotów był zabić za jedno, choćby krzywe spojrzenie na adres fotografa. Schował aparat niczym relikwię do szuflady i z kamienną twarzą (acz i z błyskiem sztucznego w oczach), wyprowadził go bez słowa z wartowni. Sprawa jednakże nie była skończona, o czym Jean-Paul doskonale wiedział, nie mógł dać tamtemu zbyt wiele czasu do namysłu, gdyż zdrowy rozsądek i zawodowa podejrzliwość wezmą górę nad euforią. Święty Mikołaj zdarza się w bajkach, ale nie w życiu, a aparat, nawet taki jak ten, wart był majątek. Toteż, gdy doszli do ozdobnych, ale masywnych

drzwi, zaopatrzonych w kamerę wewnętrznej telewizji, powiedział cicho, korzystając z chwili samotności (drugi wartownik został przy windzie, obserwując bacznie korytarz):

— Starość nie radość, chłopie. Mam sklerozę, dałem ci aparat, ale bez filmów. Zjaw się dokładnie za kwadrans, to tak to zorganizuję, że sam otworzę drzwi i dam ci parę rolek. Nikt o tym nie będzie wiedział.

— Będę! — szepnął Hardesty. — Na pewno będę!

Jean-Paul był tego pewien, toteż spokojnie już obserwował, jak tamten naciska dzwonek i wyciąga do obiektywu legitymację.

— Jest tu pan McSwine z Nowego Jorku. Sprawdzony, wszystko w porządku.

Drzwi otworzyły się z cichym szmerem i Jean-Paul wszedł do wnętrza. Gdy za plecami usłyszał szcęk zamka, najpierw zerknął na zegarek, a potem na gospodarza — siwowego, przestraszonego człowieczka idącego mu na spotkanie.

— Pan Trench? — spytał na wszelki wypadek.

— Tak, oczywiście. Ten wywiad musi być krótki, gdyż jutro jest posiedzenie i muszę się starannie przy...

— Czy to jest wystarczająco krótkie? — spytał Jean-Paul, robiąc dwa szybkie kroki i waląc go kantem dłoni pod ucho.

Złapał nieprzytomnego, nim ten rąbnął o podłogę, sprawdził puls i odkleił narzędzia przymocowane do wewnętrznej strony lewego uda. Kratka nawiewu była tam, gdzie na makiecie. Wykręcił pierwszą śrubę, usłyszał odległe łupnięcie — oznaczało to, że pozostali przybyli zgodnie z planem. Zanim wykręcił wszystkie śruby i wymienił je na sprężynowe zatrzaski, w przewodzie wentylacyjnym usłyszał szcęk i chrobotanie, a po kilku sekundach w otworze pojawił się czerwony hak przymocowany do stalowego kabla. Pociągnął za niego i hak znieruchomiał. Zdjął pasek zrobiony specjalnie w tym celu i zapiął go pod ramionami Trench'a tak, by kłamra była na plecach. Uniesienie go i zaczepienie pasem o hak nie było dużym wysiłkiem, jako że Trench był raczej drobnej postury. Dwa szarpnięcia za kabel oznaczały, że ładunek jest gotów do drogi. Gdy rozległ się brzęk przy drzwiach wejściowych, nogi nieprzytomnego zniknęły już w otworze wentylacyjnym. Jean-Paul przekręcił pierścień z solidnym rubinem, który nosił na środkowym palcu prawej ręki, tak, by kamień skierowany był do wnętrza dłoni, i poszedł otworzyć.

— Wejdz i zamknij drzwi. Doskonale, teraz pozwól, że uścisknę twoją dłoń, życząc ci szczęścia.

— Dlaczego... — było to wszystko, co Hardesty zdołał powiedzieć, nim osunął się na ziemię.

Trucizna ukryta w wydrążonym klejnocie i zaaplikowana stalową igłą została skradziona z rządowego centrum broni bakteriologicznej i była naprawdę szybka — policjant był martwy, nim dotknął podłogi.

Jean–Paul zdjął mu pasek, trzykrotnie owinał nim nogi w kostkach i starannie zapiął. Pasek był plastikowy i tandetny, ale powinien wytrzymać. Gdy hak ponownie zjechał w dół, trochę się namęczył — Hardesty był grubszy i masywniejszy, ale w końcu udało się go wyekspediować zaczepionego za pasek. Było to ryzykowne posunięcie, jako że tamci w górze oczekiwali jego, a nie nieboszczyka, ale byli zawodowcami, toteż nie powinno być z tym większych kłopotów. Zanim hak zjechał kolejny raz, Jean–Paul był już w przewodzie wentylacyjnym, a kratka była na swoim miejscu bezpiecznie trzymana przez zaciski. Złapał oburącz hak, pociągnął za kabel i bez przeszkód wjechał na górę.

Ledwie znalazł się na mokrym od deszczu dachu, pozostali zajęli się demontażem wciągarki. Jean–Paul zamknął kłapę inspekcyjną przewodów wentylacyjnych i pomógł załadować rozebrane urządzenie do helikoptera. Salty wsiadł jako ostatni, zasunął drzwi i maszyna poderwała się w powietrze.

— Udało się — odsapnął Salty. — Co ty, przeszedłeś z jakości w ilość i bierzesz hurtem na wagę? Skąd ten gliniarz?

— Przypadek nie do przewidzenia: szajbus–fotoamator. Nie byłem w stanie zaspokoić jego ciekawości, więc musiałem go uciszyć definitywnie.

— Ktoś to widział?

— Nie.

— No to wszystko w porządku, będą szukali dwóch zaginionych zamiast jednego. Możemy życzyć im szczęścia.

— Kim jesteście? — wychrypiał nowy głos. — I po co to zrobiliście?

— A dzień dobry, panie Trench. — Jean–Paul poczuł nagłe zmęczenie. — Miło, że się pan obudził, by się pożegnać.

— Nie rozumiem, dlaczego ja... — jęknął człowieczek — przecież moim celem jest pomóc ludziom...

— Ale nie kilkunastu dużym korporacjom, które nas wynajęły — dokończył Salty. — One zainwestowały niezły grosz w fabryki, a pańskie rewelacje to nic tylko kłopoty, dochodzenia, zamknięcia produkcji i inne straty. Jeśli natomiast zniknie pan bez śladu, wszyscy zajmą się tą zagadką i z dochodzeń będą nici. Jest pan chyba ostatnią osobą mogącą narobić kłopotów jako szef Komisji do Spraw Zatrucia Środowiska. Bez pana wszystko pójdzie już gładko. To, zdaje się, nazywa happy endem.

— Potem nie będzie żadnego happy endu tylko śmierć! — wrzasnął porwany. — Jestem na pewno ostatnim, który może wykonać to zadanie uczciwie. Reszta od dawna jest przekupiona... czy do was nie dociera, że zmieniliśmy świat w śmietnik, że rasa ludzka umiera, topiąc się we własnych śmieciach...?

Zamilkł zaskoczony, gdy wszyscy czterej wybuchnęli śmiechem.

— Rasa ludzka w zasadzie już jest martwa — poprawił go Salty, gdy się nieco uspokoił. — I nikogo to nic, ale to zupełnie nic nie obchodzi. Nas zresztą też.

— Jesteśmy nad oceanem — rozległ się głos pilota.

Sprawnie połączyli nogi Trench'a z silnikiem wymontowanym z wraka dodge'a rocznik 1982 i wyrzucili całość (w tym wrzeszczącą i złorzeczącą część ruchomą) przez odsunięte drzwi.

— Nadaj sygnał zakończenia akcji — polecił pilotowi Salty.

Reakcja była tyle błyskawiczna, co niespodziewana — ledwie sygnał został odebrany w centrum, nadano stamtąd inny, uruchamiający ładunek wybuchowy w helikopterze, o którego istnieniu nikt z lecących nie miał pojęcia. Siła wybuchu była tak wielka, że część płonących szczątków szybciej spadła do wody niż ciągle wrzeszczący Trench. Choć jest wysoce wątpliwym, by sprawiło mu to jakąkolwiek satysfakcję.

Przełożył Jarosław Kotarski

Kosmiczne Szczury z BGW

1973

Barry Malzberg i Ed Ferman postanowili niegdyś wydać oryginalną antologię opowiadań, mających oddać hołd wszystkim najstarszym tematom obecnym w fantastyce naukowej. Ostatecznie udało im się, całość wyszła zgrabnie i pomijając fakt, że pewien niedouczony wydawca wtrącił potem swoje trzy grosze w dobór utworów, czym zaniżył zdecydowanie poziom dzieła, to było mi bardzo miło, gdy także znalazłem się w antologii zatytułowanej *Final Stage*.

Niemniej nie opuszcza mnie przekonanie, że złe opowiadania na wyświechtane tematy dalej będą powstawać i nie ma rady na to. Wiem. Sam napisałem parodię opery kosmicznej, powieść *Star Smashers Of The Galaxy Rangers*. Ukazała się kilka lat temu. Jednak opera kosmiczna szczególnie na tym nie ucierpiała, więc pozwalam sobie raz jeszcze bezlitośnie jej dokopać.

I tak nic z tego nie wyniknie.

Co za przyjazne odruchy... o, ten stołek się nada. Won ze starym *Phrnnx*, niech odeśpi swoje na podłodze. *Krddle* zawsze mają słabą głowę, starczy trochę *flnnx*, a już lecą z nóg i zostaje po nich tylko dym tego ich piekielnego zielska, *krmm*. Tak, raz *flnnx*... oj... przykro mi z powodu tego rękawa. Gdy wyschnie, da się zdrapać nożem. Twoje zdrowie... Oby ci się dysze nigdy nie zatkały, gdy będziesz miał bandę *kpnnz* na ogonie.

Nie, przykro mi, nigdy o tobie nie słyszałem. Ostatnio zbyt wielu dobrych ludzi młodo odchodzi z tego padołu, właśnie! Ja? Też nie słyszałeś? Możesz mi mówić Panie Sierzancie... Mówiłem o dobrych ludziach... ale on był najlepszy. Nazywaliśmy go Dzentelmen Jax. Miał jeszcze inne imię, ale tam, na jego planecie, czeka na niego jedna dziewczynka, która pilnie śledzi wszystkie lśniące szlaki, wypatruje, kiedy on nadleci z powrotem z głębokiej próżni. Czeka na swego chłopca. Ze względu na nią właśnie nazwaliśmy go Jax. Jemu by się to spodobało, jej chyba też, gdyby wiedziała, ale do dzisiaj to już pewnie posiwała lub wyłysiała i może artretyzmu dostała od tego przesiadywania w oknie i wyglądania, czy luby wraca, ale to już inna historia, i na Oriona, ja jej nie opowiem. Dobre to, no to po łyku... Jasne, że dobry *flnnx* musi wydzielać zielone opary... Lepiej zamknij oczy, gdy pijesz, bo inaczej oślepniesz na tydzień, na Mrddl! Że co? Mrddl to imię świętego proroka!

Właśnie, wiem, co myślisz. Jak taki stary szczur kosmiczny mógł dać się wrobić w wyprawę na kraniec Galaktyki, gdzie gwiazdy świecą buraczkowo i fotony mają pętlę? Powiem ci, co teraz robię: upijam się jak planizziański *pfrdffl*, ot co. Podobno to święństwo wymazuje wspomnienia, a o to właśnie mi chodzi. Cygnus w dupę... Popatrz tylko na te szramy na moich dłoniach. Każda to osobna historia. I jeszcze te, co mam na plecach, i te na... Dobra, nich innym razem. Jasne, że ci opowiem, to szczerą prawdą, knę się na święte imię Mrddla, chociaż przyznaję, że zmienię to i owo. Wiesz, dla dobra tej dziewczyny...

Słyszałeś opowieść o BGW? Skoro tak wytrzeszczyłeś gały, to musiałeś słyszeć. Właśnie, Pan Sierżant, którego tu widzisz, był jednym z pierwszych Kosmicznych Szczurów z BGW, a facet znany jako Dzentelmen Jax był wtedy moim kumplem. Niech Wielki Kramddl przeklnie jego imię i zaćmi mi wspomnienia tych dawnych dni, gdy ujrzałem go po raz pierwszy...

* * *

— Absolwenci, ba—a—CZNOŚĆ!

Stentorowy głos sierżanta wcisnął się natrętnie w uszy ustawionych w idealnych szeregach kadetów. Na ów fatalny rozkaz sto trzy wypolerowane do oślepiającego połysku buty uczyniły co trzeba i osiemdziesięciu siedmiu absolwentów stanęło na baczność (trzeba dodać, że niektórzy pochodzili z obcych światów i mieli różną liczbę kończyn). Ani oddech nie mącił ciszy, ani powieka nie drgnęła, gdy pułkownik von Thorax stanął przed kadetami i spojrzął na nich przez monokl osadzony przed szklanym okiem. Miał też krótko przycięte, siwe włosy, sztywne jak drut kolczasty, oraz idealnie skrojony i wyprasowany czarny mundur. W stalowych palcach sztucznej lewej ręki trzymał papierosa z *krmml*. Sztuczna prawa ręka uniosła odzianą w czarną rękawicę dłoń do salut. Serwomotorki zawyły z cicha, gdy sztuczne płuca i otrzewna poruszyły się przy głębokim oddechu poprzedzającym wyryczenie komendy.

— Spocznij! I słuchać. Jesteście wybrańcami, ludźmi i nie—ludźmi pochodzącymi z wszystkich cywilizowanych światów Galaktyki. Sześć milionów czterdziestu trzech kadetów zaczęło pierwszy rok kursu i większość z nich odpadła. Wykruszyli się na różne sposoby. Niektórzy po prostu nie dorosli do sprawy, niektórych trzeba było usunąć i zastrzelić za grzech sodomii. Inni dumnie wierzyli, że wieczna wojna jest czymś zbytecznym. Ich też trzeba było zastrzelić. Słabi ginęli lub odchodzili, aż został sam zdrowy rdzeń, czyli WY! Gwardziści z pierwszego rocznika BGW! Gotowi nieść dobrodziejstwa cywilizacji do gwiazd. Gotowi wreszcie się dowiedzieć, co oznacza skrót BGW!

Z szeregu gardeł dobył się ryk męskiego entuzjazmu i wrócił echem odbity od ścian stadionu. Na znak von Thoraxa stadion nakryty został olbrzymią i nieprzezroczystą tarczą kryjącą murawę przed oczami i uszami szpiegów żywych i elektronicznych. Radosny wrzask umilkł natychmiast, gdy tylko pułkownik uniół dłoń.

— Gwardziści, nie będziecie osamotnieni w waszej walce, nie sami poniesiecie płomień cywilizacji pod obce, barbarzyńskie słońca. Każdy z was będzie miał u boku wiernego kompana. Ty tam, ze skraju pierwszego szeregu, krok do przodu! Na spotkanie waszego towarzysza!

Wywołany gwardzista dzielnie huknął obcasami, zrobił trzy sprężyste kroki i znów strzelił obcasami. Niczym echo odpowiedział mu dziwny odgłos dochodzący z wrót szeroko otwartych na stadion. Wszystkie oczy zwróciły się odruchowo w kierunku bramy, z której wyłonił się...

Jak to opisać? Jak opisać trąbę powietrzną, gdy porwie i wtłoczy w swój lej, jak opisać burzę, kosmiczny sztorm unoszący przez przestwór? To coś było równie nieokreślone jak żywioł.

Stworzenie mierzyło ze trzy metry i miało szpetny łeb z zaślinioną i zębatą paszczą. Poruszało się niczym nawałnica na czterech pneumatycznych nogach, każdej zakończonej pazurami rysującymi wyłożoną supertwardym imperwitem podłogę. Istne monstrum zrodzone w złym śnie. Zmora zawyla, aż wszystkim dreszcz przeszedł po plecach.

— Oto właśnie! — ryknął pułkownik von Thorax, też zaplując się czerwona śliną. — Oto wasz wierny towarzysz, muta-wielbłąd, zmutowany potomek szlacheckich stworzeń żyjących na Starej Dobrej Ziemi, symbol i duma BGW, czyli Bojowej Grupy Wielbłądziej! Gwardzisto, poznaj swojego wielbłąda!

Wybrany gwardzista podszedł bliżej i uniósł rękę, by powitać dumne zwierzę. Dumne zwierzę po prostu odgryzło mu dłoń. Okaleczony zaczął pojękiwać, przez szeregi przeszedł szmer zdumienia. Treserzy wielbłądów zagonili pałkami zwierzę z powrotem do bramy, tymczasem służba medyczna nałożyła gwardziście opatrunek na kikut i odciągnęła jego ciało na bok.

— To była pierwsza lekcja, jak postępować z bojowymi wielbłądami! — krzyknął pułkownik. — Nigdy nie podnoście na nie ręki. Pewien jestem, że wasz kolega nigdy nie powtórzy swego błędu. Sztuczna ręka nie pozwoli mu o tym zapomnieć, cha, cha! Następny występ! Przeprowadzić wielbłąda!

Wielbłąd przygalopował, huknął kopytami i zarżał jak podczas szarży. Tym razem gwardzista trzymał łapy przy sobie i wielbłąd odgryzł mu głowę.

— Obawiam się, że nie fasuje się gwardzistom sztucznych głów — zażartował pułkownik. — Uczcijmy minutą ciszy naszego towarzysza, który odszedł do wielkiego rajskiego kosmodromu. Starczy. Ba-a-CZNOŚĆ! Przejdziecie teraz do parku wielbłądów, gdzie zapoznacie się wszyscy ze swoimi wiernymi towarzyszami. Nie zapominajcie tylko, że każdy z nich został wyposażony w sztuczne zęby z imperwiumitu i także, ostre jak brzytwy, pazury. Roze-ejść SIĘ!

Baraki oddane kadetom na kwatery przypominały zakład karny o obostrzonym rygorze. Łózkami były sztaby imperwitem; nie stosowano tu żadnych miękkich materacy, uznając słusznie, że takie pozorne wygody przyczyniają się tylko do zwyrodnienia kręgosłupa. Kocy też nie było, zresztą temperaturę utrzymywano niezmiennie na miłym dla wszystkich poziomie czterech stopni w skali Celsjusza. Tak zatem, wróciwszy do baraków, gwardziści wpadli niemal w popłoch, widząc, jak umajono im kwatery. Każda z nagich żarówek nad pryzkami otrzymała gustowny abażur, a na samych pryzkach leżały grube na dwa centymetry poduszki. Proszę, dopiero rok pracy, potu i starań, a już takie efekty!

Największym mirem pośród kadetów cieszył się niejaki M. Pewnych rzeczy nie trzeba ujawniać, szczególnie jeśli można wówczas nieostrożnym słowem dotknąć ukochanych takiej osoby lub nazbyt ucieszyć jej sąsiadów. Okryjmy zatem pana M. płaszczem anonimowości. Powiedzmy tylko, że nosił wówczas ksywę „Stalowy”. „Stalowy” albo Stalowy, jak będziemy go dalej nazywać, miał wówczas bliskiego kumpla zwanego L. Później, o wiele później, L. otrzyma miano „Dzentelmen Jax”, ja zaś w dalszej opowieści skrócę jego przezwisko do „Jax”. W nauce i sporcie Jax ustępował pola tylko Stalowemu, byli przy tym najlepszymi przyjaciółmi. Od roku mieszkali w jednym pokoju. Właśnie tam wrócili i ułożywszy wysoko nogi, rozkoszowali się niespodziewanymi wygodami. Popijali przy tym kawę bez kofeiny i palili wytwarzane specjalnie dla szkoły papierosy bez nikotyny. Nazywały się te papierosy Denikig, jednak kursanci mówili na nie „gwoździe” lub „zerwiplucka”.

— Rzuć mi gwoździa, Jax — powiedział Stalowy, leżąc na pryczy z dłońmi podłożonymi pod głowę i marząc o wspanialej przyszłości w towarzystwie wiernego wielbłąda. — Och! — jęknął, gdy paczka wyrobów tytoniopodobnych trafiła go w oko. Wyciągnął jedną z gładkich białych laseczek, postukał nią w ścianę, by zapalić, i głęboko się zaciągnął odświeżającym dymem. — Nie do wiary... — westchnął i puścił kółko.

— A jednak, na Mrddl — Jax się uśmiechnął — to już za nami. Zostaliśmy absolwentami. Może byś tak odrzucił mi moją paczkę zerwiplucków, żebym też mógł się sztachnąć?

Stalowy posłuchał, ale entuzjazm wciąż go rozpierał, cisnął więc paczką z takim impetem, że gruchnąwszy o ścianę, stanęła zaraz w płomieniach. Szklanka wody zażegnała groźbę pożaru, jednak zaraz zapłonęło czerwone światelko pod ekranem pokojowego kompa.

— Wiadomość priorytetowa — zauważył Stalowy, uderzając pięścią w przycisk.

Obaj młodzieńcy aż sapnęli z przejęcia, gdy na ekranie wykwitło surowe oblicze pułkownika von Thoraxa.

— M. i L., biegiem do mojego gabinetu — padły ciężkie słowa z warg pułkownika.

— O co mu chodzi? — zastanawiał się Jax, gdy spadali już obaj szybem grawitacyjnym.

— Zaraz się dowiemy! — krzyknął Stalowy, gdy podeszli do drzwi starego, i wcisnął płytkę dzwonnka.

Drzwi odsunęły się cicho i obaj kursanci weszli bez wahania. Ale co to? Pułkownik spoglądał na nich z uśmiechem... Z uśmiechem! Nigdy jeszcze nie widzieli uśmiechu na jego żelaznym obliczu.

— Spocznijcie, panowie — powiedział, wskazując na dwa wygodne fotele. — W poręczach foteli znajdziecie zarówno ómiki, jak i walumiańskie wino i szamańskie piwo.

— A kawa? — spytał oszołomiony Jax i wszyscy się roześmiali.

— Wątpię, byście naprawdę mieli ochotę na kawę — brzęknął pułkownik sztuczną krtanią. — Nalejcie sobie, jesteście już Kosmicznymi Szczurami z BGW i czas dzieciństwa jest za wami. I patrzcie uważnie.

W powietrzu przed nimi pojawił się trójwymiarowy obraz osobliwego statku kosmicznego. Nigdy jeszcze takiego nie widzieli. Smukły jak miecznik, uskrzydłony jak ptak, masywny jak waleń i uzbrojony po zęby niczym aligator.

— Święty Trepie — jęknął nieprzytomnie Stalowy i rozdziawił usta. — To się nazywa rakietą!

— Zwykle mówimy na nią *Niezawodna* — mruknął nie bez humoru pułkownik.

— To ona? Coś słyszeliśmy...

— Niewiele mogliście słyszeć, od początku trzymamy ją bowiem pod kluczem. Ma największe silniki, jakie kiedykolwiek zamontowano na statku kosmicznym, uwspółcześniony wzór MacPhersona*, udoskonalony napęd Kelly'ego* (nigdy byście go nie poznali, tak bardzo został unowocześniony), no i jeszcze ekrany Fitzroya* o zdwojonej mocy. Te stare wyglądają przy nich jak dziecinne zabawki.

Najlepsze zaś zachowałem na koniec...

— Najlepsze już usłyszeliśmy...

— Tak wam się wydaje. — Pułkownik roześmiał się, nawet uprzejmie. Jego śmiech przypominał odgłos rozdierania stalowych płyt. — Najlepszą wiadomością jest to, że ty, Stalowy, zostaniesz teraz kapitanem tego kosmicznego super-drednota, a Jax będzie miał szczęście objąć stanowisko pierwszego inżyniera.

— Jax byłby znacznie szczęśliwszy jako kapitan, a nie smoluch z maszynowni — mruknął Jax i wszyscy znów się roześmiali. Znaczą wszyscy prócz Jaxa, bo ten wcale nie żartował.

* Silniki MacPhersona pojawiają się po raz pierwszy w opowiadaniu tegoż autora (czyli MacPhersona), *Rocket Rangers of the IRT* (Spicy-Weird Stories 1923).

* Wierni czytelnicy wykryli napęd Kelly'ego po raz pierwszy w głośniejszej książce *Hell Hound of the Coal Sack Cluster* (Slimecreeper Press Ltd. 1931), wydanej też po niemiecku jako *Teufelhund Nach der Knockwurst Express*. Przekład włoski Re Umberto, data wydania nieznana.

* Media zostały zrewolucjonizowane, gdy w *Female Space Zombies of Venus* pojawił się po raz pierwszy ekran Fitzroya (*True Story Confessions*, 1936).

— Statek jest całkowicie zautomatyzowany — ciągnął pułkownik — i starczy dwóch, by nim sterować. Muszę was jednak ostrzec, że ma na pokładzie tyle eksperymentalnego wyposażenia, że powierzmy go tylko ochotnikom...

— Zgłaszam się na ochotnika! — krzyknął Stalowy.

— Muszę iść do toalety — powiedział Jax i uniósł się z fotela. Ujrzawszy jednak w dłoni pułkownika nader brzydki blaster, przysiadł ponownie. — Żartowałem, oczywiście. Zgłaszam się na ochotnika.

— Wiedziałem, że mogę na was liczyć, chłopaki. BGW wychowuje prawdziwych mężczyzn. No i wielbłądy, rzecz jasna. Oto wasze zadanie. Jutro o trzeciej zero cztery wyruszacie na pokładzie Niezawodnej przez kosmiczny eter w kierunku Cygnusa. Dokładnie, na pewną planetę...

— Spróbuję odgadnąć — wycedził Stalowy przez zaciśnięte zęby. — Ale chyba nie kieruje nas pan na ten pełen larszników świat Biru-2?

— Owszem. To główna baza larszników, ich centrum operacyjne, narkotykowe i hazardowe. Handlują tam niewolnikami, drukują fałszywe zielki i destylują *flnxx*. Prawdziwe legowisko kosmicznych piratów.

— I pan chce, byśmy tam polecieli? — Stalowy skrzywił się na obliczu.

— To nie będą przelewki — zgodził się pułkownik. — Ale gdybym sam był nieco młodszy i miał trochę mniej sztucznych organów, to nie wahałbym się ani chwili...

— Może pan zostać pierwszym inżynierem — syknął Jax.

— Stul pysk — poprosił pułkownik. — Powodzenia, panowie. Reprezentujcie godnie honor BGW.

— A wielbłądy? — spytał Stalowy.

— Może następnym razem. Mamy nieco kłopotów z przystosowaniem. Od chwili, gdy tu przyszlście, straciliśmy jeszcze czterech absolwentów. Może zresztą zmienimy zwierzęta i przerobimy szkołę na BGO...

— Bojowa Grupa Owsików? — spytał Jax.

— Raczej osłów. Lub okoni, chociaż... Ale to już mój problem. Waszym zadaniem jest dostać się na Biru-2 i otworzyć ten świat. Wiem, że możecie to zrobić.

Jeśli nawet twardzi gwardziści mieli jeszcze jakieś wątpliwości, to zachowali je dla siebie, byli bowiem twardymi gwardzistami. Zrobili co trzeba i następnego ranka, o trzeciej zero cztery,

zero zero sekund, potężny kadłub *Niezawodnej* runął w przestrzeń. Silniki MacPhersona ryknęły rozgłośnie, przekazując kwantyliony ergów energii napędowi, i w końcu pole grawitacyjne matki Ziemi zostało za nimi. Jax pracowicie ustawiał parametry, aż Stalowy dał znak z mostku, że pora przejść na pożerający przestrzeń napęd Keliyego. Stalowy przycisnął właściwy guzik i statek wystrzelił z siedmiokrotną szybkością światła*.

Ponieważ wszystko działało automatycznie, Jax odświeżył się potem w odświeżaczu, rzeczy uprał w pralce i rześki i pachnący podążył na mostek.

— Hmm — powiedział Stalowy, unosząc brwi. — Nie miałem pojęcia, że nosisz gatki w groszki.

— To jedyna czysta część mojej garderoby — odparł Jax. — Pralka automatycznie połknęła resztę.

— Nie martw się. Niech larsznikowie z Biru-2 się martwią! Dokładnie za siedemnaście minut wejdziemy w atmosferę i właśnie zastanawiałem się, co zrobić potem.

— Taką właśnie miałem nadzieję! Ja nie miałem czasu się zastanawiać. Ledwie zdążyłem odsapnąć.

— Spokojnie, stary. Jedziemy na jednym wózku. Mamy dwie możliwości. Możemy otworzyć ogień ze wszystkich luf lub przemknąć cichcem.

— Widzę, że naprawdę długo nad tym myślałeś.

— Zignoruję ten przytyk, bo wiem, że jesteś zmęczony. Chociaż mamy sporą siłę ognia, to jednak naziemne baterie są pewnie i tak potężniejsze. Proponuję więc działać niezauważenie.

— Czy to nie będzie trudne, jeśli wziąć pod uwagę, że ten statek ma masę trzydziestu milionów ton?

— Byłoby, ale widzisz ten tutaj guzik, podpisany „niewidzialność”? Gdy ty tankowałeś statek, ja słuchałem wyjaśnień fachowców. To najnowszy wynalazek, nigdy jeszcze nie wykorzystany w boju. Będziemy niewidzialni i niewykrywalni dla wszelkich czujników.

— To już lepiej. Jeszcze kwadrans, pewnie jesteśmy już bardzo blisko. Włącz promienie niewidzialności.

— Jeszcze nie!

— Już zrobione. Teraz wszystko na twojej głowie.

* Kiedy spytano Patsa Kelly’ego, wynalazcę, jakim to cudem jego statki mogą poruszać się z siedmiokrotną szybkością światła, skoro szybkość przemieszczania się materii ograniczona jest znanym wzorem, wzruszył ramionami i stwierdził: „Najpewniej Einstein się mylił”.

— Niezupełnie. Eksperymentalna instalacja niewidzialności przewidziana jest tylko na trzynaście minut aktywności. Potem obwody się przepalą.

Niestety, okazało się to prawdą. Ledwo sto mil nad pustynną, wypaloną powierzchnią Biru-2 *Niezawodna* ukazała się nagle w całej okazałości.

Minęło kilka milisekund, a już kosmiczne sonary i kosmiczne radary namierzyły nadlatujący statek. W górę pobiegły szyfrowane sygnały i anteny zaczęły nasłuchiwać odpowiedzi mającej ujawnić, czy przybysz jest wrogiem, czy swoim.

— Wyślę im fałszywy sygnał. Larsznikowie nie słyną z bystrości umysłu — roześmiał się Stalowy. Postukał w mikrofon, wyszukał międzygwiazdną częstotliwość alarmową, i zmieniając głos, wychrypiał: — Agent X-9 do bazy. Miałem starcie z patrolem, trafili mnie w książki kodów. Ale wracam z ładunkiem ośmiuset tysięcy ton piekielnego zielska krmml.

Odpowiedź larszników była czysto spontaniczna. Tysiące laserów i dział kosmicznych otworzyły ogień z takim natężeniem, że sama materia przestrzeni kosmicznej zaczęła się odkształcać. Cała ta promienista nawała runęła na ekrany *Niezawodnej*, której nie był, niestety, pisany długi żywot. Pociski przeszły kadłub z superwytrzymałego metalu. Materia parowała, rozpadając się na elektrony i protony (no i neutrony, rzecz jasna).

Zwykła cielesna powłoka człowieka była niczym wobec podobnej katastrofy. Jednak Stalowy i Jax dobrze wykorzystali tych parę sekund, kiedy to salwy przedzierały się przez ekrany statku, i błyskawicznie nałożyli swe zbroje kosmiczne. W ostatniej chwili! Wrak potężnej niegdyś jednostki runął w atmosferę planety i po chwili roztrzaskał się na zatrutej powierzchni Biru-2.

Dla postronnych obserwatorów mógłby to być koniec misji. Królowa kosmicznych szlaków nigdy już nie miała się wznieść w przestwór. Zostało po niej ledwie z dwieście funtów osmolonego złomu. Nigdzie nie było widać ani śladu życia, gdy nagle przez sekretny właz pobliskiej bazy wypelzły dwa pełzacze i ruszyły przez dymiące rumowisko, nastawiając wszystkie czujniki na maksymalny zasięg.

— Meldować! — pisnęło radio.

— Brak śladu życia do piętnastego miejsca po przecinku — warknął, zakławszy pod nosem, operator pełzacza i nakazał wszystkim powrót do bazy.

Pojazdy zniknęły z łoskotem, zostawiając stygnące z wolna szczątki swojemu losowi.

Trujący deszcz padał na wrak jak wielkie lzy.

Czyżby nasi dwaj przyjaciele jednak zginęli? Już myślałem, że nigdy o nich nie szeptacie. Technicy larszników nie mieli pojęcia, że na milisekundę przed upadkiem statku mocarne sprężyny wystrzeliły z pokładu dwie pancerne kapsuły, które poleciały aż za horyzont i runęły na skalną ścianę. Dziwnym trafem w tej właśnie skale znajdowały się tajne wrota, przez które pełzacze wracały po bezowocnym przeszukaniu powierzchni.

Przeklinający operator, oszołomiony dodatkowo *krmml* nigdy nie miał zauważyć nagłego ożywienia wszystkich detektorów w chwili, gdy pełzacze wjechały już do tunelu i wrota z hukiem się za nimi zatrasnęły.

— Udało się! Jesteśmy wewnątrz ich linii obrony! — ucieszył się Stalowy. — A wszystko dzięki temu, że przycisnąłeś guzik niewidzialności.

— Też coś, a skąd niby miałem wiedzieć, że to tak się skończy? — mruknął Jax. — Straciliśmy statek, ale wykorzystaliśmy element zaskoczenia. Nie wiedzą, że tu jesteśmy, ale my wiemy, że oni tu są!

— Trafna uwaga... Sza! — syknął. — Pochyl się, dochodzimy do czegoś.

Pełzacze wjechały z grzechotem do obszernej hali wyciosanej w żywej skale i pełnej wszelkich możliwych machin wojennych. Jedynym człowiekiem (o ile to był człowiek) był tu larsznicki operator. Ledwie spostrzegł intruzów, zaraz sięgnął do kontrolki broni, ale i tak był bez szans. Ogień dwóch precyzyjnie wycelowanych blasterów zmienił go w parę, zostawiając ledwo kilka deka osmalonego ciała na siedzisku. Miecz sprawiedliwości dosięgnął wreszcie larsznicką bestię w jej legowisku.

I było to sprawiedliwe, sprawiedliwe bowiem było tu wszelkie mordowanie i zarzynanie, gdyż nie uświadczylbyś ani jednego sprawiedliwego w tej jaskini rozpusty.

Zemsta cywilizacji sunęła przez korytarze niesławy, gubiąc wszystkich, którzy stanęli na drodze naszej męskiej dwójki.

— To chyba jakaś szycha — mruknął Stalowy, wskazując na wykładane złotem drzwi, pod którymi bojówka zabójców popełniała właśnie samobójstwo w morderczym ogniu.

Opór był coraz słabszy, aż w końcu padł i ten ostatni bastion, a nasi gwardziści wkroczyli triumfalnie do centralnej rozdzielni, obsługiwanej już tylko przez jedną postać siedzącą przy głównej konsoli. Oto był sam superzbrodzień, tajemniczy numer pierwszy, głowa międzygwiazdowego świata przestępczego.

— Koniec z tobą. — Stalowy skrzywił się i wycelował blaster w odzianą na czarno postać w nieprzezroczystym hełmie kosmicznym. — Zdejmij hełm albo umrzesz w tej chwili.

Z wnętrza kasku dobiegł najpierw wściekły bulgot, a drżąca czarna rękawica długo wisiała nad kontrolkami broni. Potem te same dłonie uniosły się powoli, by zwolnić zatrzaski, obrócić hełm i...

— Na święte imię proroka Mrddl! — jęknęli unisono obaj gwardziści i stracili na chwilę zdolność mowy.

— Tak, teraz już wiecie — warknął arcyzbrodzień przez zęby. — Ale, cha, cha, założę się, że ani przez chwilę mnie nie podejrzewaliście!

— To ty! — krzyknął Stalowy, przerywając ciężką ciszę. — Ty! TY!

— A tak, to ja, pułkownik von Thorax, komendant BGW. Nawet mnie nie podejrzewaliście, a ja tylko się z was śmiałem.

— Ale... — zawahał się Jax. — Czemu?

— Czemu? To oczywiste dla każdego prócz takich demokratycznie chowanych świń jak wy. Jedynym, czego boją się larsznikowie Galaktyki, jest BGW, potężna instytucja zwalczająca korupcję i przestępczość, instytucja szlachetna i prawomyślna. Moglibyście sprawić mi kłopoty, więc nie czekając, aż uczyni to kto inny, sam założyłem szkołę BGW i od dawna działam już na dwa fronty. Nasi werbownicy zbierają na wszystkich planetach najlepszych ludzi i BGW zwraca ich potem złamanym psychicznie lub schorowanym, zepsutych i podłych, tak że nie stanowią już dla nas żadnego niebezpieczeństwa. Oczywiście zawsze może się zdarzyć, że kilku ocaleje mimo moich starań. W każdym pokoleniu trafiają się nieprzeciętni masochiści, ale tymi zajmuję się na inny sposób.

— Na przykład wysyłając ich na samobójcze misje? — spytał ironicznie Stalowy.

— To całkiem dobry sposób.

— Ale tym razem nie zadziała! Zmów ostatnią modlitwę i błagaj o zbawienie swej brudnej duszyczki, staniesz bowiem przed obliczem Stwórcy!

— Stwórcy! Modlitwę! Odbiło wam? Wszyscy jesteśmy tu zaprzysięgłymi ateistami...

I nagle nadszedł koniec. Wraz z tymi bluźnierczymi słowami na wargach, zbrodzień zniknął w cuchnącym dymie. Dostał to, na co zasłużył.

— I co teraz? — spytał Stalowy.

— A to! — odparł Jax, naciskając spust łapacza i spowijając Stalowego w nierozrywalną sieć promieni paraliżujących. — Nie będę już drugim. Dość tego, żebym ja gnił w maszynowni, a ty spacerował sobie po mostku. Od tej chwili ja dyktuję reguły gry.

— Oszalałeś? — zdołał wykrztusić Stalowy.

— Po raz pierwszy w życiu. Superzbrodzień nie żyje, niech żyje superzbrodzień. Cała Galaktyka należy do mnie.

— A co ze mną?

— W zasadzie powinienem cię zabić, ale to byłoby zbyt łatwe rozwiązanie. Nigdy nie chciałeś się ze mną dzielić czekoladowymi batonikami. Teraz na ciebie spadnie wina za cały ten bałagan, za śmierć pułkownika von Thoraxa i za zniszczenie głównej bazy larszników.

Wszyscy będą od dzisiaj przeciwko tobie, zostaniesz wyrzutkiem ściganym do końca życia, kryjącym się strachliwie na najdalszych peryferiach Galaktyki.

— Ale że zapamiętałeś sobie te czekoladki?

— A owszem. To było najgorsze. Nigdy w życiu nie dostałem batonika i jadłem tylko kradzione. A teraz idź stąd!

* * *

— Chcesz znać moje imię? Starczy Pan Sierżant. Moja opowieść? To nie dla wrażliwych uszu, chłopie. Nalej lepiej i wypij ze mną. Tyle przynajmniej możesz zrobić dla weterana, który wiele już widział w swoim długim życiu. Pech to pech, do diabła, niech Wielki Krmddl przeklnie tego typu, znanego jako Dzentelmen Jax. Co, głodny? Ja nie... Nie!

NIE! Tylko nie czekoladkę!!!

Przełożył Radosław Kot

Spis treści

Ulice Aszkelonu	2
1961	2
Kapitan Honario Harpplayer	19
1962	19
Operacja ratunkowa	29
1963	29
Nareszcie prawdziwa historia Frankensteinia	44
1963	44
Zawsze słucham misia	50
1963	50
Autoportret	60
1963	60
Milczący Milton	69
1965	69
Przestępstwo	78
1966	78
Przechowalnia	91
1967	91
Jeżeli	102
1967	102
Dyżur	109
1967	109
Dyżur	110
1967	110
Z fanatyzmu albo dla nagrody	113
1968	113
Nad wodospadem	124
1968	124
Wieczne drzewo	133

1969.....	133
Nowy wspaniały świat.....	143
1970.....	143
Złośliwy uciekinier.....	180
1970.....	180
Współmieszkańcy.....	190
1970.....	190
LATO.....	191
Jesień.....	197
Zima.....	203
Wiosna.....	208
Pancernik w rezerwie.....	213
1972.....	213
Uczciwy dzień pracy.....	232
1972.....	232
Hurtem na wagę.....	242
1972.....	242
Kosmiczne Szczury z BGW.....	250
1973.....	250